

11 760.836

DOKUMENTY

ALICJA ZAWADZKA-WETZ

**REFLEKSJE
PEWNEGO ŻYCIA**

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1967

DOKUMENTY

ALICJA ZAWADZKA-WHTZ

REFLEKSJE PEWNEGO ŻYCIA

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO
ul. Krakowska 25/29, 00-638 Warszawa
TEL. 22 62 54 11, 22 62 54 12, 22 62 54 13, 22 62 54 14, 22 62 54 15, 22 62 54 16, 22 62 54 17, 22 62 54 18, 22 62 54 19, 22 62 54 20, 22 62 54 21, 22 62 54 22, 22 62 54 23, 22 62 54 24, 22 62 54 25, 22 62 54 26, 22 62 54 27, 22 62 54 28, 22 62 54 29, 22 62 54 30, 22 62 54 31, 22 62 54 32, 22 62 54 33, 22 62 54 34, 22 62 54 35, 22 62 54 36, 22 62 54 37, 22 62 54 38, 22 62 54 39, 22 62 54 40, 22 62 54 41, 22 62 54 42, 22 62 54 43, 22 62 54 44, 22 62 54 45, 22 62 54 46, 22 62 54 47, 22 62 54 48, 22 62 54 49, 22 62 54 50, 22 62 54 51, 22 62 54 52, 22 62 54 53, 22 62 54 54, 22 62 54 55, 22 62 54 56, 22 62 54 57, 22 62 54 58, 22 62 54 59, 22 62 54 60, 22 62 54 61, 22 62 54 62, 22 62 54 63, 22 62 54 64, 22 62 54 65, 22 62 54 66, 22 62 54 67, 22 62 54 68, 22 62 54 69, 22 62 54 70, 22 62 54 71, 22 62 54 72, 22 62 54 73, 22 62 54 74, 22 62 54 75, 22 62 54 76, 22 62 54 77, 22 62 54 78, 22 62 54 79, 22 62 54 80, 22 62 54 81, 22 62 54 82, 22 62 54 83, 22 62 54 84, 22 62 54 85, 22 62 54 86, 22 62 54 87, 22 62 54 88, 22 62 54 89, 22 62 54 90, 22 62 54 91, 22 62 54 92, 22 62 54 93, 22 62 54 94, 22 62 54 95, 22 62 54 96, 22 62 54 97, 22 62 54 98, 22 62 54 99, 22 62 54 00

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 142

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (Yvelines)

DOKUMENTY

ALICJA ZAWADZKA-WETZ

**REFLEKSJE
PEWNEGO ŻYCIA**

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010059812



II 760.836



SŁOWO WSTĘPNE

To, co oddaję w ręce czytelników nie jest zwykłą autobiografią. Każdy człowiek ma na pewno interesujące życie i myślę, że każdy mógłby napisać o sobie jedną książkę. Jeśli więc momenty osobistych przeżyć będą wplecione w tę opowieść o dziwnej drodze, która zawiodła mnie z newraligicznego punktu Europy, jakim była i jest Polska, na ziemię azjatycką to dlatego, że wyjaśniają one w pewnej mierze wydarzenia epoki historycznej, w której stało się to możliwe.

Nie wybrałabym dobrowolnie tej dalekiej i nietatwej drogi znad Wisły do brzegów „świętego” Gangesu i Jamuny... Ale skoro życie mnie do tego zmusiło, idę nią, starając się zrozumieć zjawiska tego zupełnie innego świata. Stosując do nich zresztą często polskie porównania: widząc Polskę i jej krajobraz w topolach i jabłoniach Kaszmiru, czując ją w zapachu akacji delhijskich.

Ten mój obrachunek sumienia i me refleksje poświęcam dwojgu najbliższym mi ludziom: mojej Matce, która, wyrwana z polskiej gleby, z daleka, poprzez moje listy w moim życiu uczestniczy i mężowi memu, który stał się moim guru — najlepszym, najwierniejszym przewodnikiem i przyjacielem tej skomplikowanej drogi, której przeszkody wspólnie pokonujemy, i której problemy staramy się wspólnie zrozumieć.

REVISED SYLLABUS

The syllabus is divided into two parts, the first part dealing with the general principles of the subject and the second part dealing with the practical application of these principles. The first part is divided into three sections, the first section dealing with the general principles of the subject, the second section dealing with the practical application of these principles, and the third section dealing with the practical application of these principles.

The second part is divided into two sections, the first section dealing with the practical application of these principles and the second section dealing with the practical application of these principles. The first section is divided into three sections, the first section dealing with the practical application of these principles, the second section dealing with the practical application of these principles, and the third section dealing with the practical application of these principles.

The second section is divided into two sections, the first section dealing with the practical application of these principles and the second section dealing with the practical application of these principles. The first section is divided into three sections, the first section dealing with the practical application of these principles, the second section dealing with the practical application of these principles, and the third section dealing with the practical application of these principles.

Rozdział I

Urodziłam się pod znakiem Wodnika. Inne, potężne żywioły wpłynęły jednak zdecydowanie na moje życie. Okres dzieciństwa i pierwszej młodości zamknął się w latach między pierwszą i drugą wojną światową. Nie wiedząc o tym — na szczęście — znajdowaliśmy się na wulkanie. Wybuchł on we wrześniu 1939 roku. Ale lawa gotowała się w jego kraterze i cały czas narażeni byliśmy na wstrząsy, które w większej, lub mniejszej mierze kształtowały naszą psychikę.

Urodziłam się w Warszawie, którą określano wówczas mianem „Paryża północy”. Trudno powiedzieć ile jest prawdy w tym porównaniu. W każdym razie wzrosłam w mieście nerwowym, pełnym życia i fantazji, w mieście, w którym biło gorące serce. I tę właśnie Warszawę pokochałam na całe życie. Warszawę, w której dorożki na gumach sunęły Alejami Ujazdowskimi, Warszawę kin i tylu ożywionych kawiarni. Ale zarazem miasto, w którym ulice Miłe wcale miłymi nie były, bo kryły w sobie nędzę i ludzkie tragedie. Miasto, na ulicach którego policja szarżowała na pochody pierwszomajowe.

Stolica, pełna swojego, nadwiślańskiego humoru, na pozór beztroska, ale zarazem stolica państwa, położonego w samym centrum Europy. Na wschodzie — Związek Sowiecki wykonywał drugi pięcioletni plan uprzemysłowienia, umacniając swą pozycję. Na zachodzie — dywizje pancerne Hitlera przygotowywały się do realizacji planów wodza faszystów, ujawnionych zresztą bez ogródek w „Mein Kampf”.

A w środku istniała Polska. Przewrót majowy w 1926 roku dał w niej pełnię władzy Józefowi Piłsudskiemu, który wysiadł już z „czerwonego, socjalistycznego tramwaju swej młodości”

i włożył losy kraju w ręce kolorowych ułanów — godnych pułkowników. Rzecz w tym tylko, że dla wielu z tych szczerych na pewno patriotów dzieło było zakończone z chwilą odzyskania niepodległości... Rzeczywistość nasuwała zbyt wiele trudnych problemów, z którymi nie umieli się uporać.

Kraj przejął smutne dziedzictwo zaborców. Polska była zafana. Na wsiach Polesia dzielono zapałki na cztery części, by rozniecić ogień. Nierównomiernie rozwinięty przemysł znajdował się w powiatakach w porównaniu z innymi krajami Europy.

Takie są fakty historyczne, które wytyczyły granice mojej pierwszej młodości. Ułożyły się one w logiczny łańcuch później dopiero. W okresie dzieciństwa i szkoły przenikały ich okruciny. Aresztowania i wysyłanie do Berezki Kartuskiej ludzi, którzy znajdowali się w opozycji do rządu, strajki robotnicze, bójki na uniwersytetach, okruciny wybitych szyb żydowskich księgarni — to było odbicie tej polityki, widoczne na codzień. Były to błyskawice, zwiastujące nadejście wielkiej burzy światowej.

W tej atmosferze rosłam i uczyłam się rozumieć otaczający mnie świat. Szczerze mówiąc, miał on bardzo wąskie granice. I jeśli nawet moje dzieciństwo zawierało wiele problemów, równie trudnych i skomplikowanych, jak późniejsze okresy życia, to na szczęście nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dlatego wspominam je z pewnym rozrzewnieniem z perspektywy lat i doświadczeń.

Pozostały mi w pamięci epizody, fragmenty, podobne do wyblakłych fotografii w albumie. Niektóre z nich są bardziej wyraźne. Niektóre wspomnienia mają znaczenie. Stanowią bowiem swego rodzaju klucz, za pomocą którego można otworzyć ludzką naturę, zrozumieć w jaki sposób kształtował się charakter, a być może i dalsze poczynania człowieka. Te właśnie wspomnienia postaram się przywołać.

Byłam jedynaczką po 11-tu latach małżeństwa. Niemłodzi już rodzice skoncentrowali na mojej osobie całe uczucie. Z jednej strony stworzyło to wokół mnie klimat bezbrzeżnej miłości, — z drugiej — przekształciło mnie w niewolnicę tych uczuć. Pewnie dlatego wzrastałam bardzo samotnie i nie zaznałam nigdy przyjemności w zabawach z rówieśnikami. Uwielbiałam natomiast książki. Brałam je z biblioteki Ojca, otwierałam do góry nogami i spędzałam nad nimi każdą wolną chwilę. Alfabet miał dla mnie jakąś magiczną moc. Spacerując ulicami, prosiłam rodziców żeby uczyli mnie liter z szyldów reklamowych i sylabizowałam „krawiec męski” z dumą, jaką daje pierwsze poznanie.

Pamiętam jeszcze, że rodzice borykali się z trudnościami materialnymi. W pierwszym okresie były one wynikiem życia ponad

stan mojej Matki, która nie chciała zmieścić się w wąskich ramach, jakie mógł jej stworzyć skromny inżynier chemii. W latach kryzysu 1933 — były one wynikiem ogólnej koniunktury gospodarczej, która skazała ojca na roczny okres bezrobocia, a całą rodzinę na zamieszkanie w tym okresie w pokoju sublokatorskim.

Miało to jednak dla mnie dobrą stronę: uchroniło mnie przed rozpieszczeniem, którego ofiarą padają zwykle jedynacy. Zaczęłam pracę zarobkową, mając lat 13. Dawałam korepetycje koleżankom z mojej klasy. Przynosiłam co miesiąc do domu zarobione pieniądze i upajałam się pierwszym uczuciem, jakie daje niezależność... Do tego stopnia, że zrezygnowałam kiedyś dobrowolnie z wakacji i pracowałam jako kasjerka w „Naszej Księgarni”. Jeszcze dziś potrafię odtworzyć sobie uczucie, którego wówczas doznawałam, gdy z rozgrzanych upałem ulic wchodziłam do chłodnego i mrocznego wnętrza, gdy przyjmowałam od klientów pieniądze i wydawałam im uważnie resztę, lękając się zawsze, że stracę na tych transakcjach. Niemniej te dziwne wakacje dały mi duże zadowolenie i w wieku lat 15-tu skłonna byłam uważać się za dojrzałą osobę.

Z czasów dzieciństwa pozostały mi jeszcze wspomnienia świąt Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy. Pierwsze kojarzyły się oczywiście z choinką, która zdobiła tradycyjnie nasze najskromniejsze choćby mieszkanie. Okres Wielkiejnocy — to były wędrówki po warszawskich kościołach i oglądanie grobów. Tajemniczy nastrój, przepojony zapachem kwiatów wywierał na mnie silne wrażenie. Widok grobów na Jasnej Górze w Częstochowie — jeździliśmy tam do rodziny na wakacje wielkanocne — sprawił, że chciałam na zawsze pozostać w tym klasztorze. Dość dziwne uczucie u dziecka, pochodzącego z zasymilowanej wprawdzie, lecz żydowskiej rodziny.

Przełomowym momentem w moim życiu było pójście do gimnazjum. Rodzice postanowili mnie oddać do szkoły państwowej, gdzie opłaty były kilkakrotnie niższe, aniżeli w szkołach prywatnych. Musiałam jednak zdać konkursowy egzamin. To mnie naprawdę podnieciło. Nie przypuszczałam, że tak dalece lubię ryzyko. Towarzyszyło mi to przez szereg lat, gdy zawsze z lekkim uczuciem tremy przystępowałam do egzaminów na uniwersytecie. Nie wykluczone, że chciałam w ten sposób zwalczyć w sobie poczucie niższej wartości. Nigdy nie byłam siebie pewna i dopiero sąd innych pomagał mi ocenić własne możliwości. Pierwsza próba życiowa zakończyła się w każdym razie pomyślnie i dostałam się do państwowego gimnazjum imienia Marii Konopnickiej.

Istniał tam *numerus clausus* dla Żydów. Ale, skoro przeszło

się przez konkursowy egzamin, każdy uczeń stawał się częścią szkolnej, polskiej społeczności i nie docierały do niego najmniejsze echa antysemityzmu. W każdym razie ja ich nie odczuwałam i jedynym uczuciem ówczesnych czasów był bezkrytyczny patriotyzm. Uczylałam się miłości ojczyzny z poezji Mickiewicza i z kart trylogii Sienkiewicza. Wszystko było piękne i bardzo proste. Marszałek Piłsudski, nasz „dziadek”, był oczywiście wielkim bohaterem narodowym. Potrafiłam wzruszyć się do łez, gdy dyrektorka szkoły oznajmiła nam, płacząc z radości i dumy, że „zajęliśmy Zaolzie”. Wierzyłam słowom sanacyjnych przywódców na temat naszej siły, ba, niezwykłej potęgi i gotowa byłam sama dla tych ideałów wszystko poświęcić.

Oczywiście prawdziwe życie wdzierało się czasami w mury naszego gimnazjum. Przede wszystkim dzięki pracy niektórych nauczycieli, którzy zachowali krytyczną postawę. Przypominam sobie taki nic na pozór nie znaczący fakt. Profesor języka polskiego, wybitny znawca Wyspiańskiego, Leon Płoszewski, dał nam wypracowanie pod tytułem: „Dzielnica, w której mieszkaś”. Jedna z uczennic, córka pułkownika, opisała plac Zbawiciela, określając go mianem dzielnicy, gdzie mieszka „sfera wyższa”. Profesor Płoszewski powiedział:

— Byłem tam wczoraj i widziałem człowieka w drelichowym ubraniu. Co oczywiście nie stoi w sprzeczności z Pani określeniem, ponieważ to właśnie ludzie pracy mają w sobie szlachectwo wewnętrzne i stanowią najwyższą, najbardziej godną szacunku warstwę społeczeństwa.

Córka pułkownika została na zawsze ośmieszona w naszych oczach, a do nas trafiały z coraz większą siłą ideały młodości i sprawiedliwości. Duży wpływ na mnie miała druga nauczycielka polskiego, Czesława Zawadzka, która poświęciła swe szczęście osobiste i całe życie wychowaniu młodzieży w duchu tychże ideałów. Do tego stopnia, że, gdy w czasie okupacji musiałam zmienić nazwisko, nie zważałam się ani na chwilę i wybrałam to właśnie, chcąc stać się jej duchowym spadkobiercą.

Na pewno, będąc już w liceum, chcieliśmy w jakiejś mierze „ruszyć z posad bryłę świata i na nowe ją skierować tory”. Trudno nam by jednak przyszło powiedzieć o jakie tory chodzi... Na pewno solidaryzowałam się z postawą doktora Judyma który dla dobra ludzi poświęcił życie osobiste. A nawet zdolna byłam kroczyć pod czerwonym sztandarem z Cezarym Baryką. Ale te wszystkie szlachetne uczucia nie wychodziły daleko poza karty książek Żeromskiego i Orzeszkowej. Prowadziliśmy bardzo piękną, akademicką dyskusję na temat Meira Ezofowicza i Żydów w ogóle. Ale nie bardzo dokładnie wiedzieliśmy o niebezpieczeństwie rasiz-

mu, które z całą siłą dojrzywało za naszą zachodnią granicą i które mackami omotywało pewne odłamy polskiego społeczeństwa.

Kiedys wstrząsnęła szkołą niecodzienna wiadomość: usunięto uczennicę za to, że miała kontakt z organizacją komunistyczną. II wtedy, w 1937 roku, po raz pierwszy chyba usłyszałam słowo „komunizm”. Nie potrafiłam zrozumieć tej decyzji. Z okien mego mieszkania przy ulicy Marszałkowskiej widziałam demonstracje 11-majowe, tłumy ludzi, którzy domagali się chleba i pracy. O tym, że w kraju, w Warszawie, a nawet w naszej szkole istnieli ludzie, którzy znali i głód i nędzę, doskonale wiedziałam. Mój ojciec był przez rok bezrobotny. Te pierwszomajowe żądania wydawały mi się zatem w pełni słuszne. Do tego stopnia, że gotowa byłam wmieszać się w te tłumy i iść razem z nimi słonecznymi, wiosennymi ulicami Warszawy.

Myślę, że te zupełnie zresztą „platoniczne” uczucia podzielało wiele moich koleżanek. Jedną z nich była Hela Balicka, która, walcząc w szeregach AL w powstaniu warszawskim, straciła rękę. Do wyższej klasy chodziła Hebda Semil, późniejsza żona Jerzego Albrechta, która spędziła najlepsze lata swego życia w więzieniu w epoce stalinowskiej. Przyjaźniłam się z Tuską Rundo, która w obozie koncentracyjnym stała się nie tylko bohaterką „listów do Marii” niezwykle zdolnego poety Tadeusza Borowskiego, ale również wierną towarzyszką jego tragicznie krótkiego życia.

Osobowość i przekonania polityczne tych koleżanek ujawniły się jednak w pełni dopiero po ukończeniu gimnazjum. Tuśka Rundo odmówiła w liceum pójścia do spowiedzi. Nasza dyrektorka, Helena Bartoszewicz, była jednak osobą tolerancyjną w pewnych określonych granicach i ten bunt młodości — jak go określiła — przeszedł do historii gimnazjum bez specjalnych reperkusji.

Organizowałyśmy z Tuską i grupą koleżanek szereg dyskusji, które odbywały się w prywatnych mieszkaniach. Nasza wymiana poglądów ograniczała się jednak do akademickich spraw ogólnoludzkich, do tematów, wyjętych ze światowej literatury i do problematyki społecznej Żeromskiego. Dziś jeszcze potrafię przywołać nastrój tych spotkań, po których, z twarzą płonąca od wypieków, wychodziłyśmy na ulice, aby, wmieszane w tłum ludzki, raz jeszcze przeżywać nasze idee.

W ostatnich latach liceum nie można już było uciec przed wydarzeniami światowymi. Wiosną 1939 roku, w domu profesora Turyna, spotkałam uciekinierkę z Niemiec. Spotkanie to bardzo mną wstrząsnęło. Ujrzałam prawdziwą patriotkę, określającą siebie samą jako Niemkę wyznania mojżeszowego. Do ostatniej chwili nie wierzyła, że zostanie wygnana z kraju, który nad



wszystko ukochała. Uczuć swych do Niemiec nie zmieniła zresztą, mimo straty domu i majątku, mimo Hitlera.

To spotkanie, przywołujące wizję wielkiego świata i wielkiej polityki, musiało niepokoić. Oczywiście, jak większość ludzi, nie wierzyłam, nie chciałam wierzyć w możliwość wybuchu wojny. Ale niemniej trzeba było zastanowić się nad przyszłością. Za miesiąc miałam zdać maturę. Chciałam koniecznie studiować medycynę. Wiedziałam, jak trudno jest dostać się na Uniwersytet Warszawski. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli nawet uda mi się pokonać tę przeszkodę, to potem będę musiała zetknąć się z rzeczywistością, która mogłaby zachwiać mymi ideałami, tym wszystkim, co stanowiło treść mego życia. Ale ciągle rozgrywało się to na płaszczyźnie czysto teoretycznej. Nadal jeszcze nie mogłam dopuścić do siebie myśli, że z widza, z czujnego obserwatora, mogę stać się uczestnikiem uniwersyteckiego życia z jego złożonymi problemami, a tym samym — pośrednio — uczestnikiem toczącej się na świecie walki.

Zaczęłam wtedy bywać często w domu profesora Juliusza Saloni. Wybitny polonista, człowiek o dużym wdzięku osobistym, graniczącym może nawet z lekkomyślnością, Julo, jak go nazywała młodzież, miał zdecydowanie postępowe poglądy i przekazał je swym dzieciom: Dobrochnie i Bożydarowi. Dlatego też atmosfera ich domu dała mi lepsze przygotowanie do nadchodzących lat, niż cały okres szkoły. W jasnym domu na Saskiej Kępie — zbierała się niemal codziennie grupa studentów — przyjaciół Bożydara. Był wśród nich wyróżniający się urodą i niepospolicym wdziękiem Leszek Raabe, był zdolny dziennikarz z „Gazety Polskiej” — Olek Czyżewski, oraz działacz socjalistyczny, rozstrzelany później przez Niemców — Zdzych Siudyła. Nie wszyscy uczestnicy tych zebrań stali się bohaterami. Ale żaden z nich nie mógł i nie chciał się pogodzić z przejawami polskiego faszyzmu na wyższych uczelniach. I choć, słuchając ich opowiadań o bójkach, organizowanych przez Oenerowców, ogarniało mnie czasem przerażenie, jak sobie dam radę, gdy stanę w obliczu prawdziwego życia, — to przecież samo przeświadczenie, iż tacy ludzie — jak ta młodzież — istnieją, dodawało otuchy. I dlatego ciągle zachowywałam optymizm i mocną wiarę w dobrą przyszłość.

Nadszedł moment matury, końcowe egzaminy, rozdanie świadectw dojrzałości. Byłam na pewno wzruszona, tak, jak każdy, kto kończy jakiś etap życia. Do tego stopnia, że wygłosiłam krótkie, ale podobno bardzo dobre przemówienie. Ciekawe, że jego treść zupełnie wyleciała mi z głowy. Wywołało ono podwójną

reakcję. Z jednej strony zapamiętam do końca życia uwagę jednej z matek, która, ocierając oczy, powiedziała:

— Sliczne przemówienie, takie jakieś inne, ale szkoda, że wygłosiła je Żydówka.

Spoliczkowano mnie wtedy publicznie po raz pierwszy w życiu. Ale zarazem, także po raz pierwszy, odczułam solidarność z tymi ludźmi, z którymi w zasadzie nic mnie nie łączyło. Rodzice moi byli zasymilowani. Nie miałam nic wspólnego ani z tradycjami religijnymi, ani też z narodowymi aspektami problemu żydowskiego. Ale właśnie w dniu matury, pod wpływem tych nieprzemyślanych, ale płynących z głębi serca słów, zrozumiałam, że będę musiała, że powinnam podzielić los tych ludzi, niesłusznie znieważanych. Od tego dnia podkreślam zawsze moje pochodzenie, choć nie zawsze moi rozmówcy zdawali sobie i zdają z tego sprawę i choć dla mnie samej wewnątrz — nie ma to żadnego znaczenia.

Z drugiej strony moje przemówienie maturalne wzbudziło zainteresowanie obecnego na uroczystości ówczesnego ministra Spraw Wewnętrznych, Kościałkowskiego, którego córka chodziła ze mną do jednej klasy. Gratulując mi spontaniczności i łatwości wyrażania uczuć, spytał, co mógłby dla mnie uczynić. Odpowiedziałam, że moim marzeniem jest studiowanie medycyny. „To bardzo proste — stwierdził minister — proszę się uważać za studentkę wydziału medycznego Uniwersytetu Warszawskiego”.

To oczywiście było za piękne, aby mogło być prawdziwe. Rozwiązanie w stylu amerykańskiego pucybuta, który zostaje nagle milionerem. Miałam 16 lat i — mimo braku dojrzałości wewnętrznej — jej świadectwo z doskonałymi stopniami w kieszeni. Wierzyłam, że „gorące serca zwalczą mróz”, którego klimat stwarzali źli ludzie. I co gorsze, wierzyłam, że marszałek Śmigły-Rydz jest naszym wielkim wodzem oraz, że jesteśmy „silni, zvarci i gotowi” do obrony tego kraju, tego miasta, które tak bardzo kochałam. Widziałam niebo bez chmur, czyste, rozgrzane do białości promieniami słońca, niebo tego pamiętnego lata 1939 roku. Z tym większym zdumieniem ujrzałam na tym niebie 1 września cienie samolotów ze swastyką. Pierwsze bomby, które spadły na Warszawę, zburzyły nie tylko mój dom, ale cały świat mej młodości. W niekończących się pożarach, które rozprzestrzenił podmuch gorącego, suchego wiatru, spaliła się niemal do cna naiwna wiara w życie i ideologiczny dorobek szkoły. W tego rodzaju doznaniach nie może pocieszyć fakt, że się nie jest jedynym, że wielu czuło tak jak ja. Nie może zmienić tych uczuć świadomość, iż nasze osobiste losy są mniej ważne od narodowej tragedii.

Na gruzach, ze spopielającym z bólu sercem trzeba było żyć. Mimo jakiejś pustki wewnętrznej.

A ta piekielna jesień ciągle była tak nieprawdopodobnie piękna, sucha, gorąca, niemal tak, jak jesień Indii. I dlatego, żyjąc dziś w trudnym klimacie tego kraju, często wracają do mnie polskie wspomnienia. Kiedy patrzę na błękitne niebo, bez chmurki, kiedy słońce męczy już psychicznie, kiedy marzy się o jakimś cieniu na niebie i nie wie się, gdzie się skryć przed lejącym się żarem — ogarnia mnie nie tylko zmęczenie i bezsiła, ale także bezgraniczny smutek. Przypomina mi to nasz polski wrzesień i pierwszą klęskę narodową i osobistą, jaką poniosłam. A przecież nie ostatnią i chyba nawet nie najbardziej bolesną.

Rozdział II

Bogata literatura polska na tematy okupacji jest, w pewnym sensie, niepełna. Nie może zresztą być inaczej, bo w żadnym dziele, ani w żadnej rozprawie, nie sposób jest poruszyć całego kompleksu naszych złożonych zagadnień tego okresu. Trzeba przecież pisać o zbrodniach hitlerowskich, popełnionych w kraju, gdzie znajdował się Oświęcim, Treblinka i Majdanek. Na ten temat pisało się zresztą najwięcej. I choć dziś, po 20 latach, w przystępie samoobrony moralnej, ludzie mają dość wojennej literatury i wojennych filmów, to jednak trzeba o tym przypominać. Nie dlatego, by kultywować w sercach nienawiść do nowego pokolenia Niemców, ale właśnie ku przestrodze tej młodzieży, dla której nasze cierpienia i doświadczenia ostatniej wojny są już tylko martwą historią. Trzeba, by była ona na tyle żywa, by móc uchronić świat przed najmniejszymi próbami jej powtórzenia.

Wydaje mi się, że po to, aby świat zrozumiał problemy dzisiejszej Polski, trzeba włączyć się nieco w cierpienia jej dawnej historii i jej okupacyjne kompleksy. Nikt nie jest w stanie ich odczuć, bo w takim wypadku musiałby je przeżyć. Ale samo zrozumienie pomoże w odkryciu prawdy.

A z tym wcale nie jest łatwo. W roku 1965 przygotowywałam w amerykańskim liceum American International School w New Delhi „Pamiętniki Anny Frank”. Najstarszy aktor miał lat 17. Nie sposób było wytłumaczyć tej zdolnej zresztą i ciekawej życia młodzieży, istotnej treści sztuki.

„Niemcy — pytali — Niemcy są naszym sojusznikiem. W ich kraju można znaleźć „małą Amerykę”. Biedny naród — zniszczono im Berlin pod koniec wojny”.

To wszystko, co wiedzieli moi uczniowie. Dwóch tylko miało mętne pojęcie, że poza Berlinem istniały inne miasta europejskie, zrównane z ziemią przez tych „biednych” Niemców i że jednym z nich jest Warszawa. Oczywiście młodzi Amerykanie wiedzą, że na frontach Europy i Azji toczyła się druga wojna światowa, bo ich ojczyzna w niej uczestniczyła. Ale dużo trudu kosztowało mnie, by im wytłumaczyć, że żołnierzami tej wojny stała się także ludność cywilna krajów okupowanych przez hitlerowców, że Anna Frank i jej rodzice byli jednymi z milionów ludzi zaszczu-tych i w każdej chwili wydawanych na śmierć. Tłumaczyłam, że wszyscy Polacy stali się, mimo woli, żołnierzami, że byli na pierwszej linii frontu i że nie ma polskiej rodziny, której nie dotknęłaby okupacyjna tragedia.

Młodzi obywatele potęgi światowej, którzy jutro ujmą ster władzy Stanów Zjednoczonych w swoje ręce, wiedzą o dzisiejszej Polsce tyle, że jest to kraj komunistyczny, pod wpływami Związku Sowieckiego. Tego rodzaju definicja nie może oczywiście wzbudzić ich sympatii. Ale, gdyby zagłębili się nieco w historię, gdyby znali choćby naszą okupacyjną przeszłość zrozumieliby może lepiej, dlaczego decyzje jałtańskie, powzięte między innymi przez amerykańskich polityków, wydały Polskę i pół Europy pod te sowieckie wpływy i dlaczego tą, a nie inną drogą, kroczy dziś nasz kraj.

Trzeba więc głębiej analizować i popularyzować politykę okupacyjnego okresu. Są to na pewno problemy dyskusyjne.

W Polsce, która od wieków rozdarta była między trzech zaborców, ścierają się i ścierać będą jeszcze przez dłuższy czas dwa uczucia: antyrosyjskie i antyniemieckie. Ci, których pradziadowie i dziadowie zginęli w tajgach syberyjskich i których ojcowie nigdy nie wrócili z Katynia, muszą zachować w sercach wrogość do naszego wschodniego sąsiada. Potomkowie Grzymały, ci, którzy byli ofiarami prześladowań i świadkami egzekucji hitlerowskich na ulicach naszych miast ci, którzy widzieli dymiące kominy krematoriów w obozach koncentracyjnych — muszą nienawidzić Niemców. Nie sposób wymazać z polskich serc tych dwóch uczuć. Trudno dyskutować, które z nich przeważa, bo jest to sprawa indywidualna, sprawa odczuć i osobistych przeżyć oraz doświadczeń jednostek. Osobiście skłaniam się do poglądu, że po ostatniej wojnie przeważają w Polsce uczucia antyniemieckie. W każdym razie wśród ludzi mego pokolenia. Ten sąd podziela zresztą znakomita większość obiektywnych obserwatorów zagranicznych, którzy byli w naszym kraju.

Nie można jednak kierować się uczuciami w polityce. Cała

trudność rozwiązania tego problemu wypływa z faktu że nie można przenieść Polski z centrum Europy na inną planetę, i że ma ona nadal tych samych dwóch sąsiadów, z którymi musi ułożyć swoje współzycie. Jak najrozsądniej i jak najkorzystniej dla swego rozwoju i swej międzynarodowej pozycji.

Czy znaczy to, że trzeba milczeć o przeszłości? Wydaje mi się, że wręcz przeciwnie. Trzeba wreszcie ujawnić prawdę o Katyniu, która jest zresztą „tajemnicą poliszynela” — i zarazem należy przypominać o Oświęcimiu. Trzeba pisać o bohaterstwie młodzieży, która broniła własnej i narodowej wolności w szeregach Armii Krajowej, ale i o tych, którzy stracili życie walcząc w Armii Ludowej, bo ta młodzież chciała po prostu walczyć z okupantem i często przypadek sprawiał, że stawała po stronie barykady, kierowanej przez wrogich sobie ideologicznie polityków. Świat powinien wiedzieć zarówno o bohaterstwie żołnierzy na Zachodzie, o tych, którzy zginęli pod Monte Cassino i na wszystkich frontach świata, jak i o tych, którzy nie mieli innej drogi powrotu do ojczyzny poza szeregami polskiej armii, utworzonej w Związku Sowieckim. Powinno się znać prawdę o rozgrywkach oraz przetargach politycznych, które toczyły się w przeróżnych gabinetach, podczas gdy ludność Warszawy dała światu przykład największego heroizmu w swym powstaniu. W ciągu 63 dni zginęło wtedy 300 tysięcy ludzi i stracony został cały dorobek Polski podziemnej, Polski walczącej.

Tylko ta pełna prawda pozwoli na większą dojrzałość naszego społeczeństwa i umożliwi mu wyrobienie sobie własnego sądu, który niekoniecznie musi obrócić się przeciw dzisiejszej polityce polskich przywódców. Tylko ta prawda pozwoli wielu cudzoziemcom zrozumieć ten kraj, pełen niepokonanych, wydawałoby się, sprzeczności, jakim w ich oczach jest powojenna Polska. Jeden z najbardziej katolickich krajów w Europie, gdzie socjalistyczna policja utrzymuje porządek podczas procesji majowych, gdzie wierzący i często praktykujący katolicy są członkami partii komunistycznej... Kraj, który mimo swych uczuć antyrosyjskich jest lojalnym sojusznikiem Związku Sowieckiego we wszystkich posunięciach jego zagranicznej polityki. Kraj, którego przywódcy uczuleni są na niebezpieczeństwa „rewizjonizmu” niemieckiego.

I wreszcie trzeci, ale nie najmniej ważny aspekt okupacyjnej literatury — to są przeżycia jednostek. Nieszczęścia ludzi, które stworzyły tragedię narodu. Ta całość da dopiero pełny obraz lat 1939-1945.

Mogę dać tylko ilustrację, drobną, jedną z milionów tych właśnie osobistych przeżyć. Miałam lat 16, gdy bomba niemieck-

ka zburzyła mój dom i świat mojej młodości. Dziś, z perspektywy lat, widzę, że nigdy już potem nie odzyskałam tych dwóch cennych rzeczy. I chyba nie ja jedna tylko. I nie to było najgorsze, bo można żyć bez stałego domu, o czym wiem dziś z własnego doświadczenia i można znaleźć osobiste szczęście w dojrzałym wieku.

Najgorsze było to, że poznałam bestialstwo, do którego zdolni są ludzie oraz okrucieństwo i podłość ludzkiej natury. I to była ta szkoła życia, przez którą — cudem, lub przez czysty przypadek udało mi się przejść. Gorzka szkoła życia, która wpłynęła na tysiące ludzi mego pokolenia i która ukształtowała ich psychikę.

Po pięknej jesieni 1939 roku, nadeszła wyjątkowo ciężka zima. Wielkie mrozy ścisnęły stolicę w kleszczach. Brak było mieszkań i opału, każdy odczuwał trudności aprowizacyjne. Ludzie ciągle mieli nadzieję, że trzeba tylko przetrwać do wiosny, że wyzwolą nas wtedy armie sojusznicze Zachodu. Co trzeźwiejsi zdawali sobie sprawę, że są to złudzenia. Były one jednak niezbędne, żeby przetrzymać trudne warunki fizyczne i pierwsze upokorzenia.

Nie umiem sobie dziś uświadomić, co mną bardziej wstrząsnęło: defilada wojsk hitlerowskich w Alejach Ujazdowskich, zainstalowanie Gestapo przy ulicy Szucha, czy rozporządzenie, któremu nigdy się zresztą nie podporządkowałam, o noszeniu opasek z gwiazdą Dawida. Wszystko, co robili i czego żądali hitlerowcy, wymierzone było przeciw mej godności. Ale jeszcze wtedy, na początku, gotowa byłam bronić jej za wszelką cenę. Jedyнным możliwym sposobem obrony był bierny opór, ignorowanie niemieckich rozkazów.

Potem nadeszło rozporządzenie o utworzeniu getta. I na to już nie był o rady. Jedyнным oporem były łzy, bezsenne, przepłakane noce. Poszliśmy tam wszyscy w jesienny, ponury wieczór listopadowy. Warszawa, moja Warszawa, stała się obczyzną, za którą mogłam tylko tęsknić, o której mogłam marzyć za murami, otoczonymi drutem kolczastym. Niejednokrotnie w moim życiu tęskniłam i dziś, w Indiach, także bardzo tęsknię za Warszawą. Ale nigdy tak mocno, tak boleśnie, jak wtedy, gdy żyłam w tym samym mieście, oddzielona od niego karą śmierci.

Mieszkaliśmy początkowo przy ulicy Elektorальной 11. W sześciopokojowym mieszkaniu — sześć rodzin z małymi dziećmi i z ciężkim bagażem ich codziennych problemów. Wygnańcy, którzy przywędrowali za te mury z Łodzi i z innych miast, uznanych przez Hitlera za rdzennie niemieckie. Getto pozbawiło ich życia prywatnego. Stanowiliśmy, każdy z nas, cząstkę społeczności, ska-

zanej na zagładę. I może ta świadomość budziła bezsensowny w tych warunkach, instykt życia.

Ludzie kłócili się o drobnostki, całowali, kochali, okradali — na oczach wszystkich, chcąc w widzach mieć współników własnych ułomności. Z biegiem czasu oziępliśmy i na te małe i na większe ludzkie tragedie. Pierwszy okres getta łączy się w mej pamięci z widokiem żebraków — żywych trupów. Śpiewali oni na melodie przedwojennych szlagierów jakieś makabryczne piosenki, których treścią była prośba o kawałek chleba, bo są głodni... Potem przestawali śpiewać i już tylko trupy zaścieniały ulice. Bo z początku ludzie dzielili się chlebem, ale gdy było go coraz mniej, myśleli pewnie: to wszystko nie ma sensu, tym biedakom i tak nic już pomóc nie może, a odbieram ten kęs memu własnemu dziecku... Więc już tylko wszy chodziły koło trupów, których liczba powiększała się z dnia na dzień i ci, wobec których miało się początkowo odruch litości, zaczęły budzić obawę. Przed tyfusem i innymi zakaźnymi chorobami.

Wśród społeczności, skazanej na śmierć, budzą się albo najniższe, albo najszlachetniejsze instynkty. Iluż to przedwojennych adwokatów, powszechnie szanowanych, stało się członkami żydowskiej milicji i gotowych było do największych podłości z szantażem włącznie... Ilu z nich biło do krwi dzieciaki, które usiłowały przedostać się poza mury, by zdobyć po drugiej stronie trochę żywności dla głodującej rodziny... Dobrzy, mieszczańscy mężowie porzucali żony, z którymi spędzili dziesiątki lat, by przeżyć jeszcze jedno, najtańsze choćby, doznanie miłosne, by przed śmiercią użyć życia... Zdarzały się wypadki, że w rodzinach okradano się wzajemnie z mizernych porcji gliniastego chleba.

Ale były też jednostki, które bez reszty poświęcały się dla innych. Zetknęłam się z rozmaitymi rodzajami bohaterstwa, ale wszystkie błędą przy tym, na jakie zdobył się doktor Janusz Korczak. Wielki pedagog, poświęcił swe życie ulepszeniu natury i charakteru dziecka. Przed wojną kierował sierocińcami, do których przyjmował dzieci trudne, by wykazać, że można uczynić z nich, jeśli nie pełnowartościowych, to w każdym razie normalnych ludzi. Doktor Korczak zebrał i w getcie sieroty, te biedne, nienormalne dzieciaki, którym śmierć rodziców odebrała często zmysły. Opiekował się nimi, jak najczulszy ojciec. Zwiedziłam jego dom. Nie potrafiłam wtedy ukryć łez, dobrych i oczyszczających łez, gdy zobaczyłam, że udało mu się, wśród morza nędzy, stworzyć im dzieciństwo... Przyszedł rozkaz o eksterminacji getta. Przyjaciele doktora Korczaka, a miał ich wielu po

„aryjskiej” stronie i na całym świecie, robili wszystko, by go uratować. Dla dobra dzieci, które tak kochał. Doktor Korczak odmówił. Pamiętam ten niecodzienny pochód ulicami getta. Szedł na czele starszy człowiek o dobrym uśmiechu. Prowadził za rękę dwóch chłopczyków. Reszta dzieci szła ufnie za tym, który miał wielkie serce. Do ostatniej chwili nie wiedzieli, że doktor Korczak prowadzi je na śmierć. On jeden o tym wiedział, ale szedł z uśmiechem z podniesioną głową, nie chcąc odebrać wiary w dobro, wiary w człowieka, tym młodym istotom.

Była w tym pochodzie doktor Tola Mincowa. Szła za swym duchowym przewodnikiem, a musiała przecież więcej cierpieć, bo prowadziła za rączkę swego własnego synka. Mogła go uratować, ale nie chciała, by jej dziecko korzystało z losu uprzywilejowanej matki. Te słowa napisała na kartce, którą wyrzuciła przez okno pędzącego do Treblinki pociągu. Chciała się usprawiedliwić przed mężem, który był internowany na Węgrzech w obozie. Cudem jakimś kartka dotarła po latach do rąk doktora Minca. W pierwszym przystępie żalu i bólu, nie chciał żonie wybaczyć tej pełnej rezygnacji decyzji. „Trzeba było walczyć, trzeba było walczyć” — powtarzał. Milczałam. Czyż mogłam mu wytłumaczyć, że nie można sądzić ludzkich postępków i ludzkiego działania w getcie normami normalnej etyki i normalnego życia? W moim pojęciu i doktor Korczak i doktor Tola Mincowa są bohaterami, choć takie bohaterstwo rozdziera serce.

Byli inni ludzie, którzy wierzyli, że ich działalność pomoże przetrwać najmniejszej choćby garstce. Należał do nich prezes gminy żydowskiej w getcie, doktor Czerniakow. Mieszkałam z nim w jednym domu i obserwowałam z bliska narastającą tragedię tego człowieka. Początkowo wierzył naprawdę, że uratuje swych współwyznawców. Podpisywał najbardziej drakońskie rozporządzenia władz hitlerowskich, co gorsze, musiał z racji swego urzędu, pilnować ich wykonania. Wiem, że przeżywał wtedy wielki konflikt wewnętrzny. Ale, gdy przyszło rozporządzenie o eksterminacji getta, które on, jako prezes, musiał także firmować swym nazwiskiem, żeby uspić czujność kandydatów do krematoriów, doktor Czerniakow poprosił o chwilę namysłu i przeszedł do drugiego pokoju. Po pewnym czasie Niemcy zaniepokoiili się jego długą nieobecnością. Znaleźli trupa. Doktor Czerniakow nie był zdolny do podpisania wyroku śmierci na mieszkańców getta. Zażył cyjankali. I zostawił list do syna, lekarza, którego losy wojny rzuciły na teren Związku Sowieckiego, żeby nie miał żalu do ojca, który starał się przez ten cały czas, postępować zgodnie ze swym sumieniem...

Doktor Milejkowski starał się stwarzać mieszkańcom getta możliwe warunki sanitarne, wykorzystując niemiecki strach przed zakaźnymi chorobami. Był dyrektorem szpitala, potrafił apelować do ludzkiej ofiarności, by ratować chorych przed śmiercią. Podczas specjalnie ostrej epidemii tyfusu stworzył ośrodek krwiodawczy. Był organizatorem kursów medycznych, na których młodzież mogła kontynuować studia i — co było ważne moralnie — uciec przed rzeczywistością. Uczęszczałam na ten prawdziwy, o wysokim poziomie naukowym wydział medyczny, który, dla zmylenia Niemców nosił etykietę „kursów do walki z epidemiami”. Znajdowały się one w starym, walącym się ze starości budynku na Lesznie, poza wachą niemiecką. Często żołnierze bili do krwi chłopców, którzy na te kursy uczęszczali i których nosy wydały im się zbyt semickie. Następnego dnia ci sami chłopcy przychodzili na wykłady z obandażowanymi głowami.

Naszymi wykładowcami byli między innymi uczeni o światowej sławie, jak profesor Hirszfeld. Twórca nauki o grupach krwi nie od razu przyszedł do getta. Dość długo ukrywał się u polskich przyjaciół. Kiedy jednak zorientował się, że jego obecność zagraża życiu tych ludzi, zdecydował się żyć poza murami. Był wierzącym katolikiem i mieszkał na plebanii kościoła przy ulicy Grzybowskiej. Na jego oczach gasła córka, nieuleczalnie chora, którą mogłyby tylko uratować specjalne warunki i specjalna opieka. Profesor Hirszfeld nie wiele miał wspólnego z Żydami. A mimo to, ten człowiek o pięknej siwej głowie, prowadził dla nas wykłady, zapalając w studentach chęć do nauki.

Docent Zweibaum, który był dyrektorem kursów, starał się zapamiętać, w jak nienormalnych warunkach pracuje i utrzymać wśród studentów uniwersytecką dyscyplinę. Wykładał histologię, przy której ożywiał się, jak młody student. Kochał tę swoją dziedzinę wiedzy i kochał młodzież. Gdyby studenci tych kursów przeżyli, niektórzy z nich byłiby dziś wybitnymi lekarzami. Najzdolniejsi zginęli w powstaniu w getcie. Poznaliśmy wtedy gorzki, ale jedyny chyba, smak wiedzy dla wiedzy, sztuki dla sztuki, choć łączyła się z tym świadomość, że pewnie nigdy nie będziemy mogli zrobić użytku z naszych studiów...

Ćwiczenia praktyczne z anatomii odbywały się w szpitalu przy ulicy Stawki. Przychodzili tam studenci z analogicznych kursów po drugiej stronie murów, prowadzonych przez profesora Lothe. Mieli okazję uczestniczyć przy zupełnie niecodziennych sekcjach. Na trupach nie było odrobiny tkanki tłuszczowej, wyłącznie skóra i mięśnie...

I wtedy właśnie nadeszła pierwsza miłość. Właśnie w tych

makabrycznych warunkach, w obliczu śmierci. Zjawiła się w postaci młodego lekarza, który przychodził na nasze sekcje z „aryjskiej strony” i prowadził ćwiczenia z anatomii. Połączył nas *nervus vagus*, nerw błędny... Zdawałam właśnie egzamin i nie mogłam się uporać ze spreparowaniem tego długiego nerwu. Przebiegałam go w którymś miejscu i stałam zrozpaczona, bo wiedziałam, że profesor za chwilę nadejdzie. Andrzej zbliżył się z igłą i nitką i zreżnie go zeszył.

Nie łatwe było nasze uczucie i nasza walka o wspólne szczęście. Dzieliły nas mury, podłoga ludzka i lufy karabinów. Spotykaliśmy się w szpitalu, świadkami naszego pierwszego pocałunku były trupy... I trzeba było dużo odwagi, albo może lekkoomyślności, by w tych warunkach zdecydować się na małżeństwo. Zostało ono zawarte w obliczu rabina i księdza w getcie i wątpliwe nawet czy było prawomocne. Ale ponieważ wszystko nas dzieliło, chcieliśmy być oficjalnie związani. Nie mogłam uciec z Andrzejem i porzucić starych rodziców. Zresztą mój mąż walczył w konspiracji i nie miał stałego mieszkania. Ale sama świadomość istnienia Andrzeja, pomogła mi nie tylko przetrwać trudne chwile, ale również zdecydować się na ucieczkę, gdy nie było już innego wyjścia. Pierwsza miłość obudziła we mnie bardzo już przytłumiony, instykt życia.

Zastanawiałam się często, do czego można by porównać getto, ale rzeczywistość przekreślała wszelką możliwość przenośni i metafory. Wspomnienia czasów getta odżyły jednak z nową siłą w Indiach, a zwłaszcza podczas mego pobytu w Kalkucie — światowej stolicy głodu i okropności. Kiedy zetknęłam się z nędzą azjatycką, jedyną w swym rodzaju, niepojętą dla Europejczyka, choćby pochodził z tak biednego kraju, jak Polska, — zrozumiałam, że Hitlerowi udało się sprowadzić mieszkańców getta do tego właśnie poziomu — ludzi *w trakcie* umierania.

W Kalkucie i w Bombaju ulice zaślone są również żywymi trupami, odzianymi w łachmany.

Wielu mieszkańców Kalkuty, czy Bombaju także nie podnosi się rano z bruków ulicznych. Miliony ludzi żyje na ulicy, myje się w wodzie z rynsztoków, je i płodzi dzieci w kurzu ulicznym... Jest w Kalkucie koło świątyni krwiożerczej bogini Kali, na cześć której zabija się w ofierze zwierzęta, dom, który nosi tę właśnie symboliczną nazwę „Dying Destitutes” — ludzi w trakcie umierania. Tam widziałam nasze okazy anatomiczne ze szpitala w getcie. A kiedy spytaliśmy hinduskiej siostry, jak jej idzie praca, odpowiedziała, wybuchając głośnym śmiechem, tak, że myśleliśmy, iż postradała zmysły:

— Większość z tych ludzi umiera, bo musi umrzeć i to dla nich lepiej. Bo jak ich raz uratujemy i wychodzą, to i tak tu za parę dni wracają i wtedy nic ich nie może od śmierci uratować...

Jest w tych słowach na pewno jakaś logika głodu i nędzy tego bardzo przeludnionego kraju, w którym życie ludzkie nie ma żadnej wartości... I pewnie w jakiejś mierze można by tę logikę zastosować do warszawskiego getta. Z jedną tylko różnicą. Nędzarze hinduscy są w przeważającej mierze nieświadomi swej sytuacji. Nie wiedzą po prostu, że można nie tylko żyć lepiej, ale w ogóle inaczej. Przesady kastowe i religijne utrzymują ich w przekonaniu, że jeśli cierpią w życiu doczesnym, to po reinkarnacji zostanie im to w przyszłym życiu sownie wynagrodzone. To przeświadczenie utrzymuje ich w stanie całkowitej, niepojętej dla nas i irytującej bierności. Głęboko zakorzenione przesady społeczne i religijne wymazują poczucie krzywdy, a nawet pozwalają na uśmiech i swoistą, powiedziałabym zwierzęco-instynktowną, radość istnienia.

Więc i to porównanie z biedakami najniższych kast Indii jest tylko częściowo słuszne. Bo Żydzi z getta warszawskiego mieli pełną świadomość swej nędzy i swego poniżenia. Trudno mi powiedzieć, ilu spośród tych cieniów ludzkich zachowało wiarę w możliwość przetrwania i w powrót do innego, normalnego życia... Świat zarzucał im bierność. Mogło tak się wydawać mieszkańcom Nowego Yorku, czy Londynu... Ale ci ludzie nie mieli już po prostu sił fizycznych, ani moralnych do walki, której wynik był z góry przesądzony. I w tej sytuacji tym większego znaczenia nabiera powstanie w getcie, akt — rozpaczliwego i pełnego najwyższej godności ludzkiej — oporu, który zmanifestował się w obliczu nieuniknionej już śmierci, która zajrzała w oczy, każdemu kto pozostał, gdy, tak czy inaczej, nie można było przetrwać, więc lepiej zginąć z karabinem w rękę, niż na kłęczkach, niż leżąc w brudnych rynsztokach i konając powoli.

Ale zanim nastąpił ten akt ostatecznego buntu, ludzie ratowali się indywidualnie, różnymi drogami, na jakie tylko mogli sobie pozwolić. Przeważająca część mieszkańców warszawskiego getta została wysłana bezpośrednio do krematoriów Trebłinki i innych obozów zagłady. Wysyłka odbywała się z tak zwanego Umszlag Platzu. Szły tam całe rodziny z resztkami nędznego dobytku, nie wierząc do ostatniej chwili, nawet w zaplombowanych, przeznaczonych dla bydła wagonach, że są wysyłane na śmierć... Istotnie, na początku trudno było uwierzyć, że hitleryzm zdolny jest do zbrodni na tak gigantyczną skalę. Nie chcieli dopuścić

do siebie tej myśli i ci, którzy pozostali w okrojonym getcie i pracowali w szopach niemieckich. Od czasu do czasu kursowały wśród nas wiadomości, że otrzymano od wysłanych listy, że nieźle im się powodzi, że znaleźli pracę. Nikt oczywiście takich listów nie widział. Trudno mi powiedzieć, czy w szerzeniu tych oczywistych kłamstw zainteresowana była tylko niemiecka propaganda. Dużą rolę odgrywał na pewno instynkt życia, nielogiczny, pozbawiony wszelkich podstaw, ale przecież niezbędny do przetrwania tego piekła. Ten instynkt stał się motorem działania, wytrącał z bierności, a czasem przybierał formy bohaterstwa.

Rozdział III

Po śmierci doktora Czerniakowa getto warszawskie zmieniło charakter. Niemcy doszli do wniosku, że pierwsza część ich niszczycielskiego dzieła jest skończona, że zlikwidowali chwilowo wystarczająco dużo ludzi. W związku z tym rozszerzali swój *lebensraum* i odebrali wiele ulic. Burzono więc stare mury i budowano nowe. Wielu ludzi, którzy stracili dach nad głową, gnieździło się na ulicy tak długo, aż cała beznadziejność tej sytuacji nie kierowała ich dobrowolnie na Umslag Platz. Inni rozpoczynali węgetację w tak zwanych szopach niemieckich. Było to coś pośredniego między dużą fabryką, a obozem koncentracyjnym. Pracowałam w takiej szopie Toebensa. Przez 12 godzin dziennie znaczyłam kredą miejsca na spodniach mundurów niemieckich, gdzie należało potem przyszyć guziki. Praca męczyła fizycznie, ponieważ trzeba ją było wykonywać na stojąco. Spodnie były ciężkie i zakurzone, przy najmniejszym ruchu kurz wdzierał się do nosa i w płuca. Pilnowały nas podczas tej pracy poza strażnikami specjalnie tresowane psy. Czuło się cały czas na karku ich oddech. Rzucali się i kąsały niemiłosiernie ludzi, którzy, choćby na chwilę, przestawali pracować. W ten sposób straciłam dziecko mojej pierwszej miłości. Byłam w trzecim miesiącu ciąży. Niedożywiona, wymęczona fizycznie, przestałam na chwilę pracować. Rzucił się na mnie olbrzymi pies, z bólu i ze strachu, poroniłam.

Był to dla mnie decydujący moment. Powzięłam decyzję, że muszę się z tego piekła wydostać. Po drugiej stronie czekał na mnie Andrzej, z którym nie miałam obecnie żadnego kontaktu. Rodzice byli za starszy, by móc otrzymać jakąkolwiek pracę i nie miałam żadnych szans na utrzymanie ich przy życiu tylko dlatego, że ja pracuję.

Sytuacja wydawała się beznadziejna. Teren szopy otoczony był drutami kolczastymi i pilnowany przez „szaulisów”-żołnierzy, rekrutowanych na Litwie i odznaczających się specjalnym okrucieństwem. Wsłuchując się podczas bezsennych nocy w ich rozmowy i ujadanie psów, marzyłam o ucieczce.

Potem nastąpiła istna noc świętego Bartłomieja. O 12-ej usłyszeliśmy walenie w drzwi naszego baraku i rozkaz: zbiórka wszystkich na podwórku. Kazałam rodzicom ukryć się w ubikacji. Podwórze oświetlone było latarniami. Ich migoczący blask pozwolił rozróżnić sylwetki wygonionych ludzi w nocnej bieliznie. Kobiety tuliły do piersi dzieci. Słychać było płacz i wrzaski komendy. Kazano nam przejść przed grupą oficerów, którzy dokonali „selekcji”. Odpychali po prostu jednych ludzi na prawo, a drugich na lewo. Ci na prawo przeznaczeni byli na śmierć. Do dziś nie wiem, jakie było kryterium wyboru. W zasadzie, z wyroku Hitlera, mieli umrzeć ludzie starzy, po pięćdziesiątce. Ale jakże odróżnić wiek ludzi, wycieńczonych pracą i głodem w niepewnym świetle latarni? Ujrzałam w tej kolumnie „straconych” robotnice z mojej hali, które nie miały więcej, niż 30 lat... Pewną rolę odgrywały osobiste gusty tych, którzy dokonywali selekcji. Skazali oni na śmierć wszystkich rudych i piegowatych. Rozłączano matki od niemowląt. Gdy jedna z nich broniała się rozpaczliwie, oficer niemiecki chwycił maleństwo za nóżki i spokojnym, jakimś wymierzonym ruchem, roztrzaskał mu główkę o bruk...

Uświadomiliśmy sobie wtedy że śmierć w tych warunkach jest już tylko kwestią czasu, nie dni nawet, ale godzin. Powzięliśmy decyzję: wyjdziemy przez kanały kanalizacyjne. Podobno jest to możliwe, podobno są ludzie, którzy, za pieniądze, oczywiście, załatwią ten ludzki szmugiel. Mieliśmy jeszcze dwa pierścionki, więc może się uda?

Ojciec mój nawiązał z nimi kontakt i nadeszła decydująca noc. Była to jesień 1942 roku. Około północy nastąpił jeden z nalotów sojuszników na Warszawę. Robotników wypędzono z baraków, ludzie trатовali się, szaulisi potracili głowy. Korzystając z ogólnego zamieszania, udało nam się prześliznąć poza druty i odnaleźć wylot kanałów. Tam czekali na nas przewodnicy. Zeszliśmy do kanałów. Miałam uczucie, że znajduję się w grobie. Bardzo cuchnęło. Nogi ślizgały się w jakiejś mazi. Nie sposób było oddychać. Usłyszałam przeraźliwy pisk: nadepnęłam pewnie na szczura. Każdy krok naprzód, na czworakach, wydawał się wiecznością. Czułam na sobie cuchnący wódką oddech naszego przewodnika.

Jak długo trwała ta droga ku życiu, podczas której śmierć wy-

...dawała się jedynym wyjściem? Godzinę, czy kilka godzin? Nie sposób jest zachować jakąkolwiek rachubę czasu. Wreszcie wy-
ciągnięto nas z kanałów i półprzytomnych zaprowadzono do ja-
kiejś izby, gdzie kazano nam się umyć. Wtedy dopiero przyjrza-
łam się twarzom naszych przewodników. Nie chciałam spotkać
ich w ciemnej ulicy... Byliśmy dla nich po prostu towarem, który,
tak jak mięso, czy mąkę, szmuglowali do getta. Może trochę
cenniejszym towarem, bo przynosił im więcej zysku. Ale ryzyko-
wali przecież, bo narażali własne życie. Więc pewnie też, w
jakimś stopniu, byli bohaterami.

Około 10-tej rano wyrzucono nas po prostu na ulicę. Mru-
żąc oczy od blasku słońca, od jasności i spokoju, do którego
nie byliśmy przyzwyczajeni, jak więźniowie, których wypuszczo-
no z ciemnicy, zataczając się ze zmęczenia, poszliśmy przed siebie
ulicami Warszawy, odzyskawszy wolność po upływie 3 lat. Ale
co zrobić z tą wolnością, gdy nie ma się prawie grosza w kieszeni.
(Co dalej?)

Rozdział IV

Pierwsze kroki skierowałam oczywiście do przyjaciół mego męża, którym udało się nas skontaktować. Radość odnalezienia się zatruta była obawą rozstania. Andrzej walczył w szeregach AK, zmieniał codziennie mieszkanie, lękał się mnie narazić. Z drugiej strony mogłam stać się dla niego ciężarem i dlatego postanowiłam zorganizować sobie sama życie. Nie chciałam początkowo o tym słyszeć. Udało mi się go przekonać po dwóch dniach, spędzonych w mansardzie u przyjaciół na Starym Mieście. Przeżyłam wtedy najpiękniejsze, najbogatsze i zarazem najbardziej tragiczne dni. Następnego dnia po naszym rozstaniu Andrzej został aresztowany i wysłany do Oświęcimia...

Wiele trudu kosztowało mnie rozpoznanie „mojej” Warszawy. Bardzo okaleczała, istniała jeszcze, ale była taka zmieniona! Nad ulicami unosił się jakiś strach. Szłam sama, otępiała, zadając sobie pytanie, czy warto w ogóle walczyć o życie, które straciło dla mnie, po rozstaniu z mężem, jakikolwiek sens. Ale byłam potrzebna rodzicom. Musiałam coś wymyśleć.

Na razie jednak walczyłam z uczuciem głodu i odwracałam się nerwowo na odgłos każdych kroków. Na Krakowskim Przedmieściu zobaczyłam małą kawiarenkę o egzotycznej nazwie „Rio Rita”. Przywołało to uczucie jakiegoś ciepła i smak gorącej, aromatycznej kawy. Weszłam do środka. Nie zdążyłam usiąść przy stoliku, gdy usłyszałam stłumiony okrzyk:

— Lilka, Jezus Maria, jak się cieszę, tak często myślałam o Tobie.

Przypadek, zupełnie nieprawdopodobny przypadek. Kelnerką w Rio Ricie była moja szkolna koleżanka, Krysia Sokołowska. Piękna dziewczyna o twarzy Madonny. Pochodziła z rodziny zu-

bożałej szlachty. Kiedyś, ale przecież to było bardzo dawno, w czasach, które wydawały się nigdy nie istnieć, przychodziła do mnie do domu, jadała u nas, zwierzała mi się ze swojej wielkiej miłości do młodego lotnika, którego poznała na balu w Modlinie. Pamiętam, że pożyczalam jej na ich spotkania moje sukienki. A potem on wyjechał na wakacje, te ostatnie wakacje 1939 roku i już więcej nie pisał, a może zresztą tylko listy nie doszły. Krysia odczuła głęboko ten pierwszy wielki zawód. Nie wiele zmieniła ten stan uczuć wiadomość, którą mi od razu powtórzyła, że Włodek jest lotnikiem w Anglii.

— Lilka, jak to dobrze, tyle razy myślałam o Tobie. Poczekaj na mnie, zaraz pojedziemy do domu, jakże się Mama ucieszy... Tylko trzeba Ci znaleźć jakąś pracę.

Pojechaliśmy do jej domu, do Rembertowa. Krysia w międzyczasie wyszła za mąż za pełnego wdzięku człowieka, którego poznała we wrześniu 39, gdy pracowała jako pielęgniarka, a który podawał się za lekarza. W istocie nie miał żadnego dyplomu. Urodziła synka i rozeszła się z mężem, który w bliższym wspólnym życiu okazał się nieomal-że wykolejńcem. Pracowała więc obecnie na całą rodzinę, utrzymywała matkę, dziecko i młodszą siostrę. Krysia była urodzoną optymistką, nie znała uczucia niebezpieczeństwa.

Nigdy nie zapomnę, jak mnie przyjęto w jej domu. Zjadłam wtedy pierwszy ciepły obiad. I poczułam ciepło ludzkich serc.

Niesposób pisać o tych czasach, nie wyrażając wdzięczności, nie oddając najgłębszego hołdu tym wszystkim polskim przyjaciołom, którzy nam pomogli. Wiele się na ten temat dyskutowało, podkreślając duży antysemityzm polskiego społeczeństwa. Jest to niesprawiedliwe uproszczenie. Na pewno zdarzały się wypadki, że dla pieniędzy denuncjowano ukrywających się Żydów, elementy kryminalne znajdują się w każdym społeczeństwie. Ale ci, którym w 42 roku udało się uciec z getta, nie mogliby przetrwać wojny bez pomocy polskich przyjaciół. A pomoc ta przybierała czasem wzruszające formy.

Matka Krystyny, pani Helena Sokołowska jest wierzącą katoliczką. I ta właśnie głęboka wiara sprawia, że jest tak ludzka, że nie potrafiła nie pomóc bliźniemu swemu, choć wiedziała, że może narazić siebie, swoją rodzinę, a zwłaszcza ukochanego wnuka.

Wkrótce po moim przybyciu do ich domu, młodszą siostrą Krystyny, Hanka, została aresztowana podczas łapanek ulicznych i wysłana do Oświęcimia. Patrzałam na cierpienie pani Sokołowskiej, nie będąc w stanie jej pomóc. Ale nigdy go nie okazywała publicznie, nigdy nie straciła wiary i swej dobroci. Nigdy nie

odmówiła nikomu kawałka chleba i talerza gorącej zupy, co stanowiło wówczas wyłączne pożywienie całej rodziny. Dom pani Sokołowskiej był zawsze otwarty dla tych, którzy potrzebowali schronienia i pomocy. Był okres, gdy ukrywało się w nim 5 osób, członkowie AK i Żydzi. A pani Helena kontynuowała swoje codzienne obowiązki, chodziła po zakupy, usiłując zdobyć na kredyt nieco więcej żywności i dla swych „gości” i — co ważniejsze — na paczkę dla Hanki do Oświęcimia.

Nigdy się zresztą nie zmieniła, nawet po wojnie, gdy obróciło się dla niej szczęśliwie koło fortuny. Hanka przeżyła, wróciła z obozu, skończyła studia i jest dziś zdolnym i cenionym architektem. Krysia brała udział w powstaniu warszawskim, skąd wywieziono ją do obozu w Niemczech. Poznała tam młodego wojskowego amerykańskiego. Miłość, powrót do domu, paczki, pełne tęsknoty listy i wreszcie wyjazd z synkiem do Stanów Zjednoczonych. Wiem dobrze, że pani Helena cierpiała, że bardzo ciężko było jej rozstać się z wnukiem, którego wychowywała jak syna. Nigdy jednak nie dyskutowała decyzji Krysi, uważając, że nie ma prawa sprzeciwić się jej szczęściu.

Pani Helena odwiedziła Krysię po latach, gdy mąż jej, pułkownik John Post, był na placówce w Heidelbergu. Nie została jednak z córką i wnukami, z którymi nie mogła znaleźć już nawet wspólnego języka... Ten najmilszy, Marek, uciekł po prostu z nowego amerykańskiego domu, wrócił do polskiego nazwiska i wszelki ślad po nim zaginął. Krążyły słuchy, że zaciągnął się do marynarki.

Pani Helena wróciła do kraju, bo kocha Polskę i, jak sama mówi, tylko tu chce umrzeć. Na pewno niewielu jest tak uczciwych i szlachetnych ludzi. Nigdy też nie przejdą do historii, bo zdolni są jedynie do bohaterstwa na codzień. Tym trudniejszego, bo bardzo mało efektownego. Faktem jest, że pani Sokołowska wykazała również dużą odwagę w okresie stalinizmu w Polsce, wysyłając wówczas paczki swym przyjaciółom, przebywającym w więzieniach.

Po dzień dzisiejszy jesteśmy w stałym kontakcie. I, jeśli opłatek znajduje się co roku pod drzewkiem, które imituje choinkę w Indiach, to dlatego, że pani Helena nigdy o tym nie zapomina...

Sąsiadka pani Sokołowskiej z Rembertowa, pani Malinowska była przed wojną antysemitką, ponieważ „te Żydki zabierali nam pracę i mieli zawsze dużo pieniędzy”. Co nie przeszkodziło jej ukrywać przez pewien okres czasu moją matkę, a nawet serdecznie się nią opiekować.

Sama przeżywała wielką tragedię, z którą z nikim się nie

dzieliła. Wiedzieliśmy, że miała syna w Oświęcimiu. Bohdan dostał się do obozu, jako jeden z pierwszych więźniów. Matka wytwarzała więc legendę bohaterstwa wokół postaci syna. Tymczasem Bohdan został kapo obozowym i wyróżniał się nie tylko okrucieństwem, ale wręcz sadyzmem wobec swych współwięźniów. Dowiedzieliśmy się o tym po wojnie, gdy wytoczono mu proces i skazano na kilka lat więzienia. Pani Malinowska nie porzuciła czarnego koloru nawet po zakończeniu wojny. I nadal wysyłała synowi paczki do więzienia...

Pomogli mi i inni ludzie. Bywalcy kawiarni, gdzie pracowała Krystyna, zarabiający wówczas duże pieniądze na wszelkiego rodzaju handlu. Na pozór sprawiali wrażenie ludzi, żyjących chwilą. W istocie zarabiali pieniądze, by dawać je organizacjom ruchu oporu, zwłaszcza Armii Krajowej. Myślę, że pomagali również niektórym Żydom, którzy wydostali się z getta i że nie byłam wyjątkiem.

Niezwykle inteligentny, o gołębim sercu, Jerzy Dodacki zaangażował mnie jako sekretarkę swojej firmy. Po wojnie został aresztowany i zesłany do obozu na Ziemiach Zachodnich. Ponieważ było to w okresie stalinowskim, więc nikt nie dowiedział się nigdy, za co został skazany i nie mogliśmy nawet wysłać mu paczek. Dziś jest oczywiście na wolności i wraz ze swą uroczą, dzielną żoną, rozpoczął nowe życie jako urzędnik jakiejś instytucji.

Stanisław Dybowski, człowiek o dużym wdzięku i jeszcze większej fantazji zatrudnił mnie jako guwernantkę swego syna. Ta praca dała mi chwilę wytchnienia i możliwość utrzymywania rodziców do momentu, gdy jeden z gości *Volksdeutsch* zresztą, wyraził wobec pani domu wątpliwości co do mego pochodzenia...

Moja szkolna koleżanka, Tuśka Rundo i jej narzeczony Tadeusz Borowski dali mi do ręki fałszywą metrykę. Na podstawie tego dokumentu mogłam sobie bez trudu wyrobić oficjalną kennkartę z moim własnym odciskiem palców. Należałam więc do uprzywilejowanych...

I wreszcie polscy przyjaciele z innego środowiska społecznego. Po stracie pracy w domu Dybowskich, wzięłam zajęcie robotnicy w Dzwonkowej. Była to fabryka na Grochowie, pracująca dla Niemców: postanowiłam szukać schronienia w paszczy lwa. Robotnicy z mojej hali nie mogli nie zdawać sobie sprawy, że byłam „inna”. Zdradziłam się zresztą podczas powstania w getcie. Był Wielki Tydzień, a niebo czerwone było od pożarów. Nie sposób było uciec przed tą łuną, która rzucała blask na Warszawę i prześwieślała sumienia. Odrywałam się od pracy, patrzyłam przez okno i miałam łzy w oczach. Zrozumieli to i Stanisław

Tomczyk i Edward Siejko. Dzielili się ze mną potem śniadaniem. I co najważniejsze: nigdy mnie o nic nie pytali.

Ciężkie były te chwile po tak zwanej aryjskiej stronie. Wydarzenia, jak szalona huśtawka, rzucały mnie raz w górę, raz w dół, aż do całkowitego zawrotu. Właściwie wszystko zależne było od przypadku i mimo najlepszej woli, nikt z nas nie miał wpływu na własne życie.

Dokładnie w tym samym czasie, w styczniu 1943 roku, zostałam i wdową i sierotą: straciłam męża i ojca. Andrzej przebywał w Oświęcimiu, skąd otrzymywałam od niego listy i dokąd wysyłałam mu mizerne paczki. Wierzyłam jednak głęboko, że kiedyś, gdy wojna się skończy, będziemy znowu razem. Aż do chwili, gdy otrzymałam krótki, suchy list, że doktor Jussym, „dostał zapalenia ucha wewnętrznego, z czego wywiązało się zapalenie opon mózgowych, które z kolei spowodowało zgon”. Dowiedziałam się potem, że zapalenie ucha wywołane było uderzeniem niemieckich zbirów... Tak zakończyła się moja pierwsza miłość, moje nadzieje, moje trudne szczęście. Dziś z perspektywy mych doświadczeń widzę, że nasze ówczesne małżeństwo było młodzieńczą lekkomyślnością w obliczu śmierci. Dziś pewnie nie byłabym już zdolna do podobnych uczuć. I może właśnie dlatego zachowuję w sobie z pietyzmem tę, tak tragicznie i szybko zamkniętą kartę mego życia.

Śmierć ojca, którego bardzo kochałam i z którym zawsze znajdowałam wspólny język, ogromnie mną wstrząsnęła. Po wyjściu z getta ukryłam rodziców u chłopskiej rodziny w Wołominie. Ojciec był jednak zbyt aktywny, by móc się pogodzić z życiem w ukryciu. Po kryjomu przede mną przyjeżdżał do Warszawy, gdzie starał się nawiązać kontakt z dawnymi przyjaciółmi. Krępowano go, że nie zarabiał. Podczas jednej z takich wypraw został zadenuncjowany jako Żyd. Niemcy aresztowali go i osadzili w więzieniu na Gęsiówce. Poddawano go torturom, 60-letniemu człowiekowi kazano skakać żabką przez 5 godzin dziennie, bito więźniów niemiłosiernie. Ojciec przetrzymał to wszystko tylko dzięki swej wielkiej energii i optymizmowi, tym cechom, które po nim odziedziczyłam i które tak bardzo w nim kochałam. Cudem udało mu się uciec z transportu, przeznaczonego na wysłanie do Treblinki. Ale nigdy już nie był sobą, stał się dużym dzieckiem, które lękało się własnego cienia...

6 stycznia 1943, w dzień Trzech Króli musiał istotnie pojechać do Warszawy, żeby zobaczyć się z jednym z przyjaciół, który przechowywał resztę naszych rzeczy i który zmuszony był wyjechać. Ojciec nigdy już nie wrócił. Po miesiącu, ten sam przyjaciel pokazał mi wzmiankę w gazecie, że wojskowa ciężarówka

niemiecka przejechała niejakiego Jerzego Ptaszyńskiego, którego w ciężkim stanie przewieziono do szpitala. Natychmiast tam pobiegłam. Wprowadzono mnie na salę, gdzie istotnie dogorywał młody człowiek, noszący to samo nazwisko. Wysłałam, zataczając się z bólu i zemdlałam na ulicy. A mój ojciec zabrał ze sobą do grobu tajemnicę swej śmierci. Do grobu, którego nawet nie mogę odnaleźć...

Po tych dwóch ciosach, otępiała z bólu, musiałam jednak żyć dla matki, która stała się bezradną istotą. Przeniosłam ją do Rembertowa, gdzie wynajęłam izbę, ponieważ nie zarabiałam na tyle, by płacić nawet za najskromniejsze utrzymanie pani Malinowskiej. Jedynym urządzeniem mego „mieszkania” były dwa sienniki na podłodze. Zakleiłam więc okna szarym papierem, żeby nikt nie mógł być świadkiem tej nędzy, która musiała budzić nie tylko litość, ale i pewne podejrzenia. Nie unikałam ich jednak. Zła passa trwała nadal.

Któregoś dnia spotkałam w sklepiku, gdzie odbierałam przydziałowy chleb, granatowego policjanta. Nie sądzę, bym w pierwszej chwili wzbudziła jego podejrzenia. Był trochę pijany i zaczepił mnie, chcąc znaleźć partnerkę do dalszej wódki i zabawy. Odmówiłam. Szedł za mną do domu, wszedł siłą i gdy zobaczył warunki, w jakich mieszkam i wystraszoną matkę, nabrał podejrzeń. Przychodził wieczorami, pijany, dając do zrozumienia, że jeśli nie zgodzę się na jego propozycję, to potrafi zrobić użytek z wiadomości, które posiada. Któregoś wieczoru nie zdołałam się opanować i krzycząc histerycznie, aby dał mi spokój, wyrzuciłam go za drzwi. Zrobiło się przy tym zbiegowisko, ponieważ sąsiedzi usłyszeli awanturę.

Był to koniec listopada. Istotnie miałam spokój aż do Bożego Narodzenia. To najgorsze nadeszło w samą wigilię. Dostaliśmy w fabryce przydział świąteczny: jakieś ciasto i pół litra wódki. Kończyliśmy właśnie pracę, a przez głośniki nadawano kolendy „Cicha noc”. I w tej samej chwili na salę wszedł strażnik, szepnął coś do ucha starszemu majstrowi, ten spojrzął na mnie jakoś dziwnie, koledzy mechanicznie odwrócili głowy w moją stronę. „Pani Zawadzka, gestapo po panią przyjechało”...

A potem już nic nie czułam, kiedy schodziłam do portierni, przyciskając głupio butelkę wódki, jakby mogła mnie ona uratować, nic nie czułam, widząc pokrwawioną twarz mojej matki, którą trzymali dwaj zbirowie. Martwiłam się tylko, że ma na sobie nieprzemakalne palto, bo na dworze był duży mróz... I nic nie czułam, ani o niczym nie myślałam w samochodzie, kiedy siedziałam obok jakiegoś potwornie brzydkiego mężczyzny, który coś do mnie mówił, o tym, że nie cierpi Żydów, bo zawsze byli

od niego zdolniejsi na wileńskim uniwersytecie i że teraz pójdziemy „na mydło”. Ocknęłam się dopiero, gdy auto Gestapo przejeżdżało koło parku Skaryszewskiego i kiedy zobaczyłam pokryte śniegiem drzewa.

— To w porządku — powiedziałam. — Pan musi być wierzącym katolikiem.

— Co to ma do rzeczy? — zapytał siedzący obok mnie mężczyzna.

— Dziś jest przecież Wigilia Bożego Narodzenia — mówiłam gorączkowo — więc trzeba spełniać dobre uczynki. Pan chce, żebyśmy umarły. No więc wyjdziemy z auta, wezmę Matkę pod rękę i pójdziemy przed siebie, powiem Jej, że wszystko już dobrze, a wy nas zastrzelicie z tyłu, tak żeby Ona nic nie wiedziała i niczego nie czuła. Potem może Pan zrobić mydło, czy co Pan chce, ale po co do tego męki i przesłuchiwania w Alei Szucha? To będzie i dobry uczynek i spełnienie Pana obowiązku...

Siedzący obok mnie mężczyzna zatrzymał samochody. Więc jednak obejdzie się bez męki — pomyślałam i znowu byłam bardzo spokojna. Doszłam do tego drugiego auta, gdzie siedziała moja Matka i wzięłam ją pod rękę. I nie rozumiałam, ale naprawdę, nie byłam w stanie zrozumieć jego słów, że zadencjonował nas policjant Józef Królik, pisząc donos do Gestapo, że w Rembertowie ukrywa się Żyd, który posiada złoto. Mówił coś jeszcze, że jestem za młoda i za odważna, żeby umierać, że zresztą jest już koniec wojny, a Niemcom nie najlepiej się powodzi, że może kiedyś będę mogła zaświadczyć, że on, Borys, też był jednak człowiekiem.

Docierały te słowa do mnie, jak przez mgłę i ocknęłam się dopiero później, gdy jakimś cudem dojechałyśmy do domu pani Sokołowskiej, gdzie dostałam ataku hysterii i płakałam bardzo głośno i bardzo długo.

Tak rozpoczął się rok 1944. Powinnam właściwie była przeprowadzić się, uciec z Rembertowa, ale nie miałam ani pieniędzy, ani sił. Zostałam więc w naszej izbie, żyjąc dosłownie „pod strachem Boga”. Było mi już wszystko jedno, jakaś całkowita bezwola i rezygnacja. Zresztą — zupełnie paradoksalnie — nasze aresztowanie miało swą dobrą stronę. Sąsiedzi wyzbyli się wszelkich podejrzeń, bo skoro Gestapo wypuściło dwie biedne kobiety, to znaczy, że są one w porządku... Później, po wojnie już, dowiedziałam się, że Józef Królik miał proces za kolaborację, i że gestapowiec Borys zginął w czasie powstania warszawskiego.

W powstaniu nie brałam udziału. Wybuch jego zastał mnie

w Rembertowie, na prawym brzegu Wisły. Zostałam odcięta od Warszawy i z daleka tylko widziałam łuny pożarów, które od rana do wieczora unosiły się nad stolicą. Przez cały miesiąc słyszeliśmy odgłosy walki. A potem nagle huk dział stał się bardzo bliski i codziennie samoloty przelatywały nad naszymi głowami, a my siedzieliśmy bez przerwy w piwnicach, myśląc naiwnie, że to nas może uratować od śmierci. Pamiętam, jak Mamusia wtulała mi głowę w swoje kolana i zatykała uszy i tego nigdy w życiu nie zapomnę. A potem nagle zapanowała cisza, która z początku wydawała się jeszcze dziwniejsza od tego piekielnego huku i była tak bolesna, że aż dźwięczała w uszach.

Do Rembertowa weszły oddziały armii Czerwonej i wojska polskiego. Żołnierze dawali ludności amerykańskie konserwy i chleb. I wtedy uświadomiłam sobie, że mogę podnieść głowę, spojrzeć ludziom w oczy i że już nie muszę się bać żadnych kroków, idących za mną ludzi. Czyli — byłam wolna.

Rozdział V

Jednym z najciekawszych etapów mego życia był okres lubelski, pobyt w tym prowincjonalnym mieście, które, zupełnie na to nieprzygotowane, przekształciło się nagle w „stolicę”.

Droga z Rembertowa do Lublina, choć pod kulami, była prosta. Dowiedziałam się od żołnierzy, że w Lublinie istnieje Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, coś w rodzaju rządu na terenach, skąd uciekli Niemcy. Postanowiłam więc za wszelką cenę dostać się tam i starać się na nowo rozpocząć życie. Miałam 21 lat, resztki wiedzy, wyniesionej ze szkoły, kursy medyczne, ciężką zaprawę lat okupacyjnych, znajomość języków francuskiego, angielskiego i z konieczności, niemieckiego. Bardzo to był mizerny kapitał i w dodatku obciążony wieloma kompleksami. Ale zarazem miałam jak najlepszą wolę, aby zacząć normalnie, po ludzku pracować i zarabiać na utrzymanie matki. Tylko w jaki sposób, podczas działań wojennych, na początku września 1944 roku, dostać się do Lublina?

Znowu przyszedł mi z pomocą przypadek. Do polskiej armii w Rembertowie przyjechali goście z Lublina. Wprosiłam się na kolację. Był tam okazały major sowiecki, dwóch polskich kapitanów — jeden z nich nazywał się Henryk Holland — i zupełnie niepozorny, wychudzony cywil, który zresztą prawie wcale się nie odzywał. Wiedziałam, że przyjechali Willysem i że było w nim jedno wolne miejsce. Wyrozumowałam sobie, że decyzja zależy od sowieckiego majora, więc cały wieczór starałam się zwrócić na siebie jego uwagę. A kiedy około 3-ej nad ranem cel ten osiągnęłam i major, po którymś tam litrze wódki wydawał się być mną zainteresowany, wychudzony cywil przerwał swoje milczenie:

— Niepotrzebnie zmarnowała Pani całą noc, bo ja jestem właścicielem auta — powiedział.

Wydawało mi się to zupełnie nieprawdopodobne w tych zmiłitaryzowanych czasach.

— Ale zabierze mnie Pan przecież do Lublina — spytałam błagalnie. — Bo skoro się Pan domyślił...

— To zależy od tego, co Pani umie i na co się Pani może przydać. Trudno dziś bawić się w filantropię. Jestem dyrektorem Polskiego Radia...

I tak poznałam Wilhelma Billiga, człowieka o naprawdę nieprzeciętnej osobowości. Krakowianin, syn „dobrej” burżuazyjnej rodziny, rozkochany w poezji Kochanowskiego i w skeczach Lopka Krukowskiego, którego potrafił doskonale naśladować, — głęboki humanista z wykształcenia, znalazł przed wojną drogę do partii komunistycznej i prowadził z jej ramienia działalność w Towarzystwie Ubezpieczeń społecznych „Adria” w Warszawie. Wojnę przeżył w Związku Sowieckim, gdzie zaczął pracować w polskich audycjach radia. Potem stworzył „pszczołkę” lubelską, a tym samym podstawy radiofonii polskiej po wojnie. Był — i jest zresztą nadal — człowiekiem o wielkiej fantazji w najlepszym tego słowa znaczeniu. Siedząc w małym pokoiku przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie, w gmachu, w którym sfłoczone były ministerstwo informacji oraz redakcje wszystkich ówczesnych gazet — widział już wieżę odbudowanego Raszyna. Myślę, że i dziś, jako przewodniczący Komisji Atomowej wybiega myślą w przyszłość i organizuje zapewne polskie wyprawy na Marsa czy Wenus...

Wilhelm Billig jest jednak realnym marzycielem. W każdym razie takiego go poznałam i takiego zapamiętałam, gdy dobieła pieczołowicie pierwszy personel polskiego radia spośród młodych chłopców wileńskich, byłych partyzantów AK i spośród przedstawicieli przedwojennej inteligencji, którzy zaczęli pojawiać się w Lublinie. Nie badał ich przeszłości, ale ich użyteczność i zawodowe kwalifikacje.

Dowiedziawszy się, że władam obcymi językami, zgodził się zabrać mnie ze sobą. Wyjechaliśmy natychmiast po kolacji około 4-ej rano i miałam zaledwie czas, by pożegnać się z Mamusią, której obiecałam szybki przyjazd do Lublina. Droga trwała prawie cały dzień, ponieważ dosłownie co pół godziny musieliśmy zeskakiwać do rowów. Kule gwizdały nad naszymi głowami, a przecież od dawna nie czułam się tak bezpieczna. Przyjechaliśmy pokryci kurzem i bardzo zmęczeni. Billig powiedział — i dziwne, że te słowa zapamiętałam do dzisiaj:

— Jest pani potargana, wygląda pani jak meduza. Proszę się

umyc i uczesać. Będzie pani mieszkała u młodej Lublinianki, która pracuje w Radio. Dostanie pani bony na jedzenie i od jutra rozpoczynamy pracę.

I tak rozpoczęło się moje nowe życie, jakże inne od tego przedwojennego i od tego, które wyobrażałam sobie po maturze! Przekonałam się szybko, że moje przedwojenne „patriotyczne” oceny ludzi i wydarzeń w żadnym wypadku nie mogą mi pomóc. Wielu było bowiem nadgorliwców wśród lubelskich pracowników. Przypominam sobie jedną z dyskusji, podczas której porównałam Józefa Piłsudskiego do Bohuna. Trzeba było zobaczyć twarze moich rozmowców, na których malowała się zdecydowana pogarda, choć moje porównanie nie było znowu tak bardzo pochlebne.

W dalszym ciągu nie miałam pojęcia o polityce, ani tym bardziej o ideologii marksistowsko-leninowskiej, w której wydawali się celować moi nadgorliwcy. Jedyne, co dobrze poznałam i odczułam w okresie okupacji — to faszyzm i to wszystko, do czego był zdolny. Więc, patrząc tam w Lublinie, na powiewające obok siebie biało-czerwone i czerwone sztandary, skojarzyłam te dwa kolory jako symbol zwycięstwa dobra nad hitlerowskim złem, zapowiadający koniec poniżania człowieczej godności. I — co było dalszą konsekwencją — przysięgłam sobie, że, przez pamięć na najbliższych, których straciłam, skoro cudem udało mi się przeżyć tę gehennę wojenną — to muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby nigdy już ona nie mogła się powtórzyć.

Staram się oddać jak najwierniej moje ówczesne uczucia, żeby wytłumaczyć drogę życiową nie tylko moją własną, ale bardzo wielu młodych ludzi mego pokolenia, którzy wtedy, jesienią 1944, stali się członkami Polskiej Partii Robotniczej. Właśnie PPR, w której nie widzieliśmy partii komunistycznej, bo ani o ideologii komunizmu, ani o gorzkiej tragedii polskiego ruchu robotniczego w okresie przedwojennym, niczego nie wiedzieliśmy. Droga do tej partii wydawała się prosta i łatwa. Doprowadził nas do niej okres osobistych przeżyć okupacyjnych, niewypalone do końca ideały młodości i nade wszystko dążenie ludzi boleśnie doświadczonych, by faszyzm nigdy więcej nie mógł się odrodzić, by czynnie, osobiście zagrozić mu drogę.

Przyznaję, byliśmy naiwni. Dla nas, a w każdym razie dla mnie, Józef Stalin nie był twórcą systemu, który kompromitował ideę socjalizmu, bo nic o tym nie wiedziałam. Stalin był dla mnie, podobnie jak Churchill czy De Gaulle jednym z polityków i strategów tej długiej i okrutnej wojny. Nie miałam zresztą osobistych powodów do nienawiści Związku Sowieckiego. Oczywiście, pozostawał w sercu uraz patriotyczny o ten wrzesień 1939

roku, kiedy armia sowiecka korzystając z ataku Hitlera, zajęła nasze ziemie wschodnie. Ale, w końcu, były to tereny, zamieszkałe przez nienawidzących Polaków Ukraińców i Białorusinów. Jeśli nawet sanacyjny rząd podejmował jakieś wysiłki, by przywiązać tych ludzi do macierzy, nie dawały one praktycznych rezultatów. Problem terenów, zamieszkałych przez dużą i odrębną mniejszość narodową, na całym świecie nie znajduje sprawiedliwego rozwiązania, a kultywowanie nienawiści i szowinizmu prowadzi do gwałtów i nieszczęść.

Poza tym, ani jedno państwo europejskie nie było w 1939 roku przygotowane na odparcie ataku hitlerowskiego. Rosja, w dwa lata później nawet nie była w stanie powstrzymać hord niemieckich, które w swej wielkiej ofensywie na wschód wdarły się głęboko w jej terytorium i spowodowały olbrzymie straty i zniszczenia. Więc, choć to wbicie noża w plecy na pewno bolało i pozostawiło ranę, to jednak byłam zdolna, by rozpatrywać je w kontekście całości wydarzeń II wojny światowej. W moim pojęciu, opartym na osobistych doświadczeniach — nie można było porównać niczego do bestialstw hitleryzmu, do jego świadomej polityki wyniszczania i unicestwiania innych narodów. To Hitler zamordował ludzi, których kochałam i całą mą rodzinę. To armia sowiecka wyzwoliła mnie z koszmaru wojny. Nie miałam więc podstaw do uczuć nienawiści. Ograniczałam się do daleko posuniętej rezerwy wobec tego wschodniego sąsiada. Ale nie mogła mi ona przeszkodzić w decyzji wstąpienia do Polskiej Partii Robotniczej.

W każdym razie nie związaliśmy się z partią ze względów oportunistycznych. O jakim zresztą oportunizmie mogła być mowa w Lublinie, gdzie wszyscy — ministrowie i woźni — jedli w tej samej stołówce, przy tych samych, nie zawsze czystych stołach, tę samą zupę z razowym, glinistym chlebem; gdzie koledzy, mieszkający w gmachu PKWN, przechodzili co rano przez pokój, a zarazem sypialnię Bieruta — najwyższej osoby w Lublinie — i gdzie wszyscy dostawali tę samą pensję plus przydział żywności? Wszyscy byli jednakowo źle ubrani i — w sensie trudnych warunków życia — panowała pełna równość. Był to rodzaj komunizmu pierwotnego i na tym zresztą polegał — dla mnie przynajmniej — niezapomniany urok Lublina. Zima 1945 roku była surowa. Ale woda zamarzała we wszystkich dzbankach i nikt z nas nie miał kawałka węgla, by rozpalić w piecu.

Te trudne warunki życia sprawiały, że ludzie byli dla siebie życzliwi i pomagali sobie wzajemnie. Mamusia przyjechała do Lublina i zajmowałyśmy mały pokójek niedaleko siedziby PKWN-u. Jakże wesoło było wieczorami, gdy zbieraliśmy się po pracy,

dzieląc się tym, co każdy z nas miał do zjedzenia. Z tego okresu wyniosłam prawdziwie cenne przyjaźnie, które przetrwały po dzień dzisiejszy, poprzez wszelkie burze dziejowe i przeżycia osobiste.

Ten, owiany romantyzmem, trudny, Lublin przywrócił mi wiarę w godność człowieka i był zarazem pierwszym odprężeniem po ciężkich latach okupacji.

Ale nie wszyscy czuli, tak jak ja. Życie polityczne było wtedy bardzo burzliwe i nosiło już w sobie załazek przyszłych konfliktów.

Koło naszego mieszkania znajdował się mur, na którym naklejano wszelkie możliwe obwieszczenia. Manifest Lipcowy PKWN-u — ten, który stanowił credo polityczne nowej polskiej demokracji — naklejony był na jakimś hitlerowskim rozporządzeniu ze swastyką. Zatrzymywałam się tam często i miałam uczucie wielkiego zadowolenia. To było normalne, stanowiło w mych oczach symbol zwycięstwa nad faszyzmem. Sam Manifest był dokumentem rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, jakbym to dziś określiła. Solidaryzowałam się z nim całkowicie. Zapowiadał reformę rolną w kraju, który jej od dawna potrzebował. Domagał się nacjonalizacji ważnych gałęzi przemysłu. Proklamował wolność słowa, myśli i sumienia wszystkich obywateli. Zawierał więc, w moich oczach, wszystkie ideały wielkiej rewolucji francuskiej: wolność, równość, braterstwo...

Nie wszyscy jednak uważali wtedy, że przynosi on wolność. Bo na tym samym murze, na pożółkłym już nieco Manifestcie została któregoś dnia nalepiona ulotka, wzywająca do walki z „bolszewikami” z PKWN.

Co gorsze, walka nie sprowadzała się tylko do nawoływania. Widziałam ludzi, przeprowadzających w Lubelszczyźnie reformę rolną. Przyjeżdżali jeepami do stołówki, zmęczeni, zakurzeni, z czerwonymi z niewyspania i z kurzu oczami. Czasem widziałam na ich twarzach bolesne zdumienie i wręcz przerażenie. Opowiadali o tym, jak bandy NSZ-etowskie straszą chłopów, którzy wzięli przydzieloną im ziemię. Zdarzały się wypadki podpalania całych wiosek. Atakowano tych, którzy ziemię przydzielali, kładziono miny na drogi, którymi przejeżdżali wysłannicy PKWN'u.

Czyli — walka toczyła się nie tylko na frontach II-ej wojny światowej. Rozgorzała ona na dobre między braćmi, którzy pozostali wierni przywódcom, mającym inne koncepcje polityczne. Można było zrozumieć, że różnice polityczne i ideologiczne wykopały przepaść między polskim rządem w Londynie, a bardzo nie reprezentatywnym Komitetem Wyzwolenia Narodowego, który, poza liczonymi na palcach wyjątkami, składał się wyłącznie z komunistów i to w dodatku z tych, którzy przyjechali ze

Związku Sowieckiego i nie bardzo orientowali się w nastrojach polskiego społeczeństwa. Wiadomo było, że w Moskwie i Londynie toczyły się targi dyplomatyczne na temat składu przyszłego rządu polskiego. Ale tragizm ówczesnej sytuacji polegał na tym, że dano rozkaz walki, której ofiarą padali niewinni ludzie.

I dlatego, słuchając opowiadań o tych mroźnych krew w żyłach okrucieństwach, rodził się we mnie bunt. Bo na pewno nie tędy wiodła droga do przyszłości, do rozwoju naszego umęczonego kraju. To nie mogło mieć na celu dobra Polski, której większa część znajdowała się jeszcze pod hitlerowską okupacją. Nie wygasły jeszcze kominy krematoriów Oświęcimia, Hitler kontynuował swe krwawe dzieło, gdy Polacy zabijali się wzajemnie...



Wtedy, w lubelskiej stołówce zobaczyłam po raz pierwszy niewysokiego mężczyznę z małym wąsikiem. Ginał w tłumie i gdyby nie fakt, że siedzieliśmy przy jednym stole, nigdy chyba nie zwróciłby mej uwagi. Miał przyjemne, choć nieco zmęczone spojrzenie. Może właśnie ten wyraz zmęczenia życiem był dla niego najbardziej charakterystyczny. Przebywał w towarzystwie dystygowanej pani o siwych włosach, „to jego przyjaciółka” — głosiła fama.

Bo tym człowiekiem był przewodniczący PKWN-u Bolesław Bierut. Pierwsze wrażenie, jakie odniosłam z tego spotkania i zachowałam po dzień dzisiejszy nie miało nic wspólnego z Bierutem-przywódcą stalinowskiej Polski, jakim stał się później. Ale w Lublinie ocieraliśmy się często, nie wiedząc o tym o historię przyszłych dni.

Wtedy jednak mało kto znał Bieruta. Wielu przedwojennych komunistów nigdy nie słyszało tego nazwiska. Dlatego krążyły plotki, że Bierut jest tylko skrótem dwóch nazwisk Biernacki-Rutkowski. Nie wiem, czy tak było istotnie. Ale ta powszechna ignorancja nie świadczyła o dużej popularności ówczesnego przywódcy PKWN'u nawet w tak zwanych dobrze poinformowanych kołach politycznych.

Nic w tym zresztą nie było dziwnego. Bolesław Bierut żył zawsze w cieniu wybitnych przywódców Komunistycznej Partii Polski. Sam należał co najwyżej do średniego aktywu, dzięki czemu zresztą utrzymał się przy życiu. Był świadkiem wymordowania przez Stalina w 1938 wszystkich przywódców. Czy zdawał sobie sprawę, że uratowała go własna przeciętność? Faktem jest, że odsunięty na nic nie znaczące stanowisko w Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom pozostał, według

relacji tych, którzy go wtedy znali, wierny dawnym uczuciom przyjaźni.

Podczas wojny Bierut stał się człowiekiem zaufania Stalina na tyle, by zostać zrzucony spadochronem do Polski i kierować walką, zgodnie z wolą wodza. Bierut, już wtedy zapewne, został pasowany — i można mieć wątpliwości czy z własnej woli i inicjatywy — na przywódcę polskiego stalinizmu.

Czy nadawał się do tej roli? Psychicznie chyba tak. Wychowany na dogmatach i niebardzo zdolny do posiadania samodzielnych koncepcji politycznych, czy intelektualnych, Bierut był na pewno szczerym wyznawcą zasady: ze Związkiem Sowieckim na czele. Do tego stopnia bezkrytycznym iż wierzył, że cel pierwszego państwa, budującego komunizm uświęca wszelkie środki przymusu, jakie to państwo stosowało. Był to na pewno przejaw ograniczenia, będącego wynikiem specjalnej szkoły myślenia i wychowania partyjnego. Nawet później, gdy w Polsce w 1955 roku rozpoczął się proces destalinizacji, Bierut nie umiał wyzwolić się od tych dogmatów. Widziałam go na kilku zebraniach, które zalewała fala żądań odnowy. Sprawiał wrażenie zmęczonego pływaka, który nie jest w stanie płynąć pod prąd. Gdy usiłował to zrobić, widać było, że braknie mu sił.

Ale, i to jest jakąś bardzo indywidualną, ludzką cechą Bolesława Bieruta, nawet w najtrudniejszym okresie zachował wierność wobec przyjaciół. Pomagał przez cały czas rodzinom komunistów, zamordowanych w ZSSR. Robił wszystko, a nawet niepotrzebnie się narażał, by uzyskać u Stalina rehabilitację tych, z którymi niegdyś współpracował. Towarzysze, którzy go bliżej znali, opowiadali, że było to jego obsesją, że żył pod wpływem głębokiego szoku, datującego się od owego pamiętnego roku 1938. Dlatego między innymi Bierut nigdy nie chciał procesu Gomułki. Zwlekał, kluczył, wynajdywał przeróżne preteksty, by tylko nie złożyć swego podpisu pod takim dokumentem. Czasem, podobno, przyciskany do muru — wręcz ryzykował. I co ważne — nie robił tego bynajmniej z sympatii dla Gomułki, którego przekonania były mu obce, ale dla samej zasady uczciwości.

Dzięki tem cechom osobistym Bolesław Bierut uratował w pewnym sensie przed światem „honor” polskiego stalinizmu. W każdym razie nadał mu bardziej ludzkie oblicze, niż inne kraje demokracji ludowej. A na pewno, nie zdając sobie z tego sprawy, uratował Polskę przed interwencją sowiecką w 1956 roku, zachowując dla kraju Władysława Gomułkę, jedyne przywódcę partii, który miał wówczas niezbędny autorytet, by kierować rozwojem wydarzeń.

Od tego pierwszego lubelskiego spotkania nie byłam nigdy

zdolna żywić naprawdę wrogich uczuć do Bolesława Bieruta. Czyż jest winą polityka, że robi tak zwaną karierę nie dzięki swym osobistym zdolnościom i talentowi, ale dlatego właśnie, że jest przeciętny? Nie dlatego, że posiada silną osobowość i własne koncepcje polityczne, ale dlatego, że ich nie ma, co przekształca go w idealne narzędzie w ręku tych, którzy wydają mu rozkazy i polecenia? W większej mierze jest winą systemów, że potrzebują takich właśnie polityków. Zresztą najczęściej tego rodzaju ludzie łamią się pod ciężarem wielkiej odpowiedzialności, która ich przerasta, której nie są w stanie sprostać.

Nie ulega wątpliwości, że ciężar władzy w stalinowskiej Polsce przytłoczył tego skromnego człowieka, który nigdy zresztą w życiu prywatnym nie korzystał z przywilejów kultu, jakie przysługiwały innym jednostkom.

Bieruta zrehabilitowała w pewnym sensie, jego śmierć. Dostał ataku serca w Moskwie po wysłuchaniu rewelacji Chruszczowa na temat zbrodni Stalina na XX Zjeździe KPZR. Zachowując obraz tego zmęczonego człowieka, którego poznałam w stołowie lubelskiej — nie wykluczam faktu, że zabiła go wtedy świadomość generalnego bankructwa wiary w słuszność idei, której służył. Czyli — zabiła go własna uczciwość, kiedy przekonał się, że te resztki ludzkich wątpliwości na temat śmierci przyjaciół, które w nim całe życie pozostawały, miały pełne uzasadnienie. Że on sam służył złej sprawie.

Spółeczeństwo polskie spojrzało na zgon nielubianego i niepopularnego zresztą przywódcy od innej strony. Bierut umarł w Związku Sowieckim, czyli było coś „niekatolickiego” w tym fakcie. Wystarczył on, by przywrócić Bierutowi po śmierci sympatię Polaków. Miał okazały pogrzeb i nie trzeba było specjalnie namawiać ludzi, by w nim uczestniczyli.

Cmentarz na Powązkach. Aleja Zasłużonych. Na każdym grobie znajdują się pomniki wybitnych ludzi: pisarzy, artystów mężów stanu. Z daleka, jak w filmie „nowej fali” widać groby tych, którzy polegli w obronie Warszawy i podczas warszawskiego powstania. Można z tych grobów odczytać historię Polski.

Nieco na uboczu znajduje się surowa w swej prostocie, ciemna, granitowa płyta grobowca. Leżą na niej zawsze, nawet w dzień grudniowy, świeże kwiaty. Jakaś troskliwa ręka zapala na niej świeczki. Rodzina? Przyjaciele wdzięczni za przywrócenie im dobrego imienia? Nie wiadomo z daleka, czyj to grób. Trzeba bardzo się przybliżyć, żeby na płycie granitu odczytać nazwisko: Bolesław Bierut.

Ciekawe, do jakiego stopnia Lublin był załącznikiem przyszłej Polski. Każde spotkanie, każde przeżycie, każdy problem, który

wówczas rysował się mgliście w naszej świadomości, miały potem swój ciąg dalszy, całą swoją historię. Bardzo często jej źródła znajdowały się w tym pierwszym okresie, gdy stosunkowo drobna garstka ludzi starała się przygotować teren do przekształcenia Polski w kraj socjalistyczny. Wtedy ten teren był bardzo niewielki, odcięty od społeczeństwa polskiego, cierpiącego jeszcze pod okupacją niemiecką, ale już wówczas rządzono w jego imieniu, nie znając zupełnie jego uczuć...



Najbardziej chyba popularną postacią w Lublinie był Jerzy Borejsza, redaktor gazety „Rzeczpospolita”, a potem już w normalniejszych, warszawskich czasach, prezes spółdzielni wydawniczej „Czytelnik”. Świetny organizator, człowiek pełen niespożytej energii, fantazji i rozmachu. To on znalazł w przeludnionym Lublinie najlepszy chyba gmach dla prasy i radia. To wokół niego zaczęli skupiać się literaci i intelektualiści. Można było obserwować codziennie całą defiladę tych ludzi, gdy wchodzili do wyjątkowo luksusowego na owe czasy gabinetu Borejszy. Znajdowało się tam bowiem duże biurko, a podłoga wyścielona była kolorowym dywanem.

Niektórych z nich, jak Jastruna, czy Przyboscia pamiętałam z przedwojennego okresu. Któregoś dnia zjawił się bardzo postarzały Jan Parandowski. Borejsza zorganizował istną ekspedycję ratunkową, która udała się w kieleckie, gdzie wielki pisarz z żoną i dwojgiem dzieci znajdował się w bardzo ciężkich warunkach, by sprowadzić go do Lublina. Borejsza zapewnił sobie również współpracę niezapomnianego, genialnego artysty Stefana Jaracza, który w okresie okupacji był więźniem Oświęcimia. Nie umiem opisać, jak wielkie ogarnęło mnie wzruszenie, gdy któregoś dnia usłyszałam na korytarzu ten charakterystyczny, przepity głos Jaracza. Miałam uczucie, że odzywa się w nim echo mojej młodości, gdy tyle razy w teatrze Ateneum głos ten wyzwalał w sercach ludzkich radość, czy głębokie wzruszenie.

Kręcił się na korytarzu przygarbiony Janusz Minkiewicz, pałętał się pod nogami mały Ważyk, dumnie paradowali w mundurach Stanisław Lec i Pasternak. Stefania Grodzieńska robiła wielką karierę jako speakerka radiowa. Całe grono młodych ludzi, którzy stali się znani w kilkanaście lat później. I jeszcze jedna charakterystyczna postać o prawdziwie grzmiącym głosie, znany rysownik, Jerzy Zaruba.

Cała ta grupa literatów utworzyła pierwsze pismo satyryczne „Stańczyk”. Nie było ono oczywiście najbardziej niezbędne w lu-

belskich czasach, ale świadczyło już wówczas o krytycznych nastrojach naszych pisarzy i „intelektualistów”. Pierwsze numery robione były z dużym połotem, krytykowano w nich naszych przywódców, najczęściej zresztą Osóbkę-Morawskiego, i pewne przejawy życia lubelskiego. Żywot „Stańczyka” był jednak krótki. Jakiś artykuł, czy wiersz nie spodobał się cenzurze, która już działała i chciała być bardzo ważna nawet w pierwotnych lubelskich czasach. W rezultacie „Stańczyk” przestał się ukazywać.



Pracowałam w „nasłuchu” radiowym. Słuchałam audycji wszystkich radiostacji, których odbiór możliwy był w Lublinie, a więc Londynu, Paryża, Głosu Ameryki, stenografowałam własną metodą te wiadomości, następnie przepisywałam je na maszynie i wysyłałam do ministerstw i redakcji. Aparaty znajdowały się w piwnicy gmachu przy Krakowskim Przedmieściu. Wstęp do niej był surowo wzbroniony wszystkim, którzy nie posiadali specjalnej przepustki. Przychodzili jednak do nas często ówczesni „dygnitarze”, ponieważ stanowiliśmy jedyne źródło informacji. Wyrobiłam w sobie wielką podzielność uwagi, starając się, ze słuchawkami na uszach, nie uronić ani jednej wiadomości w szumie rozmów i śmiechów naszych gości.

A informacje te stawały się coraz ważniejsze. 19 stycznia 1945 roku, głęboki głos sowieckiego speakera Lewiatana, który zapowiadał najważniejsze wydarzenia, doniósł o wyzwoleniu Warszawy, a właściwie już tylko ruin tego, co kiedyś, w naszym wspomnieniu było przedwojenną, czy nawet okupacyjną Warszawą... Od tego momentu ofensywa wojsk sojuszniczych na Wschodzie i Zachodzie rozwijała się w błyskawicznym tempie. Lewiatan zapowiadał niemal codziennie wejście żołnierzy sowieckich do nowych miast: Kraków, Katowice, miasta pomorskie...

Rozpoczął się wtedy wielki pochód ludności. Z jednej strony pojawili się w Lublinie ludzie wymęczeni, z otartymi, pokrwiawionymi i odmrożonymi nogami, którzy przyszedli tu z lewej strony Wisły w poszukiwaniu swych najbliższych. Z drugiej strony, wielu ludzi, pracujących w Lublinie, rzucało pracę i — wiedzeni jakąś nierozumną wiarą — przeprawiali się przez zamarznąłą Wisłę, by tam, w popioły Warszawy tchnąć nowe życie.

Wtedy właściwie skończył się swoisty urok Lublina. Wszyscy chcieliśmy już wrócić do stolicy, tej jedynej i prawdziwej. Wbrew zdrowemu rozsądkowi. Wielu z nas mogło się wtedy doskonale urządzić w niezniszczonym Lublinie. Nikt nie został, poza Lubli-

niakami. Żegnali nas z żalem, wiedzieli, że na zawsze skończyły się wielkie chwile ich grodu, ale z pełnym zrozumieniem.



Bardzo wielowątkowe było to lubelskie życie. Do najważniejszych wydarzeń należał proces zbrodniarzy Majdanka, który szczególnie mocno utkwił mi w pamięci.

W procesie majdankowskim świadkami byli wczorajsi więźniowie, którzy przyszedli na salę sądową w pasiakach i z ostrzyżonymi głowami. Nie wygłaszali żadnych oskarżeń, nie przygotowywali się do składania zeznań, ale urywanym głosem mówili o tym, co się działo w obozie przed trzema jeszcze miesiącami, jak właśnie w tym miejscu uderzenie człowieka, który siedzi teraz na ławie oskarżonych zabiło jego ojca, bo strażnik uderzył go kolbą, a ojciec przeszedł ciężki tyfus i nie jadł nic od tygodnia.

To dzień wczorajszy, to najbliższa przeszłość oskarżała bez patosu, ale po prostu faktami jakże niedawnego, a już trochę zapomnianego codziennego życia obozowego...

Prokuratorem był Jerzy Sawicki, który także stracił podczas wojny całą rodzinę. Więc i jego przemówienie oskarżycielskie, choć nie pozbawione pewnego aktorstwa, było jakimś wielkim krzykiem serca, którego echo każdy z nas w sobie słyszał.

Niemniej proces majdankowski miał jedną smutną stronę. Nie było jeszcze wówczas kanonów prawniczych o odpowiedzialności zbiorowej oraz o indywidualnej winie przestępców wojennych. Do dzisiejszego dnia nie ma pełnej jasności w tej sprawie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wtedy, w sali Kasyna w Lublinie sądzono małe płotki obozowe, sądzono tych, którzy, może dlatego, że nie mieli poczucia wielkiej winy, nie starali się nawet uciec. Owszem, bili, owszem, głodzili więźniów, ale przecież sami tego nie wymyślili. Wykonywali po prostu rozporządzenia swych przełożonych...

Ileż to razy słyszeliśmy i dziś ciągle jeszcze słyszymy te same argumenty. Notując wówczas dla radia sprawozdanie z tego procesu, zrozumiałam całą złożoność tego problemu. Normalny człowiek stara się być dobry i chce żyć normalnie. Jeśli wybiera drogę zbrodni — staje się przestępcą. Ale ci oskarżeni, przeciętni, ograniczeni ludzie, stanęli wobec innego dylematu: żeby nie być zbrodniarzami i żeby wyzwolić się z trybów hitlerowskiej maszyny, musieliby stać się bohaterami. A ilu ludzi zdolnych jest do bohaterstwa?

Zapadł wyrok, z którym jakoś nie mogłam pogodzić się wewnętrznie. Wszyscy oskarżeni zostali skazani na karę śmierci przez

powieszenie. Jeden z nich usiłował popełnić samobójstwo. Wyrok miał być wykonany na terenie obozu na Majdanku.

Wmieszana w nieprzebrany tłum ludzki poszłam na miejsce obozu straceń, gdzie zginęło tylu moich przyjaciół, kolegów ze studiów medycznych, wysłanych tu z getta. Mimo słonecznej pogody wiał silny wiatr. Czułam przenikające mnie na wskroś zimno.

Na terenie obozu wyzwoliły się te zapiekle z bólu łzy, które teraz spływały po twarzy, gdy przechodziłam koło drutów, baraków i rozkopanych dołów, koło sterty butów po zamordowanych, koło porzuconych zabawek dziecińczych i koło ruin krematorium, gdzie palono ich małych właścicieli.

Nie przyglądałam się egzekucji. Nie byłam do tego zdolna. Bo śmierć tej garsteczki, nie najbardziej winnych ludzi na pewno niczego nie rozwiązywała. To było i za dużo i za mało wobec popełnionych zbrodni.



W pewnym okresie Lublin stał się ośrodkiem ożywionego życia politycznego. Pojawili się pierwsi zagraniczni dziennikarze, spośród których wyróżniała się swą olbrzymią sylwetką Anna Luiza Strong. Przyjechali też pierwsi wysłannicy Londynu.

Zajęta notowaniem wiadomości radiowych, nie zwróciłam uwagi, że stoi koło mnie jakiś bardzo dziwny pan. Dziwny oczywiście, jak na stosunki lubelskie. Nosił bowiem płaszcz z wełny wielbłądziej i sztywny kapelusz, palił angielskie papierosy. Prawdziwa postać, trochę mała i przygruba, z „kapitalistycznego” świata. W dodatku nie miał przepustki do nasłuchu, a gdy spytałam go o to surowym tonem, wybuchnął szczerym śmiechem:

— Dziecko moje — powiedział — przesadza pani w swej czujności. Wiadomości radiowe nie są i nie mogą być dla nikogo tajemnicą.

Był to Stefan Litauer, który przyjechał do Lublina jako wojenny korespondent „News Chronicle”. Taki był przynajmniej oficjalny powód, choć nie ulegało wątpliwości, że był on również obserwatorem rządu polskiego w Londynie.

Spotkałam go tego samego dnia, gdy spacerowałam z Matką po ulicy. Okazało się, że pan Stefan był niegdyś jej adoratorem i że, jako mała dziewczynka, siedziałam mu na kolanach, zając dając łakocie, które mi przynosił.

— Jakże wychowała pani córkę, pani Olu — śmiał się serdecznie — przecież ona nic nie wie o życiu i o świecie.

Niezwykle młody z usposobienia, bardzo energiczny i bardzo

ludzki, Stefan Litauer stał się moim serdecznym przyjacielem i opiekunem. A jeśli poświęcam mu wspomnienie w czasach lubelskich, to dlatego, że właśnie tam rozpoczęła się ta przyjaźń, która ostała się do ostatnich chwil jego życia.

W najelegantszej restauracji Lublina, w Wołdze, przy olbrzymich porcjach czerwonego kawioru i rosyjskiej wódce, pan Stefan mówił mi o swej tęsknocie za synem, którego pragnął odnaleźć. Miał wyrzuty sumienia, że nie był nigdy dobrym ojcem, ani dobrym mężem. W każdym razie dla swej pierwszej żony, którą porzucił przed wojną, przed swym wyjazdem zagranicę, a która zginęła w getcie warszawskim.

Droga pana Stefana w Polsce przebiegała jakimiś olbrzymimi zyzakami, które przekreślały jego osobiste plany i życie osobiste. Po tym pobycie w Lublinie związał się z nową Polską. W pierwszym, liberalnym okresie, wykorzystano jego kwalifikacje, wysyłając go jako radcę polskiej ambasady do Waszyngtonu. Gdy go odwołano, wrócił do kraju z żoną, Angielką, która dla niego rozwiodła się z admirałem brytyjskim. Litauer miał być wówczas wysłany, jako polski ambasador do Australii. Sytuacja jednak zmieniła się i placówki zagraniczne zaczęto obsadzać ludźmi rzekomo pewnymi, ale bez żadnych kwalifikacji. Australijskie plany spaliły więc na panewce, a pan Stefan rozpoczął wówczas współpracę z Polskim Radiem, pisząc tygodniowe przeglądy wydarzeń. Było mu niełatwo i finansowo i — co ważniejsze — moralnie, gdy kazano mu zmieniać i przerabiać całe paragrafy, motywując, że jest to fałszywe „politycznie” i dyskutując z nim meritum sprawy. Przez pewien czas mnie obarczono obowiązkiem tłumaczenia mu „błędów ideologicznych” — ponieważ szefowie radia wiedzieli, że łączy nas przyjaźń.

Nasze cotygodniowe, sobotnie rozmowy odbywały się na takiej mniej więcej płaszczyźnie:

— Panie Stefanie, jeśli pan nie przerobi trochę tego paragrafu, to trzeba będzie wycofać cały przegląd. A wie pan przecież, że ludzie na to czekają...

— Lilka, to przecież jest czysta bzdura, co mi proponujecie. Nie mogę się zgodzić z przeinaczeniem rzeczywistości.

— Nie mamy wyboru. Jeśli pan nie przerobi, to nie pójdzie przegląd na antenę. A powtarzam: ludzie na to czekają.

Bo tak było. Litauer należał do nielicznych dziennikarzy, którzy w najtrudniejszych czasach informowali opinię publiczną o wydarzeniach na świecie i zmuszali ją do myślenia. Osiągał ten cel prostymi na pozór środkami. Cytował po prostu prasę zachodnią, swój ukochany angielski „Times”, prasę szwajcarską, francuską i „New York Times”, a zwłaszcza Waltera Lippmana.

Przez dobór tych cytatów sugerował własny sąd. I ludzie słuchali co tydzień, w niedzielę jego charakterystycznego, nieco eunuchowatego głosu i czekali na tę audycję.

Pan Stefan był dumny ze swej popularności.

— Czy wiesz — mówił — i szofer taksówki i sprzedawca gazet poznają mnie po głosie.

Była to jego jedyna radość w tamtych czasach. Molly nie potrafiła zaklimatyzować się w stalinowskiej Polsce. Nieufność, traktowanie jej, jako obywatelki trzeciej kategorii, zbyt bardzo raniło jej brytyjską dumę. Pan Stefan, widząc to, namówił ją do powrotu do Anglii. On sam nie miał wówczas żadnych szans wyjazdu, a bardzo kochał Molly. Przeżył to samotnie i boleśnie. Wtedy pozostały mu już tylko przeglądy i niektóre artykuły o charakterze czysto encyklopedycznym, gdzie, ostrzegając go przed wyrażaniem własnego sądu, wykorzystywano jego wiedzę o świecie.

Dopiero po 56 roku zaczęto na nowo wykorzystywać jego dziennikarskie doświadczenie i kontakty. Cieszył się, jak małe dziecko, gdy został wysłany na międzynarodową konferencję do Genewy, gdzie mógł spotkać swych dawnych kolegów po piórze.

— Polityka jest jak prostytutka — mawiał często. — Ale są mężczyźni, którzy bez tego nie mogą żyć. I ja do nich należę.

Istotnie, pan Stefan, który jadł chleb z niejednego pieca, rzucał się z rozkoszą w objęcia wielkiej polityki. Robił to jednak z dużym sprytem i talentem. Był rasowym, i kochającym swój zawód dziennikarzem. Umarł w Londynie, w 1960 roku, gdzie pracował jako korespondent „Życia Warszawy”.

Wtedy, w lubelskich restauracyjkach, nie wiedzieliśmy że los niejednokrotnie nas połączy. Cieszyłam się ogromnie, gdy odnalazł syna. A już trudno opisać jego radość, gdy chodził pod rękę z młodym porucznikiem wojska polskiego, w długim, zdecydowanie za obszernym na niego płaszczu...

Ostatnie, historyczne wspomnienie lubelskie łączy się z Sylwestrem 1945 roku. Mój pierwszy Sylwester, podczas którego mogłam snuć plany na nowy rok, kiedy mogłam szczerze winszować Mamie i życzyć przyjaciółom by potrafili otrząsnąć się z koszmarów przeszłości...

W Lublinie odbyło się wielkie przyjęcie, na które zostałam zaproszona. Miałam cały dzień dyżur w nasłuchu, wypiliśmy trochę litewskiego krupniku, przyrządzonego po mistrzowsku przez koleżankę z Wilna, tak, że dopiero około północy weszłam na salę Kasyna Oficerskiego. Nastrój, jaki tam panował był nie tylko wesoły, ale i uroczysty. Dowiedziałam się, że tego wieczoru Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przekształcił się w Rząd Tym-

czasowy. Był to krok, zmierzający do stabilizacji życia politycznego. 1 stycznia 1945 roku ogłoszono to całemu światu.

Otarłam się wówczas, w dosłownym sensie, o wszystkich „świętych” lubelskich, o wszystkich ludzi, którzy odegrali ważną rolę w powojennej historii Polski. Bolesław Bierut uśmiechał się dobrodusznie, życząc wszystkim dosiego roku. Obok niego rozpromieniony nowy premier, socjalista, Osóbka-Morawski. Nieco dalej dostrzegłam szczupłego, lekko utykającego mężczyznę. Pierwsze wrażenie: jakaś surowość, jeśli nie ascetyzm, emanujący z całej postaci. Wydawał się uważać, że zabawa jest za wesoła, że za wiele pije się wódki. Przyglądał się temu bez cienia uśmiechu przez okulary w żelaznej oprawie. To był pierwszy obraz, jaki zachowałam ze spotkania z Władysławem Gomułką.

Był tam jeszcze przysadzisty marszałek Rola-Żymierski, który opędał się, jak mógł od dziennikarzy. Bardzo okazały ze swymi medalami Bułganin reprezentował Związek Sowiecki przy Rządzie Tymczasowym. Na sali znajdował się też przedstawiciel Francji.

Gdyby wszyscy uczestnicy przyjęcia mieli dar przewidywania przyszłości, gdyby zobaczyli, jak skomplikowanymi drogami potoczą się ich losy, byłiby pewnie mniej weseli. Ale wtedy cieszyli się, że jest to na pewno ostatni Sylwester, spędzony podczas wojny...

Rozdział VI

W marcu 1945 roku dyrektor Billig zdecydował wysłać ekipę radiowców do innych miast, gdzie istniały rozgłośnie. Trzeba było przede wszystkim ratować porzucony przez Niemców sprzęt radiofoniczny i uruchomić polski program. Zanosilo się to na bardzo pionierską wyprawę. Szybko zmontowano ekipę: jechał oczywiście sam Billig, któremu śpieszyło się do rodzinnego Krakowa. Zabrał ze sobą bardzo zdolnego chłopca z Wilna, uczestnika tamtejszej akowskiej partyzantki, Janka Mietkowskiego, który miał spełniać rolę dyrektora programowego audycji politycznych. Do pomocy dano mu dziarskiego partyzanta B. Ch. z Lublina, Zbyszka Lipińskiego, oraz porucznika utworzonego w ZSSR wojska polskiego, Adama Kostaszuka. Ten ostatni nie mówił wprawdzie zbyt wyraźnie i miał silnie rozwinięte poczucie ślepej dyscypliny wojskowej, ale umiał wytworzyć wokół siebie legendę dobrego organizatora. Dodano do tej ekipy dwie pracowniczki nasłuchu, w tej liczbie i mnie. Wybór wydelegowanych mówił sam za siebie. W pierwszej fazie odbudowy kraju uczestniczyli wszyscy, którzy mieli minimum niezbędnych kwalifikacji i którzy mieli po temu szczerą chęć.

Była to wyprawa jedyna w swoim rodzaju. Podróżowaliśmy oczywiście jeepami, co, przy kilkunastostopniowym mrozie, nie należało do zbyt wielkich przyjemności. Przejżdżaliśmy przez zniszczone, zbombardowane wsie. Niektóre drogi były jeszcze zaminowane. Dwukrotnie zaatakowały nas bandy NSZ-etowskie, a raz pospolicci bandyci i złodzieje. Ale w końcu dojechaliśmy do Krakowa.

Wielkie wrażenie wywarł na mnie wtedy ten, na szczęście

niezniszczony, bardzo godny gród, którego mieszkańcy, mimo wojny, nie wyzbyli się swych drobnych przyzwyczajęń. Nie uznaję lokalnego szowinizmu, który zawsze istniał między „kongresówką”, a Galicją. Kraków jest dla mnie jakąś integralną częścią Polski, bardzo ważną i wręcz niezbędną. Uwielbiam architekturę tego miasta i uważam, że widoki oraz perspektywy małych uliczek godne są umieszczenia w albumach, przedstawiających, jeśli nie najpiękniejsze miasta świata, to w każdym razie Europy. Ale wtedy, spokojna atmosfera krakowskich kawiarni, w których panowie radcy i ich małżonki w futrach popijali kawusie, kontrastowała jakoś dziwnie z twardym życiem lubelskim.

Zatrzymaliśmy się w Hotelu Francuskim, który wydał mi się wtedy szczytem luksusu. Sam fakt, że można było się wykąpać i zjeść nie w stołówce, ale w sali, która przypominała normalną restaurację...

Pracowaliśmy naprawdę po pioniersku. Słuchałam wiadomości radiowych, podobnie jak w Lublinie, przepisywałam je sama na maszynie i wysyłałam do dyrekcji. Niezależnie od tego, razem z Jankiem Mietkowskim redagowaliśmy z tych samych wiadomości dziennik radiowy. I tak przez cały dzień, a nawet przez pół nocy. Każdy z nas, pracujących w tak zwanej redakcji politycznej, był zarazem redaktorem oraz chłopcem na posyłki, gdy zachodziła tego potrzeba. Głęboko połączyła nas ta niezwykła atmosfera. Nie było jeszcze wtedy szefów i podwładnych, mądrych i głupich. Każdy dawał z siebie, to co mógł, to co miał najlepszego, a wszyscy uczyliśmy się wzajemnie.

Właśnie ten rodzaj pracy, wytężonej, gorączkowej, nerwowej, gdy przybiegało się do studia z ostatnią kartką ostatnich wiadomości, dawał największą satysfakcję. Połknęłam już na dobre bakcyła radiowego i myślę, że na zawsze pozostał on we mnie. Był jeszcze czas wtedy, żeby się od niego uwolnić. Mogłam być w Lublinie kontynuować przerwane studia medyczne, zaliczano nam kursy ukończone w getcie i miałam szansę zostać przyjęta na 3-ci rok medycyny. To prawda, że mając starą matkę na utrzymaniu, musiałam zarabiać. Ale mogłam przecież być dostać stypendium i jakoś przetrwać dwa lata studiów. Jeśli tego nie uczyniłam, to po prostu dlatego, że rozsmakowałam się w dziennikarstwie radiowym i że szukałam tylko wewnętrznych pretekstów, by usprawiedliwić moją decyzję.

Później, a zwłaszcza w 1956, doszłam do wniosku, że gdybym wybrała medycynę, mogłabym pomagać ludziom w ich cierpieniach, nie przeżyłabym tylu kryzysów sumienia i nie byłabym narzędziem w ręku tych, którzy zmuszali mnie do oszukiwania innych, co jednak mnie samą bynajmniej nie zwalnia od odpo-

wiedzialności. Miałabym na pewno bardziej ustabilizowane życie. Ale mimo tych wszystkich doświadczeń, gdyby mi drugi raz przyszło wybierać, też bym się pewnie nie zawahała. Między innymi dlatego, że rozpoczęłam pracę dziennikarską w pełnej koleżeństwu atmosferze Lublina i Krakowa i że ten okres przede wszystkim zostanie mi w pamięci.

Wtedy też nawiązały się prawdziwe przyjaźnie. Nigdy nie zdobędę się na pełny obiektywizm wobec tych kolegów i — mimo tego, że życie nas rozdzieliło, mają oni specjalne miejsce w moim sercu.

W kilka lat później, w pełnym okresie stalinowskiego procesu czarownic, zdradziliśmy wszyscy Janka Mietkowskiego. Wyrzucano go z partii pod pretekstem, iż zataił fakt, że ojciec jego był granatowym policjantem w Wilnie. W istocie świetnie o tym wiedzieliśmy, Janek niejednokrotnie o tym mówił i śmiał się z drobnomieszczańskich nawyków swej rodziny. Zresztą Janek, samodzielnie myślący chłopak, wcześniej zerwał z domem rodzicielskim. Jego udział w partyzantce Akowskiej stał się powodem tego sądu nad nim. Nie obroniliśmy go wtedy, ani ja, ani Zbyszek, ani sam Billig. Nawet bardzo nie staraliśmy się zresztą. Janek — ku naszemu wstydkowi — zrozumiał to. Usunięto go na boczny tor, dając mu jakieś zajęcie w redakcji literackiej. Z radia go nie wyrzucano, chyba ze względu na jego wyjątkową uczciwość i nieprzeciętne zdolności. Janek zresztą czasu nie zmarnował i ukończył wyższe studia. I nigdy nie ujawnił swego żalu do nas choć, rzecz jasna, o przyjaźni nie mogło już być mowy.

Myślę, że nad tą decyzją najbardziej cierpiał Zbyszek Lipiński, jakkolwiek usunięcie Janka, w którego cieniu pozostawał, umożliwiło mu zrobienie własnej „kariery”. Jest jednym z nielicznych pierwszych pracowników, który nie tylko pozostał w radio, ale jest dziś naczelnym redaktorem politycznym. Bardzo realistyczny, bez specjalnego polotu Poznaniak, ma wszystkie cechy dobrego organizatora. Moim zdaniem zawdzięcza swą karierę temu, że był i jest chyba nadal doskonałym wykonawcą i umie współżyć ze swymi zwierzchnikami. Nie znaczy to, by Zbyszek nie miał swego własnego i bardzo trzeźwego sądu o wydarzeniach. Wiedział on zawsze lepiej od innych, jakie są prawdziwe nastroje społeczeństwa i posiadał duży umiar, Zbyszek ma zresztą jeszcze jedną zaletę: nie wykazuje nigdy wobec kolegów swej przewagi, czy większej mądrości. Wykonuje po prostu powierzone mu zadania i chce, by jego współpracownicy go zrozumieli.

Jedno tylko wydarzenie zakłóciło ten krakowski okres. Uczestniczyliśmy w nim jako przypadkowi widzowie. Miało ono

jedną dobrą stroną. Uświadomiło nam, że wojna jeszcze trwa.

Jedliśmy z Jankiem i ze Zbyszkim kolację w hotelu Francuskim. Przysiadł się do nas Jerzy Putrament z ówczesną kandydatką na kolejną żonę, Zofią Bystrzycką. Kto nie pamięta Jerzego Putramenta z tego okresu, z wiecznie rozczochraną czupryną i w zdecydowanie za długim płaszczu wojskowym? Z biegiem czasu, gdy śledziłam jego działalność i literacką i polityczną, doszłam do wniosku, że moje pierwsze wrażenie o nim było słuszne. Jest to prawdziwe *enfant terrible*, w którym o pierwszeństwo walczą fantazja i silnie rozwinięty *esprit de contradiction*. Dlatego nigdy nie wiadomo z jaką teorią wystąpi na zebraniu literatów i jakiej pozycji będzie bronił.

Wtedy jednak była mowa o tym co zjemy na kolację. Siedziałam naprzeciwko okna, ale właśnie Putrament powiedział, że trzeba, bym się przesiadła, żeby był przeplataniec, a nie kobiety osobno. Ledwie zdążyłam zająć nowe miejsce gdy rozległ się przeraźliwy huk, odłamki szkła posypały się na stolik, a Putrament, jak lalka, osunął się na podłogę. Było to tak niespodziewane, że aż nierealne, nikt z nas nie mógł wydobyć z siebie głosu. Dopiero po chwili ujrzeliśmy, że Putrament jest ranny w ramię. Ktoś do niego strzelił przez okno.

Okazało się, że był to super-wyczyn czujności pijanego milicjanta. W Krakowie obowiązywała wtedy godzina policyjna. Pijany milicjant zobaczył wychodzącego z hotelu człowieka. Wystrzelił dwa razy i zranił dwie osoby. Zdaje się, że milicjanta aresztowano i po paru dniach wypuszczono na wolność. Podobno uciekł potem gdzieś do Ameryki Południowej.

Z Krakowa pojechaliśmy do Katowic. Miasto nie było zniszczone i uruchomienie rozgłośni nie było trudne. Zostaliśmy więc tylko parę tygodni. W Katowicach rozstaliśmy się z Adamem Kostaszukiem, który objął stanowisko dyrektora rozgłośni. Przypuszczam, że w ten sposób wyrządzono największą krzywdę życiową temu bardzo prymitywnemu, ale niezłemu chłopakowi. Woda sodowa władzy szybko uderzyła mu do głowy. Przyzwyczał się po prostu do tego, że jest dygnitarzem, wykazując przy tym nieprawdopodobną naiwność. Kiedy zajmował potem analogiczne stanowisko w Poznaniu, wszyscy w mieście śmieli się, że fryzjer przychodzi go golić do radia.

Kiedy jednak zrozumiano, że Adam nie może sprostać zadaniu dyrektora rozgłośni, i kiedy przeniesiono go do Warszawy, gdzie został kierownikiem zupełnie zresztą niepotrzebnej redakcji kontrolnej, Adam stał się wzruszającą postacią. Zabrał się do nauki, czytał wszelkie możliwe książki szukając wokół potwierdzenia

słuszności świeżo nabytych wiadomości. Takich przykładów Adama nie mało było w powojennym okresie.

W Katowicach skończyła się nasza pionierska wyprawa. Nadeszła wreszcie upragniona chwila. Jechaliśmy do Warszawy.

R o z d z i a ł VII

Był kwiecień 1945 roku. Gdy nasze Willysy dojeżdżały do stolicy w powietrzu czuło się wiosnę. Prysnał nastrój podniecenia, którym podtrzymywaliśmy się całą drogą. Bo każdemu z nas bardzo się do Warszawy śpieszyło. Billigowi, żeby jak najszybciej na falach eteru popłynęły słowa: Tu mówi Polskie Radio, Warszawa... A nam śpieszno było do konfrontacji naszych wspomnień, naszego wyobrażenia o Warszawie z tym, co pozostało. Lepiej już poznać najgorszą prawdę, niż żyć w niepewności...

Wszystkie urzędy i instytucje mieściły się wówczas na Pradze. Na tej biednej, brudnej, poharatanej działaniami wojennymi prawobrzeżnej części stolicy, która udzielała każdemu gościny. Trudno powiedzieć, ile osób gnieździło się w każdej izbie praskich mieszkań i jakie sceny rozgrywały się za załatanymi dyktą oknami. Ale na pewno Praga należała w tym okresie do jednego z najbardziej przeludnionych miast Europy. Ludzie przedostawali się przez ruiny dworców i fabryk, żeby kupić coś z żywności. Chłopi z okolicznych wsi zaczęli przywozić swe towary. Życie każdego miasta, czy to w Europie, czy w Azji, poznaje się na targu. A tam Praga tętniła życiem.

W jakiś bardzo swoisty sposób, przypominający epokę kamienia łupanego i człowieka jaskiniowego, żyła też Warszawa. Wąziutkim mostem pontonowym przeprawialiśmy się wtedy na lewy brzeg Wisły. Pierwsze wrażenie było wstrząsające: Warszawy po prostu nie było. W żaden sposób nie można się było zorientować, jaka tu kiedyś mieściła się ulica. Istne góry gruzów, wśród których szło się ścieżkami, wydeptanymi przez pierwszych odważnych. Spacer przekształcał się w karkołomny alpinizm. Ten fizyczny wysiłek miał jednak swoją dobrą stronę: nie

pozwalał rozrzewniać się nad przeszłością — zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym, zmuszał do marszu naprzód, żeby tylko wydostać się z tych ruin i gruzów na jakąś możliwą drogę.

Plac Zamkowy bez kolumny Zygmunta — to tak jak ludzki organizm bez serca. Z Zamku pozostały ruiny. Znowu wzgórze do pokonania. Ktoś mówi, że tu była Katedra św. Jana. Rynek Starego Miasta straszyl wyszczerzonymi oczodołami pustych okien. Jedynym znakiem życia były zgłodniałe gołębie. I znowu trzeba było się wspinać, uważać na miny — zdarzały się niestety śmiertelne wypadki — schodzić w dół, skakać przez leje i rowy.

Na dawnym roku Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich można było dopiero zobaczyć ludzi. Rozsiadł się tu istny Kercelak. Każdy sprzedawał lub wymieniał, to co miał: jakieś stare garnki, ubrania, przedmioty które chyba nikomu nie były potrzebne. Ale ten handel był dowodem, że istnieje życie. Albo napis na ruinach ze strzałką: kawiarnia. Takie bardzo warszawskie, że aż rozczulające. Gdzieś, na zawalonym gruzami podwórzu, ocalała oficyna. I tam właśnie ustawiono żelazny piecyk i sprzedawano czarnego koloru napój, który znajdował zresztą wielu amatorów.

Odbudowa Warszawy nie potrzebuje reklamy. Cały świat ją podziwia. Nie raz oprowadzałam cudzoziemców po stolicy, pokazując, to co odbudowano i tłumacząc plany rozbudowy. Ale wydaje mi się, że trudno ocenić ten istny cud, który się zdarzył nad Wisłą, jeśli nie widziało się stolicy w 1945 roku. A że pamięć ludzka jest zawodna, więc i ja sama, która to widziałam, która to przeżywałam, musiałam przywołać z pewnym wysiłkiem te wspomnienia, gdy zwiedziłam w kilka lat później odbudowaną Starówkę.

Warszawę przywrócili do życia jej mieszkańcy: ci wszyscy ludzie, którzy wbrew, albo co więcej, na przekór, rozsądkowi za puścili korzenie wśród stosu kamieni. Kiedy władze powzięły decyzję, że Warszawa była, jest i będzie stolicą Polski, miasto już żyło. Ale niemniej była to decyzja bohaterska. Tak, jak początkowo bohaterstwem było realizowanie każdego jej etapu: i odbudowa mostu Poniatowskiego, przez który przeciągały ciężarówki „na Pragę”, i pierwszy tramwaj i woda, która popłynęła z kranów.

Potem można już dyskutować, czy plany odbudowy Warszawy były słuszne, czy błędne, czy nie wprowadzono w wielu dzielnicach stylu, obcego polskiej architekturze. Na pewno popełniono błędy. Za podstawowy uważam fakt, że w każdym dużym mieście należy najpierw rozbudować środki transportu i sieć komunikacyjną, a później dopiero, w zależności od tego rozwiązania, planować nowe dzielnice mieszkaniowe. Ponieważ zapomniano

o tym, więc malownicze „winogrona” ludzkie, wiszące w godzinach „szczytu” przy tramwajach, dają cudzoziemcom zwiedzającym Warszawę, nastrój nadwiślańskiego egzotyizmu. Bo gigantyczne, niemal „mocarstwowe” plany budowy metra, nad którymi przez lata toczyła się jałowa dyskusja, od pierwszej chwili przerastały nasze możliwości.

Na pewno za bardzo koncentrowano się na fasadowości, zapominając o tym, że w zbyt bogato ozdobionych murach będą ludzie, którzy powinni mieć jak największy użytek ze swoich mieszkań.

Na pewno niektóre dzielnice mieszkaniowe przypominają jakieś koszary i nie mają żadnej indywidualności. Są po prostu brzydkie. Ale, kiedy rozchodziło się o zaspokojenie straszego głodu mieszkaniowego, starano się jak najszybciej i jak najtaniej dać ludziom jakikolwiek dach nad głową.

No i na pewno popełniono duży błąd, godząc się na budowę Pałacu Kultury. Decyzja w tej sprawie była zresztą polską nadgorliwością stalinowskiego okresu. Związek Sowiecki zaproponował nam wówczas albo budowę dzielnicy mieszkaniowej, albo ów nieszczęsny przedmiot niezliczonych warszawskich dowcipów. To my wybraliśmy Pałac Kultury z którego, praktycznie rzecz biorąc, nie mamy żadnego użytku. Ma on jednak dobrą stronę: widać go z odległości dobrych kilkunastu kilometrów od stolicy. Jest on takim znakiem orientacyjnym, jakim dla Paryża jest wieża Eiffla, o której urodzie też można by podyskutować...

Dzisiejsza Warszawa, chociaż posiada „Bristol” i hotel Europejski, chociaż widzowie chodzą już do odbudowanej opery, chociaż będzie miała „Adrię” z kręcącym się parkietem, jak „za dawnych, dobrych czasów”, nie przypomina nawet ciotecznej siostry przedwojennej stolicy. Mury z tak wielkim pietyzmem odbudowanego Starego Miasta nie pokryły się jeszcze patyną i mówią o jego niedawnym zmartwychwstaniu. Nowy Świat jest na pewno bardziej harmonijny architektonicznie. Szersze arterie, niezbędne w wieku motoryzacji są bardziej użyteczne i — można mieć słabą nadzieję że, przy pewnej dyscyplinie Warszawiaków, uchronią stolicę przed istniejącym na Zachodzie przekleństwem „korków” samochodowych.

No, więc Warszawa, jak każde inne miasto, jak Paryż na przykład, jest i piękna i brzydka. Ale, nawet ta powojenna, ma swój wdzięk i wielki urok. Stare to porównanie miasta do kobiety. Jeśli więc je powtarzam to po to, żeby wykazać, że jak w dobie mody Courrage’a nie ma właściwie kobiet pięknych, tylko są takie, które potrafią nadać sobie pewien styl, tak i nowa Warszawa, ta wysiłkiem ludzi z popiołów zmartwychwstała —

potrafiła sobie — w jakże trudnych okolicznościach — ten styl wytworzyć. Jest stolicą państwa demokracji ludowej, ale jest tak bardzo polska i światowa zarazem, że cudzoziemcy z Zachodu znajdują piwnice awangardowe, bardziej paryskie, niż te z Saint Germain, oddychają znaną im atmosferą i czują się „jak u siebie”. A to już jest wiele.



Wtedy jednak, w kwietniu 1945 roku, można było tylko powtórzyć słowa starej piosenki z powstania styczniowego:

*Wszędy Chwast i trawy
I nec locus ubi Troia z tej dawnej Warszawy
Ale byłem sam, widziałem, choć tęskniejsza,
żawa,
choć nie taka, jaką znałem, ale jest
Warszawa.*

I ta świadomość wystarczała, żeby nabrać otuchy. Radio mieściło się wówczas w czynszowej kamienicy przy ulicy Targowej, na Pradze. Redakcja polityczno-informacyjna znajdowała się w pomieszczeniu, które służyło chyba niegdyś za królestwo jakiejś dobrej warszawskiej kucharce. Salony przekształcono na studia. W każdym razie pełniły one tę rolę, do chwili, gdy nadawano program, ponieważ w nocy były... sypialniami bezdomnych pracowników. W centralnym studio mieszkali przez dłuższy czas dwaj muzycy: Władysław Szpilman i Roman Jasiński. Byliśmy już tak przyzwyczajeni, że speakerzy wręcz z zażenowaniem budzili dwóch lokatorów, by rozpocząć poranny program.

Kadry radiowe rozrastały się z dnia na dzień. Zgłaszali się starzy pracownicy, między innymi bożyszczce przedwojennych słuchaczek, Tadeusz Bocheński, czy sprawozdawca sportowy Witold Dobrowolski. Przychodzili znani dziennikarze, jak Henryk Lukrec. I defilada wychudzonych, wymęczonych ludzi. Niektórzy w pasiakach, bo nie mieli innych ubrań. To byli pierwsi więźniowie, wracający z obozów koncentracyjnych, którym śpieszno było do odnalezienia swego miejsca w życiu...

Starałam się wtedy nawiązać kontakty przerwane z chwilą gdy powstanie zaskoczyło mnie w Rembertowie. Moi koledzy z Dzwonkowej kontynuowali pracę w fabryce i uruchamiali ją teraz dla Polski. Ucieszyli się z mego przyjscia, ale należałam w ich oczach do innego świata. Pani Sokołowska czekała na powrót dwóch córek. Dodacki i Dybowski zajęli postawę pełną wyczeki-

wania, nie zachwyciła ich wiadomość, że pracuję w radio. Zrozumiałam, że tamten etap życia jest definitywnie zakończony.

W połowie kwietnia, w kilka dni po naszym przyjeździe do Warszawy, zaczęło się sowieckie uderzenie znad Odry. Wynik wojny był przesądzony.

1-szy maja święciliśmy na Placu Teatralnym. Droga przez ruiny i czyjeś przemówienie, z którego nic nie pamiętam. Tego dnia nadeszła wiadomość o samobójstwie Hitlera. I bardzo szybka refleksja, że nie ma sprawiedliwości, skoro twórca tej całej maszyny piekielnej, człowiek, który uśmiercił miliony ludzi i skazał własny naród na upokorzenie — tak łatwo uniknął sądu i kary. Dlatego nie mogłam się nawet cieszyć, że cała Rzesza dogorywała ze swym Führerem.

9-ty maja. Wojna się skończyła. Cały dzień pracowałam. Przez okno widziałam na ulicy tłumy ludzi, którzy, na przemian całowali się i płakali. Kiedy wieczorem wracałam do domu, miastem wstrząsał huk. Strzelano z rewolwerów, z pepesz, chyba ze wszystkich rodzajów broni. Było bardzo głośno. Za hałaśliwie jak na mój gust.

Rozdział VIII

Wielka, wojenna improwizacja skończyła się. Trzeba było teraz budować, tak w skali ogólnej jak i indywidualnej, podstawy swej egzystencji. Nie miałam właściwie żadnych kwalifikacji zawodowych. Zdawałam sobie sprawę, że to, co było dobre w warunkach wojennych, nie ostanie się, gdy życie zacznie toczyć się normalnie. Z jednej strony należało opanować lepiej technikę dziennikarstwa radiowego, wejść w arkana nagrań i montaży. Z drugiej strony — trzeba było zdobyć wyższe wykształcenie. Wiedziałam, że wcześniej, czy później niezbędny stanie się dyplom uniwersytecki. Nie można przecież żyć wyłącznie na rachunek „zasług” wojennych, które, w większym lub mniejszym stopniu były dziełem przypadku. Ci, którzy wybrali tę drogę przez lenistwo, czy po prostu zmęczenie, zapłacili za to rozgoryczeniem. Zostali usunięci ze swych stanowisk przez nowych, wykwalifikowanych ludzi.

Radio rozrastało się teraz w szybkim tempie. Przenieśliśmy się z Pragi, na Koszykową, do gmachu, który odebrało nam później Ministerstwo Bezpieczeństwa. Wyemigrowaliśmy wtedy do przemiłego pałacyku przy ulicy Myśliwieckiej, położonego w pobliżu Łazienek. I wreszcie, po październiku, my z kolei dziedziaczyliśmy wielki gmach, budowany dla potrzeb Bezpieki na Mokotowie przy ulicy Malczewskiego. Jest on bardzo duży i raczej nieprzyjemny. Zwłaszcza wtedy, gdy natrafia się na okratowane piwnice, które miały być przeznaczone na przesłuchiwanie ludzi...

Porzuciłam wtedy pracę w nasłuchu, przechodząc do redakcji polityczno-informacyjnej, a ściślej do wiadomości dziennika radiowego. Zapisałam się w 1945 roku na Wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego. Praca rotacyjna w dzienniku umożliwiła mi

równoczesne studia, ponieważ po nocnym dyżurze miałam dwa wolne dni, podczas, których mogłam chodzić na wykłady.

Redagowanie dziennika nie wymagało zbyt dużego wysiłku. Naszym źródłem informacji był PAP, oficjalna agencja prasowa, oraz wiadomości nasłuchu. O wiele bardziej interesowały mnie wiadomości zagraniczne. Te z kraju, choć wiele się wówczas działo i choć każdy dzień przynosił coś nowego, były trudniejsze do przekazywania w interesującej formie. Może dlatego, że przywykliśmy podawać je w utartej i nudnej sztamie, przypominającej wiadomości radia moskiewskiego. Powszechny entuzjazm pracy, takie to zobowiązania robotnicze, przekroczenie planu, obowiązkowo przed terminem, w tyłu i tyłu procentach... Najzdolniejsi dziennikarze nie byli w stanie dorobić do tego żadnej poezji.

A w istocie rzeczy życie tych pierwszych trzech lat powojennych pełne było swoistego patosu. Kraj zaczął się podnosić z ruin. Wszyscy, bez względu na przekonania i przeszłość polityczną, brali w tej pracy wtedy czynny udział. Tak, jak każdy Warszawianin uważał za swój święty obowiązek odrzucić choćby kilka cegieł z rozwalonych ulic, tak w całej Polsce ex-właściciele fabryk i robotnicy stawali ramię przy ramieniu, by uruchomić ich zakład. Znam byłych Akowców, którzy zajmowali wtedy odpowiedzialne a nawet kierownicze stanowiska w radio i w życiu kraju.

Każdy dzień dostarczał przykładów tego entuzjazmu. Opiszę jeden z nich, by w ten sposób złożyć najgłębszy hołd szlachetnemu człowiekowi, z którym miałam szczęście zetknąć się w pracy w tych pierwszych powojennych latach.

Henryk Wachsberger, przedwojenny dziennikarz z Krakowa, nie miał fizycznego wyglądu bohatera. Był przesadnie skromny, nie wysuwał się nigdy na pierwszy plan, i miało się często wrażenie, iż wstydzi się tego, że żyje i innym zabiera miejsce. Losy wojny rzuciły go na teren Związku Sowieckiego. Zaciągnął się wtedy do polskiej armii i w czasie bitew wykazał ogromną odwagę, która przyniosła mu szlify oficerskie. Henryk nie lubił opowiadać o tym okresie swego życia. Walczył przeciw faszystom, którzy wymordowali całą jego rodzinę i było mu obojętne, że jest to wojsko, utworzone przez komunistów, których Henryk z całą pewnością nie lubił. Był on typem przedwojennego liberała-intelektualisty.

Po wojnie wrócił do dziennikarstwa, nie starając się zdyskontować swych wojennych zasług. Wręcz przeciwnie, ten doskonały fachowiec usunął się na boczny tor, chcąc po prostu zarobić tyle, by żyć. Redagował więc wiadomości z kraju w dzienniku radiowym — byliśmy w jednej ekipie — i współpracował z „Expres-

sem Wieczornym”, redagowanym wtedy z rozmachem przez Rafała Pragę.

Mieliśmy kiedyś z Henrykiem nocny dyżur i dyrektor Billig dokonał przeglądu redakcji. Można sobie wyobrazić jego zdumienie, gdy spotkał swego przełożonego z wojska, Henryka Wachsbegera, który zajmował nic nie znaczące stanowisko w kierowanej przez niego instytucji. I który nie dał mu nawet znać, że pracuje w Radio. Obydwaj, i Billig i Henryk, byli bardzo zażenowani. Miałam jednak wrażenie, że to Henryk wstydzi się, iż „odkryto” jego przeszłość.

Przyszło kiedyś zawiadomienie, iż pracownicy radia mają odgruzować jakąś ulicę. Nie był to rozkaz, jak zdarzało się w późniejszych latach, lecz po prostu apel do dobrej woli. Henryk cierpiał na serce, podejrzewaliśmy anginę pectoris, więc odradziłam mu pójście do tej pracy. Nie usłuchał. Przez cały dzień dźwigał ciężkie kamienie, wykazując o wiele więcej wytrzymałości, niż młodzi i zdrowi chłopcy. Kilka dni później zachorował. Mieszkał w pokoju sublokatorskim przy placu Narutowicza. Odwiedzałam go codziennie, przynosząc żywność i zmuszając go do przestrzegania przepisów lekarza. Niestety, wszystkie wysiłki szły na marne. Henryk chyba nie miał ochoty żyć. Gaś z dnia na dzień. Umarł tak jak żył, anonimowo, pozostawiając dwa listy. Jeden do siostry w Izraelu. Drugi do kobiety, którą na swój idealistyczny sposób bardzo kochał, a która była zamężna.

Pomnik na jego grobie postawił mu serdeczny przyjaciel, uczestnik francuskiego ruchu oporu, odznaczony wieloma medalami, Tadeusz Rubach. W czasach stalinizmu kazano mu płacić wieloma upokorzeniami za walkę z hitlerowcami w zachodnim kraju. Tadeusz wiele wycierpiał, zanim dostał się do dyplomacji. Był przez 3 lata pierwszym sekretarzem polskiej ambasady w Indiach. Wraz z wiekiem rozwinęło się w nim dążenie do spokojnego życia. Pewnie dlatego unikał mnie, wymienialiśmy banalne słowa na coctailach dyplomatycznych. Ale przecież czasem spotykało się nasze spojrzenie i wiedziałam, że odżywa wtedy wspomnienie Henryka, człowieka, który nie potrafił żyć w naszych trudnych i skomplikowanych czasach.



Życie w Polsce stabilizowało się w szybkim tempie. W maju 1945 Rząd Tymczasowy przekształcił się w Rząd Jedności Narodowej, przyjmując w swój skład kilku ministrów rządu londyńskiego. Jednym z wicepremierów został wtedy Mikołajczyk. W ten sposób zrealizowano umowy jałtańskie. Warto je może przypo-

mnieć. Geograficznie nowa Polska miała się zamknąć w granicach od Bugu do Odry i Nysy. W zamian za tereny, które musieliśmy oddać Związkowi Sowieckiemu, otrzymaliśmy bogate polniemieckie tereny na Ziemiach Zachodnich z Wrocławiem i Szczecinem. Politycznie — wielkie mocarstwa wyraziły zgodę, by kraj był rządzony przez „przyjaciół Związku Radzieckiego”, czyli, mówiąc wyraźnie przez komunistów i tych socjalistów, którzy godzili się na współpracę z nimi. Z tym jednak warunkiem, że do rządu miała wejść pewna ograniczona liczba ministrów rządu londyńskiego. Ta liczba — jedna trzecia członków gabinetu — miała symbolizować zasięg wpływów, jakie państwa zachodnie chciały w Polsce zachować, pozostawiając 70 procent Związkowi Sowieckiemu.

Można oczywiście dyskutować nad słusznością tych zasad, na podstawie których „załatwiono” sprawę polską i podzielono powojenną Europę. Ale fakt pozostaje faktem, że państwa zachodnie po dzień dzisiejszy pozostały wierne tym postanowieniom, co więcej, że z biegiem czasu zrezygnowały nawet ze swych symbolicznych wpływów we wschodniej Europie. Kto miał na ten temat jakiegokolwiek wątpliwości, musiał się ich wyzbyć w okresie rewolucji węgierskiej, gdy Stany Zjednoczone nie zamierzały pomóc Węgrom, bo nie chciały zmienić istniejącego układu sił.

A faktem jest, że wątpliwości takie wówczas istniały i że, co więcej, usiłowano je rozbudzić. Teren do takiego działania był stosunkowo podatny, zwłaszcza w środowiskach społecznych, nastawionych wrogo i do Związku Sowieckiego i do komunizmu. Ale nie tylko chodziło o przedstawicieli dawnej arystokracji, czy wielkiej burżuazji. Charakterystyczną cechą Polaka jest i pozostanie duma narodowa. Jeden z kolegów, który często jeździł w teren opowiadał jako dowcip taki oto autentyczny wypadek. W jednej wsi koło Białegostoku odbywało się duże zebranie, na którym starano się wytłumaczyć chłopom charakter nowego państwa. Po kilku przemówieniach delegatów z Warszawy, na trybunę wstąpił sekretarz organizacji partyjnej z Białegostoku i w takich oto słowach przekazał zebranim to, co zrozumiał: Tak, towarzysze, jestem za Polską Ludową, za Polską robotników i chłopów, za Polską socjalistyczną, za mocarstwową Polską od morza do morza...”

A że ten mit mocarstwowości zakorzeniony był głęboko w polskich umysłach, więc łatwo było saczyć propagandę, że to wszystko, co powstało w wyniku wojny jest tylko przejściową formą „okupacji sowieckiej” i że kiedyś przyjdzie wyzwolenie. Szeptano po kawiarniach, jakże to będzie pięknie, gdy generał Anders na białym koniu do stolicy przyjedzie... Ponieważ bar-

dziej realistyczni „plotkarze” zdawali sobie sprawę, iż w tym okresie same legiony Andersa mogłyby okazać się za słabe wobec armii sowieckiej, więc kierowali nadzieje ludzi ku tej ukochanej, demokratycznej, bogatej i potężnej Ameryce. Wątpię, czy ci wszyscy, którzy wzdychali do takiego rozwiązania, zdawali sobie sprawę, że oznacza ono w istocie nową wojnę i tym razem z użyciem bomby atomowej.

Zbierałam bogaty plon tej „szeptanej propagandy” gdy brałam czynny udział w kampanii przed referendum. A gdy spokojnie przedstawiałam swoje argumenty, dodając, że w wypadku nowego konfliktu między wielkimi mocarstwami nie trzeba już będzie martwić się o przyszłość Polski, bo prawdopodobnie pozostałyby z niej ruiny, moi rozmówcy patrzyli na mnie z niekłamnym zdziwieniem. To im w ogóle nie przeszło przez głowę...

Uważam wtedy i nadal podzielam ten pogląd, że każdy, kto zechce walczyć przeciw uchwałom Jałty i Poczdamu, musi się rozbić o twarde skały realiów politycznych w podzielonej po wojnie Europie. A zatem, na mapie naszego kontynentu, w takiej konstelacji, może istnieć tylko socjalistyczna Polska. Cały problem sprowadza się do tego, jak ten socjalizm ma w praktyce wyglądać. Chodzi o to, by był on jak najbardziej polski, uwzględniał tradycje, potrzeby, możliwości naszego kraju. Chodzi o to, by był on jak najbardziej ludzki, by przyniósł jak najlepsze warunki życia jednostkom, dobrobyt całemu krajowi, wolność wszystkim obywatelom. A walka o te sprawy, jak wykazały następne lata, nie jest bynajmniej ani prosta, ani łatwa...

Jedna z głębokich trudności, w każdym razie zaraz po wojnie, polegała na tym, że w Polsce katolickiej i nacjonalistycznej, ludzie nie chcieli, czy nie byli w stanie tego zrozumieć. Gdyby jeszcze można im było wytłumaczyć szczerze całą sytuację i powiedzieć po prostu: Polska znajduje się między Niemcami i Rosją. Związek Sowiecki w sojuszu z mocarstwami zachodnimi wygrał tę wojnę i, za wspólnym porozumieniem, uzyskał wpływy nad połową naszego kontynentu. W zasięgu jego wpływów pozostaje nasz kraj. Wiemy dobrze, że nie kochacie Związku Sowieckiego i tych uczuć nie da się usunąć z dnia na dzień. Ale bądźcie trochę realistami: nie mamy możliwości przenieść Polski na inną planetę. Więc pomóżcie trochę pracą, mamy tyle do zrobienia na własnym podwórku.

Można jeszcze było grać na antyniemieckich uczuciach Polaków, dla których Niemcy pozostali zniechodzonymi „szkopami”, czy „szwabami”. Ale to także daleko nie prowadziło, bo należało przecież jakoś ułożyć współzycie z naszym drugim sąsiadem Niemiecką Republiką Demokratyczną. A w tej dziedzinie sprawa

jest jeszcze trudniejsza. Bo do dziś, Polacy nie są w stanie rozróżnić „dobrych” Niemców z NRD od tych „złych” z NRF. Niemiec pozostaje dla nas jeszcze potomkiem, jeśli nie gestapowca, to w każdym razie żołnierza Wehrmachtu, który okupował naszą ojczyznę.

Nikt jednak w pierwszych powojennych latach nie mówił prosto o tych sprawach. Używaliśmy mętnego, dyplomatycznego języka, niezrozumiałego dla większości społeczeństwa. Pierwszy raz ujął to zagadnienie szczerze dopiero Gomułka, już po październiku, stwierdzając, że Polska nie leży na kontynencie australijskim, i że jej sąsiedzi nie są spokojnymi pasterzami.

W lipcu 1945 roku konferencja Poczdamska ustaliła zachodnie granice Polski. Rozpoczęła się wielka i niełatwa kampania polityczna. Trzeba było wytłumaczyć ludziom, na czym to polega, trzeba było przekonać tych, którzy mieli się tam osiedlić, że choć rozumie się ich tęsknotę za rodzinną wioską czy rodzinnym miastem, nie tracą na tym, ale, że ich dzieci będą miały lepsze życie, niż na błotach Polesia. Łatwo jest o tym pisać, ale nie łatwo było wtedy mówić. Nie dlatego, bym nie wierzyła w słuszność tych decyzji, przeciwnie, uważam je za korzystne dla Polski, ale dlatego, że zainteresowani musieli wtedy bardziej kierować się uczuciem, aniżeli rozsądkiem. Dla nich Lwów, Wilno, całe kresy wschodnie, dlatego że utracone, stawały się ziemią obiecaną. Więc, starając się nie urazić tych ludzkich uczuć, trzeba było wynajdować argumenty: historyczne, które do nich zresztą nie docierały, gospodarcze, o których dopiero przyszłość mogła ich przekonać. I nie bez powodu Władysław Gomułka został wtedy ministrem Ziem Odzyskanych. Dokonał wielkiej pracy, by je zagospodarować.

W tych trudnych warunkach trzeba było wreszcie stworzyć podstawy socjalizmu, podstawy nowej państwowości polskiej.

6 grudnia 1945 roku w Warszawie, w sali kina „Roma”, która ocalała szczęśliwie, odbył się pierwszy kongres PPR. Bohaterem jego był bezsprzecznie Gomułka, który przedstawił swą koncepcję własnej drogi do socjalizmu. Mózgiem ekonomicznym stał się Hilary Minc, autor trzysektorowej gospodarki polskiej, państwowej, spółdzielczej i prywatnej. Zapewniono uroczyste z trybuny tego kongresu, że w Polsce nie może być mowy o kolektywizacji rolnictwa bez zgody zainteresowanych i w takiej formie jak ma to miejsce w kraju naszego wschodniego sąsiada.

Pod tak liberalnym programem, odpowiadającym potrzebom zniszczonej Polski mogli podpisać się także socjaliści — członkowie PPS. Premierem jest nadal ich przedstawiciel Edward Osóbka-Morawski. Jakże go scharakteryzować? Na pewno czło-

wiek uczciwy i na pewno chciał uczynić z PPS ważną siłę polityczną. Rzecz w tym jednak, że nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. Osóbka-Morawski zdecydowanie nie nadawał się do roli premiera. Raz ulegał wszelkim wpływom i naciskom, by potem stawiać zacięty opór, bez pokrycia. Tysiące dowcipów, związanych z jego nazwiskiem „osóbka” krążyło wtedy w kraju. Zgodnie z ogólną opinią, mógł pracować przy otwartym oknie „nie orzeł, nie wyleci”...

Z drugiej strony jego pozycja, jak zresztą wszystkich socjalistów, nie była łatwa. Przywódcy PPS znajdowali się na emigracji i byli członkami rządu londyńskiego. Tylko jeden z nich, Jan Stańczyk, był ministrem Rządu Jedności Narodowej. W kraju pozostali młodzi aktywiści. Co więcej, w nowych warunkach historycznych, PPS musiała zmienić swą politykę. Historycznie była to partia walcząca z caratem i te tradycje antyrosyjskie były w niej mocno zakorzenione. Jeśli więc chciała zdobyć sobie miejsce w owej rzeczywistości, musiała iść na współpracę z PPR, zachowując jedynie swe tradycje intelektualne.

Sądząc po moim własnym doświadczeniu, socjaliści mieli głębszą kulturę i wykształcenie aniżeli członkowie PPR. Mieli takich ludzi, jak Oskar Lange, Julian Hochfeld, czy Adam Rapacki. Nawet już po zjednoczeniu, można było bez trudu zorientować się, do jakiej partii mój rozmówca należał poprzednio. Nie tyle może nawet po wykształceniu, ile po zdolności do samodzielnego myślenia, nie opartego na podawanych z góry dogmatach.

Wtedy na pierwsze miejsce wysunął się młody i niezwykle zdolny polityk, ówczesny sekretarz PPS, Józef Cyrankiewicz, który w tych czasach był w dodatku bardzo przystojny i miał duże powodzenie u kobiet.

Niesposób w tym miejscu nie pokusić się o naszkicowanie portretu tego — moim zdaniem — nieprzeciętnego polityka. Został premierem Polski w 1947 roku i piastuje ten urząd — nie licząc krótkiego okresu w latach 1952-54, kiedy musiał przekazać go Bierutowi — po dzień dzisiejszy. Pobił w ten sposób swoisty rekord ciągłości władzy, utrzymuje się na stanowisku premiera przez blisko 20 lat. Jego przyjaciele i wrogowie muszą przyznać, że ten fenomen polityczny możliwy jest dzięki osobistym cechom Józefa Cyrankiewicza: zdolnościom, giętkości, zręczności i głębokiej inteligencji.

Gdy 35-letni Józef Cyrankiewicz stanął na czele rządu w 1947 roku, był najmłodszym na świecie premierem. Pamiętam go z tego okresu jako wysokiego, szczupłego i bardzo przystojnego mężczyznę. Ci, którzy mają z nim dziś kontakt widzą przed sobą postawnego, reprezentacyjnego, tęgiego pana w kwiecie

męskiego wieku. Poznać po jego twarzy, że nie obce mu są do-
czesne przyjemności życia. Lubi kobiety, białe wino, które chęt-
nie zamienia na francuski koniak, lub polską wódkę. Jeśli chodzi
o jego zamiłowania do śpiewu, za mało go znam, by zabrać de-
cydujący głos w tej sprawie. Ale musiał być przez jakiś czas
amatorem teatru, skoro ożenił się z aktorką — Niną Andrycz.
Wiem na pewno, że bardzo lubi gaulloisy, których ma zawsze
duży zapas w zanadru i że nade wszystko uwielbia prowadzić
dobry, sportowy samochód. Rozwija przy kierownicy szybkość,
stojącą w jaskrawej sprzeczności z obowiązującymi w kraju prze-
pisami drogowymi, co z kolei naraża obywatela Cyrankiewicza
na drobne konflikty z pilnującą porządku polską milicją drogową.

Urok tego człowieka polega na tym, że nie jest zupełnie hi-
pokrytą. Przyznaje się otwarcie do swoich „grzechów głównych”.
Moim zdaniem nadaje to temu rasowemu politykowi cechy nor-
malnego, ulegającego swym słabościom człowieka. Czyni go bar-
dziej ludzkim dla rozmówcy. Można z nim mówić szczerze, nie
uderzając w górne c, pozostając samym sobą.

Oczywiście znajdują się tacy, którzy widzą w sposobie życia
Cyrankiewicza, używając ich partyjnego języka, „ideologiczne ob-
ciążenia jego pochodzenia społecznego”. Istotnie premier Polski
pochodzi z mieszczańskiego, inteligentckiego środowiska z Tarno-
wa. Sam jest typowym intelektualistą. I jeśli, dzięki swemu ta-
lentowi oratorskiemu potrafi porwać robotników, to łatwiej mu
jest chyba znaleźć wspólny język z dziennikarzami, literatami i
artystami. Niemniej jest rzeczą godną podkreślenia, że mimo
tego „kompromitującego” obciążenia, Cyrankiewicz nie popadł
nigdy w prawdziwą nieflaskę tych, którzy mogli mu to wyrzucić.
Uchronił się od wszystkich burz, które przeciw niemu rozpe-
tywano.

Historia życia Józefa Cyrankiewicza pokrywa się z historią
powojennej Polski. W czasie okupacji był więźniem dwóch
obozów koncentracyjnych: Oświęcimia i Mauthausen, gdzie orga-
nizował ruch oporu więźniów. Po wojnie, jako przywódca lewi-
cowego skrzydła PPS, dążył do współpracy z komunistami. Był
zwolennikiem nowej i bardziej realistycznej orientacji PPS w
Polsce. Został premierem w latach liberalnego socjalizmu Go-
mułki,

Przyпускаjąc, że tak jak dla każdego z nas, nie było dla
niego łatwą sprawą kontynuowanie tych funkcji w okresie stali-
nizmu. Trudno zresztą mówić za kogoś. Faktem jest, że Cyrankie-
wicz nie atakował Gomułki na III Plenum. Ważył każde słowo
w tym okresie. Socjaliści którzy pozostali na emigracji, zarzucali
mu zdradę i można zrozumieć ich punkt widzenia. Wiem jednak

z wiarygodnych źródeł — mówili mi o tym córka i przyjaciele Adama Próchnika — polskiego Jaurès — że w tym ponurym okresie Cyrankiewicz uratował wielu starych towarzyszy partyjnych. Ci, którzy go bronili, twierdzili nawet, że za cenę zachowania tych możliwości zgodził się kontynuować urząd premiera w Polsce stalinowskiej.

Cyrankiewicz pozostał u steru rządu, gdy w Polsce rozpoczęła się odwilż polityczna. Wydaje mi się, że był nie tylko jednym z jej zwolenników, ale i w pewnym sensie, organizatorów. W każdym razie był jednym z tych, którzy nie wahali się odkręcić śruby cenzury, by dopuścić do głosu intelektualistów. Nie ma przecież cudów: w kraju, gdzie brano pod lupę każde słowo, nie mógłby ukazać się „Poemat dla dorosłych” Ważyka, ani „Obroń Grenady” Brandysa, nie mogłaby odrodzić się prasa literacka, gdyby ktoś z „góry” na to nie pozwolił. Przypuszczam, że Cyrankiewicz zdawał sobie doskonale sprawę ze stanu napięcia i niezadowolenia społeczeństwa. Uważał może, że jeśli nie uchyli się hermetycznej pokrywy, wrzenie może rozsądzić cały garnek.

Potem, w okresie Poznania, Cyrankiewicz był jednym z nielicznych przywódców, który miał odwagę stanąć twarzą w twarz z robotnikami. Popęłił wtedy, moim zdaniem, największą niezręczność podczas swojej kariery, mówiąc o „odrabianiu tego ramienia, które wzniosło się przeciw władzy ludowej”. Ale zarazem, po powrocie z Poznania, Cyrankiewicz domagał się przeprowadzenia głębokiej analizy rozruchów robotniczych, odpięając argumenty tych, którzy chcieli załatwić sprawę kilkoma słoganami o wrogiej działalności imperialistów i ich agentów.

Po Październiku i dojściu Gomułki do władzy, Cyrankiewicz jest konsekwentnym zwolennikiem demokratyzacji i ograniczonej, odgórnie kierowanej liberalizacji życia w Polsce. Wziął też na siebie rolę mecenasa inteligentów, którzy mogą zawsze wypłakać swe gorzkie żale w jego gabinecie i znaleźć — jeśli nie poparcie swych żądań — to w każdym razie milczące zrozumienie.

Trzeba doprawdy niespożytego talentu politycznego, by przejść obronną ręką przez te wszystkie etapy, bez popełnienia rażących błędów i gaff. Oportunista, człowiek bez kośćca i zasad moralnych — mówią jego przeciwnicy. Ale od kiedy to szlachetny charakter jest główną zaletą polityka? Znając nieco arkana tej „brudnej” dziedziny, na całym świecie w krajach socjalistycznych, kapitalistycznych i takich, jak Indie, nie wysuwałabym na pierwsze miejsce tych kryteriów oceny. Wolę zdecydowanie zręcznego polityka, który działa dla dobra swego kraju, przysparzając mu prestiżu, od szlachetnego ale ograniczonego pocziwiny.

A premier Józef Cyrankiewicz, godnie reprezentuje Polskę w oczach świata. W tej dziedzinie miałam z nim zresztą najczęstszy kontakt. Kiedy rozmawiał z zagranicznymi dziennikarzami, dając im z miejsca, bez namysłu, inteligentne riposty. Jeden z dziennikarzy francuskich zapytał go po referendum we Francji w sprawie Algierii, co sądzi o polityce De Gaulle'a. Odpowiedź Cyrankiewicza: „My dawno rozwiązaliśmy sprawę naszych granic. Życzę Francji, by potrafiła dokonać tego samego”.

W 1959 roku do Warszawy przyjechał wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Nixon, który chciał wygrać tę wizytę dla celów wyborczych. Z zupełnym brakiem taktu, rozdawał automatyczne ołówki z wyborczymi sloganami w Katedrze Świętego Jana. Uśmiechając się jak aktor filmowy, kazał się fotografować amerykańskim fotografom na ruinach warszawskiego getta. Absolutna prostota, *made in USA*, szkoda tylko że z takim bezkrytycznym entuzjazmem przyjmowana ze strony polskiej publiczności... Wieczorem, na przyjęciu w Ambasadzie Amerykańskiej wiceprezydent Nixon wygłosił przemówienie w tym samym duchu. Że bardzo kocha Polskę, bo jako mały chłopczyk grał już Szopena. Odpowiedział mu premier Cyrankiewicz, dając głęboką ocenę stosunków polsko-amerykańskich. A nawiązując do aluzji muzycznej powiedział: „mnie też od młodości uczono grać na fortepianie. Miałem jednak widocznie bardzo zły słuch, bo każda melodia przekształcała się dla mnie w Międzynarodówkę. Jeśli o Szopena chodzi, to jest to muzyka wśród armat, graliśmy go często w czasie okupacji w małych kawiarniach. A potem mnożyły się zamachy na niemieckich okupantów...”

Przytaczam oczywiście z pamięci te słowa naszego premiera. Po wysłuchaniu tego przemówienia, które oczywiście przetłumaczone było na angielski, żona ówczesnego ambasadora amerykańskiego, pani Beam, powiedziała: „Szkoda, że pan Cyrankiewicz nie kandyduje w naszych wyborach. Wiedziałabym wtedy, na kogo głosować”.

Nie byłam nigdy w bezpośrednim otoczeniu Cyrankiewicza. Ale jego najbliżsi współpracownicy, najczęściej z byłego PPS, mogliby zapewne mnożyć w nieskończoność tego rodzaju fakty.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że Premier Cyrankiewicz brał i bierze nadal udział niemal we wszystkich najważniejszych rozmowach z przywódcami Związku Sowieckiego, czy to za czasów Bieruta, czy Gomułki.

Jeszcze jedna rzecz godna podkreślenia — to prawdziwa współpraca tych, tak bardzo różniących się od siebie ludzi, którzy stanowią swe przeciwieństwo. Gomułka należy na pewno do kategorii ludzi z zasadami, stanowi klasyczny przykład uczciwego

polityka. Jeśli więc od lat współpracuje blisko ze „skorumpowanym” Józefem Cyrankiewiczem, którego sposób życia nie budzi z pewnością jego zachwyty, to dlatego, że znajduje w nim uczciwego i inteligentnego doradcę, na którego zawsze może liczyć i który — co ważniejsze — potrafi uchronić go przed popełnieniem błędów w tych dziedzinach, w których sam jest większym znawcą.

Józef Cyrankiewicz kocha życie, lub, jeśli ktoś się przy tym upiera — użycie. Ale w końcu jest to jego sprawa prywatna, której konsekwencje i fizyczne i moralne sam ponosi.

Znałam kilka kobiet, z którymi premier flirtował i z którymi potem zawsze łączyła go głęboka przyjaźń. Jedna z nich, która znała go jeszcze z czasów krakowskich, opowiadała mi, że to wzmożone zainteresowanie płcią piękną, datuje się od czasu wyjścia z obozu koncentracyjnego. Można mu więc chyba wybaczyć tę słabość po okresie, który załamał niejednego. Niechże więc w tej sprawie sądzą go te, które znalazły przy nim chwile szczęścia i być może — rozczarowania.

Najważniejsze jest chyba to, że z całym wirtuozostwem, na jakie go stać, służył Polsce na najbardziej śliskich i niebezpiecznych zakrętach jej powojennej historii. I tej historii pozostawmy jej ocenę.



Budując podstawy socjalizmu w pierwszych, powojennych latach, nie można było pominąć sprawy chłopskiej. Przed wojną Stronnictwo ludowe walczyło aktywnie z sanacją. Niezbędne więc stało się, by jego przedstawiciel, reprezentujący chłopów którzy stanowili przeważającą większość ludności, zasiadał w Rządzie Jedności Narodowej. Tym człowiekiem miał być Stanisław Mikołajczyk, który objął, poza stanowiskiem wicepremiera, tekę ministra rolnictwa.

Zetknęłam się z nim chyba dwa razy i przyznać muszę, że nie wzbudził on mojej sympatii. Był bardzo „poznański”, co poznać można było po charakterystycznej wymowie „r”. Ale to, co odpychało od niego — to jakiś wielkopański sposób traktowania ludzi. Miał on duże ambicje polityczne. Mikołajczyk uważał się nieco za primadonnę, za opatrnościowego człowieka, dzięki któremu można było wykonać postanowienia jałtańskie. Czekał tylko na wybory, by zagarnąć całą władzę w Polsce. W istocie nigdy nie godził się na współpracę z komunistami. Kiedy inne partie zaproponowały mu wystawienie wspólnej listy wyborczej, zażądał 75 miejsc w nowym parlamencie.

Na co liczył Mikołajczyk zakładając nawet, że zdobyłby po-

każną liczbę głosów? Na poparcie Londynu, czy Waszyngtonu? Prawdopodobnie tak. Ale te obie stolice, nawet gdyby bardzo chciały, nie mogły mieć żadnego wpływu na rozwój wydarzeń politycznych w Polsce, ponieważ same dobrowolnie scedowały go Związkowi Sowieckiemu. Komuniści i socjaliści którzy nie zamierzali oddać władzy, zorganizowali zwycięskie wybory w styczniu 1947 roku, eliminując po prostu Mikołajczyka. Nikt nie ma złudzeń co do tego, że ogłoszone wyniki odzwierciedlały istotnie przebieg głosowania i liczbę oddanych głosów. Nikt z nas nie miał złudzeń w samym trakcie wyborów. Nie ma na świecie kraju, w którym 99,99 procent obywateli idzie „entuzjastycznie” do urn, by jednogłośnie oddać swe głosy na proponowanych kandydatów. Cud taki nie mógł się zdarzyć w tak skomplikowanym kraju, jak Polska, zwłaszcza, że ci kandydaci byli w większości komunistami. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tego rodzaju propagandę szyje się aż tak grubymi nićmi, że muszą one pękać.

Niemniej znajdowaliśmy się w toku walki. Sądziliśmy wtedy, że oddanie władzy mogłoby pociągnąć poważne konsekwencje dla równowagi sił w Europie i dla polskiej drogi do socjalizmu. Jeśli o mnie chodzi, rozumiałam ten manewr polityczny który, choć nieuczciwy, wydawał mi się niezbędnym. I nie zmartwiłam się bynajmniej, gdy Mikołajczyk opuścił na zawsze nasz kraj.

Miałam zresztą prawo tak myśleć, skoro nawet przybyli z Londynu politycy nie chcieli, czy też nie mogli, mnie z tego błędu wyprowadzić. Przyjaźniłam się serdecznie z ministrem Janem Stańczykiem, który był starym działaczem socjaldemokratycznym. Niewątpliwie, starał się ukazać mi inne formy walki o sprawę ludu, w których on sam uczestniczył jako przedstawiciel górniczy. Niewątpliwie Stańczyk, który przebywał wiele lat w Anglii, nie mógł się pogodzić z formami demokracji polskiej, zwłaszcza po 1948 roku. Ale i on uważał, że Mikołajczyk wykazał pewną ślepotę polityczną. Stańczyk wybrał powrót z Londynu do Polski nie dlatego nawet, by wierzył, że uda mu się pozostać długo w rządzie, ale dlatego, że kochał ojczyznę. Liczył się od pierwszej chwili z niedobrym rozwojem wydarzeń. Szybko zresztą został przewekslowany na boczne tory i zamiast fotela ministerialnego, musiał się zadowolić mizerną synekurą w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych. Ale, w pewnym sensie, choćby przez swoje pełne rezygnacji milczenie, pozostał lojalnie konsekwentny wobec drogi, którą świadomie wybrał. W każdym razie stało się tak, jak sobie życzył: został pochowany w polskiej ziemi.



Okres moich studiów uniwersyteckich przypadł na pierwsze

lata wolności. Uniwersytet Warszawski, który zaczął się dopiero organizować, nie nosił jeszcze marksistowsko-leninowskiego piętna. Wykładano prawo według przedwojennego programu, poświęcając znacznie więcej miejsca ekonomii Smitha czy Ricarda, aniżeli Marksa, która zajmowała zaledwie... 3 strony naszego podręcznika. Mieliśmy dobrych, przedwojennych profesorów, że wspomnę o wybitnym znawcy prawa międzynarodowego Cezarym Berezowskim i o Jakubie Sawickim, wykładowcy prawa kanonicznego. Skorzystałam na tym o tyle, że wraz z otrzymaniem dyplomu magistra w 1949 roku, miałam pojęcie o istnieniu różnych szkół i różnych kierunków myśli naukowej. Miałam więc pewną skalę porównawczą, która pozwalała na wyrobienie sobie własnego, krytycznego sądu. Szkoda, że tak rzadko w następnych latach z tego korzystałam... Bo późniejsi studenci, uczący się już ze spreparowanych podręczników, byli tego przywileju pozbawieni.

Nie mam specjalnych wspomnień z tego uniwersyteckiego okresu, głównie dlatego, że pracowałam w radio, przychodziłam tylko na szczególnie ważne wykłady, na ćwiczenia i na egzaminy. Już wtedy partia i praca wysuwały się na czoło, zostawiając w cieniu nie tylko życie osobiste, ale nawet naukę, czy inne zainteresowania. W każdym razie dla aktywistów, do których w tym okresie szczerze należałam.

Nigdy zresztą nie wykorzystałam praktycznie moich studiów. Ukończyłam je w 1949 roku. Absolwenci prawa mieli już wtedy przed sobą jedynie dwie drogi, które zresztą sprowadzały się do wspólnego mianownika: mogli zostać albo sędziami albo prokuratorami. Adwokatura w tym okresie stała się fikcją. Z całą stanowczością odrzuciłam te dwie perspektywy. Schowałam więc dyplom do szuflady i redagowałam nadal wiadomości dziennika radiowego.

Rozdział IX

Od kiedy to się zaczęło? Trudno jest określić dokładny moment. Tak, jak w każdej epoce historycznej, załązki tego, co miało nadejść tkwiły w poprzednim okresie.

Pierwszym niebezpiecznym sygnałem zmian, które miały pogrozić Polskę w odmęty stalinizmu był wrzesień 1947 roku, kiedy to Stalin narzucił polskim przywódcom zebranie 9 partii komunistycznych. W kołach dziennikarskich chodziły słuchy o różnicy poglądów na ten temat między Gomułką, który był przeciwny, a Bierutem, broniącym samej idei takiej konferencji. Niemniej odbyła się ona na polskiej ziemi i polscy komuniści byli jej gospodarzami.

Do Szklarskiej Poręby, uroczej miejscowości górskiej na Ziemiach Zachodnich w najpiękniejszym okresie złotej, polskiej jesieni przyjechali niecodzienni wczasowicze. Żdanow i Malenkow przewodniczyli delegacji sowieckiej, a Dżilas i Kardelj — jugosłowiańskiej. Zebrali się przywódcy partii komunistycznych Czechosłowacji, Bułgarii, Włoch, Węgier i Rumunii. Francję reprezentowali Duclos i Fajon.

Gomułka, który jako gospodarz przemawiał pierwszy, z całym przekonaniem i charakteryzującą go wtedy odwagą bronił polskiej drogi do socjalizmu, nalegał na konieczność przestrzegania zasady równości w międzynarodowym ruchu robotniczym. Niemniej decydujący ton nadał Żdanow. Nad obradami unosiło się widmo zimnej wojny między imperializmem, a socjalizmem. Ta walka — twierdził Żdanow — która toczy się także wewnątrz każdego kraju z wrogami socjalizmu powinna być bezlitosna. Dla skoordynowania wysiłków utworzono sztab generalny: Kominform, który zaczął wydawać w Belgradzie swoje pismo: „O trwa-

ły pokój, o demokrację ludową”. Od tej pory, to pismo, którego ciężką szatę graficzną mam jeszcze przed oczami, pojawiało się obowiązkowo na naszych biurkach redakcyjnych. Stało się rodzajem przewodnika, alfą i omegą naszej pracy dziennikarskiej. Było nudne i ciężkie, zawierało prawdziwą „dretwą mowę”, jakiś rodzaj żargonu, który opowiadaliśmy „własnymi słowami” w naszych artykułach i audycjach polskim słuchaczom.

Dopiero jednak drugie zebranie Kominformu, w którym z ramienia Polski uczestniczyli Jakub Berman i Aleksander Zawadzki, w czerwcu 1948 roku, stało się, moim zdaniem, oficjalnym początkiem ery stalinowskiej. Polscy delegaci przywieźli stamtąd 4 nowe zasady wiary komunistycznej, które od tego czasu zaczęto ludziom wbijać do głów, a które w praktyce obalały to, co dotąd w Polsce uczyniono.

Prawda numer 1: Demokracja ludowa jest formą dyktatury proletariatu, w której Partia i jej zbrojne ramię — bezpieczeństwo — są głównymi siłami politycznymi. W dalszym rozwoju wydarzeń, to zbrojne ramię uderzało ślepo w samą partię...

Prawda druga: Kolektywizacja jest niezbędna we wszystkich krajach demokracji ludowej. Jej formy zostały już wypracowane w ZSSR i trzeba je po prostu transplantować na inny grunt. Równocześnie trzeba rozwijać ciężki przemysł, niezbędny do obrony całego obozu. Rozwój tego przemysłu i niezbędne inwestycje miały być planowane centralnie i nie uwzględniały już nie tylko potrzeb, ale nawet możliwości gospodarczych poszczególnych krajów. Oznaczało to ruinę ekonomiczną, lekceważenie dobrobytu ludzi i wprowadzenie zasady zaciskania pasa. Odtąd zaczęliśmy mówić w propagandzie o szczęściu przyszłych pokoleń w socjalizmie.

Prawda trzecia: Związek Sowiecki jest jedynym przywódcą wszystkich krajów, budujących socjalizm i jego wzory w każdej dziedzinie życia są idealne i nie podlegające najmniejszej krytyce. Związek Sowiecki — to znaczy przede wszystkim Józef Stalin, przed imieniem którego zaczynają się obowiązkowo pojawiać bizantyńskie przymiotniki „wielki”, czy „genialny”. Przyjmując ten wzór, we wszystkich krajach demokracji ludowej zaczyna się rozwijać kult miejscowych „Stalinów”, który, w zależności od ich ambicji i osobości przybiera rozmaite formy. Był on na pewno większy na Węgrzech Rakosiego, niż w Polsce Bieruta. Ale we wszystkich krajach w propagandzie zaczyna się pojawiać formuła „ze Związkiem Radzieckim na czele”. Nie ma potrzeby wspominać, jak brzmiała ona dla ucha Polaków. W kołach dziennikarskich zaczęły wówczas kursować dowcipy: Która godzina? 8-a, za pozwoleniem, ze Związkiem Radzieckim na czele”...

Czwarta prawda stalinizmu wymierzona była przeciw podstawowym wolnościom człowieka. Głosiła ona, iż kryterium oceny każdego obywatela jest jego udział w procesie budowy socjalizmu. Każdy, kto nie pracuje wydajnie — funkcjonariusze partyjni mieli być sędziami w tej dziedzinie — staje się automatycznie sabotażystą i wrogiem klasowym.

Takie były podstawy teoretyczne stalinizmu. A ich praktyczne rezultaty?

Stopniowo narastała atmosfera strachu, terroru, bezprawia i wzajemnej nieufności. Z biegiem czasu, a zwłaszcza po procesie lekarzy Żydów w Związku Sowieckim w 1952 roku — pogrążeni w niej zostali najwyżsi przywódcy partyjni. Ale oczywiście najwięcej cierpieli zwykli ludzie, dla dobra których ten socjalizm miał być zbudowany. W kraju, gdzie wczorajsi więźniowie obozów koncentracyjnych nie mieli dość czasu, by przyzwyczać się do wolności i do normalnego życia — zaczęto znów rozdzielać rodziny i aresztować niewinnych ludzi. Przybiegła do mnie któregoś dnia żona mego przyjaciela z czasów okupacji, Jerzego Dodackiego, oznajmiając z płaczem, że w nocy zabrano jej męża, że nie wie o co go oskarżają, ani nawet gdzie się znajduje. Błagała, żeby im pomóc. Byłam zupełnie bezsilna. Nie tylko dlatego, że nie wiedziałam, do kogo się zwrócić, ale i dlatego, że broniłam się rozpaczliwie przed myślą, iż mogłaby to być pomyłka. A właściwie byłam pewna, że Dodacki musiał popełnić jakieś przestępstwo. Z uwagi na starą przyjaźń gotowa byłam mu pomóc, ale jak i u kogo?

Takie wypadki stawały się coraz częstsze. Aresztowani znikali po prostu z życia, byli wycofywani, jak pionki z szachownicy. Przez długi czas wszelki ślad po nich ginął. Procesy w większości były tajne i dopiero po długich wysiłkach Dodacka dowiedziała się, że jej mąż przebywa we Wronkach. Przypuszczam, że powodem aresztowania był jego udział w AK.

Potem już, po rezolucji o tak zwanym „odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznym w partii, którego nosicielem miał być rzekomo Gomułka, ten „miecz sprawiedliwości” zaczął rąbać bezlitośnie samych komunistów, dawnych przyjaciół Wiesława i byłych uczestników wojny hiszpańskiej. Ich procesy były tajne, ponieważ większość tych aresztowanych nie przyznawała się do winy. Ukazywano publiczności jedynie takie, które były „lepiej zmontowane”, podczas których prokuratorom wydawało się, że ich akt oskarżenia i wymuszone przyznanie się do winy oskarżonego dają społeczeństwu dowód, iż wymiar sprawiedliwości odbywa się normalnie. Jeśli jeszcze można było osiągnąć ten rezultat wobec członków partii, to większość społeczeństwa nie

dała się wyprowadzić w pole. Ludzie z odrazą zamykali radio, które nadawało sprawozdania z procesów, odrzucali z niesmakiem gazety. Dziennikarze, pracujący w propagandzie, albo dali się przekonać o winie oskarżonych, albo, w najlepszym razie, nie zajmowali żadnego stanowiska. Przypuszczam, że był w tym jakiś element samoobrony moralnej, strach przed dokonaniem wyroku. Baliśmy się nie tylko praktycznych konsekwencji, ale nade wszystko dopuszczenia do siebie myśli, że ludzie, stojący u steru rządów, na czele partii, ludzie, którym chcieliśmy ufać, współuczestniczą w zwykłych, kryminalnych zbrodniach.

Z tego okresu utkwіło mi w pamięci bardzo osobiste przeżycie. Było to w wigilię Wielkiej Rewolucji Październikowej, w 1949 roku. Zbierając materiały do audycji na ten temat, poszłam na konferencję w PAP-ie do redaktora działu z „Życia ZSRR i krajów demokracji ludowej”, Teofila Głowackiego.

Nie zdążyliśmy wymienić kilku zdań, gdy rozległ się silny dzwonek. Rewizja. Przeszukano całe mieszkanie, przewertowano każdą kartkę książek w obszernej bibliotece Teofila. To mnie zresztą zmyliło. Nie mogłam sobie wyobrazić, że można było, bez żadnego powodu, zainscenizować podobną komedię. Głowackiego aresztowano. Mnie zatrzymano do końca rewizji i zaprowadzono później na Koszykową, na przesłuchanie. Nie należało ono do przyjemnych. Wszędzie unosiła się atmosfera nieufności. Prawie, że poczułam się przestępcą. Odsyłano mnie od pokoju do pokoju, od jednego inkwizytora do drugiego, aż w końcu zajęła się mną jakaś kobieta. Nie umiem sobie przypomnieć jej twarzy, była dziwnie bezosobowa i „bezkrwista”. Starła się wymusić ze mnie zeznanie, jakoby z Głowackim miały mnie łączyć osobiste stosunki sugerowała, że każde inne oświadczenie może pociągnąć dla mnie poważne konsekwencje... Po całonocnych badaniach wypuszczono mnie. Zataczałam się dosłownie, oddychając świeżym, jesiennym powietrzem. Ta noc wydała mi się jakimś koszmarem. Uważałam, że musi to być nieprawdopodobna pomyłka.

O Teofilu Głowackim zaginął wszelki ślad. Proces jego był tajny. Dowiedziałam się po tym, iż oskarżono go o sympatie projugosłowiańskie. Zobaczyłam Teofila po październiku, gdy został zrehabilitowany. Zajmuje dziś odpowiedzialne stanowisko, jest naczelnym redaktorem organu związków zawodowych „Głosu Pracy”. Zmienił się jednak bardzo. Nie wiem, na czym to polega, ale już nigdy potem nie potrafiłam odnaleźć w nim pełnego entuzjazmu do życia człowieka, którego wyprowadzono z domu w wigilię Wielkiej Rewolucji.

Ten zbieg okoliczności, który zresztą mógł pociągnąć i dla

mnie poważne konsekwencje — wiem, że ówczesni kierownicy radia Gadomski i Młynarski rozważali możliwości usunięcia mnie z pracy — pozwolił mi zetknąć się po raz pierwszy z pracownikami bezpieczeństwa. Było ono prawdziwym państwem w państwie. Moja reakcja polegała na tym, by uciec jak najdalej od tego całego aparatu, który obiektywnie uznawałam za konieczny, ale który budził zarazem niekłamaną odrazę.

Uczestniczyłam w jednym jeszcze z preparowanych przez Bezpieczeństwo procesów, najważniejszym zresztą, który miał przygotować ostateczne rozprawienie się z Gomułką, a mianowicie w procesie generała Tataru. Słyszałam na własne uszy słowa oskarżonych, który, jeden, po drugim przyznawali się do działalności na szkodę państwa polskiego. Jeden z nich tylko, zdaje się, że był to Kirchmayer, oznajmił, iż postępował zgodnie z własnym sumieniem. Marian Spychalski sprawiał wrażenie chorego człowieka, pozostającego pod wpływem narkotyków. Osłabł zresztą w czasie zeznań i nie można było potem wyciągnąć od niego żadnego słowa. Sam przebieg tego procesu nie dał jednak żadnych materiałów, na podstawie których można by było sądzić Władysława Gomułkę. I to pozostanie na pewno swoistą cechą polskich stalinowców: nie potrafili naśladować innych w wykonywaniu woli Kremla w wypadkach, gdy mieli własne poważne wątpliwości.

Spółeczeństwo polskie — jak wspomiałam — nie rozróżniało jednak wtedy takich subtelności. Całą swą nienawiść kierowało przeciw Bezpiecze. To jej funkcjonariusze aresztowali ludzi, znęcali się nad swymi ofiarami. To za ich sprawą 20 tysięcy osób — więcej, niż w sanacyjnej Polsce — przebywało w więzieniach. Tę wielką armię skrzywdzonych uwolniła dopiero amnestia z 20 kwietnia 1955 roku.

Zastanawiałam się często, w jaki sposób można było dopuścić do podobnego bezprawia i jaki nacisk stosowano wobec ludzi, żeby uczynić z nich sadystów. W Lublinie zetknęłam się towarzysko z Jackiem Różańskim, bratem Borejszy. Był to z całą pewnością człowiek inteligentny o dużym osobistym wdzięku, uczynny i usłużny. Z największym zdumieniem dowiedziałam się potem o jego okrucieństwie, za które wytoczono mu proces. Jakie metody uczyniły z niego sadystę, którym okazał się z całą pewnością? Ale, czy on jeden ponosił odpowiedzialność, by zostać rzuconym na pożarcie opinii publicznej? Czy całe to bezprawie działo się tylko z woli Fejgina, Radkiewicza, czy nawet Jakuba Bermana? Czy dyrektywy nie przychodziły bezpośrednio z Moskwy od Berii? I czy nie dotykamy tu znowu, jakże bardzo zło-

żonego problemu, odpowiedzialności osobistej jednostek, służących określonej systemowi politycznemu?

Należy mieć odwagę, dotrzeć do źródeł i powiedzieć uczciwie: to sam system, to stalinizm rodził te zbrodnie. A kto za to ponosi odpowiedzialność?

Stalinizm kierował się odpowiedzialnością zbiorową. Wszystko działo się w imieniu Partii przez duże P. Liczyła ona wtedy dziesiątki tysięcy członków. Więc odpowiedzialność za to wszystko, co było podłe, ponosili nie tylko autorzy i bezpośredni wykonawcy, ale również ci, którzy zdawali sobie sprawę z bezprawia, ale bali się przeciw niemu wystąpić, a nawet ci, którzy, zaślepieni wiarą, działali nieświadomie. Adam Ważyk w jednym ze swych wierszy stwierdził słusznie, że tak zwani ideolodzy odbierali ludziom rozum, pozostawiając im wiarę. Myślę, że dotknął sedna sprawy. Ale może być to wyłącznie subiektywnym usprawiedliwieniem, lub okolicznością łagodzącą. Społeczeństwo polskie, które cierpiało i biedę materialną i żyło w atmosferze strachu miało pełne prawo oskarżać wszystkich członków partii, w których działalności widziało olbrzymie kłamstwo. I nie mogło być inaczej, skoro nastąpiła przepaść między pięknymi słowami o socjalizmie i szczęściu człowieka, które stały się obiegową monetą, sloganami bez pokrycia, wywołującymi w sercach ludzi obrzydzenie, a czynami, bijącymi tych ludzi w najboleśniejszy sposób.

Nikt chyba nie jest w stanie objąć ogromu problemów moralnych tego okresu. Płynęły one z naczelnej zasady, że cel uświęca środki. Rzecz w tym tylko, że wśród tych jezuickich środków, zagubiliśmy cel...

Przypominam sobie, że w jednym z procesów przedwojennego generała, syn zeznawał przeciw ojcu. Syn musiał znać dobrze własnego ojca. Więc albo składał fałszywe zeznania, albo istotnie uwierzył w jego winę. Syn był człowiekiem odważnym, nie miał w sobie nic z oportunisty. Uczynek jego mógł być zatem rezultatem albo zupełnego braku uczciwości ludzkiej, albo nadmiaru tej uczciwości wobec Partii, znowu tej przez duże P.

Każde zebranie partyjne tego okresu przekształcało się zresztą w sąd w miniaturze. Niemalże na każdym rozpatrywano jakąś ludzką sprawę. Od czasów Lublina pracował w radio Andrzej Łowieniecki-Bogusławski, syn przedwojennego sanacyjnego publicyście. Ojciec pozostał w Londynie, Andrzej został zrzucony spadochronem w Lubelskie. Miał walczyć z nową Polską. Ale skoro zobaczył zniszczenia wojenne, stanął razem z nami do budowy. Nie potrafiąc robić nic połowicznie, został członkiem PPR. Bardzo zdolny i ogromnie uczciwy, zaskarbił sobie sympatię kolegów.

Oczywiście, trzeba było pozbyć się tego obcego ideologicznie elementu. Akt oskarżenia był stosunkowo łatwy do spreparowania. Gorsza była druga część, a mianowicie samokrytyka Andrzeja. Nie potrafił się na nią zdobyć. Bo właściwie kogo miał oskarżać: swoje pochodzenie społeczne, rodzinę, swoje uczucia w okresie lubelskim, które przywiodły go na drugą stronę? Potworne błędne koło. Ale samokrytyki żądało się od każdego. Za niewłaściwy artykuł. Za opóźnioną audycję. Teraz widzę, że była to najskuteczniejsza broń zabijająca w ludziach moralność, ucząca ich kłamstwa i obłudy.

Ktoś kiedyś opowiedział jakiś dowcip. Dziś oskarżają go za to: brak rewolucyjnej czujności, lub obciążenia drobnomieszczańskie. Jedna rzecz, która może uratować delikwenta — to publiczne biczowanie się. Nie wie, nie pamięta o co chodzi, ale staje i mówi: tak jest, popełniłem wielki błąd. Czasem patrząc ludziom w oczy, ale często unikając tego. Bo wie, że to tylko formalność, której musi stać się zadość. Niektórym sekretarzom partyjnym udawało się jednak wywołać coś w rodzaju publicznej psychozy: niewinni gotowi byli uwierzyć we własną winę, pokutować za grzechy niepopelnione.

Kiedy dziś przypominam sobie ówczesne nastroje, które sama podzielałam przecież, mam wrażenie, iż była to ponura farsa. Ale, niestety, byliśmy jej aktorami. Najodważniejsi, ci, którzy myśleli, ograniczali się do roli statystów. Ale nikt, z mego otoczenia przynajmniej, nie zbuntował się otwarcie. W ten sposób angażowaliśmy się, może nawet szczerze, ale coraz głębiej w atmosferę zakłamania.

Powstała w tym okresie warstwa uprzywilejowanych. Tych, którzy nie mieli wątpliwości i gorliwie wypełniali wszystkie rozporządzenia. Tych którzy kierowali. Mieli prawo do sklepów za „żółtymi firankami”. W okresie, gdy większość społeczeństwa głodowała, mogli kupować tam artykuły, których brak było na rynku. Ale myślę, że tych „żółtych” firanek przesłaniających członkom partii widok na prawdziwe życie kraju było więcej i że zawieszane były w wielu dziedzinach. Żyjąc za nimi, odgradzali się od ludzi. W ustroju, który proklamuje równość człowieka, żółte firanki wytworzyły prawdziwą przepaść między ludźmi i niesprawiedliwość społeczną. I to chyba było najgorsze. Pamiętam, jak beznadziejnie głupio poczułam się w Finlandii, gdy pokazywano mi jak funkcjonuje opieka społeczna. Bo przypominałam sobie ten okres, gdy u nas istniały dwie kategorie aptek: w jednych można było nabyć wszelkie, nawet zagraniczne lekarstwa, podczas gdy w innych sprzedawano walerianę, czy aspirynę... Czyli — uprzywilejowani mieli większe prawo do życia.

Forsowanie przymusowej kolektywizacji i budowanie na siłę ciężkiego przemysłu dało tragiczne rezultaty. W kraju, który był spadkobiercą przedwojennego zacofania, w kraju z natury swej rolniczym, w kraju tak wyniszczonym przez wojnę — zabiło to w ludziach chęć efektywnej pracy. Zaczęto stosować okupacyjną taktykę: jak najmniej pracować. Jestem przekonana, że skutki tego pokutują po dzień dzisiejszy. Owszem, być co rano na posterunku, owszem, pozostawać przy warsztacie przez 8 godzin, ale dawać z siebie jak najmniej. Wskaźniki planów wzrastały, a wraz z nimi normy. Zarobki proporcjonalnie spadały. Ludzie nie mieli żadnego bodźca, by pracować lepiej. Istna ekonomia z księżycą. Robotnicy na pewno nie czuli się panami swych zakładów pracy. Było im coraz ciężej. Głód i nędza nie są dobrymi doradcami. W rezultacie musieli wyjść na ulice Poznania, by walką, by strajkiem wywalczyć sobie lepsze warunki życia. W kraju socjalistycznym, po 10 latach istnienia tego socjalizmu, musieli się uciec do form walki, używanych w krajach kapitalistycznych.

Realizowanie zasady „ze Związkiem Radzieckim na czele” rozjątrzyło tylko w sercach polskich nastroje antyrosyjskie, zapiekłe kompleksy. Jak bumerang odwróciła się ta prawda przeciw jej autorom. Przemianowanie polskich Katowic na Stalino- gród czy Alej Ujazdowskich na Aleje Stalina przypominało nieuchronnie czasy okupacji. Ta nadgorliwość przybierała czasem komiczne formy. Pamiętam jakiś mecz piłki nożnej, w którym brała udział bardzo słaba ekipa sowiecka. Nie wiem, czy sędzia polski wyświadczył przysługę tym sportowcom, ogłaszając ich zwycięstwo nad polską drużyną. Związek Sowiecki jest krajem doskonałych sportowców i nie jest żadną hańbą przegranie meczu z silniejszą drużyną. Ale, zaślepieni, brnęliśmy nadal we własnej głupocie, wyrządzając tym krzywdę i samym sobie i krajowi naszego sąsiada. Pamiętam zresztą, że jeden ze sprawozdawców radiowych, zdaje się, że Witold Dobrowolski, nie będąc w stanie kontynuować swego sprawozdania, zawołał w przystępie rozpaczy: „Jezus Maria, nie można sobie wyobrazić, co się tutaj dzieje”. Za wzywanie na próżno Bożego imienia zawieszono go potem na jakiś czas w jego funkcjach...

Kraje demokracji ludowej przedstawiane były jako miniaturowe raje socjalizmu. W naszych artykułach nie było najmniejszej różnicy między Albanią, a Czechosłowacją. Wspaniałe budowle socjalizmu, zadowoleni robotnicy, których stopa życiowa wzrastała w błyskawicznym tempie. Chłopi, wszystko jedno, czy rumuńscy, czy węgierscy, którzy błogosławili życie w spółdzielniach produkcyjnych. Młodzież była pełna entuzjazmu i z radością podejmowała zobowiązania produkcyjne. Zajmując się w radio tymi

audycjami czułam, że brzmi to fałszywie, że nie daje możliwości poznania krajów naszych sąsiadów. Organizowaliśmy konferencje, krytykowaliśmy się nawzajem i... wracaliśmy do sztampy.

Zresztą, gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że prasa komunistyczna Francji widziała w Polsce taki sam raj. I to bynajmniej nie ograniczeni dziennikarze, ale ludzie tej miary, co Pierre Courtade, czy André Wurmser. Nie znając wówczas Zachodu, myślałam, że może mają rację, że może istotnie w krajach kapitalistycznych robotnicy i chłopci umierają z głodu na ulicach. Bo przecież ci dziennikarze mieli i talent i wiedzę i możność porównania...

No i w końcu czwarta prawda, że można oceniać człowieka proporcjonalnie do jego udziału w budowie socjalizmu, bo w przeciwnym wypadku staje się wrogiem klasowym — przyniosła nam klasyczne pozycje literackie — socrealizm. Wszystko stało się białoczarne. Typy bohaterów i sabotażystów. Jakieś nieprawdopodobne upraszczanie ludzkiej natury, dążenie do uczynienia z ludzi bezmyślnych robotów. Oglądając te sztuki teatralne, filmy i czytając tego rodzaju książki, uśmiechaliśmy się ironicznie. Nie krytykowaliśmy, rzecz jasna, ich autorów, ale mimo wszystko, czuliśmy całą naiwność ich twórczości. Kładliśmy to na karb obniżenia się poziomu literatury w okresie powojennym. Faktem jest, że w tym całym okresie nie przyżyliśmy ani jednego doznania artystycznego. Ale to doprawdy nie było największą tragedią.

Niesposób jest oddać wszystkie problemy tego okresu, który trwał przecież prawie 5, 6 lat w historii powojennej Polski. Może więc jeszcze kilka słów o jego głównych bohaterach.

Czystości życia ideologicznego pilnował Jakub Berman. Ci, którzy znali go w młodości, zachowali o nim wspomnienie porywającego mówcy o bujnej czarnej czuprynie, przystojnego, o nieodpartym uroku młodzieńca. Ja osobiście mam przed oczyma starszego pana o kulturalnej, inteligentnej twarzy. Berman miał kierować życiem intelektualnym, chroniąc go przed „wszelkimi odchyleniami”. Stał się prawdziwą szarą eminencją. Nasi kierownicy radiowi wracali podnieceni: „Byłem u Jakuba” — szeptali z przejęciem. „Jakub powiedział, Jakub zdecydował”... Od tych decyzji nie było odwołania.

Jakub Berman potrafił także przekonać. Słuchałam kilkakrotnie jego przemówień, były bardzo logiczne i dlatego niebezpieczne. Typowy doktor Faul, zabijający w jednostkach rodzące się wątpliwości, mający na nie gotową odpowiedź starego, dobrego komunisty.

Berman nie atakował Gomułki na III Plenum. Wtedy milczał. Nie wiem co sprawiło, że stał się później gorliwym, zażar-

tym stalinowcem i że w tej działalności zatracił samego siebie. Z ideologa partii stał się jakimś wielkim inkwizytorem. Czyżby lękał się sam, że padnie ofiarą systemu, który budował? Czyżby tak dalece miało mu zależeć na władzy, mocno zresztą zachwianej po procesie lekarzy-Żydów w Związku Sowieckim? Nie znajduję odpowiedzi na te wątpliwości. Faktem jest, że w 1953 roku przemawiał już z mniejszą pasją i że stracił swój magnetyzm.

Kierownik życia ekonomicznego Hilary Minc. Siwy, dystyngowany pan w okularach i naprawdę dobry ekonomista. Był zmuszony pod naciskiem sowieckim przestawić polską gospodarkę na niebezpieczne tory. Sądząc z jego przemówień, wierzył sam w zimną wojnę, zwłaszcza w okresie wydarzeń w Korei i starał się zorganizować wówczas cały przemysł na obronę krajów socjalistycznych. Ma w każdym razie jedną zasługę: nie przykręcał zbytnio śruby we wprowadzaniu kolektywizacji.

No i wreszcie adoptowany Polak — Konstanty Rokossowski. Urodzony nad Wisłą czuł się Rosjaninem. Ten postawny, ujmujący swą słowiańskością mężczyzna, czuły na wdzięki kobiet mógłby być naprawdę sympatyczną postacią, gdyby nie rola, jaką mu w Moskwie powierzono. Stał się zresztą wbrew własnej woli, namiestnikiem Stalina w Polsce. Miał pilnować, czy kraj nasz idzie linią wytyczoną przez wodza, mając zarazem brutalne środki nacisku: dowództwo nad armią i sowieckich dowódców w tejsze armii.

Nie wykluczone zresztą, że Bierut i inni polscy przywódcy zgodzili się na narzucenie im Rokossowskiego, by móc mieć minimalną swobodę w dokonywaniu własnych manewrów. Bo jak tragiczny by nie był cały okres stalinizmu, zachował on w Polsce pewną indywidualność, różnił się od skrajnego terroru w Czechosłowacji, czy w Bułgarii. U nas przynajmniej prawie wszyscy oskarżeni wyszli z więzień. Nawet w najgorszych chwilach można było opowiadać dowcipy o naszych przywódcach. Niemniej krzywdy jakie ten okres wyrządził są olbrzymie. Polityczne, moralne i ludzkie. A pisząc o nich, trzeba chyba zacząć od tej największej, jaką wówczas wyrządzono Władysławowi Gomułce.

Rozdział X

Niewysoki, szczupły, raczej nieśmiały — nie ma w sobie nic z wodza. Trochę typ nauczyciela wiejskiego, który, pozostając sprawiedliwy, bywa czasem bardzo surowy. Nie najlepszy mówca. Gdy czyta swe referaty, trudno jest zachować do końca skupioną uwagę. Gdy improwizuje, co zdarza mu się zwłaszcza w środowisku robotniczym, daje z siebie wszystko, potrafi wtedy przekonać, a nawet porwać.

Urodzony w Rzeszowskim, tej najbiedniejszej części przedwojennej Polski, Władysław Gomułka poznał wcześniej zarówno biedę własnej rodziny — ojciec musiał wyemigrować za chlebem do Ameryki — jak i swego otoczenia. Ojciec nie znalazł zresztą „złotego runa” za oceanem i wrócił do kraju. Gdy nie był ofiarą bezrobocia, pracował w rafineriach ropy naftowej. Był socjalistą i czynnym działaczem związków zawodowych. W tym też duchu wychował syna.

Tak więc Władysław Gomułka znalazł wcześniej drogę do Komunistycznej Partii Polski. Niestrudzenie przemierzał kraj wzdłuż i wszerz, organizował zebrania, tłumaczył robotnikom przyczyny ich nędzy, bezrobocia i wyzysk kapitalistyczny i jak należy się przeciw temu bronić. Nie szukał sławy, ani poklasku, nie starał się być przywódcą. Ta anonimowa działalność uczyniła z niego praktyka, znającego dobrze nastroje polskich robotników.

W roku 1932, gdy partia przywiązywała wielką wagę do działalności w związkach zawodowych, Gomułka organizuje w Łodzi zebranie. Wkroczyła na nie policja. Gomułka próbuje uciec. Jeden z uczestników tego zebrania opowiadał mi, iż była to istna nagonka. Gomułkę dosięgły kule. Zraniony upadł, ale znalazł

w sobie dość sił, by biec dalej. Druga kula ugodziła go w kolano. To przypięczętowało wtedy jego los. Został skazany na 4 lata więzienia. Ta łódzka rana uczyniła z niego kalekę na całe życie: utyka lekko na nogę.

Po wyjściu z więzienia kontynuuje swą nielegalną pracę. Tym razem na krótko. Zostaje ponownie aresztowany w 1937 roku i tym razem, jako „recydywista” skazany na 7 lat. Z murów więzienia uwolnił go wybuch wojny w 1939 roku. Został w Polsce i organizował walkę z okupantem hitlerowskim. Gestapo nałożyło olbrzymią cenę na jego głowę. Nienawidzą go przywódcy Armii Krajowej. Trzeba było wielkiego hartu, by w tych warunkach walkę kontynuować. Niemniej Gomułka tworzy wtedy na południowych terenach Polski Związek Walki Wyzwoleńczej. Programem jego jest walka o Polskę niepodległą i demokratyczną. Nie ma w nim najmniejszej wzmianki o Związku Sowieckim.

Na tym polegała główna różnica między Gomułką, a Bierutem i wieloma innymi przywódcami. Gomułka był tak jak i oni komunistą, ale narodowym, polskim, wszystkimi więzami złączony z krajem.

28 grudnia 1941 w Więzowni koło Warszawy ląduje 6 spadochroniarzy ze Związku Sowieckiego, którym powierzono zadanie utworzenia partii komunistycznej na terenach, znajdujących się pod okupacją hitlerowską. Jej załążkiem stają się kadry Związku Walki Wyzwoleńczej. Przybiera ona nazwę Polskiej Partii Robotniczej.

W 3 lata później, w noc sylwestrową 1944 roku, utworzona zostaje Krajowa Rada Narodowa, skupiająca komunistów ze Związku Sowieckiego i z PPR. Przewodniczącym Rady zostaje Bolesław Bierut. Ujawniła się wówczas pierwsza różnica poglądów między obu politykami. Bierut uważa Krajową Radę Narodową za najwyższy organ władzy. Gomułka twierdzi, że po to, by spełniała tę rolę, muszą być w niej reprezentowani przedstawiciele podziemnej, walczącej Polski, a zwłaszcza AK. Kieruje się znajomością sytuacji w kraju, wie, jaki jest układ sił politycznych. Co, nawiasem mówiąc, zostanie mu kiedyś poczytane za jeden z grzechów głównych.

Teraz powinien nastąpić przełom. Gomułka, który od 1943 roku został sekretarzem PPR — musi przekształcić się z praktyka w teoretyka partii i polityka. Teoria, którą wówczas wypracował i głosił potem z trybuny pierwszego kongresu PPR oparta była na jego znajomości życia Polski. Z całą pasją, proklamował, że Polska musi wypracować swą własną drogę do socjalizmu, jak się to później mówiło: socjalistyczną w treści, a narodową w formie.

Władysław Gomułka stara się wytyczyć jej szlaki. Znajomość psychiki chłopca polskiego ostrzega go przed wprowadzeniem przymusowej kolektywizacji. Wie z okupacyjnego doświadczenia, że rząd złożony z samych komunistów nie będzie miał posłuchu w narodzie, domaga się utworzenia rządu jedności narodowej.

Ale i wtedy bierze w nim górę natura praktyka. Polska leży w ruinach, trzeba ją odbudować, zorganizować życie, a zwłaszcza tchnąć je na nowoodzyskane tereny. Gomułka podejmuje się tego trudu, jako minister Ziem Zachodnich. Przez całą noc świeci się wówczas światło w jego gabinecie. Jest niestrudzony.

Pierwszy otwarty konflikt między nim a grupą Bieruta powstaje w 1948 roku, w chwili wyklęcia Jugosławii. Gomułka ofiaruje się wówczas jako pośrednik, by ten spór w socjalistycznej rodzinie załagodzić. Nie był nigdy w szkole stalinowskiej, nie jest przyzwyczajony do ślepego wykonywania woli i rozkazów wodza, zwłaszcza wówczas, gdy nie jest przekonany o ich słuszności. W fakcie potępienia jugosłowiańskich komunistów Gomułka widzi również niebezpieczeństwo dla polskiej drogi do socjalizmu. Przeważa jednak pogląd stalinowców i Gomułka musi podporządkować się większości.

Niemniej konflikty zaczynają się teraz mnożyć. Gomułka przygotowuje Zjednoczeniowy Kongres Partii, która — jego zdaniem — powinna wziąć z KPP jej rewolucyjne zasady a z PPS patriotyczne tradycje. Bierut potępia zdecydowanie podobną koncepcję. Władysław Gomułka milknie. Być może ten odważny praktyk, związany z życiem w Polsce przedwojennej i okupacyjnej, doszedł do wniosku, że nie posiada wystarczającego „wyszkolenia ideologicznego”? Zamilkł, bo nie chciał swą walką podważać autorytetu „pierwszego państwa robotników i chłopów” — Związku Sowieckiego?

Oczywiście, to są przypuszczenia. Ale jest faktem że gdy 31 sierpnia 1948 roku Bierut ujawnia fakt istnienia w łonie partii „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego”, którego nosicielem ma być Gomułka, oskarżony nie broni się z tak charakterystyczną dla niego niegdyś odwagą. Pozostaje tylko uczciwy wobec samego siebie. Żądają od niego oczywiście samokrytyki. Mieliśmy ją w radio nagraną na taśmie. Nigdy nie będę w stanie jej zapomnieć. Głosem beznamiętnym, monotonnym, głosem bezmierne zmęczonego człowieka powtórzył to, o czym był głęboko przeświadczony: że kolektywizacja przymusowa w Polsce przyniesie rezultaty odwrotne od zamierzonych, że osłabi więź między robotnikami a chłopami, tak niezbędną do budowy socjalizmu. Taka samokrytyka nie była oczywiście wystarczająca. Następnego dnia,

decyzją Biura Politycznego Gomułka został zdjęty ze stanowiska I-go sekretarza partii.

A lawina toczyła się dalej.

15 grudnia 1948 r. odbył się w Warszawie Zjazd Zjednoczeniowy. Odbywał się on w pełnej entuzjazmu atmosferze, którą zresztą sami od dłuższego czasu wytwarzaliśmy. Był on dla mnie osobiście dowodem zwycięstwa słusznej linii partii, słuszności drogi, jaką wybrałam.

Dwa wydarzenia na tym Zjeździe utkwiły mi na zawsze w pamięci. Pierwsze — to wiadomość o zajęciu Pekinu przez armie Mao Tse-tunga. Chwila ciszy, członkowie prezydium przeczytali ją i nagle cała sala powstała z miejsc i rozbrzmiała dźwiękami Międzynarodówki.

Drugie wspomnienie było przykre, żenujące, bolesne. Na trybunę skierował się, przez nikogo nie proszony, przygarbiony mówca w okularach. Czyżby w tych szklach, spoza których patrzyły spokojne, smutne oczy, niektórzy delegaci ujrzeli własne sumienie? Rozległy się okrzyki: Precz z Gomułką. Prawda, że niewielu zdobyło się na nie. Ale był to jeden z tych momentów w życiu, gdy człowiek wie, iż pozostając biernym widzem postępuje nieetycznie, wstrętnie i że nic nie będzie mogło tego uczucia później wymazać ze świadomości, ani usprawiedliwić. Tak właśnie wtedy czułam.

Czy Gomułka podpisał wyrok na siebie, nie mogąc się oprzeć konieczności przemawiania na Kongresie partii, która stanowiła treść jego życia? Powiedział wreszcie te słowa, które leżały mu na sercu: nie zrobicie ze mnie szmaty. A potem był już bardzo spokojny i jakby zadowolony z siebie. Nie przypuszczam jednak, aby to przemówienie miało zadecydować o jego dalszych losach. Burza stalinowska rozpętała się już wtedy na dobre nad wszystkimi krajami wschodniej Europy. Jesienią 1949 roku w Budapeszcie skazano na śmierć Rajka. Był na tym procesie mój serdeczny przyjaciel, ówczesny ambasador Polski na Węgrzech, przedwojenny komunista, Henryk Minc. Kiedy przyjechał do Warszawy, nie mogłam z niego wydobyć ani jednego słowa na ten temat. Miał kamienną twarz. Powiedział mi — był chyba jednym z nielicznych, który zdobył się na tę odwagę — i do dziś dźwięczy mi w uszach jego charakterystyczny, ochryply głos: „Zanurzamy się w błocie. Alusiu, błagam Cię, przestań wierzyć, zacznij myśleć. Rajk jest niewinny. I Wiesław także”.

Bułgaria przygotowała się, by sądzić Kostova. Stalin miał na pewno pretensję do swych polskich wykonawców iż ograniczyli się tylko do wykluczenia Gomułka z K.C. i odebrania mu teki ministra Ziem Zachodnich i że skazali go na zależność w pracy

od jednego z najbardziej ortodoksyjnych przeciwników: Witolda Józwiaka. Gomułka został wiceprzewodniczącym Najwyższej Izby Kontroli.

11 listopada 1949 roku zaczęło się III Plenum PZPR. To już był zwykły proces, niemal taki sam, który rozgrywał się w wyreżyserowanych trybunałach. Wczorajsi wielbiciele, przekształcili się w bezlitosnych prokuratorów. Można zrozumieć, że Gomułka miał wrogów. Można zrozumieć, że niektórzy wstydzili się własnej bezsilności. Ale nie można pojąć zachowania się tych, którzy, znając historię polskich komunistów, kamieniowali nową ofiarę z sadystyczną przyjemnością. I myślę, że zachowanie się ludzi na tym Plenum stanowi jakiś ważny miernik moralności. Nawet w tych czasach, gdy nie można było uratować Gomułki, można było przynajmniej milczeć...

On sam zachował się zresztą z pełną godnością. Miał odwagę nie przyznać się do winy, bronił swego stanowiska w każdym punkcie oskarżenia. Ci, którzy obecni byli na tym Plenum opowiadali nam, że zszedł z trybuny, jakby wyzwolony od olbrzymiego ciężaru.

Zeszyt „Nowych Dróg”, zawierający sprawozdanie z tego Plenum jest i pozostanie ważnym dokumentem. Daje nie tylko historyczny dowód pewnej epoki, ale mówi również o wpływie strachu i o zbiorowej psychozie, które upadły człowieka. I daje przykłady, jakże niestety nieliczne, ludzi, którzy posiadali się charakteru...

Gomułka nie przegrał politycznie. Działo się to przecież w okresie, gdy partia coraz bardziej izolowała się od społeczeństwa i traciła z nim wszelki kontakt. Wystarczyło, by ktoś popadł w niełaskę tej partii, a co jeszcze ważniejsze — Moskwy, by automatycznie być pasowanym na bohatera. Był to w tym czasie wśród Polaków nieomal odruch warunkowy. Swego rodzaju paradoks. Wiesław u władzy, Wiesław przywódca komunistów z całą pewnością nie był kochany przez bezpartyjnych. Gomułka odsunięty, w niełasce Stalina, mający odwagę przeciwstawić się Związkowi Sowieckiemu — stał się symbolem bohaterskiego — niemal narodowego — oporu.

Trudno powiedzieć dokładnie, którego dnia został aresztowany. Prawdopodobnie w 1950 roku w Krynicy. Żona, Zofia, podzieliła jego los. Razem przebywali w „willi” w Miedzeszynie i razem milczeli. Gomułka przemówił dopiero w 6 lat później, w Październiku.

W chwili ponownego objęcia władzy Władysław Gomułka cieszył się najgłębszym szacunkiem i uznaniem polskiego społeczeństwa. Spontanicznie intonowało ono „Sto lat” temu przywód-

cy, w którym chciano widzieć symbol narodowego oporu i walki narodowej w dniach październikowych.

Z biegiem czasu zaczął tracić popularność. Jest to w pewnym sensie normalny proces. Każdy polityk, który z opozycji przechodzi do władzy, musi wydawać zarządzenia, nie zawsze popularne i liczba jego zwolenników topnieje. W wypadku Gomułka dołączają się jednak do tego dodatkowe czynniki. Bardzo szybko Polacy spostrzegli, że bohater narodowy października jest przekonany, spartańskim budowniczym komunizmu. Oczywiście Gomułka był nim zawsze, ale ludzie albo o tym zapomnieli, albo nie chcieli tego widzieć. Rzeczywistość szybko wyprowadziła ich z błędu, co z kolei wpłynęło na zmianę uczuć. Pozostał zatem szacunek: nawet dziś każdy uważa go za kryształowo uczciwego i skromnego człowieka, który zawsze pozostanie wierny swym przekonaniom. Ale szacunek dla osobistych cech charakteru nie jest równoznaczny z miłością, ani nawet z popularnością kierownika państwa.

Gomułka utracił w pierwszej kolejności serca intelektualistów, którym chciał narzucić dyscyplinę partyjną. Będę miała wkrótce możliwość zanalizować nieco głębiej ten konflikt, który zarysował się natychmiast po Październiku. Chciałabym jednak zwrócić uwagę na jego inne oblicze. Mówi się wiele o niechęci Gomułka do inteligentów. Jeśli żywi on to uczucie, to jest ono, niestety, w dużej mierze uzasadnione jego osobistym doświadczeniem. Przed wojną Gomułka nie miał z tym środowiskiem wiele wspólnego. Gdy zetknął się z nim — jako sekretarz PPR w powojennej Polsce — poznał je z najgorszej strony i musiał odczuwać głęboki zawód. To nie robotnicy, to przedstawiciele partyjnych inteligentów zachowali się na III Plenum jak ludzie pozbawieni podstaw etycznych. Zadali mu wtedy ranę, która nie może się szybko zabliznić. Choćby chciało się zapomnieć i nie żywić osobistych urazów, człowiek jest tylko człowiekiem. Nawet tak twardy działacz, jak Władysław Gomułka.

Ten konflikt ogranicza się jednak tylko do dość wąskiego środowiska. Tymczasem spadek popularności Gomułka w całym społeczeństwie jest niezaprzeczonym faktem.

Uważam, że najbardziej istotną przyczyną, która odsunęła od niego przyjaciół — jest jego wrodzony ascetyzm. Gomułka jest człowiekiem bez potrzeb. Po dojściu do władzy przez długi czas pozostawał w starym, 2-pokojowym mieszkaniu na Saskiej Kępie, w którym przeżył najcięższe chwile. Żonę jego spotykano z koszykiem na targu. Wnuk jechał na spacer w najskromniejszym wózekczku dziecinnym, jaki można było znaleźć w Warszawie. Nie jest to żadną grą, ani chęcią zdobycia sobie popularności. Wy-

starczy obserwować Gomułkę na przyjęciach rządowych, żeby zorientować się bez trudu, że nie czuje się w swojej skórze. Nie pije alkoholu, nie bierze udziału w ogólnej zabawie. Nie umie ukryć uczucia pewnej pogardy dla tego decorum, które uważa za pewne za niemoralny blichtr, podczas gdy np. górnicy muszą pracować w kopalniach.

Widziałam Gomułkę na pokazie filmu marka Hłaski „8-my dzień tygodnia”. Był rozdrażniony i bardzo zły. Te uczucia nie odnosiły się do artystycznej wartości filmu, o czym można by istotnie dyskutować, ale do samych zjawisk społecznych które tak celnie maluje ten utalentowany pisarz. Pijaństwo, szukanie ucieczki w alkoholu przed ciężkimi warunkami materialnymi, czy przed trudnymi problemami moralnymi; cynizm, zdrada małżeńska — to są zjawiska, które Władysław Gomułka, nie będąc do nich sam zdolny, jak najostrzej potępia. Wie zapewne, że istnieją one w polskim społeczeństwie, że ludzie ulegają takim słabościom, ale nie jest w stanie starać się ich zrozumieć, czy szukać ich przyczyn. Gomułka zaklasyfikował je po prostu w pewnej kategorii moralnej, od której nie ma odwołania.

Ludzie nie lubią na ogół tego rodzaju postawy moralisty. A już z trudem mogą zaakceptować jego całkowity daltonizm w dziedzinie ludzkich potrzeb. Nie dostrzega po prostu rzeczy, które dla milionów obywateli stanowią przedmiot marzeń, często jeszcze niedoścignionych. Obserwowałam to na Targach Poznańskich w roku 1960. Były wśród eksponatów nowe pralki, lodówki, bardzo gustowne materiały polskiej zresztą produkcji. Gomułka przechodził koło tego obojętnie. Miałam wrażenie, że ich nie widzi. Zatrzymał się dopiero przy stoisku ciężkiego przemysłu. Tam się ożywił i z największym zainteresowaniem wypytywał o drobne szczegóły funkcjonowania wielkiej maszyny. Został zupełnie sam, otoczony tylko nielicznymi dziennikarzami i towarzyszącymi mu, z obowiązku, pracownikami bezpieczeństwa, którzy zresztą sami marzyli o tym, żeby móc obejrzeć rzeczy, ułatwiające codzienne życie ich rodzin. Choćby z daleka, jeśli nie mogą sobie pozwolić na ich kupno. Premier Cyrankiewicz „zagubił się” oczywiście przy stoisku samochodów Mercedes.

Jestem przekonana, że te cechy człowieka bez potrzeb, bo nauczył się ich wyrzekać, bo ma taki charakter — oddalają go dziś od ludzi, którzy chcą stworzyć lepsze i wygodniejsze życie nie tylko swoim dzieciom, ale samym sobie. I nie w jakichś odległych terminach przyszłości, ale od dziś, od zaraz. Dość się narciepieli i nawyrzekali, mają pełne prawo zacząć korzystać z życia.

Rozmawiałam po zwiedzeniu tych Targów z jednym z ludzi z najbliższego otoczenia Gomułki. Wzdychając, powiedział:

„Uczciwość, zdolność heroicznych wyrzeczeń — to są piękne cechy charakteru. Pod warunkiem, że nie są za daleko posunięte, bo ludzie, którzy nie są bohaterami, a tych jest przecież większość, tych cech nie potrafią podzielać. A wtedy zostaje już tylko samotność”.

Gomułka nadal walczy, rzeczywiście coraz bardziej samotnie — na pewno kosztem nowych wyrzeczeń — o wcielenie w życie idei komunizmu, tak, jak on ją rozumie i odczuwa i która na pewno pozostała jego credo życiowym, ale która stała się obca niemal całemu społeczeństwu.

Rozdział XI

Sprawa Władysława Gomułki była wstrząsającym przykładem metod stalinizmu. A przecież w tych czasach cierpiało bardzo wielu ludzi. Niesposób podać ich liczbę, bo nie chodzi tylko o aresztowanych. Podejrzanymi stali się ci wszyscy, którzy nie chcieli stać się robotami i nie mieścili się w ramach „ofiarnych przodowników pracy”. Ci wszyscy, którzy zachowali jakąś indywidualność i nie dali podciągnąć się pod wspólny strychulec, wypracowany odgórnie i niewiele mający z życiem wspólnego.

Ludzie prześladowani byli za swoje pochodzenie społeczne, za to, że urodzili się w mieszczańskim, a nie robotniczym, czy chłopskim domu. Za dawne przekonania, które w międzyczasie zrewidowali i zmienili. Za rewolucyjne myśli i idee, którym pozostali wierni.

Przyjaciele Gomułki cierpieli za to, że starali się zasiać ziarno komunizmu w polską glebę, która, będąc przez wieki inaczej uprawiana, nie mogła przyjąć wszystkiego, co sowieckie.

Uczestnicy Międzynarodowych Brygad za to, że walczyli w Hiszpanii, a nie przyglądali się biernie próbie sił między faszyzmem, a demokracją.

Żołnierze Polski podziemnej, byli Akowcy, prześladowani byli za to, że broniąc własnej i narodowej godności chwycili za broń przeciw hitlerowskim okupantom.

Polacy, którzy zaraz po wojnie wrócili z emigracji, bo kochali ojczyznę, za to, że wyrąbывali do niej drogę na Zachodzie, w Narwiku i pod Monte Cassino, a nie czekali z założonymi rękami na koniec wojny.

Czyli, na przekór logice i prymitywnemu zdrowemu rozsądkowi tylko ludzie bierni, nijacy, bez charakteru, mogli wygodnie

urządzić się w tym okresie. Ci, którzy kierując się szlachetnymi uczuciami, działali, choćby w przeszłości — byli skazani. Nie zawsze na więzienie, ale niemal bez wyjątku — na codzienne upokorzenia, na niepewność jutra, na utratę pracy.

A ci ludzie stanowili polskie społeczeństwo, które w większości trzeba było przekonać, że socjalizm jest tym ustrojem, który może i ma im przynieść szczęście...

Dołączały się do tego jeszcze osobiste tragedie tych, którzy nie zaniechali takich wysiłków. Rzeczywistość stalinowska uniemożliwiała jednak ich rozwój, hamowała ich inicjatywę i zdolności.

Znam dwa takie wypadki pośród moich przyjaciół. I pozwolę sobie je opisać.

Rafał Praga był naczelnym redaktorem popołudniowego pisma, „Expressu Wieczornego”, który do dziś pozostał ulubioną, bo najżywiej redagowaną gazetą mieszkańców stolicy. Powiem więcej: do dziś stosuje on pomysły swego pierwszego redaktora i twórcy, który wyczuwał intuicyjnie, w jaki sposób zainteresować czytelników i zbliżyć się do nich. Rafał Praga był „urodzonym”, „z bożej łaski” dziennikarzem. Młody i pełen niespożytej energii, poświęcił się pracy bez reszty. Siedział w drukarni do 5-tej rano, by o 9-tej wrócić do swego redaktorskiego fotela i przez cały dzień spotykać ludzi, których artykuły mogłyby wzbogacić jego ukochane pismo. Te spotkania odbywały się często w restauracjach i kawiarniach, gdzie można było zobaczyć Rafała, otoczonego gronem efektownych „kociaków”. Była to dekoracja jego życia, którą z pewnością lubił. Ale treścią pozostawało dziennikarstwo w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Rafał był członkiem PPS i w jej szeregach walczył w okresie okupacji. W pierwszych trzech latach powojennych, nie przywiązywano do tego znaczenia. Później, w miarę usztywniania się sytuacji, zaczęto mu rzucać kłody pod nogi. Zarzucano mu przede wszystkim „zachodni” rozmach gazety, która przestawała się mieścić w ramach partyjnych, propagandowych organów. Rafał jednak był kochany przez cały zespół redakcyjny, od dziennikarzy do woźnych i zecerów, oraz nadal, choćby poprzez imprezy artystyczne, które organizował pod egidą „Expressu”, utrzymywał kontakt z czytelnikami. Trudno go było „zlikwidować”. Zaczęto więc szukać broni przeciw niemu w jego zachowaniu się, w „niepartyjnym” trybie życia. Praga należał do tej kategorii ludzi, którzy każdą, najtrudniejszą nawet pracę wykonują z uśmiechem, z humorem, wydawałoby się, bez żadnego wysiłku. Wkładają w nią jednak całe serce i jest ona wyłącznym celem ich życia. Wiem doskonale, że Rafał nie potrafił odpoczywać. Po trzech dniach urlopu, ponosiły go nerwy. Pojawiał się, jak meteor w Sopocie,

czy w Zakopanem i pod byle jakim pretekstem, wracał do Warszawy. Najbardziej atrakcyjną kobietą nie była w stanie go zatrzymać. Zresztą i w tej dziedzinie, Rafał stwarzał fałszywe pozory. Kochał bowiem prawdziwie i z całym oddaniem Joannę, która była jego wierną towarzyszką w okresie okupacji i która usiłowała dotrzymać mu kroku w życiu. Jeśli zaistniały potem nieporozumienia między nimi, to dlatego, że bardzo mało kobiet potrafiło wytrzymać ten nieprzytomny rytm, który Rafał narzucał otoczeniu swą osobowością. W domu dobrze zarabiającego na owe czasy dziennikarza, panował czasem niedostatek, tylko dlatego, że Rafał nie miał żadnego wycucia wartości pieniądza. Potrafił jednego wieczora wydać, lub pożyczyć innym całomiesięczną pensję. Zapraszał do domu, bez uprzedzenia, po kilkanaście osób i dziwił się, że nie ma nic do jedzenia. Nie umiał po prostu ukrócić swej fantazji. Joanna poczuła się tym nagle zmęczona. Była starsza od Rafała i w tym okresie zaczęła się u niej rozwijać ciężka choroba: sclerosa multiplex. Zbyt dobrze rozumiałam ich problemy, zbyt ich lubiłam, bym mogła ich sądzić.

Można przytoczyć wiele anegdotycznych faktów z życia Rafała Pragi. Ale to było bardzo zewnętrzne. W istocie traktował bardzo poważnie życie osobiste i polityczne. Nie umiał się podporządkować zarządzeniom, które uważał za szkodliwe. Nie potrafił iść na duże kompromisy polityczne. Myślę, że *enfant terrible* polskiej prasy w okresie stalinizmu mogło utrzymać się przy życiu dzięki poparciu premiera Cyrankiewicza. Niemniej inni zwierzchnicy czekali tylko na odpowiedni moment, by go wykończyć.

Szukano pretekstów. Jednym z nich miał się stać fakt, iż Rafał zgubił legitymację partyjną. Był na nartach w Zakopanem, przewrócił się, legitymacja musiała mu wypaść z kieszeni. Wytoczono mu „proces”, który skończył się naganą z ostrzeżeniem. Pierwszy krok do usunięcia z redakcji. Rafał, osaczony, zaczął się wtedy bronić. Nie tyle chodziło mu o stanowisko, ile o gazetę, która była jego oczkiem w głowie, dziełem jego życia. Walczył więc jak umiał z mnożącymi się szykanami. Spalał się w tej nikomu niepotrzebnej walce. Gryzł się wewnątrz. Rafał miał wadę wymowy, która nie pozbawiona była pewnego wdzięku: jąkał się lekko w chwilach dużego wzruszenia, czy zdenerwowania. W tym okresie Rafał coraz częściej się zaciął. I to był jedyny znak, że cierpiał.

Umarł tak, jak żył, na posterunku. „Express Wieczorny” zorganizował jedną ze swych wielkich imprez, na które ściągaly tysiące ludzi. Było to w 10 rocznicę istnienia gazety, w maju 1954 roku. Rafał przemawiał wtedy i zasłabł. Przewieziono go do

domu, gdzie po 3 godzinach umarł na zawał serca. Zatelefono-
wano po mnie. Zdążyłam na czas, by usłyszeć te dwa zdania:
„Mimo wszystko wytrzymałem do końca i nie oddałem gazety”
i „opiekuj się Joanną”.

Potem jeszcze prezes radia, Werner, poruszony tak zresztą
jak wszyscy dziennikarze tą przedwczesną śmiercią, prosił mnie,
bym napisała pośmiertne wspomnienie o Rafale. Nie zmienił mi
w nim ani jednego słowa. Był to już okres pełnej odwilży. Szkoda,
że Rafał nie doczekał październikowej wiosny, choćby tak
krótkiej, jaką się dla dziennikarstwa okazała...

Drugi wypadek skończył się nieco lepiej, ale trudno wprost
opisać, ile jego bohater wycierpiał w czasach stalinizmu. Andrzej
Munk nie potrzebuje dziś reklamy; był uznany na całym świecie,
za jednego z najzdolniejszych filmowców powojennej epoki. Cały
świat artystyczny ubolewał nad jego przedwczesną śmiercią w
wypadku samochodowym. Trzeba jednak było znać Andrzeja w
1950 roku, żeby uświadomić sobie przez jakie piekło przeszedł
ten młody człowiek. Pracował wtedy w „Filmie Polskim”, ko-
chał tę sztukę i chciał stworzyć coś takiego, co — jak się wy-
raził — byłoby dokumentem historycznym tego okresu. Nie fil-
mem nawet, bo wiedział, że nie ma po temu możliwości, ale
artystyczną fotografią życia w Polsce. Jego talent przerastał moż-
liwości zrozumienia przełożonych, którzy byli po prostu „od-
delegowani” do Filmu. Może dlatego, że Andrzej był dla nich
miernikiem własnych możliwości, że ukazywał im własną igno-
rancję, jeśli nie głupotę, chcieli uczynić z niego idiotę, nienormal-
nego człowieka. Ośmieszano go publicznie, doprowadzając go tym
zresztą do prawdziwej pasji.

Wyznał to wszystko u mnie w domu, kiedy przyszedł na moje
urodziny. Siedział w kuchni, nie brał udziału w ogólnej zabawie
i pomagał Mamusi zmywać naczynia.

— Widzi Pani do czego się nadaję — mówił z niekłamaną
goryczą. A potem — i to było najgorsze — rozplakał się jak
skrzywdzone dziecko. Ten mężczyzna, o silnej woli, o niewątpli-
wym talencie — tą tylko bronią mógł się bronić przeciw szyka-
nom i tępym wrogom. Na szczęście zwyciężyła siła jego geniuszu
filmowego, która pozwoliła mu przedstawić skomplikowane pol-
skie i ludzkie problemy w „Eroice”, w „Zezowatym szczęściu” i
w niedokończonyj „Pasażerce”. Wszystkie te filmy rozstały
polską sztukę filmową.



W ostatnim okresie stalinizmu, po procesie lekarzy Żydów

w Związku Sowieckim — zaczęto prześladować ludzi za ich narodowość. Był to prawdziwy wstrząs moralny dla wielu członków partii. Wydawało się, że okres, gdy człowiek tracił pracę dlatego, że ma za długi nos, lub dlatego, że jego babka nie mogła wykazać się „aryjskim” pochodzeniem, skończył się bezpowrotnie wraz ze śmiercią Hitlera. Partia uczyniła niemało, by zwalczyć uczucia antysemityzmu, ciągle głęboko zakorzenione w polskim społeczeństwie. Tymczasem to właśnie przywódcy stalinowscy, czołowi wówczas kierownicy ruchu robotniczego, starali się na nowo rozpalić uczucia rasizmu w ludzkich sercach i umysłach.

Kierownicy polskiej partii pochodzenia żydowskiego musieli przeżywać bardzo ciężkie chwile. Nie tylko dlatego że to przede wszystkim w nich samych uderzało i nie tylko chyba dlatego, że sami musieli dostrzec bolesną rozbieżność między ideą socjalizmu, głoszącą równość wszystkich bez względu na pochodzenie, a praktyką. Poczuli się nagle zupełnie samotni i całkowicie odizolowani od społeczeństwa polskiego, którego tego rodzaju prześladowania nie dotyczyły w najmniejszej mierze. Nie wykluczone zresztą, że to rozpalanie antysemityzmu było robione celowo, by rzucić ludziom ochłapy pocieszenia, by odwrócić ich uwagę od innych ciężkich problemów, z którymi musieli się borykać: a zwłaszcza od trudnej sytuacji materialnej. Stara to prawda, że wyciąga się z lamusa hasła nacjonalistyczne jako odtrutkę na nędzę i niezadowolenie mas. Jeśli natrafia się na podatny grunt, antysemityzm spełnia swą rolę społecznym narkotyku.

W Polsce na taki grunt natrafił. Zanim więc jad nienawiści do Żydów odrodził się na dobre w polskich umysłach, panika ogarnęła górę partyjną, nie wyłączając Jakuba Bermana, czy Hilarego Minca. Przede wszystkim godził boleśnie w podstawy ich egzystencji i mógł odebrać im możliwość życia w swoistym getcie „za żółtymi firankami”. Stawiał przed nimi problem: czy warto było wykazywać aż taką nadgorliwość dla systemu, z którego rozporządzeniami nie zawsze mogli pogodzić się moralnie, skoro teraz mają paść ofiarą tego, co sami budowali?

Wśród kierowników wszystkich instytucji zapanowało napięcie. W Radio zastanawiono się, ilu spośród nich jest aryjskiego pochodzenia i zdaje się, że ten bilans wypadł pozytywnie. Bo jeśli można było znaleźć dwóch kierowników czysto aryjskiego pochodzenia, z nazwiskami, kończącymi się na -ski lub -cki, to w ich cieniu można przemycić jednego Żyda: czyli nowy *numerus clausus*. Kierownicy personalni zaczęli się zastanawiać, jakie preteksty posłużą najlepiej do zwolnienia tej kategorii ludzi. W rezultacie w Radio ofiarą czystki rasistowskiej padł poczciwy, inteligentny i, o gołębim sercu Jerzy Baumritter. Ale — i to jest znów para-

doks — otrzymaliśmy dwóch ludzi pochodzenia żydowskiego, których trzeba było usunąć z wojska: Henryka Wernera i Emanuela Planera. Był to okres generalnego przesuwania pionków na rządowej szachownicy. Niektórych po prostu zdejmowano. Innych przesunięto na mniej odpowiedzialne, mniej rzucające się w oczy pozycje.

Wielu z tych ludzi zrozumiało wówczas, że padli ofiarą własnej działalności, że akceptując bezkrytycznie system, podpisali wyrok na siebie. I że w dużej mierze skompromitowali samą ideę socjalizmu, skoro w ustroju, noszącym jego imię — pochodzenie człowieka miało świadczyć o jego wartościach i zdolnościach. Ci, którzy to zrozumieli, starali się, gdy tylko nadarzyła się pierwsza okazja, emigrować do Izraela.

W Polsce poddanie sygnału do antysemityzmu mogło mieć zresztą poważne konsekwencje. Jego tradycje są u nas jakąś chorobą społeczną, której bakterie tkwią głęboko w narodowym organizmie. Czyż najlepszym dowodem tego nie było wydarzenie, które miało miejsce jeszcze w tym pierwszym, stosunkowo liberalnym okresie, które okryło Polskę wstydem wobec całego świata, a mianowicie pogrom kielecki z 4 lipca 1946 roku?

Dlatego zerowanie na tych uczuciach, których geneza jest bardzo złożona, równało się igraniu z ogniem.

Przedwojenny antysemityzm w Polsce miał przede wszystkim podłoże ekonomiczne. Spowodowany był zazdrością że pewnej kategorii Żydów lepiej się powodzi, że zmuszeni do bezkompromisowej walki o byt, ci wieczni tułacze, wykazywali większą pracowitość, robili wszystko, by wykształcić swe dzieci, szukając w tym zresztą zabezpieczenia dla samych siebie. W pojęciu Polaka, potomka większej, lub mniejszej szlachty, Żydzi byli uosobieniem „kręactwa”, potomkami lichwiarzy. I dlatego, nie szukając przyczyn we własnym postępowaniu, w organicznej niechęci do handlu na przykład, uważał za krańcową niesprawiedliwość, że Żydom lepiej się powodzi.

Rzecz charakterystyczna zresztą. Przed wojną nastąpiła polaryzacja Żydów w Polsce. Byli albo bardzo bogaci, np. właściciele fabryk, czy banków. Ci potrafili się obronić nie tylko przed polskim antysemityzmem, ale nawet przed Hitlerem, uciekając zagranicę. Albo też bardzo biedni, ci drobni handlarze z Nalewek, tragarze, którym nie starczało groszy, by kupić śledzia na piątkowy wieczór. Ci bici, głodni i prześladowani znaleźli bez trudu drogę do partii komunistycznej. Dając moralny pretekst faszystowskiej młodzieży do ukucia terminu Żydokomuna.

Nie nowy to zresztą problem społeczny i istniejący prawie wszędzie tam, gdzie występuje sprawa mniejszości narodowej o

dużej dynamice. Znają ten problem w stosunku do Żydów kraje zachodnie i Stany Zjednoczone. Zetknąłem się niedawno z tym samym problemem na azjatyckim kontynencie, w Malezji. Malajowie żywią kropka w kropkę te same uczucia zazdrości wobec mniejszości chińskiej, jakie Polacy żywili przed wojną do Żydów. I te same są przyczyny. Chińczycy są na pewno ogromnie pracowici i skupiają w swych rękach cały niemal handel młodej Federacji. Rzecz w tym, że Malajczycy nie chcą się „splamić” tym handlem, woląc zajmować o wiele gorzej płatne, ale odpowiadające ich „wyższemu” pochodzeniu, stanowiska w administracji państwowej.

Jeśli jednak można zrozumieć źródła i korzenie antysemityzmu polskiego w okresie przedwojennym, to po wojnie, gdy Hitler radykalnie rozwiązał ten problem, po prostu mordując 3 miliony Żydów, powinien on być zniknąć z życia i ze świadomości społeczeństwa. Zwłaszcza, że w okresie okupacji, zaszczeni, skazani na śmierć ludzie, budzili do tego stopnia uczucia litości, że niektórzy dawni atysemici okazywali im czynną pomoc.

Neoantysemityzm, który odrodził się w Polsce w latach stalinowskich płynął z dwóch źródeł. Jednym było polecenie odrodzenia rasizmu, wydane odgórnie na Kremlu, by odwrócić uwagę szerokich mas od innych problemów tych czasów. Drugie źródło — to zdrowa reakcja społeczeństwa polskiego na akty gwałtu, bezprawia i terroru, których wykonawcami, z konieczności, czy też z przekonania byli w przeważającej mierze Żydzi. To oni, właśnie ci przedwojenni komuniści, którym udało się przetrwać okres wojny w Związku Sowieckim, objęli później najbardziej odpowiedzialne stanowiska w aparacie bezpieczeństwa, czy propagandy. To oni w oczach Polaków byli odpowiedzialni za całe zło, za ludzkie cierpienia w okresie stalinizmu. Nie można się takiej reakcji dziwić. Ci ludzie powinni byli odejść. Nie dlatego, że przypadkowo byli Żydami, ale dlatego, że ponosili obiektywnie odpowiedzialność — jako komuniści i jako polscy obywatele — wobec swych rodaków.

Cała trudność działania w tym okresie polegała na tym, że trudno było oddzielić dwa krzyżujące się wówczas nurty antysemityzmu: ten, niedobry, który przyszedł z góry, i ten zdrowy, oddolny, który był antysemityzmem w takich tylko granicach, gdy odpowiedzialni za przeszłość i bezprawie byli Żydami.

W tym okresie, jako przedstawiciel partii, opiekowałem się organizacją partyjną w „Locie”. Na jednym zebraniu wystąpił młody chłopak, pracował zdaje się w administracji. Oznajmił, że chce wyemigrować do Izraela. Na sali rozległy się głosy: „wyhodowaliśmy zmiję. Wiadomo, Żydek...” Nie mogę znieść tego

zdrobniałego słowa, które jest dla mnie odpowiednikiem obelgi. Uniosłam się, nawymyślałam ludziom od rasistów i zakończyłam zebranie. Potem rozmawiałam długo z tym chłopcem, używając wszelkich argumentów, żeby pozostał, że tylko w ten sposób może uratować honor Żydów. Słuchał mnie z wielkim bólem. Mówił, że czuje się Polakiem, że Polska jest jego ojczyzną, ale upierał się przy wyjeździe. Wyrzucono go z partii. Wyemigrował. Później dowiedziałam się, że jego matka była odpowiedzialnym pracownikiem Bezpieczeństwa. Nie najważniejszym zresztą, jednym z anonimowej armii znienawidzonych ludzi. Syn nie mógł znieść tej sytuacji, nie był zdolny postawić własną matkę pod pręgierz opinii. Kiedy to zrozumiałam, wstydziłam się mojej rozmowy i moich argumentów. Ten chłopak miał rację.

Z chwilą odejścia skompromitowanych i z równoczesną próbą naprawienia krzywd epoki „kultu jednostki” — jak to wówczas w dużym uproszczeniu nazywano — korzenie tej powrotnej fali antysemityzmu powinny zostać wykarczowane.

Jeśli tak nie jest i jeśli ciągle się on jeszcze w rozmaitych formach odradza — jest to wynikiem polityki pewnej grupy wysokich funkcjonariuszy partyjnych — najpierw natolińczyków, później zwolenników Moczara — którzy chcą umocnić własną pozycję, zdobyć poklask, żerując na niepięknych uczuciach nacjonalizmu. Ale, ma szczęście, ten współczesny antysemityzm obraca się w bardzo wąskim kręgu „wyższych dziesięciu tysięcy” i przybiera często formy osobistych rozgrywek. Przeciętny obywatel polski nie orientuje się, że pan X jest ostatnim ambasadorem żydowskiego pochodzenia, odwołanym z zagranicznej placówki. Gdyby nawet o tym wiedział, to poza odruchem pewnego zadowolenia, że Polskę powinni reprezentować Polacy, nie pociągnęłoby to za sobą żadnych konsekwencji. Dlatego wydaje mi się, że polityka obecnych antysemitów w łonie partii nie ma przed sobą przyszłości. Z tym tylko, że wyrządza krzywdę moralną i samej idei socjalizmu i temu młodemu pokoleniu, które naprawdę powinno oceniać już człowieka wyłącznie według jego wartości, a nie według pochodzenia.

Rozdział XII

Radio, mimo wielu trudnych chwil, jakie w nim przeżyłam, dało mi dobrą szkołę pracy, życia i znajomości ludzi. W ciągu 17 lat zaznałam oczywiście momentów goryczy, zwątpienia i załamania. Ale miałam także chwile dużej satysfakcji i zadowolenia z pracy. Ogromnie się do Radia przywiązałam i zawsze będę wspominała ten okres z dużym rozrzewnieniem.

W Radio, jak w miniaturowym zwierciadle odbijały się wszystkie okresy powojennej Polski. Zmieniał się ton naszych audycji: od trochę nieporadnego ale szczerego w okresie lubelskim i tym pierwszym, warszawskim — poprzez sztywny, ciężki język okresu stalinowskiego — aż do tego, który zabrzmiał czysto na falach eteru i powtórzony był przez cały świat: „Przekroczyliśmy Rubikon, mamy wiosnę w październiku...” Później nieco wplatały się znów do niego fałszywe tony, ale na ogół program radiowy, przynajmniej muzyczny czy literacki, stał się ludzki. I takim pozostaje.

Zmieniali się też ludzie w każdym okresie. Twórca powojennej radiofonii, Wilhelm Billig szybko nas opuścił ustępując miejsca Romualdowi Gadomskiemu. Krążyły o nim słuchy że jest również pracownikiem bezpieczeństwa, nominacja jego przypadła na stalinowskie czasy. Trudno mi wydać sąd w tej sprawie, ponieważ Gadomski nie był na pewno żadną wybitną indywidualnością, w każdym razie minimalnie wpływał na sam program radiowy. Żołnierz Armii Andersa, w czasie wojny znalazł się na terenie Palestyny. Był przyjacielem Władysława Broniewskiego. Miał ustawiczne problemy z dużą ilością żon i dzieci, które każdej pozostawiał w spadku.

Po nim przyszedł Tadeusz Galiński, dobry organizator, który

z całą pewnością nadawał się jednak bardziej na naczelnego redaktora górniczej „Trybuny Robotniczej”. I wreszcie o starannie wygolonej główce polski Yul Brynner — Włodzimierz Sokorski, który piastuje ten urząd po dzień dzisiejszy. W czasach stalinowskich był jedynym ministrem, z którego można było śmiać się publicznie w kabaretach. Mając wtedy powierzony sobie resort kultury, ułatwiał podobno niektórym pisarzom „twórczość do szuflady”. W swych przemówieniach wychwalał jednak pod niebiosy „realizm socjalistyczny”. Nigdy chyba nie spotkałam tak wielkiego cynika — jest szczery wtedy, gdy opowiada na lewo i na prawo o swych przeżyciach erotycznych. Ciekawe, że ten cynizm czyni go sympatycznym. Myślę, że jest on najskuteczniejszą bronią Sokorskiego wobec samego siebie i tej całej armii ludzi, którzy z jednej strony atakują go za nadmiar stalinowskiej sztywności w przeszłości, a z drugiej za daleko posunięty liberalizm po październiku.

Niewątpliwie ta druga działalność pozostaje w większej zgodzie z jego przekonaniem. Sokorski uważa, iż demokratyzacja życia w Polsce i możliwości praktyczne w tej dziedzinie są wprost proporcjonalne do rozwoju procesu liberalizacji w ZSSR. Dlatego był zwolennikiem linii Chruszczowa. Sokorski był też jednym z pierwszych kierowników, który dostrzegł — i głośno o tym mówił — niebezpieczeństwo rozdzwieków chińsko-sowieckich, widząc w tym przejawy nie tylko walki ideologicznej ale i politycznej oraz ich konsekwencje dla wewnętrznego życia w naszym kraju.

O ile prezesi radia przychodzili i odchodzili — wiceprezesi i naczelni redaktorzy pozostawali dłużej na swych stanowiskach. Jednym z nich, prowadzącym program dla zagranicy — który przez długi czas był swoistym azyłem dla komunistów zachodnich, przebywających w Polsce — jest bez przerwy Edmund Uzdański. Skostniały komunista ze starej przedwojennej szkoły jest postacią niesympatycznie jednolitą, ale zarazem konsekwentną. Zdecydowany dogmatyk i stalinowiec wykorzystywał swe osobiste znajomości wśród góry partyjnej, by walczyć z programem krajowym, który, nawet w latach 1950 uważał za buntowniczy i rewizjonistyczny. Jedyną jego zaletą jest chyba to, że bardziej, niż kierownicy programu krajowego dba o sytuację materialną swych pracowników, od których jednak wymaga ślepego podporządkowania się swym zarządzeniom. Wraz z rozwojem sklerozy — Uzdański jest już starym człowiekiem — jego sztywność zaczęła stawać się przeszkodą dla kierowników na niższych stanowiskach, którzy, dzieląc często te same poglądy, chcieliby stosować bardziej giętkie metody postępowania.

Jednym z wiceprezesów na program krajowy był w latach 1947-51 Zygmunt Młynarski. Żalсна postać i fizycznie i moralnie. Bardzo tęgi, tracący oddech, wiecznie spocony, budził po prostu litość. Historyk z wykształcenia, specjalista od dziejów polskiego ruchu robotniczego, związany z KPP od lat przedwojennych — nie mógł nie wiedzieć, jakie były jego dzieje. Przemilczał je w swojej książce. A w pracy, czy na zebraniach partyjnych — trąbił triumfalnie w fanfary stalinizmu. Wraz z falą odwilży, odpłynął z Radia. Powierzono mu jakąś synekurę na Wydziale dziennikarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Młynarski do końca życia — nawet po XX Zjeździe — nie zmienił swej postawy. Nie chciał uwierzyć w prawdę. Był to rodzaj moralnej obrony przed samym sobą. Nie czuł się na siłach, by spojrzeć w oczy rzeczywistości i przyznać, że poniósł wielką klęskę, że, służąc najszlachetniejszym, we własnym pojęciu, ideałom, akceptował, mało tego, był wykonawcą największej niesprawiedliwości. Studenci Wydziału dziennikarskiego opowiadali mi przebieg dyskusji z Młynarskim. Okopywał się naiwnie na starych pozycjach, szukając rozpaczliwie poparcia u młodych. Oczywiście go nie znajdował. Ale ta młodzież, litując się nad nim, wysłuchiwała przynajmniej do końca jego argumentów.

Uzdański i Młynarski byli typowymi stalinowcami. Pozostali kierownicy wykazywali większą giętkość. Kilku z nich przeszło wraz z całym zespołem wszystkie etapy rozterki i załamania po XX Zjeździe. Niektórzy zostali wręcz oskarżeni o rewizjonizm. W każdym razie usunęli się lub też usunięto ich na boczne tory.

Istnieją jednak bardziej „machiavelistyczni” wiceprezesi. Jednego z nich poznałam w Lublinie jako pułkownika. Człowiek o dużej inteligencji i giętkości ma, żeby użyć jego własnego słownictwa, burżuazyjne obciążenia. Jeden z jego braci mieszka w Szwajcarii. Drugi — ożeniony ze Szwajcarką, dziennikarz, rozmówany w kulturze francuskiej — przeszedł przez wszelkie stadia w powojennej Polsce. Był surowym i bardzo zasadniczym kierownikiem wydziału prasowego w K.C. w pełnym okresie stalinowskim i autorem broszury, wychwalającej Stalina. Wysłany na Węgry przez „Trybunę Ludu” podczas tragicznych wydarzeń w 1956 roku, pisał prawdę o walce tego narodu. Popadł w niełaskę i dziś zamieszcza w radio felietony, noszące symboliczny tytuł: „Na marginesie wielkiej polityki”. I na tym marginesie pozostaje.

Ten wiceprezes radia jest w każdym okresie nienagannie „na linii”. Jeśli nawet ma wątpliwości, a z chwilą usztywniania się polityki po październiku, miał je na pewno, jeśli w wielu wypadkach myślał tak, jak „rewizjoniści”, jak rodzony brat, jak

własna żona, to dyscyplina wojskowa, której był podporządkowany przez wiele lat, nie pozwalała mu tego publicznie okazać. Zawsze z największą powagą przekonywuje autora o niesłuszności jakiegoś sformułowania, mając w zanadru całą encyklopedię marksistowskiej wiedzy i monopol na jej wyłączność. Wydawał mi się często jednym z największych hipokrytów, jakich znałam. Nie stać go było w rozmowie ze mną, na przymrużenie oka, na jakiś refleks, że jest się przecież do takiej postawy zmuszonym, czy to koniecznością polityczną we własnym zrozumieniu, czy po prostu chęcią utrzymania swego stanowiska. Byłoby to o wiele bardziej ludzkie i łatwiejsze do przyjęcia.

Prawdą jest, że nigdy nie było między nami sympatii. Trudno mi zapomnieć, że w chwili usunięcia mnie z radia, nie uprzedził mnie o tej decyzji, którą przecież znał i że nie znalazł jednego ludzkiego słowa. Czas jednak leczy tego typu urazy i w końcu mogę mu to darować. Gorsze jest, że dla ratowania siebie samego ten człowiek gotów jest poświęcić najbliższych przyjaciół.

Klasycznym tego przykładem była sprawa usunięcia z radia jego przyjaciela, Emanuela Planera, z którym razem walczyli i razem pracowali w prasie wojskowej, zanim antysemitka czystka nie przeniosła ich do radia. Planer był naczelnym redaktorem radia, również w okresie Węgier. Tak jak wszyscy, boleśnie przeżywał tragedię tego narodu. Zaczynała się wówczas zmieniać polityka partii wobec sprawy węgierskiej. Komitet centralny uważał, że radio nadało niesłuszną politycznie ocenę wydarzeń, zdaje się, że pióra Woroszylskiego. Trzeba było znaleźć kozła ofiarnego. Wybór wahał się między wiceprezesem, odpowiedzialnym za całość programu, a naczelnym redaktorem. Ofiarą padł Planer. Pamiętam, jak przychodził do radia, usiłował się bronić, jak doznał wielkiej goryczy, gdy przekonał się, że człowiek, którego uważał za swego najserdeczniejszego przyjaciela — poświęca go z zimną krwią. Planer jest dziś redaktorem „Perspektyw” — czasopisma, przeznaczonego dla emigracji.

Mieliśmy jeszcze jednego wiceprezesa od spraw administracyjnych, który nadawał się z pewnością na bardziej odpowiedzialne stanowisko. Był nim Adam Ostrowski, były delegat rządu londyńskiego na okręg lwowski, a potem, zaraz po wyzwoleniu Polski, ambasador w Szwecji. Wycofanie go z dyplomacji nastąpiło w okresie, gdy wysyłało się zagranicę ludzi rzekomo pewnych, czasem wyłącznie z dyplomem kursów partyjnych. Adam Ostrowski boleśnie przeżywał swą niełaskę. Spacerowaliśmy kiedyś razem ulicami Warszawy, pokazywałam mu nowe domy na Kruczej, byłam pełna entuzjazmu, używałam języka, znanego mi z prasy, pełnego optymistycznych sloganów. Czułam jednak jakąś

dumę i radość z tej odbudowanej, wiosennej stolicy. Ostrowski słuchał i przyglądał mi się z jakąś pełną rozbawienia uwagą.

— Zazdroszczę pani jej entuzjazmu — powiedział. — To jest na pewno udzielające i bardzo dziękuję. Ale, czy pani się nigdy nie zastanawia? Nad życiem, nad pracą, nad językiem, jakiego pani używa?

Jeśli słowa te nie dały mi zbyt wiele do myślenia, to dlatego pewnie, że kładłam je na karb rozgoryczenia osobistego mego rozmówcy, tak jak zresztą jego całe zachowanie się w biurze, gdy mówił ze śmiechem i goryczą, iż jego jedynym zajęciem jest rozdzielanie papieru toaletowego, i na zebraniach partyjnych, gdy ten był socjalista wyraźnie nie mógł słuchać spokojnie samokrytyk.

Adam Ostrowski został prezesem domu wydawniczego albo w okresie rozpoczynającej się „odwilży”, albo zaraz po Październiku.

W tej radiowej pracy ocieraliśmy się o wiele ludzkich wątpliwości, załamania, a nawet tragedii. I tutaj nie mogę nie opisać wypadku Wandy Odolskiej, który stał się jaskrawą konsekwencją stalinizmu w Radio.

Wanda Boyé-Odolska była jedną z najdawniejszych pracowniczek radia i debiutowała chyba jeszcze na Targowej. W każdym razie pamiętam ją doskonale, gdy pracowała w redakcji warszawskiej, pisząc znakomite i pełne ciętego humoru felietony o typach ówczesnej stolicy. Kiedyś, w kawiarni-barze u Fuchsa, gdzie popijaliśmy często kawę i wódkę, kelnerzy nie chcieli jej obsłużyć, ponieważ napiętnowała ich napiwki. Wanda posiadała dużą osobowość. Szczupła, o nerwowej twarzy, musiała pochłonąć dużą ilość czarnej kawy i nie miała alkoholu, aby móc zabrać się do pisania. Pochodziła z Wilna i zachowała duży sentyment do tego miasta. Prowadziła w radio wileńskim dział naukowy, jako że była chemikiem z wykształcenia.

Wanda Odolska umiała podpatrywać życie, a ponieważ była z natury złośliwa, celnie wyśmiewała ludzkie przywary. Tę ironię potęgował jeszcze jej głos — sama wygłaszała swoje felietony — jakiś chropowaty, ostry, lekko przepity, ale którego nie można było nie wysłuchać i nie zapamiętać. I myślę, że kontynuując pracę w warszawskiej redakcji, Wanda stałaby się Wiechem w spódnicy.

Nadszedł tragiczny okres stalinowskiego procesu czarownic. Trzeba było do kompletu sprawozdawcy radiowego. Wybór padł na Wandę, głównie chyba z powodu jej talentu pisarskiego, a być może — i jej głosu. Wanda wybór zaakceptowała, a potem zazdrośnie strzegła tej swej roli.

Nowa praca schlebiała ambicjom literackim Wandy i nie kosz-

towała jej zbyt wiele wysiłku. Wanda bowiem znakomicie przetwarzała i ubierała w piękną polszczyznę dostarczony jej materiał, pozostawiając innym wybór tematów. Przekonałam się o tym, gdy zażądano kiedyś ode mnie, bym dostarczyła Wandzie kompletną dokumentację do jej felietonu na tematy niemieckie. Zaprotestowałam, nie chcąc urazić świetnej felietonistki pracą, którą, moim zdaniem, tylko ona sama mogła wykonać. Odpowiedziano mi wtedy, że Wanda zawsze pracuje tą metodą, na podstawie dostarczonego jej, wybranego materiału.

Jakby się to zresztą dziwne nie wydawało, Wanda stała daleko od polityki. Była członkiem partii, ale z reguły nie przychodziła na zebrania, zarabiając tym wieczne upomnienia, jeśli nie nagany partyjne. Nie płaciła składek. Wszelkie pojęcie dyscypliny było diametralnie obce jej cygańskiej naturze.

Tak czy inaczej, nic nie może zwolnić Wandy od odpowiedzialności. Chodziła na procesy, dostawała od prokuratorów kompletne i nieprawdziwe akty oskarżenia i potem, z całą pasją odsądzała od czci i wiary najbardziej niewinnych ludzi. Stała się dlatego znienawidzonym symbolem tego całego okresu. I nic dziwnego, że w 1956 roku, gdy wszyscy „oskarżeni” zostali zrehabilitowani, słuchacze zażądali, by głos Wandy raz na zawsze zniknął z anteny.

Odolska musiała ponieść konsekwencje czy to swej naiwnej wiary, w którą wkładała cały talent, czy jak kto woli — karygodnej ślepoty. Ale w końcu wszyscy wierzyliśmy i byliśmy ślepi, nie tylko ona jedna. Odpowiedzialność spada i na tych, którzy ją na te procesy wysyłali i poprawiali jej felietony, choć działali za kulisami. A nawet na montażystów, którzy taśmy z procesów montowali. Ale jeśli nasza odpowiedzialność pozostała sprawą naszego sumienia, to dla Wandy łączyła się ona z klęską życiową, której znaczenia w ogóle nie rozumiała. Broniła się, iż nie miała nigdy ze swej pracy żadnych korzyści materialnych. Istotnie, Wanda nie korzystała z przywilejów „żółtych firanek” i cały czas utrzymywała starą matkę.

Wykonawcą woli mas, żądających usunięcia Odolskiej stał się ten, który ją niejednokrotnie inspirował — machiawelistyczny wiceprezes radia. Przeglądając kiedyś archiwa, znalazłam jego sprawozdanie z procesu Rajka w Budapeszcie, który musiał wzbudzić chyba pewne wątpliwości w umyśle tego starego, obeznanego z polityką, inteligentnego komunisty...

Rzecz charakterystyczna zresztą, że Wanda nie pogodziła się nigdy z wydanym na nią wyrokiem. Przemiany po XX-tym Zjeździe chyba do niej nie dotarły, przesłoniło je to, co odczuwała jako wielką osobistą krzywdę. Apelowwała potem u Gomułki.

Została przyjęta przez Zenona Kliszko. Wysłano ją wtedy w jakąś egzotyczną podróż polskim statkiem handlowym na morza azjatyckie. Po powrocie miała wygłosić serię swych felietonów, co miałyby dać jej możliwość powrotu do dziennikarstwa. Nie wiem, jak to się skończyło ponieważ przestałam pracować w radio.

Nie potrafię potępić Wandy. Bo i ona i my wszyscy byliśmy mniej lub bardziej ważnymi śrubkami, elementami tego samego systemu. Wychowano nas na dogmatach wiary. Kształcono nasze umysły w jednym, ściśle określonym kierunku. A więc — żeby choć trochę zrozumieć te bardzo złożone sprawy — kilka słów o naszych nauczycielach i o tym, jak podawane prawdy załamywały się w nas samych. Zdaję sobie sprawę z trudności przedstawienia tych problemów, po latach, gdy osądziła nas już historia. Ale postaram się to uczynić, ponieważ jest to niezbędne dla obiektywnego osądu działalności i postępowania ludzi, dla moralności społecznej tamtego okresu.

Nasi nauczyciele i „ideologiczni” przewodnicy w Radio i poza nim — na tych wszystkich kursach partyjnych i uniwersytetach marksizmu-leninizmu — podawali nam zawiłe problemy filozofii, moralności, a nawet arkana sztuki dziennikarskiej w sposób bardzo uproszczony. Sprowadzało się do tego, że socjalizm jest ustrojem idealnym, zapewniającym szczęście ludzi pracy, podczas gdy reakcyjny kapitalizm i jego najwyższa forma — imperializm — skazane są na zagładę. Jak ten socjalizm ma w praktyce wyglądać? Tak, jak został zrealizowany w pierwszym państwie robotników i chłopów — Związku Sowieckim. Naszą biblią był krótki kurs historii KPZR i dzieła Stalina. Te ostatnie zresztą, pisane jasnym, prostym językiem zawierały wiele głębokich myśli i gdyby można było nad nimi dyskutować i co jeszcze ważniejsze — porównać je z praktyką — dałyby wiele konkretnych korzyści. O żadnej dyskusji jednak nie było mowy. Przyjmowało się te prawdy na „słowo honoru”, opanowywało je pamięciowo. Potem powtarzałam je sama na innych zebraniach, na których wygłaszałam referaty. W ten sposób zbudowana hierarchia spełniała swe praktyczne zadanie.

Czy nasi nauczyciele nie mieli sami wątpliwości? Wielu z nich na pewno je w sobie zabiło. Niektórzy w najlepszej wierze wychowywali nas w ograniczoności intelektualnej. Niewykluczone zresztą, że chcieli w ten sposób uspić w nas sumienie. Na pewno nie chcieli zachwiać naszej wiary — oni, którzy musieli częściowo utracić tę wiarę podczas pobytu w Związku Sowieckim.

Większość tych działaczy należała do przedwojennego poko-

lenia komunistów. Wielu z nich porzuciło przed wojną dobrobyt i wygodne życie w mieszczańskich domach, by związać swój los z tymi, którzy walczyli o sprawiedliwość społeczną. Niejednokrotnie więzieni, a na pewno prześladowani — przeszli oni przez wszystkie etapy zwycięstw i klęsk Komunistycznej Partii Polski, uczestniczyli przy jej rozwiązaniu. I jeśli utrzymali się przy życiu, to przecież wszyscy musieli wiedzieć w jaki sposób zginęli przywódcy ich ruchu. Wielu straciło w Związku Sowieckim najlepszych towarzyszy, przyjaciół, członków rodzin.

Było zjawiskiem normalnym, że ta ocalała garstka komunistów stanęła na czele Polski Ludowej. Oni stali się pierwszymi i często jakże ofiarnymi budowniczymi socjalizmu. Bez ich pełnej poświęcenia pracy — dwoili się i troili — w Lublinie, w zrujnowanej Warszawie — odbudowa kraju nie byłaby w ogóle możliwa. Pamiętam ich, gdy przychodzili do pracy z zaczerwienionymi z niewyspania oczami i trwali na swych posterunkach do późnej nocy. Stało przed nimi bardzo trudne zadanie. Ich partia z podziemnej, walczącej — doszła do władzy. Często nieprzygotowani ani teoretycznie ani praktycznie musieli w tym trudnym procesie uczestniczyć. Mało tego. Mieli obowiązek — według własnych umiejętności i zrozumienia marksizmu — wypracowywać formy tej władzy. W ciągu pierwszych trzech lat, wolni od ingerencji z zewnątrz, posiadając więź z narodem — szukali dróg, dyskutowali, jak ten socjalizm w polskich warunkach zbudować. Położyli zresztą pierwsze fundamenty. Ale czy ci ofiarni architekci nie spostrzegli się, że na tych fundamentach buduje się potem gmach, który wielu ludzi mogło uważać za więzienie?

Zgodzili się kontynuować tę pracę, wierząc, że mając władzę, uchronią swe dzieło przed zbyt silnymi burzami ze wschodu? Milczeli, uważając, że słowa prawdy mogą rozbudzić falę nastrojów antysowieckich, co mogłoby przekształcić się w powstanie narodowe? Wychowani w pewnej dyscyplinie i w określonym zawężonym pojęciu internacjonalizmu, chcieli za cenę niedomówień uratować prestiż ZSSR i międzynarodowego ruchu robotniczego?

Wydaje mi się dziś, z pewnej perspektywy, że kierowały nimi te właśnie uczucia, dość zresztą pomieszane. Oportunizm nie zawsze odgrywał w pierwszych latach stalinizmu zasadniczą rolę. Ci ludzie przywykli przecież do walki i cierpienia, a nie mieli jeszcze dość czasu, by przyzwyczać się do przywilejów, jakie daje władza. Później dopiero, wśród niektórych zrodziło się uczucie rezygnacji: samym buntem innym nie pomogę, a sobie i swej rodzinie zaszkodzę.

Czy w ten sposób wyobrażali sobie władzę partii, władzę proletariatu?

Zależało to od stopnia ich inteligencji, czy nawet osobistej uczciwości. Zetknęłam się z wieloma sztywnymi komunistami, którzy z wielkim niesmakiem uczestniczyli w pochodach pierwszomajowych okresu stalinowskiego. Ten rodzaj kiermaszowej i w dodatku przymusowej manifestacji, na którą ściągano ludzi pod groźbą utraty pracy, przypominał im pochody pod kulami policji, gdy sami domagali się chleba i pracy dla wyzyskiwanych. Powinni byli się cieszyć, patrząc na te portrety przodowników pracy, na transparenty i na kwiaty, powinni byli odczuwać dumę, że 1-szy maja przekształcił się w święto państwowe, a jednak nie mogli ukryć wtedy pewnej melancholii. Może dlatego, że odzywały w nich niezaspokojone marzenia młodości? Albo dlatego, że nie tak wyobrażali sobie ich realizację?

Byli i inni, którzy głębiej te sprawy analizowali. Do partii doprowadziły tych intelektualistów materialistyczne przekonania. Uważani byli potem za „sztywnych”. W istocie rzeczy ci ludzie o silnie rozwiniętym krytycyzmie i suchym intelekcie, którzy znaleźli kraje zachodnie, bo sami spędzili w nich część życia — zdawali sobie sprawę, że każda władza, czy to burżuazyjna, czy komunistyczna, rządzi się podobnymi prawami, że musi posiadać swą policję, swój aparat bezpieczeństwa, żeby utrzymać ład i porządek nawet za cenę przemocy. Nie przyznając się do tego, zaszczepiali w nas zasadę: cel uświęca środki.

Stanęli oni na pewno wobec kryzysu sumienia owego tragicznego 11 listopada 1949 roku, gdy na III Plenum kazano im sądzić Władysława Gomułkę. Nie mieli jednak wyjścia, co uczciwi szukali obrony w milczeniu, to wszystko, na co ich było stać. Śmiem twierdzić, że wielu z tych ludzi miało już wówczas przetrącony kręgosłup. Okres stalinizmu był dla nich, często może jakimś bolesnym gorsetem, który pozwalał im jednak trzymać się prosto. Załamali się dopiero po XX Zjeździe, gdy brutalnie powiedziano oszukiwanym przez nich ludziom tę prawdę, którą oni nie tylko przed nimi, ale przed samymi sobą — świadomie, lub podświadomie — starali się ukryć. Z tego źródła płynęła potem ich głęboka niechęć do Chruszczowa, który, tak jak oni, a może w większym nawet stopniu będąc aktywnym uczestnikiem polityki Stalina, zdobył się na odwagę, by postawić ją pod sąd publiczny. Potem wielu z tych ludzi nie potrafiło już się wyprostować. Część z nich, przeżywając własną klęskę, usunęła się dobrowolnie na boczne tory. Część nie dała za wygraną i walczyła o utrzymanie starego porządku. Ci, najuczciwsi, którzy kiedyś milczeli, starali się skierować politykę partii na nowe, bardziej liberalne

tory i stali się inicjatorami „odnowy”. Tak więc dopiero śmierć Stalina i stosunek do zmian w Związku Sowieckim stały się owym papierkiem lakmusowym, który wykazał istotną wartość, uczciwość i inteligencję partyjnego aktywu.

Nie należy przy tym zapominać, że ci kierownicy ideologiczni rozwijali swą działalność w okresie stalinizmu, który stwarzał specyficzną atmosferę. Na pewno jedyną w swoim rodzaju. Były w niej elementy strachu i dyscypliny, ale dominowała ślepa wiara, jaką spotyka się u prostych, praktykujących ludzi. Każdy prawie człowiek odczuwa w sobie potrzebę jakiejś wiary. Stalinizm potrafił wykorzystać tę cechę ludzkiej natury. Sam stał się religią.

To sformułowanie może wywołać ogromnie żywą reakcję, a nawet oburzenie niektórych czytelników. Niemniej, z całą świadomością podtrzymuję tę tezę, o słuszności której przekonało mnie i doświadczenie życiowe i wiele dyskusji, które potem, w poszukiwaniu prawdy, prowadziłam z komunistami i lewicowymi działaczami wielu krajów.

Gdy partia komunistyczna jest w opozycji, gdy walczy w kraju kapitalistycznym, członkami jej zostają ludzie, którzy wybrali filozofię materialistyczną i odcięli się od idealistycznej szkoły myślenia. Do tego wyboru nikt ich nie zmusza: dokonują go sami. Armią takiej partii są ludzie wyzyskiwani, którzy nie mają nic do stracenia, a wszystko do wygrania. Ciężka sytuacja ekonomiczna rzuca ich w objęcia partii.

Takie chyba jest klasyczne i dość logiczne zresztą pojęcie partii komunistycznej. Praktyka życia wprowadziła jednak do niego pewne zmiany. I tak na przykład, w okresie okupacji, gdy partie komunistyczne w wielu krajach stanęły na czele walki narodowo-wyzwoleńczej i potrzebowały zdolnych przywódców i żołnierzy, tego rodzaju kryteria przynależności do partii stałyby się skostniałym dogmatyzmem. Członkami jej zostawali ludzie, którzy mogli nie podzielać ideologii marksistowskiej, ale którzy chcieli walczyć z wrogiem. I byłoby na pewno dużym błędem, gdyby się takich bojowników odrzuciło.

Jeszcze inną odmianę stanowi droga do partii ludzi mego pokolenia. Ciężko doświadczeni osobiście przez wojnę i hitleryzm, ale na tyle młodzi, by zachować w sercach niewypalone w obozach koncentracyjnych, czy gettach dążenia do ulepszenia ludzkiej natury, do poszanowania ludzkiej godności, chcieliśmy po prostu pomóc zwycięstwu dobra. Widzieliśmy, że żołnierze sowieccy wyzwolili więźniów Oświęcimia, Buchenwaldu, Mauthausen. Więc w naszym dążeniu — nigdy więcej wojny, nigdy więcej faszyzmu — stanęliśmy pod czerwonymi sztandarami. Nie znając teorii wszelkich -izmów, wierzyliśmy, i na pewno słusznie,

że socjalizm jest najpiękniejszym, najbardziej humanistycznym ustrojem społecznym.

Wiara na ogół bywa ślepa. Tę ślepotę umiał wykorzystać stalinizm, wychowując członków partii na dogmatycznych sloganach, które przyjmowało się jako najwyższe i doskonałe prawdy. Sparyalizowano w nas zdolność samodzielnego myślenia. Rodzaj zbiorowej psychozy. Absolutny brak krytycyzmu i posłuszeństwo.

W ten sposób upraszczaliśmy wszystkie sprawy. Dalszą konsekwencją tego sposobu myślenia był brak wszelkich komplikacji, oraz rozterek moralnych. Jeśli obraz rzeczywistości maluje się wyłącznie w dwóch kontrastowych kolorach: białym i czarnym, jeśli nie rozróżnia się całej skomplikowanej gamy barw, która ją tworzy — to wszystko staje się karykaturalnie proste i łatwe. Byliśmy twórcami karykatur, malarze, pisarze, dziennikarze i agitatorzy partyjni. Widzieli to doskonale i śmieli się z nas odbiorcy: bezpartyjne społeczeństwo, które nie żyło w atmosferze kadzidel dogmatów. Nasze schematyczne artykuły i audycje radiowe tego okresu rozpływały się, ulatniały na falach eteru.

Faktem jest, że nie mieliśmy dostępu do żadnych źródeł obiektywnej informacji. Jakże pisać o Francji, o Anglii o Stanach Zjednoczonych, których się nie zna, nie widziało na oczy, skoro można było korzystać wyłącznie z reportaży na ten temat, zamieszczanych w sowieckim tygodniku „Nowe Czasy”... Tak było na pewno w Polsce i tłumaczy to częściowo nasze ograniczenie. Ale nie do końca. Bo komuniści francuscy na przykład, którzy mogli w kioskach kupić inną prasę, pisali w ten sam schematyczny sposób. Czyli — wiara przesłaniała rozum. Czyli — chcieli pozostać zaślepieni.

Chcę raz jeszcze jasno zająć stanowisko. Uważam, że ani wiara, jakby nie była szczerą, ani całkowity bezkrytycyzm nie może usprawiedliwić ani mnie osobiście, ani moich kolegów. Na pewno nie można nas zwolnić od odpowiedzialności, na pewno w jakimś stopniu ponosimy winę. Każdy z nas posiadał przecież i umysł i serce, z których powinien był zrobić właściwy użytek. Ale, powtarzam, zmęczeni przeżyciami okupacji, odczuwaliśmy przemożną potrzebę wiary, że czasy przemocy i gwałtu raz na zawsze minęły i że to wszystko, co się wokół nas dzieje ma na celu dobro ojczyzny i dobro człowieka. Kłamstwa, świadome, czy nieświadome naszych kierowników, doktorów Faulów, ludzi „nieomylnych”, utwierdzały nas w tym przekonaniu. Interpretując wszystkie wydarzenia w ich duchu, wszystko szło ku dobremu na tym najlepszym ze światów.

Po kilku latach rozmawiałam na temat naszego zachowania się w tym okresie z jednym z dyplomatów francuskich, który był

w owym czasie w Polsce. „Byłem zaskoczony — powiedział mi — nie mogłem w to wprost uwierzyć, ale z wielu dziennikarzy i młodych działaczy partyjnych emanowała w tym okresie duża szczerłość i uczciwość. Czysty paradoks. Byliście przecież wykonawcami systemu, który był zaprzeczeniem tych cech. Zastanawiałem się, skąd to płynie. Doszedłem do wniosku, że z waszego wewnętrznego nastawienia. Pani sama, na przykład, z dużą pasją broniła rozporządzeń, które uważałem za karygodne. Nieczuła na prawa innych, ignorując je, lub ich nie znając, broniła pani, tych jedynych, które uważała pani za słuszne i dobre. I dlatego, zdumiony tym, wręcz zaskoczony, uważałem, że prowadzenie jakiegokolwiek dyskusji byłoby niecelowe”.

Nie przytaczam tych słów dla własnej obrony, ale dla uzupełnienia obrazu średniego działacza partyjnego, jakim wtedy byłem, jakich było wielu. I być może, dlatego że broniliśmy publicznie spraw, co do słuszności których byliśmy wewnątrznie przekonani, bo inaczej nie potrafilibyśmy tego robić, odnosiliśmy pewne sukcesy. Niejednokrotnie przemawiałam na zebraniach i zbierałam pochwały. Niektórzy ludzie zwracali się potem do mnie z osobistymi bolączkami. Prowadziłam w tym okresie wykłady z dziennikarstwa radiowego na Uniwersytecie Warszawskim i miałam kontakt ze studentami, który przetrwał przez wiele lat.

Czy rzeczywiście nie budziły się we mnie pewne wątpliwości? Na pewno tak. Pierwsze krytyczne myśli zaistniały w okresie sprawy Gomułki. Młodzież partyjna nauczyła się skandować Wies-ław, Wies-ław. Nigdy tego nie robiłam, odczuwam instynktowną niechęć przed takim okazywaniem przywiązania do przywódców politycznych. Nagłe odsunięcie go i przebieg III Plenum obudziły jednak we mnie niesmak. Nie mogłam uwierzyć w jakąkolwiek zdradę tego człowieka. Mógł, oczywiście, jak każdy polityk, popełnić takie, lub inne błędy. Ale nie był zdolny do brudów i świństw. I przede wszystkim sposób, w jaki został zrzucony z piedestału i zmieszany z błotem przez wczorajszych adoratorów — zmuszał nas, młodszych, do zastanowienia się.

Podobnie zresztą sprawa wyklęcia Jugosławii. Można nas w końcu było przekonać, że Jugosławia, starając się manewrować politycznie między wielkimi mocarstwami, gdy została izolowana od państw komunistycznych, „zdradziła”, bo przyjęła dolarową pomoc Zachodu. Ale sposób, w jaki poważni ludzie, a za nimi nasza propaganda zaczęli używać terminów: klika Tita, banda Rajka, był nie do przyjęcia dla ludzi, posiadających minimum dobrego smaku. Zdobyłam się wtedy na pierwszy odruch buntu, odmawiając napisania felietonu, odsądzającego od czci i wiary

„łańcuchowego psa imperializmu, krwawego zdrajcę Tito”, który przed rokiem jeszcze był uważany za bohatera.

W podobny sposób zresztą oceniałam później zarządzenia, które miały zlikwidować pozostałości „kultu jednostki”. Wyrzucenie trumny z grobu stanowi w moim pojęciu jakąś makabrę. Zmiana nazwy Stalingradu, który dla wielu ludzi na całym świecie jest związany z ważnym etapem ostatniej wojny jest po prostu nierozsądnym gestem, nikomu niepotrzebnym, który niczego nie rozwiązuje. Nie tędy droga do głębokiej analizy ówczesnego systemu, która może uchronić przed powtórzeniem podobnych błędów w przyszłości. Są to, moim zdaniem, takie same prymitywne metody, jakich ten system używał.



W tej dziwnej, skomplikowanej atmosferze, pełnej tragizmu i zarazem entuzjazmu, zawzięłości i uproszczeń mijały lata, które powinny stać się okresem odzyskanej młodości. Nie miałam na to czasu. Pracowałam w Radio w czasie świąt, w nocy, wtedy gdy mówiono mi, że zachodzi tego potrzeba. Poza wakacjami, nie wiele miałam czasu na życie osobiste. Było ono podporządkowane wyższemu, partyjnemu celom. Wiara w słuszność drogi jaką obrałam, przeważała ciągle jeszcze nad budzącymi się tu i ówdzie przebłyskami wątpliwości.

Rozdział XIII

Marzec 1953 roku. Dzień śmierci Stalina. Pamiętam wielki pochód przy świetle latarni ulicami Warszawy. Odbył się o zmierzchu. Było zimno i w powietrzu unosiła się przeraźliwa wilgoć. Do tego pochodu nas nie zmuszano, stało się to zbyt niespodziewanie. A szły przecież tysiące ludzi. Wielu z nich płakało niewymuszonymi łzami.

I właśnie wtedy, w ten dzień marcowy, skończył się dla wszystkich członków partii bezproblemowy okres życia. Był to początek ery samodzielnego myślenia.

Zmiany rozpoczęły się w samym Związku Sowieckim. Byliśmy kompletnie zdezorientowani w chwili usunięcia Malenkowa. Kierownicy radia zebrali się w gabinecie z zasepionymi twarzami. Nie tylko dziennikarze, ale oni sami nie wiele rozumieli. Zlikwidowano Berię. Do władzy doszedł tęgi, jowialny przywódca, który swą osobowością zaczął nadawać ton wielkiej polityce. W kwietniu 1956 r. Chruszczow osobiście pojechał do Belgradu, by przeprosić marszałka Tito. Znowu konsternacja. Przywódcy polscy dowiedzieli się o tym z oficjalnych agencji prasowych...

Ale, niezależnie od nowego kursu w ZSSR, śmierć Stalina wyzwoliła w Polsce te siły, które, przyczajone, czekały tylko, by dojść do głosu. Nasza „odwilż” nie była mechanicznym wprowadzaniem w życie zmian w kraju naszego sąsiada. Płynęła z własnych, polskich źródeł. Bierut mógł teraz osiągnąć to, co było celem jego życia: rehabilitację swych dawnych towarzyszy. W początkach stycznia 1955 roku ktoś przyniósł do radia wiadomość, że na praskim targu widziano żonę Gomułki, która robiła zakupy. Istotnie, w grudniu 1954 Gomułka wyszedł ze swego więzienia w Miedzeszynie.

Ktoś odkręcił śrubę prasowej cenzury. Intelktualiści zaczęli dochodzić do głosu. Pierwszym sygnałem ich otwartego buntu był opublikowany na łamach „Nowej Kultury” „Poemat dla dorosłych” Adama Ważyka. Doznałam szoku, gdy czytałam te wiersze, demaskujące bezlitośnie kłamstwa oficjalnej propagandy, a malujące to ciężkie duszne, prawdziwe życie robotników Nowej Huty; kobiety przedwcześnie postarzałe, chłopcy, zmuszani do kłamstw, a dziewczęta do prostytucji, robotnicy, umierający na atak serca z powodu zbyt ciężkiej pracy. Chwila zastanowienia się. Oczywiście, ci ludzie istnieją wszędzie w kraju. W Warszawie widzieliśmy ich w długich ogonkach po żywność, na zebraniach, podczas których nie zabierali nigdy głosu, bo byli zbyt zmęczeni codzienną walką o byt. Ważyk skończył swój wiersz apelem, by rozróżniano nareszcie to, co się mówi od tego, co się robi, zakłamaną teorię od tragicznej praktyki. Poetyckim krzykiem serca zażądał prawdy.

Ta prawda wdzierała się stopniowo najpierw na łamy prasy literackiej, która zaczęła się budzić z letargu. Pojawiają się artykuły, wywołujące dyskusje. Początkowo są to wyznania twórców, którzy w minionym okresie oszukiwali własne sumienie. Wyznając osobiste przeżycia, zaczęli szukać źródeł zła i Jerzy Andrzejewski i Jan Kott i młody „produkt” stalinizmu Wiktor Woroszyński. Później fala krytycyzmu wznosi się wyżej i dotyczy już nie tylko życia kulturalnego, ale gospodarczego, społecznego i partyjnego.

Adam Ważyk powiedział głośno to, o czym całe społeczeństwo doskonale wiedziało. Że są ludzie, którzy niesprawiedliwie gnębieni, czekają od dawna na sprawiedliwość... Przedłużanie dokonania tego wymiaru mogło wywołać wybuch w kraju. I pewnie dlatego pierwszym oficjalnym przejawem polskiej destalinizacji była sesja Komitetu centralnego PZPR, który, w styczniu 1955, zdecydował o dokonaniu czystki wśród pracowników bezpieczeństwa i zapowiedział, bardzo zresztą mgliście, politykę „demokratyzacji”.

1-go maja 1955 roku, idąc na manifestację, kupiłam jak zwykle organ partii „Trybunę Ludu”. Z wielkim zdumieniem na pierwszej stronie ujrzałam fotografie nieznanymi mi ludzi. To nie był Genialny Wódz (zdjęcie i portrety Stalina zniknęły stopniowo z miejsc publicznych). To nie był Bierut ani Ochab. Były to wywołane ze starych klisz zdjęcia przywódców Komunistycznej Partii Polski: Wery Kostrzewy, Warskiego, Waleckiego i Leńskiego. Pierwszy raz w życiu usłyszałam te nazwiska. Pierwszy raz w życiu dowiedziałam się, iż „byli to rewolucjoniści bez skazy, męczennicy polskiej klasy robotniczej, którzy padli ofiarą prowo-

kacji, zorganizowanej przez wroga. I, że ten wróg, którego bliżej nie określono, pragnął pozbawić komunistów godności, odebrawszy im uprzednio życie.

Nic mi te zdjęcia nie mówiły. Ale widziałam starszych towarzyszy, którzy mieli łzy w oczach. Łzy ściekające po policzkach i ocierane ukradkiem nadały inny charakter tej manifestacji pierwszomajowej.

Przyszła kolei na napiętnowanie wroga. Nadeszły rewelacje XX-go Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, ujawnione w tajnym referacie Chruszczowa. Przywódcy polscy, a w każdym razie pewna ich część, chciała, by stał się on jawny, by przeniknął w głąb partii.

Zebrania, na których odczytano ten dokument miały dramatyczny przebieg. Wstrząśnięci ogromem zbrodni, dokonywanych w naszym imieniu, nie umieliśmy stłamsić w sobie krzyku. Zadawaliśmy pytania starym komunistom, tym naszym nieomylnym kierownikom: — Jak to się stało, że wyście nam o tym nie mówili? Nie kłamcie teraz, wy przecież musieliście wiedzieć...

Milczeli ze spuszczoneymi głowami, upokorzeni własnym strachem, słabością charakteru. Niektórzy starali się bronić Stalina, który stwarzał im pancierz ochrony. Jedni z przekonaniem, inni, jak tonący, chwytający się brzytwy. Niektórzy nie ukrywali swego niesmaku wobec sposobu, w jaki ta prawda została ujawniona. Jeszcze inni, rozważali zapewne jakie to będzie miało konsekwencje dla ich stanowisk.

Dla mnie, a myślę że dla wszystkich członków partii mego pokolenia, było to wielkim szokiem, który wyzwolił nas z mechanicznego marazmu. Ujawnienie prawdy uświadomiło nam — a ta świadomość narastała w miarę zrozumienia tych spraw — że w jakiejś mierze, proporcjonalnie do naszych zdolności, które oddaliśmy w służbę partii, i do naszych stanowisk, które nam ta partia powierzyła — i my uczestniczyliśmy w procesie bezprawia. Że i my kręciliśmy małe śrubeczki, dzięki którym ten system mógł funkcjonować. Świadomość, że to, co usiłowałam sobie po okupacji, raz jeszcze zbudować w najlepszym, najbardziej szczerym dążeniu do ideałów mej młodości — znowu legło w gruzach, których ciężar na zawsze przytłaczać będzie moje sumienie. Świadomość mylnie obranej drogi, a w każdym razie jakiś wielki żal, że bezmyślnie podporządkowałam się nieuczciwym kierownikom. I przeogromny żal do siebie samej, że tłamsiłam w sobie słusznie budzące się wątpliwości, że nie umiałam zdobyć się na krytycyzm i na samodzielne myślenie.

Tak po krótko można by określić pierwszą reakcję, pierwsze uczucia tych, którzy przyszli do partii po 1945 roku. Pasja, roz-

pacz, która ogarnęła nas w pierwszej chwili ustępowała potem miejsca prawdziwym samokrytykom wewnętrznym, tym razem, wielkiemu obrachunkowi sumienia. Ci, którzy mieli talent literacki spowiadali się płomiennie na łamach prasy. Niektórzy, jak np. Adolf Rudnicki, wyciągnęli po prostu z szuflad zakurzone kartki, na których spisywali kroniki owych dni. Inni zamknęli się w sobie, podczas bezsennych nocy przeżywając raz jeszcze wielką klęskę.

Potem zaczęły się niekończące dyskusje. Nieporadne być może, do niczego nie prowadzące, ale szczere. Prasa zachodnia pisała wtedy o odrodzeniu się polskiego socjalizmu.

Nie ma też nic dziwnego w fakcie, że wielu członków partii, siłą tej reakcji wewnętrznej — przeszło na krańcowo odmienne pozycje, stając się „stalinowcami *à rebours*”. Niebezpieczeństwo tej postawy polegało na tym, że stare dogmaty zastępowano, po prostu mechanicznie, nowymi, nie zastanawiając się ani nad ich treścią, ani nad ich celem politycznym. Być może, że to właśnie chciał osiągnąć sam Chruszczow. Niszcząc mit Stalina, chciał zostawić sobie jego partię, która zmieniałaby kurs, i stać się sternikiem.

To, co było możliwe w Związku Sowieckim, stało się nie do przyjęcia w Polsce. Czuliśmy, wiedzieliśmy, że podporządkowanie się nowym hasłom, głoszonym notabene przez starych ludzi, niczego nie rozwiązuje. Nie było to żadnym wyjściem z impasu moralnego, ani też istotnym środkiem do naprawienia tyłu krzywd. Chodziło o to, by zacząć myśleć samodzielnie, żeby być zdolnym do rozróżnienia dobra od zła, prawdy od jezuickiego kłamstwa, potrzebnego od szkodliwego. A po długich latach przyjmowania gotowych wzorów, to właśnie nastroczało największą trudność.

Zacznijmy od podstawowych faktów. Już wtedy, gdy przeszła pierwsza uczuciowa reakcja po wysłuchaniu oskarżenia Chruszczowa, nasuwała się refleksja: A gdzie był przez cały czas ów rewelator? Jakże może on przypuszczać, że samo ujawnienie prawdy uchroni jego samego przed konsekwencjami współuczestnictwa w zbrodniach Stalina? Przecież jeden człowiek, najbardziej okrutny polityk, nie jest w stanie stworzyć systemu bez czynnego poparcia i współpracy innych. A zatem...

A zatem — to sam system ponosi winę i powinien zostać zmieniony. Trzeba zastanowić się, jak go z gruntu przeorać, jak zmienić, jak przywrócić pełny blask idei i praktyce socjalizmu.

Szybko jednak przekonaliśmy się, że ta myśl, która pojawiła się wówczas nieporadnie w dyskusjach była od razu dławiona. I przez zwolenników starego. I przez tych, którzy chcieli stać

się odnowicielami partii. Wolno nam było tylko krytykować jednostki: Stalina, kierowników bezpieczeństwa na średnich szczeblach, np. Różańskiego. Nawet Bermana. Niektórych kierowników radia. Cały problem odpowiedzialności starano się sprowadzić do irracjonalnego, idealistycznego w istocie wpływu wybitnych jednostek, odznaczających się swoistym sadyzmem.

Zresztą nawet taka krytyka pod adresem „złych” kierowników nie daleko prowadziła. Bo, zabierając głos i bijąc się w piersi, mówili: „Tak, popełniłem błędy. Ale, ten towarzysz, który mnie oskarża pracował wtedy ze mną, robił to, co mu kazałem. Wykazywał nawet dużą gorliwość”.

Zaczęliśmy wtedy kręcić się w błędnym kole. Dążąc do istotnych zmian, odkrywaliśmy własną bezsilność. Wyzwalało to tylko ludzkie namiętności i prowadziło do nikąd, przekształcając się czasem w osobiste rozgrywki.

Chcę oddać jak najwierniej nasze uczucia. Nie mogę bowiem pogodzić się z ironicznymi uśmiechami niektórych ludzi na Zachodzie, którzy, oceniając twórczość takiego, czy innego dziennikarza, mówią: ten wielki stalinowiec stał się wojującym rewizjonistą. Wczoraj krytykował Kafkę, a dziś widzi w nim same zalety. Oportunista, arywista. Trudno mieć do niego zaufanie, zmienia się, jak chorągiewka.

Mogło to zewnętrznie przybierać czasem takie formy. Ale w istocie, ten wielki stalinowiec, który rozumiał krzywdy minionego okresu, dążył, jak umiał, do naprawienia błędów partii i swoich własnych. Chciał nade wszystko stać się uczciwy we własnych oczach. Ciężyła na nim na pewno szkoła myślenia, jaką otrzymał i z której wpływów nie mógł się od razu wyzwolić. Ciężył język dogmatów, którego w dalszym ciągu używał, walcząc o nowe prawdy. A największą przeszkodą był fakt, że stanął wobec konieczności wypracowania nowej filozofii życiowej, nowej moralności i nowych metod działania w szeregach tej samej partii, która zmieniła tylko swą taktykę i piętnując „kult jednostki”, poświęciła mu w ofierze kilku przywódców. Przy pomocy tych samych ludzi, którzy nie zamierzali bynajmniej ustąpić ze swych stanowisk. Niektórzy z nich, trzymając się kurczowo starych wzorów, nie chcieli i nie umieli zresztą się zmienić. Ci przegrali. Inni akceptowali proces zapoczątkowany przez Chruszczowa i chcieli nim kierować: sączyć kroplami zmiany, zwłaszcza w tych dziedzinach życia, które im samym dały się we znaki. Byli to zwolennicy kierowanej odgórnie demokratyzacji. Ich klasycznym przedstawicielem był wybrany po śmierci Bieruta sekretarzem PZPR Edward Ochab.

Ta taktyka mogła dać i dała rezultaty w innych krajach de-

mokracji ludowej. W Polsce jednak wrzenie wewnętrzne, wyzwolone XX Zjazdem było zbyt duże i zaczęło stawać się groźne. Niektórzy kierownicy partii zrozumieli, że trzeba mu dać ujście, jeśli chce się uniknąć wybuchu. To oni pozwolili cenzurze przemycić niektóre artykuły. Myśleli, że sprawa się zakończy, jeśli intelektualiści, którzy nie mogli już znieść ciężaru milczenia, będą mogli wykrzyczeć to, co ich ogromnie bolało. Z drugiej strony liczyli na to, że dyskusja nad tymi artykułami i utworami literackimi, która zataczała szerokie kręgi, stanowisko, jakie zajmowała większość społeczeństwa, domagająca się zmian — da im samym atut w walce ze zwolennikami starego. Przeliczyli się o tyle, że ta fala odnowy była już wtedy zbyt wysoka. by móc odgórnie nałożyć jej tamy, że objęła nie tylko środowisko inteligenckie, ale częściowo i robotnicze. Do pewnego momentu nowa fala pomagała nowym sternikom, ale potem zaczęła podmywać ich własne pozycje.

Dla tych, którzy przeżywali wówczas silny kryzys sumienia istniało jeszcze jedno teoretyczne wyjście: porzucenie partii. Ponieważ jednak opozycji w Polsce nie było, ci, którzy w ten sposób uporaliby się z własnym sumieniem, postawiliby się zarazem na marginesie życia i nie mogliby już uczestniczyć w żadnym społecznym procesie w kraju. W tym okresie można było naprawić własne i cudze błędy, walcząc o to wyłącznie w szeregach partii. Poza nimi pozostawała rola biernego obserwatora. A, głęboko zawiedzeni, zranieni, rozczarowani, poczuwaliśmy się do obowiązku walki. Wtedy nie chcieliśmy się, nie mogliśmy się z taką bierną rolą pogodzić, my, aktywiści, wychowani w okresie stalinowskim. Tego rodzaju reakcja zaczęła się dopiero w okresie odwrotu od października, gdy niektórzy zrozumieli, że ich dalsza walka na nic się nie zda.

I znowu przyjdzie mi opisać kilka wstrząsających przeżyć ludzkich. Jakby się to bowiem nie wydawało dziwne, byli i tacy przedwojenni komuniści, którzy nie wiedzieli o bezprawiu stalinowskim.

Kierownikiem redakcji polityczno-informacyjnej w radio był Aleksander Olecki, szwagier Jakuba Bermana. Ślusarz z zawodu, spędził lata przedwojenne w więzieniach. Tam zdobył marksistowskie wykształcenie. Wyszedł z nich, zahartowany w bezkompromisowej walce z wrogiem klasowym. Cechował Oleckiego prymitywizm myślenia, może nawet pewna ograniczoność intelektualna, które szły w parze z jakąś wręcz dziecinną uczciwością. Maniery miał nie do przyjęcia. Siedział, gdy kobiety stały, nie wyjmował nigdy rąk z kieszeni, łatwo unosił się gniewem i potrafił wówczas obrazić człowieka do łez. Ale z chwilą, gdy sekretarka, lub maszynistka miały jakieś trudności, chorobę dziecka, czy kło-

poty finansowe, przychodził im z pomocą. Na ogół jednak nie był lubiany. Do największych starć w redakcji dochodziło między nim a Filipem Istrerem, typem trockizującego intelektualisty, zawsze gotowego do obrony znieważanych przez Oleckiego pracowników.

Trzeba przyznać, że był to człowiek równie surowy wobec siebie samego jak i wobec swej najbliższej rodziny. Ze szwagrem nie utrzymywał nigdy żadnych stosunków z obawy, by nie być posądzonym o kumoterstwo. Wiem, że Irena Olecka cierpiała nad tym, bo kochała swego brata. Dzieciom nie okazywał nigdy ciepła, ani pieczyoty. Słowem, był to człowiek nieprzyjemnie bezkompromisowy.

Siedziałam obok Oleckiego podczas zebrania, na którym przekazano nam uchwały XX Zjazdu. Nie potrafię opisać wyglądu tego człowieka. Na twarzy jego malowało się najpierw niepojęte zdumienie, potem bezgraniczna rozpacz, by przekształcić się w wybuch niepohamowanego gniewu. Olecki, który był demagogicznym mówcą, wygłosił wtedy wielkie przemówienie oskarżycielskie. Żądał postawienia pod sąd Bermana i wszystkich ludzi odpowiedzialnych za polską politykę w tym okresie. Żądał pełnego zadośćuczynienia za kłamstwa, którymi go karmiono, za udział w niesprawiedliwościach, w których kazano mu uczestniczyć, za lata więzień, które odebrały mu młodość, bo wierzył w piękno i słuszność sprawy, o którą walczył. Temu z gruntu uczciwemu człowiekowi wyrządzono krzywdę nie do naprawienia. Bo uczciwość nakazywała mu teraz odpokutować za błędy innych i naprawiać je ze zbyt daleko posuniętą, jak na gusty partyjne, konsekwencją.

Olecki stał się teraz typowym rewizjonistą *à rebours*. Nie był giętkim politykiem, nie umiał myśleć machiawelistycznie i nie było to jego winą. Zabronił żonie, pod groźbą rozwodu, widywania się z bratem. Zrezygnował sam z pracy na stanowisku kierownika, usiłując zostać zwykłym dziennikarzem, co nastęczało mu duże trudności. Z całą pasją piętnował pozostałych kierowników radia, którzy ani myśleli ustąpić dobrowolnie z zajmowanych stanowisk. Powstał wtedy silny konflikt między nim, a oportunistycznymi kierownikami, który przekształcił się w otwartą, pełną nienawiści wojnę. Olecki, jako jedyną bronią, dysponował swym złamanym życiem i uczciwością. Oportuniści byli bardziej subtelnymi i inteligentnymi przeciwnikami. Wykorzystywali złe wychowanie i niepopularność Oleckiego. Oportuniści mieli bowiem kindersztubę, której nie dano Oleckiemu ani w zakładzie ślusarskim, ani w więzieniach.

Nie mogę powiedzieć, bym specjalnie lubiła Oleckiego, gdy był moim szefem. Ale jego późniejsza walka z wiatrakami, prze-

kształcąca się obiektywnie w dążenie do samounicestwienia się, miała w sobie coś patetycznego. Staraliśmy się mu pomóc, tłumacząc, by zaniechał swej bezkompromisowości, perswadując, że jeśli istotnie chce wygrać musi stosować subtelniejsze metody walki. Olecki skubał brew — to był jego odruchowy gest — i nie odpowiadał. Wiadomo było, że będzie prowadził walkę do końca. I że musi przegrać.

Tak też było. Stracił żonę, która w końcu od niego odeszła. Usunięto go z radia. Zdaje się, że pracuje obecnie w archiwach uniwersyteckich. Wydalono go, oczywiście z partii. Jest dziś na pewno bardzo samotnym i nieszczęśliwym człowiekiem.

Rzecz charakterystyczna, że dawny jego wróg, Filip Istner, stał się może nie tyle jego przyjacielem, ile towarzyszem walki na terenie partii. Ci dwaj antagoniści, którzy przedtem ścierali się słownie na każdym zebraniu (zdaje się nawet, że Olecki wytoczył Istnerowi w swoim czasie „proces” o trockizm) stanęli po tej samej stronie barykady. Obydwaj domagali się pociągnięcia do odpowiedzialności „na wszystkich szczeblach” winnych za przeszłość. Obydwaj byli najbardziej odważni i konsekwentni w wysuwaniu żądań odnowy. W końcu walka takich partyjnych działaczy jak oni, przyniosła konkretne rezultaty i posuwała proces destalinizacji. Jakub Berman i Hilary Minc, którzy stali się symbolami minionego okresu, zostali usunięci z rządu i z Biura Politycznego.

Olecki i Istner szli teraz dalej w swych żądaniach. Obydwaj byli autorami rezolucji, która przyniosła rozgłos organizacji partyjnej Polskiego Radia, a która — jako pierwsza w kraju — domagała się powrotu Władysława Gomułki do najwyższych władz partyjnych, a w każdym razie do Komitetu Centralnego.

To żądanie wydawało się wszystkim słuszne i logiczne. Z chwilą, gdy szukało się ludzi „o czystych rękach”, myśli kierowały się odruchowo ku temu, który był odsunięty przez te wszystkie lata, prześladowany, i któremu cudem udało się uniknąć losu Rajka, czy Słańskiego. Jako pewne, choć daleko niekompletne zadośćuczynienie za wyrządzoną krzywdę, należał się, w naszym pojęciu, Władysławowi Gomułce powrót do najwyższych władz partyjnych.

Był maj 1956 roku, gdy nasza organizacja partyjna wystąpiła z taką rezolucją. Rozpętała się wówczas istna burza. Po raz pierwszy uczestniczyłam w podobnie gorących zebraniach, które trwały przez kilka tygodni. Przypominam sobie argumenty wszystkich „świętych” partyjnych przeciwko rezolucji. Nie wystarczył autorytet Wernera, czy Sokorskiego. Odwołano się do Stefana Staszewskiego, ówczesnego sekretarza Komitetu Warszawskiego, któ-

ry, na kilka miesięcy przed październikiem, użył całego swego talentu oratorskiego i wydobył z arsenału całą serię argumentów w indywidualnych rozmowach z każdym nieomal członkiem partii, byle tylko przekonać nas, że nie mamy racji, że kierujemy się uczuciem, a nie rozsądkiem politycznym. Gdy nie pomagała perswazja, starano się na nas wywierać naciski.

Cały przebieg tych gorących i dusznych zebrań przerastał me możliwości zrozumienia zarówno tych ludzi, jak i ich manewrów. Trudno mi było zrozumieć zachowanie się Staszewskiego, tym bardziej, że żaden z użytych przez niego argumentów nie przekonał mnie. Były tak skomplikowane, nieszczerze, że w ogóle ich nie pamiętam. Wydaje mi się, że chodziło o to, że to góra partyjna chciała sama wprowadzić Gomułkę do władz uzależniając go od siebie i — za wszelką cenę chciała uniknąć sytuacji, by działał się to pod naciskiem mas, tak zwanych „dołów” partyjnych i społeczeństwa. Prawdopodobnie już wtedy chcieli wykorzystać go jako narzędzie własnej polityki, lękając się, że w przeciwnym razie może ich usunąć.

Należałam w każdym razie do jedenastki „odważnych”, która głosowała za rezolucją, odrzuconą zresztą przez sterroryzowaną większość. Wkrótce potem usunięto z radia przywódców „buntu”: Oleckiego i Istmera. Nas, albo uważano za mniej groźnych, albo pomógł nam rozwój wydarzeń. Zbliżało się lato i przygotowywałam się do wyjazdu do Jugosławii z pierwszą wycieczką, organizowaną przez „Orbis”. Byłam ciekawa jak żyje kraj, który miał odwagę przeciwstawić się stalinowskiemu despotyzmowi.

Nad zakładami pracy w całym kraju, a zwłaszcza nad Poznaniem, zbierały się ciężkie chmury. Atmosfera była naelektryzowana i miała wyładować się dopiero za cztery miesiące, w październiku.

Rozdział XIV

Sprawa jugosłowiańska, która od pierwszej chwili obudziła moje wątpliwości, pomogła mi w dużej mierze zrozumieć istotę manewrów politycznych okresu stalinowskiego oraz sporu na temat dróg budowy socjalizmu w poszczególnych krajach. Zawdzięczać to osobistym kontaktom z jugosłowiańskimi przyjaciółmi. Pierwszym z nich był Millivoje Maksić, który jako jedyny reprezentant swego kraju w Polsce po zerwaniu stosunków dyplomatycznych w latach 1948-55, przeżył na placówce dyplomatycznej w Warszawie te trudne czasy. Był kompletnie izolowany, i ustawicznie śledzony. Opowiadał mi, że nawet reperacja obuwia była dla niego w tym czasie problemem. Nie chciał bowiem narażać szewca samym faktem swej obecności w jego warsztacie. Niemniej Maksić zachował wielką sympatię dla Polaków i oczywiście niezłomną, powiedziałabym „titowską” wiarę w słuszność sprawy jugosłowiańskiej.

Spotkaliśmy się podczas przedstawienia amerykańskiej opery „Porgy and Bess” w Warszawie na początku 1956 roku. Pierwsze nasze kontakty towarzyskie nie pozbawione były pewnego niebezpieczeństwa, co zresztą potęgowało ich urok. Chciałam dowiedzieć się prawdy z pierwszego źródła. Maksić tłumaczył mi specyfikę drogi jugosłowiańskiej, był bardzo dumny z niezależności swego kraju wobec Związku Sowieckiego.

Uświadomiłam sobie wtedy, jak wielkie znaczenie ma położenie geograficzne Polski, które skazuje ją na związanie się bądź z zachodnim, bądź ze wschodnim sąsiadem. Po raz pierwszy rozumiałam na czym polega nasza racja stanu. Moim zdaniem, w podzielonej na podstawie porozumienia mocarstw zachodnich i ZSSR Europie, w erze atomu i sputników, którymi dysponuje

nasz wschodni sąsiad, Polska nie ma wyboru. Nie może nie popierać go w dziedzinie polityki zagranicznej i nie należeć do Układu Warszawskiego. Nie oznacza to, że nasz kraj musi być satelitą. Polska niezależność i własna droga do socjalizmu może i powinna opierać się na dwóch czynnikach. W dziedzinie wewnętrznej: na uzyskaniu jak największej swobody w rozwiązywaniu problemów gospodarczych, które, ze względu na inne warunki etniczne i tradycje historyczne, muszą być w Polsce odmienne, niż w innych krajach. Polska powinna również dążyć do wprowadzenia liberalizacji życia społecznego i artystycznego, wypracowując w ten sposób swą własną drogę rozwoju w konkretnie istniejących warunkach politycznych współczesnego świata.

W dziedzinie zagranicznej: nasza swoboda jest ograniczona. Możemy się jednak starać naszym doświadczeniem, radą i perswazją wpływać czasami na posunięcia międzynarodowe naszego potężnego sąsiada. Nie widzę powodu, dla którego Polska — jeśli nadarzy się po temu okazja, nie mogłaby odegrać roli pomostu między Wschodem a Zachodem, jako swego rodzaju pośrednik między państwami zachodnimi a Związkiem Sowieckim.

Te prawdy, które zarysowały się jasno w mojej świadomości w wyniku dyskusji z Maksićem, podzielam zresztą po dzień dzisiejszy. Uważam, z całym wewnętrznym przekonaniem, że jest to jedyne stanowisko, jakie może zająć każdy realnie myślący patriota polski, bez względu na to, czy żyje w kraju, czy poza jego granicami.

Maksić, jak zresztą większość Jugosłowian, nie mógł zrozumieć jednego punktu mojej argumentacji. Tego mianowicie, że w dzisiejszym świecie długość granicy z potężnym sąsiadem jest wprost proporcjonalna do zależności od niego małego państwa. Zaobserwowałam to wyraźnie w Finlandii, która należy bezsprzecznie do rodziny krajów skandynawskich i gdzie doświadczenia historii zostawiły głębokie urazy antyrosyjskie, a po ostatniej wojnie — antysowieckie. Finowie nie kryją się ze swymi uczuciami, chętnie skróciliby granicę ze Związkiem Sowieckim. Ale nie mogąc tego uczynić wszyscy, bez względu na ich przekonania polityczne są wyznawcami linii Paasikivi-Kekkonena, to znaczy polityki przyjaznego współistnienia i utrzymywania dobrosąsiedzkich stosunków z ZSSR. Oznacza to w praktyce zgodę na przemarsz wojsk sowieckich przez terytorium Finlandii, gdyby „zaszła tego potrzeba”. O ostatnim punkcie nie mówi się wiele publicznie. Ale niemniej Finowie tę politykę uważają za rację stanu, dając tym samym dowód głębokiej dojrzałości politycznej.

Finlandia, oczywiście, związana jest z innymi państwami skandynawskimi tak głębokimi i tradycyjnymi więzami, że wszelkie

próby ich rozbicia i większej ingerencji w jej sprawy wewnętrzne, muszą się zakończyć fiaskiem. Związek Sowiecki, w okresie Stalina, próbował podporządkować sobie życie gospodarcze tego kraju i poniósł w rezultacie porażkę.

Jugosławia położona jest na peryferiach Europy, nie posiada bezpośredniej granicy z ZSSR, a graniczy z Grecją i Włochami, gdzie Adriatyk stanowi okno na świat, może sobie zatem pozwolić na bardziej niezależną politykę zagraniczną i na rozwiązywanie swych wewnętrznych problemów według wzorów titowskiego socjalizmu. Oczywiście, jej stanowisko w 1948 roku, zawierało ryzyko. Trudno było wtedy przewidzieć, czy wyznawcy zimnej wojny w ZSSR nie zdecydują się na wielką awanturę. Nie zamierzam umniejszać znaczenia jugosłowiańskiej decyzji przeciwstawienia się Stalinowi, ani jej patriotycznej odwagi. Ale w dużej mierze była ona możliwa dzięki temu, że inne jest jej miejsce na szachownicy międzynarodowej w erze atomowej.

Prowadziliśmy również z Maksičem dyskusje teoretyczne. Przekonałam się na konkretnym przykładzie, jak bardzo nas okłamywano, ukrywając nawet istnienie niektórych dzieł Lenina.

Wspominałam już, że wstępując do partii, większość z nas nie miała pojęcia co to jest marksizm-leninizm. Starano się uzupełnić te braki „wykształcenia ideologicznego” na przeróżnych kursach, których wykładowcy znajdowali się często na niższym poziomie, niż słuchacze. Udostępniano nam jednak tylko tę wiedzę, która mogła służyć praktycznym posunięciom i interesom rządzących. Maksič pokazał mi na przykład znaną na całym świecie książkę Johna Reeda „10 dni, które wstrząsnęły światem” z przedmową Lenina. Nie miałam pojęcia o istnieniu tej książki. Nie chciałam wierzyć, że Lenin zalecał jej lekturę wszystkim komunistom. Zrozumiałam, że byliśmy również okłamywani w dziedzinie czystej wiedzy, że chciano nam nałożyć na oczy okulary o określonym zasięgu, by móc kierować nasz wzrok i nasze zainteresowania w jednym tylko, z góry wytyczonym, wygodnym dla kierowcy, kierunku.

Świadomość, jak dalece, jak wszechstronnie było się oszukiwanym, potęgowała oburzenie i rodziła bunt. Odczuwałam prężną wewnętrzną potrzebę napiętnowania fałszywych ideologów, potrzebę jakiejś zemsty za ten okres pograżania nas już nie tylko w kłamstwie, ale w ograniczonej głupocie. A równocześnie odczuwałam głód prawdy, której przez kilka lat byliśmy pozbawieni.

Chciałam więc przede wszystkim zobaczyć Jugosławię, żeby przekonać się na własne oczy, jak wygląda życie w kraju, który — wbrew woli Stalina — miał odwagę wybrać własną drogę.

Urzekło mnie przede wszystkim piękno tego kraju, oraz otwartość i serdeczność jego mieszkańców. Uważam, że żadnej miejscowości na południu Europy nie można porównać z urokiem starych murów Dubrownika, że dziewczęta dalmatyńskie i młodzieńcy Splitu promieniują urodą.

Nie szukałam jednak wtedy wrażeń turystycznych. Rozmawiałam z Jugosłowianami o ich przeszłości i teraźniejszości. Przeszłość jest na pewno bohaterska. Nawet 15-letni chłopcy walczyli w partyzantce przeciw hitlerowcom. Odniosłam wrażenie, że wszyscy uczestniczyli w ruchu oporu i że ówczesne zasługi są wprost proporcjonalne do zajmowanych obecnie stanowisk.

Równocześnie zobaczyłam trudności Jugosławii, jej ciężką sytuację ekonomiczną. Miałam poczucie winy. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że wszystkie kraje socjalistyczne, które w 1948 roku zerwały bez uprzedzenia umowy gospodarcze wydając Jugosławię na pastwę losu, ponoszą współodpowiedzialność za ten stan rzeczy. Jugosławia próbowała pokonać te trudności, budując własny system gospodarczy, oparty na działających we wszystkich fabrykach samorządach robotniczych. Jestem zresztą głęboko przekonana, że droga, w której konsumenci będą mieli taki sam głos jak producenci i będą współdecydowali o wskaźnikach planów, potrzebach rynku i całej gospodarki — jest jedyną, która może skutecznie pomóc w rozwoju krajów socjalistycznych.

Jugosławia tę drogę wybrała. Ale... ale nawet w porównaniu z Polską, niektóre jej prowincje, jak na przykład Czarnogóra były bardzo zacofane i przypominały raczej biedne kraje Bliskiego Wschodu. W tych warunkach powstaje nowy problem, stojący w sprzeczności z dogmatyczną wiedzą: w jakiej mierze socjalizm, nawet najbardziej odpowiadający interesom narodowym, zdolny jest przyspieszyć rozwój gospodarczy krajów zacofanych, które dopiero wyszły z feudalizmu i „przeskoczyły” kapitalizm. Problem, z którym ciągle stykam się obecnie, podczas trzyletniego pobytu w Indiach i w innych krajach azjatyckich. Problem bardzo trudny i bardzo dyskusyjny.

Podstawową cechą gospodarki socjalistycznej jest dążenie do budowy przemysłu ciężkiego. Dążenie w zasadzie słuszne. Jeśli chce się wprowadzić postęp, zamienić ciągnięte przez konie furmanki na samochody i traktory — trzeba albo kupować te towary zagranicą, albo stworzyć własny przemysł. Jeśli w kraju, obciążonym feudalizmem chce się przekształcić psychikę społeczną i stworzyć proletariatus — drogą, wiodącą do tego celu jest industrializacja. Robotnicy, którzy porzucili rodzinne pola, uczą się w miastach żyć inaczej i korzystać z dobrodziejstw cywilizacji. Rzecz w tym tylko, że trzeba wyżywić tę nową armię ludzi. A dążąc do

budowy przemysłu — wiele krajów zaniedbuje drugą podstawową dziedzinę gospodarki jaką jest rolnictwo. Jeśli obie nie rozwijają się harmonijnie to konsekwencje stają się katastrofalne. I tak, w krajach tradycyjnie rolniczych, które przed wojną eksportowały żywność, braknie jej dziś dla nowej klasy robotniczej. Trzeba na przykład za ciężkie dewizy sprowadzać zboże z krajów kapitalistycznych.

Jak wyjść z tego błędnego koła? Wydaje się, że trzeba rozwijać te gałęzie przemysłu ciężkiego, które są tradycyjnie rozwinięte w danym kraju i odrzucić ambicje budowania nowych, do produkcji których brak jest własnych surowców. Ale w tym celu trzeba było przejść przez okres kapitalistyczny i mieć taki przemysł. Myśmy go w Polsce posiadali. Dlatego popełniliśmy wielki błąd w okresie stalinizmu, godząc się na otwarcie każdej nowej, narzuconej nam fabryki, która miała służyć celom obrony całego „obozu”. W ten sposób byliśmy zależni od dostaw surowców sowieckich, popadaliśmy w długi i zależność gospodarczą. Jeśli surowce w porę nie nadeszły, musieliśmy zatrzymać produkcję i zwolnić robotników... Zupełnie niepotrzebne były nasze ambicje zbudowania własnego przemysłu samochodowego, opartego na wzorach sowieckich. Nie mieliśmy doświadczenia, nie mieliśmy części zamiennych. Tymczasem nasz socjalistyczny sąsiad, Czechosłowacja, mogła doskonale skoncentrować się na rozwoju tego tradycyjnego dla niej przemysłu i zaopatrywać nie tak znów bardzo chłonny w tym zakresie polski rynek. Czyli można było jakoś koordynować plany gospodarcze krajów demokracji ludowej z pożytkiem dla każdego z nich.

Jugosławia była w trudniejszej od nas sytuacji. Izolowana gospodarczo, musiała rozwinąć swój ciężki przemysł, a fakt ten do dziś ciąży na jej życiu i równowadze ekonomicznej. Indie idą tą samą drogą, nie tyle po to by wykazać że budują socjalizm, ile ze względów ambicjonalnych byłego kraju kolonialnego, który stał się niepodległy i chce „wykazać się” wobec wczorajszych kolonizatorów.

Ale, jakie by były motywy, rezultatem uprzywilejowania przemysłu ciężkiego są wszędzie wielkie trudności i zachwianie równowagi gospodarczej.

W okresie destalinizacji całe ekipy gospodarcze wyjeżdżały do Jugosławii, by wyciągnąć wnioski z jej modelu gospodarczego. Wnioski te stanowiły potem treść artykułów, sugerujących odnowę ekonomiczną w Polsce. Przyjeliśmy zresztą częściowo samorządy robotnicze, z tym, że ich zakres działania u nas był znacznie węższy. Widać jestem do dziś pod wpływem nastrojów tamtych czasów, skoro pozwoliłam sobie na dłuższe rozważanie natury

gospodarczej przy wspomnieniach z mej pierwszej wizyty w Jugosławii.



Wróciłam do tego kraju w 1957 roku podczas pierwszej wizyty Władysława Gomułki, jako akredytowany dziennikarz przy polskiej delegacji partyjno-rządowej. Jugosłowianie są bowiem bardzo ambitni. Trudno im się zresztą dziwić, że nie chcieli się wówczas zgodzić na przysłanie im dziennikarzy, którzy wsławili się w przeszłości artykułami, obrażającymi ich prezydenta i ich kraj.

Uczestniczyłam więc w tym historycznym spotkaniu dwóch polityków, którzy mieli odwagę przeciwstawić się presji Stalina, dwóch diametralnie różniących się od siebie ludzi. Marszałek Tito, okazały, mający pewną słałość do zewnętrznego decorum i do wszelkich insygniów władzy oraz Władysław Gomułka, bardzo skromny i jakby zażenowany honorami, jakimi go witano. Nic chyba nie oddaje tak dobrze różnicy między nimi, jak widok, gdy palą papierosy. Tito zaciąga się z lubością dymem papierosa w grubej złotej cygarnicze, która nosi jego inicjały. Władysław Gomułka dzieli swój papieros na połowę, kładąc ją do małej, szklanej fiki.

W słoneczny, upalny dzień wrześniowy ci dwaj ludzie stanęli naprzeciw siebie na lotnisku belgradzkim. Wahali się chwilę, patrzeli sobie w oczy, zanim uścisnęli się serdecznie i ucałowali. Szli wtedy za głosem serca, bo protokół nie przewidywał tego rodzaju powitania. Podobnie, jak nie wymagał atmosfery wielkiej serdeczności, jaką byliśmy wszyscy otoczeni, zwiedzając fabryki Lubliany, spacerując ulicami Zagrzebia, czy wypoczywając na pięknych plażach Brioni. Tam zresztą, na wyspie Wang, odbyły się najważniejsze rozmowy w cztery oczy. Zabrano nas motorówką pokazano śliczny domek, gdzie spotkał się Tito z Gomułką, pozwolono ich sfotografować i odesłano z powrotem.

Praca akredytowanych dziennikarzy mogła zatem ograniczyć się do zewnętrznych opisów tego niecodziennego spotkania. Treść rozmów politycznych pozostała dla nas tajemnicą. Tłumy obecnych dziennikarzy zachodnich snuły własne spekulacje. Komunikat oficjalny, jak większość podobnych dokumentów, był nijaki.

Dalszy rozwój wydarzeń politycznych nie dał właściwych owoców z tej prawdziwej wizyty przyjaźni. Była to na pewno w większej mierze nasza, polska wina, ponieważ Partia i rząd zaczęły zmieniać stanowisko w wielu dyskutowanych wówczas sprawach, między innymi w sprawie węgierskiej. Po ogłoszeniu

programu Ligi Komunistów Jugosławii, uznanego za rewizjonistyczny przez Związek Sowiecki — rozpoczęły się znowu ataki na titowski rewizjonizm, które skłoniły prezydenta Jugosławii do odłożenia na dłuższy czas, aż do roku 1965, swej rewizyty.

Ale, gwoli pełnego obiektywizmu trzeba powiedzieć, że nasi jugosłowiańscy przyjaciele, nie zawsze chcą zrozumieć trudną sytuację innych. Są w ich zachowaniu pewne elementy nacjonalistycznego, żeby nie powiedzieć fanatycznego, przywiązania do własnej polityki, z której zresztą mają prawo być dumni. W każdym razie nie docierają do nich argumenty, wynikające z trudności geopolitycznych Polski. Być może wyolbrzymiamy je czasem, ale faktem jest, że istnieją. Nie zdarzyło mi się jeszcze, żebym na ten temat nie pokłóciła się trochę z moimi jugosłowiańskimi przyjaciółmi. Ale dyskusja z nimi jest zawsze możliwa i pomaga zrozumieć się wzajemnie.



Trzeci raz wreszcie byłam w Jugosławii już po moim ślubie, gdy mąż został wysłany na konferencję krajów neutralnych w Belgradzie w 1962 roku. Jugosławia nie wiele się zmieniła w ciągu tych sześciu lat. A może zresztą to właśnie Polska zmieniła bardziej wyraźnie swe oblicze i dlatego nie widziałam różnicy?

W Belgradzie przybyły na pewno nowoczesne, śliczne domy, które przekształcają to serbskie miasto w nowoczesną, pełną życia i rozmachu stolicę całej Federacji. Ci sami, serdeczni wobec Polaków ludzie, ci sami przyjaciele, z tym tylko, że może mieli do mnie trochę żalu, że „zdradziłam” wspólną sprawę, wiążąc się z postępowym, ale „zachodnim” dziennikarzem. W dalszym ciągu trudna sytuacja gospodarcza, którą pokonuje się bez fałszywego wstydu, z humorem, choć trzeba czasem zacisnąć pasa. Wesole i ożywione ulice, kuszące bogactwem zachodnich towarów wystawy, niewielu klientów w sklepach, przepelnione kawiarnie, do których wchodzi pierwszy mężczyźni, a dopiero za nimi wdzięczne i szykowne kobiety.

Jeśli chodzi o wewnętrzny liberalizm, o swobodę wypowiedzenia się, to mimo polskich uszczywnień i zahamowań zdystansowaliśmy Jugosławię w tej dziedzinie*. Ale zachowała ona swą niezależną pozycję w polityce międzynarodowej. Mimo wywieranych na nią nacisków, nie została członkiem żadnego z istniejących bloków. Podczas belgradzkiej konferencji krajów „niezaangażo-

* W każdym razie tak wydawało mi się przed sprawą usunięcia z PZPR Leszka Kołakowskiego i zwolnieniem z więzienia Dżilasa. Autor.

wanych” Jugosławia — obok Indii i Zjednoczonej Republiki Arabskiej — była jedną z opok „trzeciej siły”. Dzisiaj, w Delhi, dyplomaci jugosłowiańscy należą do najbardziej aktywnych w tym kraju i docierają głęboko do przedstawicieli wszystkich warstw i — co trudniejsze — kast w Indiach. A że ta trzecia siła wykrusza się i przestaje odgrywać ważną rolę na arenie międzynarodowej — to już nie jest winą Jugosławii, lecz nowych elementów politycznych, które widzi się wyraźniej z podkontynentu hinduskiego, niż z Europy. Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone, które nawiązały bezpośredni, choć chropowaty i urywający się czasem dialog, nie potrzebują już pośredników. Tym samym rola i pojęcia krajów „niezaangażowanych” staje się fikcją. Każdy mniejszy kraj musi się w większej, lub mniejszej mierze zaangażować po jednej ze stron, bo takie są wymogi jego bezpieczeństwa i gospodarczego rozwoju w atomowym wieku.

Bardzo wielu polskich dziennikarzy, ekonomistów a nawet polityków wyolbrzymiało w latach 1955/56 osiągnięcia Jugosławii, stawiając ją za wzór innym krajom, budującym socjalizm. Może dlatego, że jako jedna z pierwszych zwiedziłam ten kraj, nigdy tego nie robiłam. Zachowując zresztą dla jugosłowiańskich przyjaciół jak najserdeczniejsze uczucia, a dla przywódców głęboki szacunek za odwagę i rozwagę w kierowaniu ich krajem.

Rozdział XV

Podczas pierwszego pobytu w Jugosławii, w upalnym czerwcu 1956 roku, dotarła do mnie wiadomość o Poznaniu. Przeczytałam gazetę, zdaje się, że była to „Politika”, która relacjonowała wypadki, nie wspominając, rzecz jasna ani słowem o działalności „imperialistów”.

Patrzałam na lazurowy Adriatyk, gdy na ulicach Poznania w ten „czarny” czwartek połała się krew robotnicza. Ogarnął mnie wstyd, że wyjechałam z kraju w momencie, gdy tam było moje miejsce. Powinnam była przewidzieć, że to się może tak skończyć. A może tylko zacząć?

Obok leżeli na piasku młodzi ludzie, być może robotnicy, wysłani do Dubrownika na odpoczynek, a być może zagraniczni turyści, przyciągnięci, tak jak ja, odmiennością i pięknem Jugosławii. Ich ciała miały już brązowy kolor.

Wtedy wróciło do mnie wspomnienie ubiegłej zimy. Wyjechałam do Piotrkowa na zebranie robotnicze. To prowincjonalne, brzydkie miasto stało się jakby nierealne pod grubą pokrywą śniegu. I wtedy z wielką siłą dotarła do mnie rzeczywistość. Nie ta widziana ze stolicy, fałszowana, jak na całym świecie zresztą, cyframi statystyk. Rzeczywistość, która przemówiła językiem robotników, ludzi zmęczonych, przygarbionych, którzy stracili nadzieję że ktoś im w ogóle pomoże. Owszem, odwoływali się do władz, mówiąc, że nowe normy są nierealne. Nie dostali odpowiedzi. A tymczasem płace maleją, a drożyzna rośnie. Ich skargi rozbijają się o jakiś mur bezduszności władz prowincjonalnych, miejscowych biurokratów, sporządzających dla stolicy optymistyczne raporty.

Przypomniałam sobie te wszystkie wskaźniki napiętych jak

struna planów gospodarczych, które leżały na naszych biurkach redakcyjnych i których nigdy nie potrafiłam zrozumieć. Istna abrakadabra. I uświadomiłam sobie, że przesłoniły nam one człowieka, tych robotników Piotrkowa i innych miast, którzy jedli coraz gorzej, ubierali się coraz gorzej, nie mogli dać utrzymania swym rodzinom.

— Nie słuchajcie tego mówcy — szepnął mi do ucha czerwony jak piwonia sekretarz organizacji. — To pijak.

No, bo zostawała jeszcze ucieczka od rzeczywistości — wódka, która rozgrzewała, pozwalała zapomnieć o głodnych dzieciach w domu. A może stwarzała złudzenia tego lepszego życia, które obiecywano?

— 10 lat minęło od niepodległości — mówił robotnik z Piotrkowa. — Wymagano od nas poświęceń. Dobrze, byliśmy zdolni do poświęceń. A co się zmieniło? To, że jest gorzej. A w imię czego były te poświęcenia? Żądam odpowiedzi.

Nie znalazłam jej. Oczywiście mogłam była mówić o zniszczonym wojną kraju, mogłam była wydobyć kilka sloganów o socjalizmie. Jakiś instynkt powstrzymał mnie przed tym. Miałam pewność, że doprowadzi to ludzi do pasji. Zbyt długo na ich pytania, a potem już konkretne żądania ani partia, ani związki zawodowe nie dawały konkretnej odpowiedzi. Cierpliwość ich się wyczerpywała.

Kiedy zdawałam sprawozdanie z tego zebrania w Warszawie, powiedziano mi, że ulegam uczuciom — wszyscy cierpimy, nikt nie żyje na różach. — Może więc powinnam była nalegać, żeby zrobiono coś dla robotników Piotrkowa...

A teraz, w pół roku po tamtym zebraniu — był Poznań. 28 czerwca 1956 roku. Pierwszy wielki bunt ludzi niesprawiedliwie wyzyskiwanych i gnębionych przez długie lata. Wierni tradycjom robotniczym wyszli na ulice, by domagać się swych praw. Brak chleba w połączeniu z brakiem wolności, z terrorem, musi zakończyć się wybuchem, którego skutków nie można przewidzieć. Ludzie, doprowadzeni do ostateczności wychodzą na ulice nie dlatego, że mają jakiś plan przemian, czy program społeczny, ale dlatego, że nie mogą znieść ani chwili dłużej istniejącego stanu rzeczy. Dusili się w atmosferze trudności materialnych i zakłamania.

Robotnicy zakładów Cegielskiego — wielkiej fabryki lokomotyw i sprzętu kolejowego — kilkakrotnie pisali do Warszawy że trzeba zmienić normy i podwyższyć zarobki. Czekali i czekali. Odpowiedzi nie było. Przystąpili więc do strajku. Dołączyli się do niego wszyscy poznańscy robotnicy. Opanowali ulice miasta i ruszyli w stronę więzienia, by uwolnić ofiary cierpiące z po-

wodu stalinowskiego bezprawia. Zdecydowali się pracować własne rodzinne brudy na oczach całego świata, bo w Poznaniu odbywały się właśnie Międzynarodowe Targi, które miały przekonać zagranicznych uczestników o wielkich osiągnięciach gospodarczych Polski. Tymczasem ci, którzy je tworzyli, domagali się więcej chleba i sprawiedliwości. Bezpieczeństwo otrzymało rozkaz rozproszenia manifestacji. Więc stanęli naprzeciw siebie, po przeciwnej stronie barykady, robotniczymi rękami wzniesionej, ci wyzyskiwani, dla których dobra socjalizm miał być zbudowany i ci, którzy mieli pilnować praworządności socjalistycznej, a którzy stali się strażnikami tych biedaków. Popłynęła bratnia krew. A tłum manifestantów już o niczym nie myślał, tylko dawał upust swej nagromadzonej od lat nienawiści do pracowników bezpieczeństwa, których gotów był zlinczować. Ulice Poznania stały się świadkami scen barbarzyńskich i niegodnych człowieka, kiedy nie dopuszczano ambulansów do ciężko rannych. To było stokroć gorsze od tych walk przedwojennych, gdy robotnicy występowali przeciw kapitalistom.

To był najbardziej gorzki aspekt Poznania. Strajki są skuteczną formą walki robotników — ile razy słyszeliśmy te słowa na kursach ideologicznych, które ukazywały nam okrutny wyzysk tego innego, „złego” świata. A dziś po broń z tego arsenału sięgnęli odruchowo, instynktownie ci, których nazywano „gospodarzami” kraju.

To nie mogło być winą jednostki, czy nawet kilku jednostek. Poznań oznaczał bankructwo gospodarcze i polityczne systemu, który mienił się socjalistycznym. Oznaczał klęskę każdego z tych, którzy nim kierowali.

Niełatwo się z taką rzeczywistością pogodzić. Niełatwo jej spojrzeć w oczy. Przywódcy strajku powędrowali do więzienia. Jak za dawnych, złych czasów. Aresztowano około 300 osób spośród których wielu mogło dać się ponieść psychozie nienawiści.

Ale zarazem elementarna uczciwość i zdrowy rozum buntowały się, by wydarzenia poznańskie położyć na karb działalności imperialistycznych prowokatorów. Można było od biedy ich sfabrykować, i ukarać, ale pozostawała armia niezadowolonych robotników Poznania, Łodzi, Piotrkowa, Nowej Huty, całego kraju. Niezbędna armia ludzi pracy.

Poznań rozdarł całą partię. W kierownictwie, wśród dziennikarzy, ścierały się dwie teorie. Jedna, że z chwilą, gdy nie ma się środków, by dać ludziom pod dostatkiem chleba, trzeba ich „trzymać za mordę”. Druga — że skoro z dnia na dzień nie można poprawić sytuacji gospodarczej, która jest rezultatem błędów

stalinizmu — to trzeba przynajmniej zaspokoić niektóre żądania manifestantów, dać obywatelom trochę więcej oddechu i wolności, żeby mogli dać upust swym uczuciom, żeby choć mogli się głośno wyżyć.

Ileż to artykułów na temat Poznania utknęło w szufladach naczelnych redaktorów w Radio. Tym razem ważono każde słowo, każdy przecinek mógł nadać im inne znaczenie. Autorzy i redaktorzy unikali się wzajemnie. Ci dziennikarze, którzy byli w Poznaniu nie chcieli odstąpić od własnych sformułowań. Wszyscy czekali.

Podobnie w centralnym organie partii, w „Trybunie Ludu”. Wiem, że wiele artykułów leżało w teczkach redakcyjnych i widziałam, jak bardzo zdezorientowani byli ci, którzy mieli podjąć decyzję ich publikacji.

Podobnie — w kierownictwie partyjnym. Partia, na zewnątrz jednolita z każdym dniem rozdzierała się wewnątrz. Już nie na tle teorii i dyskusji. Kryterium podziału była ocena Poznania, wydarzenia, które miało miejsce po 11 latach życia w socjalizmie.

Zwolennikami pierwszej teorii „bez chleba nie ma wolności” byli oczywiście zdecydowani stalinowcy. Mając poparcie Związku Sowieckiego, szukali „zagranicznych agentów” jako winowajców rozruchów przeciw władzy ludowej. Teorię tę popierali również członkowie aparatu partyjnego na prowincji. Z ich to winy bowiem, z powodu ich biurokracji — żądania robotnicze nie docierały do stolicy.

Bardzo to była specjalna kategoria ludzi. Najczęściej młodzi, bez żadnego wykształcenia — dokument ukończenia kursów partyjnych był jedynym dyplomem, dającym im możliwość otrzymania pracy w aparacie i do odgrywania ważnej roli zarówno w życiu społecznym, jak i we własnych oczach. Przez lata całe wykonywali, jak automaty, płynące z góry rozkazy i tonęli w morzu niepotrzebnych papierów. Zaniedbywali życie osobiste, źle kochali swe żony i dzieci i byli przez nie źle kochani. Często w małych miasteczkach, a zwłaszcza na wsiach, dołączał się do tego inny konflikt: ich rodziny były głęboko, tradycyjnie katolickie, a oni sami, jeśli nie utracili swej wiary, musieli ją przed partią ukrywać.

I nagle ci ludzie — z wykonawców sprawiedliwości — stali się oskarżonymi. Za co, dlaczego — pytali, nie będąc w stanie tego zrozumieć. Za to, że nie dojadali i nie dosypiali, ślęcząc nad papierami? Działali przecież dla dobra Sprawy, tak jak im to partia kazała. Więc skąd nagle to trzęsienie ziemi? Kto i dlaczego chce wstrząsnąć podstawą ich bytu i egzystencji?

Jeszcze jedna ludzka tragedia, którą stworzył stalinowski system. Bo trzeba było tym ludziom powiedzieć: tak, jesteście win-

ni. Nie ze złej woli działaliście, ale dlatego, że tak was nauczono i że byliście zbyt prymitywni, by zrozumieć skutki waszego działania. A właśnie między innymi efekty waszej pracy przyniosły Poznań. I to skompromitowało socjalizm.

Na pewno nie należało niszczyć, po prostu przekreślić tych ludzi. Myślę, że nienawiść, kierowana pod ich adresem, w okresie października, była jednak niesprawiedliwa. Usiłowano rozwiązać ten problem, dając młodszym możliwość zdobycia jakiegoś solidnego wykształcenia, lub zawodu. Ale powstało pytanie: co zrobić z resztą? Brutalne odtrącenie ich mogłoby stworzyć solidną armię opozycji — tym razem wobec gomułkowskiego socjalizmu. To przecież na tych ludziach, ograniczonych intelektualnie i zawiedzionych w osobistych ambicjach, chcieli się oprzeć polscy spadkobiercy stalinizmu — Natolińscy.

Nie raz uczestniczyłam w zebraniach, na których podnosiły się głosy, że tych „aparaczków” trzeba wyrzucić za jednym zamachem, że ludzi tak prymitywnych, którzy mocno osadzili się przy „żłobach” nie da się zmienić, że są bezużyteczni. Choć było dużo racji w takim rozumowaniu — Gomułka nie mógł zniszczyć tego aparatu. Po pierwsze dlatego, że zniszczyłby organizacyjne podstawy partii, tradycyjne od lat, i że uderzyłby w samą bazę. Po drugie dlatego, że nie chciał rzucić tej prymitywnej, a przez to samo niebezpiecznej armii ludzi w objęcia opozycji.



Zwolennikami drugiej teorii: „ponieważ nie ma chleba trzeba dać wolność” byli realistycznie myślący i dążący do pewnej demokratyzacji członkowie starego kierownictwa, wielu byłych pepesowców z Józefem Cyrankiewiczem i nieomal całe pokolenie członków partii, którzy wstąpili do niej po 1945 roku. Polaryzacja sił postępowała z każdym dniem, ale na zewnątrz starano się utrzymać mit monolitu. Na tym zresztą polega zasadnicza różnica między krajami socjalistycznymi, a zachodnimi. W pierwszych wszelkie kryzysy rządowe rozgrywają się w łonie tego samego organizmu władzy, który usiłuje kamuflować wszelkie rozbieżności. Stąd oczywiście powstaje wiele komplikacji, niedomówień, błędnych interpretacji wydarzeń i oceny układu sił politycznych.

Nie ja jedna odczułam Poznań nie tylko jako narodową tragedię, ale w pewnym sensie, jako osobistą klęskę. Gdy wróciłam do kraju, przekonałam się, że wielu moich przyjaciół myślało tak samo. Zdawaliśmy sobie sprawę, że proces odnowy i destalinizacji postępuje zbyt wolno, że nie może zadowolić społeczeń-

stwa. Trzeba było wydzierać kierownictwu każdą decyzję, naciskać, ukazywać mu wzburzoną opinię publiczną. W ten sposób uzyskaliśmy amnestię niewinnie więzionych, rehabilitację AK-owców, pierwsze reformy gospodarcze. Ludzie zaczęli czytać nasze artykuły i słuchać radia. Nie wierzyli nam jeszcze, ale przynajmniej mogli zdobyć pewne informacje, dotyczące upragnionych, zmian.

Za pośrednictwem prasy, partia zaczęła odzyskiwać jakiś kontakt z ludźmi. I wtedy połała się krew robotnicza na ulicach Poznania. Więc pierwsze, pełne niepokoju i bólu pytanie: czy nie jest już za późno? Czy uda się zniwelować tę głęboką przepaść, którą sama partia wykopała w stalinowskich czasach? Ileż to wieczorów dyskutowaliśmy te sprawy. Bo ciągle jeszcze widzieliśmy jedyną możliwość walki: w łonie partii, dla jej dobrego imienia.

Okazało się, że jak w historii każdej rewolucji, Poznań swą tragedią przyspieszył proces odnowy i demokratyzacji. Szkoda tylko, że za tak gorzką i bolesną cenę.

W sprawie oceny wydarzeń poznańskich zwyciężyła w końcu prawdziwa, realistyczna teoria. 18 lipca 1956 roku obradowało nad oceną Poznania VII plenum Komitetu Centralnego. Gości sowieckich, marszałka Bułganina, który przyjechał na to Plenum wysłano w turystyczną podróż po Polsce. Mieliśmy w radio bezpośrednie połączenie z salą obrad i mogliśmy słuchać wszystkich przemówień. Nikt z nas wtedy nie chciał uронić ani jednego słowa z tych 10-dniowych, burzliwych obrad. Przyjęta rezolucja obiecywała podwyżkę zarobków robotniczych w nowym planie pięcioletnim, przestrzeganie praworządności i zwiększenie udziału mas w rządzeniu krajem.

Było to skromne zwycięstwo, pierwszy i nieśmiały krok do odnowy. Zachęcił on jednak do dalszej walki o zmianę kierownictwa partii. Naszą rezolucję radiową w sprawie dopuszczenia Gomułki do władz partyjnych podejmują obecnie niemal wszystkie zakłady robotnicze w kraju, między innymi w Zakładach Cegielskiego w Poznaniu.

Podczas gdy najinteligentniejszy, i dlatego najgroźniejszy, ze stalinowców, Franciszek Mazur, udał się do Moskwy, by bronić przed Chruszczowem starych szańców władzy, „Trybuna Ludu” ogłosiła 5 sierpnia wiadomość o rehabilitacji Gomułki i o przyjęciu go z powrotem do partii. Cenzura prasowa nieomal nie istniała w tym czasie, na który przypadł okres świetności „Po prostu”. Pewna część kierownictwa partyjnego zainteresowana była wyraźnie w rozhuśtaniu nastrojów rewolucyjnych społeczeństwa. Pada to oczywiście na podatny grunt. W zakładach pracy, jak na przy-

kład na Żeraniu, tworzą się spontanicznie rady robotnicze. Premier Cyrankiewicz mianuje więzionego w minionych latach, byłego uczestnika Międzynarodowych Brygad w Hiszpanii, generała Wacława Komara, naczelnym dowódcą Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Następca Bieruta, Edward Ochab, który zresztą od początku traktował swe stanowisko sekretarza partii jako przejściowe, szykuje się do przekazania władzy Władysławowi Gomułce i prosi go o wygłoszenie referatu na VIII Plenum KC, zwołanym na 18 października.

Decydujący moment zbliżał się. Jeśli chodzi o mnie i o wielu moich przyjaciół, bez trudu dokonaliśmy wyboru. W naszych sercach — tak wtedy czuliśmy — była to walka o humanistyczny socjalizm, który ma przynieść szczęście ludziom, bo dobro człowieka jest jego najwyższym celem. O polski socjalizm, bo nie buduje go się na księżycu, ale na ziemi ojczystej. O internacjonalizm, rozsądny, oparty na równości między socjalistycznymi sąsiadami i na wzajemnym poszanowaniu praw.

Na fali tych nastrojów rewolucyjnych stać nas było znowu na odnalezienie dawnego entuzjazmu. I w tej sytuacji nadszedł październik.

Rozdział XVI

Jakże mam relacjonować przebieg wydarzeń, które nazywane są na świecie „polską wiosną w październiku”? Tak, jak je wtedy odczuwaliśmy, czy tak, jak je dziś oceniam z perspektywy 10 lat, które ochłodziły zapalone głowy.

Są okresy życia, które można relacjonować. Można sobie odtworzyć fakty przeszłości, ale niesposób ożywić ich uczuciem. Są inne, ale tych jest stosunkowo mniej, gdy łatwiej odtworzyć jest atmosferę emocjonalną, Polski Październik należy do tej drugiej kategorii.

To był na pewno wielki zryw uczuciowy całego narodu. Przekształcił klimat późnej jesieni w wiosnę, gdy wszystko na nowo budzi się do życia, nowego i lepszego, gdy każdy czyn ludzki zdroniony jest z entuzjazmu. Czuło się wtedy nad Wisłą rytm gorących, polskich serc. Myślę, że czują to historycy, studiujący dziś dokumenty tamtego okresu. I to pozostanie najważniejsze w tym wydarzeniu powojennej Polski.

Jak doszło do Października? Był on logiczną konsekwencją wielkiej fali społecznej, rozruszanej przez intelektualistów, ale która ogarnęła wszystkie warstwy społeczne, fali domagającej się zasadniczej odnowy życia polskiego. Był buntem chłopów przeciw narzucanej mu kolektywizacji, buntem robotnika przeciw nędzy i wyzyskowi. Inteligenci pragnęli odzyskać wolność słowa, a młodzież — swe ideały i wiarę w dobro i prawdę. Wszyscy domagali się sprawiedliwości, praworządności i naprawienia ludziom wyrządzonych krzywd. Wszyscy chcieli uwolnić się od atmosfery strachu, w jakiej żyli przez długie lata.

Te żądania społeczne łączyły się z narodowymi. Bo za wszystkie błędy i cienie przeszłości oskarżano — i słusznie zresztą —

Związek Sowiecki i polskich wykonawców jego woli. Stąd — żądanie do uniezależnienia się, do usunięcia „ekspertów radzieckich”, zasiadających w gabinetach polskich ministerstw i narzucających swą wolę. Powszechne żądanie, by na czele kraju stanął Polak, człowiek „o czystych rękach”, nie splamiony pracą w okresie stalinizmu.

Takie były nastroje społeczeństwa, coraz silniejsze od chwili poznańskiej tragedii, coraz mocniej łączące społeczne elementy walki — z narodowymi, z walką o niepodległość. To zresztą było najtrudniejsze. Bo jeśli wszyscy chcieliśmy skończyć z bezceremonialną hegemonią naszego wschodniego sąsiada, jeśli postulaty wyeliminowania wpływów Związku Sowieckiego ze wszystkich dziedzin naszego życia były całkowicie słuszne i w pełni uzasadnione — to przekształcenie tego ruchu w powstanie narodowe, mogło pociągnąć nieobliczalne i tragiczne konsekwencje dla Polski. Na wielu zebraniach używaliśmy całej siły naszej argumentacji, by przekonać ludzi, że trzeba walczyć w ściśle określonych granicach, że nie można ich — za cenę bezpieczeństwa narodowego — przekroczyć. To była nasza głęboka racja stanu. Ludzie słuchali, rozumieli, ale czuli inaczej.

Trudność wypracowania jednej linii działania była tym bardziej skomplikowana, że kierownictwo partyjne podzieliło się wyraźnie na trzy grupy, które zaczęły jawnie już walczyć ze sobą.

Pierwszą siłą, zdecydowanie wsteczną, byli dawni stalinowcy, którzy okopali się mocno na starych pozycjach. Zaczęli wówczas organizować spotkania w położonym pod Warszawą, pałacyku w Natolinie i stąd ochrzczono ich mianem Natolińczyków. Ich program sprowadzał się do dawnego wasalstwa wobec Związku Sowieckiego. Ten punkt nie mógł oczywiście znaleźć poparcia społeczeństwa. Drugi jednak, bardziej demagogiczny, mógł znaleźć zwolenników. Natolińczycy, zdając sobie sprawę z trudnej sytuacji robotników, obiecywali im 50-procentową podwyżkę stopy życiowej. Przynętą, odwracającą uwagę od walki narodowej, była obietnica usunięcia wszystkich Żydów z zajmowanych stanowisk i z aparatu partyjnego. Z programu Natolińczyków ziała oczywiście nienawiść do intelektualistów, którzy rozpoczęli proces destalinizacji i do całej prasy, która pomagała w jego rozwoju.

To była bezsprzecznie reakcja partyjna. Niektórzy nazywali ich grupą pravicową. Jerzy Putrament twierdził, że bardziej pasowało do nich określenie „skrajnej lewicy”. Nie warto się sprzeczać. Zależy to od tego, z jakiej pozycji wyjściowej rozpatruje się układ sił...

Drugą grupę, która, jako miejsce swych zebrań wybrała jeden z domów przy ulicy Puławskiej, można, bez dyskusji, nazwać

centrową. Składała się z dawnych stalinowców, którzy jednak byli na tyle realni, że nie zamierzali siłą przeciwstawiać się nowym procesom społecznym. Owszem — mówili — destalinizacja. Owszem, reformy gospodarcze, społeczne, polityczne. Ale, idące z góry, dawkiwane kropłomierzem przez kierownictwo partii i w pełni przez nią kontrolowane. W żadnym wypadku nie wolno ulegać „naciskowi mas”. Mówiąc prościej: ta grupa gotowa była powoli dokonać pewnej ewolucji życia w Polsce, ale lękała się panicznie, by powszechny ruch protestacyjny nie przekształcił się w rewolucję, która mogłaby zachwiać ich własną pozycję oraz podstawy socjalizmu, jak oni je widzieli.

I wreszcie trzecia tendencja — trudno jej zwolenników nazwać grupą, gdyż nie mieli żadnych podstaw organizacyjnych. To była linia „Po prostu”, linia intelektualistów. Żądali oni gruntownego wykarczowania korzeni stalinizmu i zbudowania polskiej, narodowej drogi do socjalizmu. W imię prawdziwego internacjonalizmu domagali się ułożenia stosunków ze Związkiem Sowieckim na nowych podstawach równości i wzajemnego poszanowania. Mogło to być osiągnięte wyłącznie poprzez walkę mas ludowych, na nich trzeba się oprzeć, by te zmiany mogły być rewolucyjne i socjalistyczne.

W pierwszym okresie Października tendencja ta zresztą zwyciężyła, bo wszystkie jej żądania znalazły się w referacie Władysława Gomułki. Później dopiero dano jej zwolennikom przydomek „rewizjonistów”.

Kiedy odchodzę myślami od tamtych chwil, tamtych gorących dyskusji, gdy dwaj starzy przyjaciele-komuniści zwalczali się wzajemnie — rozumiem dziś, po 10 latach, dlaczego w pierwszym okresie ta tendencja zwyciężyła. Pierwsza część programu „rewizjonistów” na temat polskiej drogi do socjalizmu pokrywała się dokładnie z tym, co mówił Władysław Gomułka w 1948 roku. Bo jakie były podstawy, odmienności polskiej drogi do socjalizmu?

Po pierwsze: odrzucenie form przymusowej kolektywizacji, uwzględnienie specyfiki polskiej wsi i psychiki polskiego chłopca.

Po drugie: utworzenie Rad Robotniczych w zakładach pracy, stopniowe zastąpienie organów państwowych przez te, które byłyby kierowane w dziedzinie gospodarczej przez wytwórców.

Po trzecie wreszcie: przekształcenie podstawy stosunków ze Związkiem Sowieckim z podrzędnego podporządkowania się — na równoprawne. Nie stanie na baczność i wykonywanie rozkazów, ale wzajemne konsultacje i dyskusje w zasadniczych dla socjalizmu sprawach z pozostawieniem Polsce wolności działania na jej własnej drodze.

To był kropka w kropkę program Wiesława, za który został wyklęty przez Stalina i za który płacił latami więzienia w miedzeszyńskiej willi. Więc było zrozumiałe, że gdy dziś stanął znów na czele walki, wypisał ten program, który głosili też „rewizjoniści”, na swoim sztandarze. Gomułka nie zmienił się, pozostał wierny swym przekonaniom i koncepcjom.

Dążenie do usunięcia stalinowców, odpowiedzialnych za błędy minionego okresu także nie mogło pozostawać w sprzeczności z tym, co myślał i czuł Wiesław, choć wykazywał w tej dziedzinie bardzo wiele umiaru.

Gdzież więc powstał rozdźwięk? Wydaje się, że w drugim punkcie programu rewizjonistów. Owszem, oprzeć się na rozkołysanych masach ludowych, tak długo, jak długo było to niezbędne do zwycięstwa Października, do stworzenia bazy dla realizacji programu. Oprzeć się na rozkołysanych masach, których entuzjazm i rewolucyjność były na pewno monetą przetargową w trudnych rozmowach z przywódcami sowieckimi, przybytymi do Warszawy, by zrobić „porządek”, by znów narzucić swoich ludzi do kierownictwa PZPR.

Nie chcecie mnie i nie akceptujecie mego programu — mógł im powiedzieć Gomułka — wobec tego spytajmy Polaków, niech oni sami zadecydują. Nie można iść pod prąd nastrojów ludu”.

Do tej chwili rozkołysanie mas było niezbędne. Ale później, gdy Gomułka ujął władzę i gdy chodziło już o wcielanie w życie punkt po punkcie październikowego programu, należało masy spacyfikować i odesłać do codziennej pracy. Inaczej — chłopi mogliby naprawdę uwierzyć, że są na zawsze właścicielami ziemi, a robotnicy — że są gospodarzami swych fabryk, z których na taczkach wywożono znieprawdzone w poprzednim okresie kierowników. Intelktualiści mogliby nadal krytykować i kontrolować jak odbywa się wykonanie programu. Czyli rodzaj rewolucji w socjalizmie. A powiadam: Gomułka się nie zmienił. Nie mógł dopuścić do siebie podobnej możliwości.

Pozostała mu za tym ta droga, którą proponowała grupa Puławska. Odmierzać reformy liberalne, być ich autorem, który konsultuje czasami zainteresowanych. Początkowo częściej, potem coraz rzadziej.

Tylko, że odrzucając drugą rewolucyjną część programu rewizjonistów, Gomułka wytyczył granice Października, których nie chcieliśmy wtedy dostrzec.

Sprowadzał się on zatem — i tak to dziś oceniam — do zmiany kierownictwa partyjnego, na czele którego stanął narodo-
wy komunista; do zmiany linii partii na bardziej liberalną i bardziej uwzględniającą polskie warunki i potrzeby. Jest na pewno

zasługą polskiego ruchu robotniczego, że dokonał tego pierwszy w tzw. obozie socjalistycznym. Za nami dopiero poszli inni. Ale to Polska partia, opierając się na tychże masach, na całym narodzie — bo dlatego tylko mogła wówczas zwyciężyć — zapaliła zielone światło na drodze uniezależnienia się od obcych wpływów. Więc jeśli nawet tak zawęzić znaczenie Października — odegrał on swą rolę.



Sam przebieg Października. Na 20-go wyznaczone było Plenum Komitetu Centralnego, które miało przekazać stanowisko pierwszego sekretarza Władysławowi Gomułce. Dwa dni przedtem, 19-tego, na lotnisku Okęcie lądują nieproszeni goście: Chruszczow, Mikojan, Mołotow, Kaganowicz i kilku wysokich oficerów Armii Sowieckiej. Cały sztab polityczny i wojskowy Związku Sowieckiego, reprezentujący zarówno zagorzałych stalinowców, jak i zwolenników nowej linii. Prawdziwa konsternacja i niesmak w najwyższych kołach politycznych. Przywódcy polskiej partii z Gomułką jadą pośpiesznie ich przywitać. Żaden z dziennikarzy nie był oczywiście obecny. Echa, które dotarły szybko z lotniska do radia, przyniosły nam słowa Gomułki, któremu Chruszczow nie podał ręki: „Nie poznajecie mnie, towarzyszu? A przecież to z waszej woli spędziłem minione lata w więzieniu”. I jeśli nawet nie tak przebiegło to pierwsze spotkanie, to w każdym razie pasowało ono Władysławowi Gomułce nie tylko na przywódcę partii, ale na przywódcę walki narodowej, gdyby miała zajść taka potrzeba.

Dla Polaków ten przyjazd, ta naga i brutalna ingerencja w wewnętrzne polskie sprawy mogły stać się tą przysłowiową kropką, która przelewa dzban. Wystarczyło przejść się ulicami Warszawy i zobaczyć zacięte twarze ludzi, żeby zrozumieć całą powagę sytuacji. To była prawdziwa próba sił. I doprawdy starczyło wtedy iskry, by rozgorzał pożar.

Praca w radio była gorączkowa, pełna napięcia i powagi. Wiadomości z kraju stawały się coraz bardziej alarmujące. Co chwila rozlegał się telefon. To korespondenci z prowincji donosili o rozpoczętych „manewrach” wojsk sowieckich. Była to noc z 19 na 20. W Belwederze toczyły się polsko-sowieckie zmagania na szczeblu dyplomatycznym. Na ulicach wyglądało to nieco inaczej. Przyjęłam wiadomość z Łodzi: Na Piotrkowskiej widziano ciężarówkę z sowieckimi żołnierzami. To już przekraczało granice menewrów. Ktoś telefonował: Na Woli są czołgi sowieckie. Robotnicy całej stolicy, w pierwszym rzędzie ci z Żerania, którzy

posiadali broń, znajdowali się w stanie pogotowia. Przed gmachem radia pojawili się nowi strażnicy: żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, którzy tej nocy strzegli wszystkich ważnych obiektów.

Przyjechał ktoś z Komitetu Warszawskiego. Mam jechać do ambasady jugosłowiańskiej i dowiedzieć się, co się dzieje. Auto sunie ciemnymi ulicami. Prawie stan oblężenia. Jugosłowianie wiedzą tylko tyle, że Tito wysłał depezę do Chruszczowa. Treści nie znają. Odpowiedzi jeszcze nie ma.

Powrót do radia, gdzie natychmiast odbieram telefon z „Trybuny Ludu”. Generał Witaszewski, zagorzały natolińczyk wydał armii rozkaz aresztowania tej nocy 230 działaczy, w tym oficerów wojska polskiego. Zdołano ich uprzedzić, nie śpią w domu.

Zebrani wokół rządowego telefonu — tajemnica państwowa przestała dzielić tej nocy kierowników i redaktorów radia — czekaliśmy na jakieś wiadomości z przebiegu rozmów w Belwederze. Cisza. Jeden tylko telefon: polecono nam przygotowanie studia, możliwe, że Gomułka zwróci się z apelem do narodu. To znaczy, że niedobrze, bo taki apel oznaczałby przerwanie rozmów. Napiecie potęgowało się.

W rezultacie Wiesław nie przemawiał tej nocy. Miał on użyć radia, jako ostatecznej broni, jako środka kontaktu z narodem, gdyby przywódcy sowieccy upierali się, by narzucić skład nowego Biura Politycznego. „Jesteśmy wystarczająco dojrzały, by sami decydować o losach partii i kraju”. Tak, według relacji, które dotarły do radia tej pamiętnej nocy miał im odpowiedzieć Gomułka.

Każdy komunikat, każda wiadomość, która szła na antenę redagowana była z wielką odpowiedzialnością, z powagą, w pełnym skupieniu. Słowo nabrało na nowo znaczenia.

Wreszcie nadeszło przesilenie. Była 4-ta rano. Polecono nam mieć w zapasie serię felietonów, omawiających program października. Najlepiej zamawiać je u autorów nieskompromitowanych, u takich, którzy walczyli o odmowę.

Najlepsi publicyści oddali swe pióro w służbę października. Byli Akowcy, ludzie, którzy żyli w minionym okresie poza nawiasem społeczeństwa nie pozwolili się prosić o współpracę. Telefonowaliśmy tej nocy do kilku z prośbą by napisali komentarz, lub felieton i sami go wygłosili. Chodziło o utrzymanie ludności w stanie umiarkowanego alarmu. Nikt nie odmówił.

Ci koledzy, którzy wykazywali nadgorliwość w okresie stalinowskim, a zwłaszcza wsławili się atakami na osobę Gomułki, byli zmieszani i zdeorientowani. Niemniej i oni włączyli się w nurt pracy. Wtedy, w obliczu zagrożenia z zewnątrz utworzył

się prawdziwy front jedności narodowej. Był on może trochę skomplikowany, ponieważ obejmował byłych więźniów i tych, którzy ich do więzień wtrącili. Ale w każdym razie tej pamiętnej nocy i podczas dni, które po niej nastąpiły, ten front istniał.

20 października zastał nas zmęczonych, niewyspanych, ale gotowych do dalszej pracy. Przywódcy sowieccy wyjechali z pustymi rękami. Stan alarmu trwał jednak nadal. O 11-tej rano rozpoczęło się VIII Plenum Komitetu Centralnego. Jak wspominałam, niektórzy pracownicy radia mieli możliwość w gmachu rozgłośni przysłuchiwania się jego obradom. Tego dnia jednak nastąpiła prawdziwa rewolucja. Nadaliśmy bowiem na antenę przemówienie programowe Władysława Gomułki bezpośrednio z sali obrad.

Cały kraj czekał na nie w najwyższym napięciu. Na pewno dużą satysfakcję przyniosła ludziom prawdziwa ocena Poznania. „Robotnicy przystąpili do strajku, bo mieli dość zakłamanej polityki poprzedniego okresu. Nie ma gotowych recept na zbudowanie socjalizmu — stwierdził Gomułka — „partia powinna liczyć się z wolą mas, z dążeniami ludzi pracy, a nie stwarzać im szczęście wbrew ich woli. Tylko przysłuchiwanie się woli mas może zapewnić powodzenie polskiej drodze zbudowania nowego społeczeństwa”.

Oczywiście nie pamiętam całego przemówienia. Po latach cytuję po prostu z pamięci te słowa, które chyba utkwiły wtedy wszystkim w pamięci, budząc nowe nadzieje. Najlepszy dowód, że zdolna jestem je przytoczyć.

Z Biura Politycznego usunięty został marszałek Rokossowski, oraz wszyscy zagorzali stalinowcy: Mazur, Nowak i Witaszewski. Kłosiewicz usunięty został z kierownictwa Związków Zawodowych.

Pierwsze zwycięstwo zostało osiągnięte. Dopiero teraz, z czystym sumieniem, mogliśmy pójść do domu i odespać tę dramatyczną noc.

Stan alarmu trwał jednak nadal. Przez następne trzy dni znajdowaliśmy się jakby w stanie oblężenia. Niebezpieczeństwo zbrojnej interwencji sowieckiej zniknęło dopiero 23 października, kiedy to Chruszczow oznajmił Gomułce iż wojska sowieckie otrzymały rozkaz wycofania się do swych baz.

Warto przy tym zwrócić uwagę na fakt, że przed tym niebezpieczeństwem w dużej mierze uratowały Polskę Chiny. Trudno powiedzieć, jakie interesy mieli twórcy teorii „rozwoju stu kwiatów”, które zresztą uschły bardzo szybko, w obronie polskiej drogi do socjalizmu, atakowanej przez nich wkrótce potem jako rewizjonistyczna. Niejednokrotnie, a zwłaszcza tu, w Azji, zastanawiam się nad prawdziwą chińszczyzną wszelkich enuncjacji.

cji Pekinu. Myślę, że chodziło o przysporzenie kłopotów Związkowi Sowieckiemu. Rywalizacja polityczna między tymi dwoma państwami socjalistycznymi nie była jeszcze w 1956 roku tak widoczna i oczywista, jak dzisiaj, gdy stwarza niebezpieczeństwo poważnych konfliktów światowych. Ale antyrosyjska i antysowiecka postawa Mao Tse-tunga i wobec samego Stalina i jego następców była powszechnie znana. Chińczycy stanęli zatem w obronie polskiego października, przypuszczając, że skomplikują życie Chruszczowowi. Tak, czy inaczej, pomogli wtedy Polsce.



Cóż znaczy sześć dni w życiu człowieka, a tym bardziej w historii narodu? Bo tyle przecież trwała ta nasza polska wiosna w październiku. Oczyściła jednak duszną atmosferę, pokazała, że Polacy gotowi są do obrony swego kraju, gdy zachodzi tego potrzeba, wyrwała ludzi z marazmu. Każdy człowiek musi mieć poczucie, że jest naprawdę potrzebny, że nie tylko działa się w jego imieniu, często wbrew jego woli, ale że on sam staje się twórcą historii. W każdym razie nie jej przedmiotem, ale podmiotem. To uczucie ożywiało tłumy, słuchające dwóch przemówień Gomułki, między którymi zamknął się polski Październik.

Pierwsze, wygłoszone 19 wieczorem, na dziedzińcu Politechniki Warszawskiej. Czuło się jeszcze w powietrzu ciepło późnej jesieni, szeleszczące pod nogami liście miały złoty i czerwony kolor. Dziedziniec uczelni nie mógł pomieścić 30 tysięcy ludzi, którzy przyszli z całej Warszawy, by wysłuchać tego niewysokiego mówcy. Jedyne zresztą w całym kraju, który potrafił dokonać tego by słuchano go z uwagą, bo wszyscy wiedzieli, że sam był ofiarą terroru i niesprawiedliwości, a więc cierpiał tak, jak inni. Gomułka, z rzadką u niego pasją, domagał się zasady równości między państwami socjalistycznymi i potępił ingerencję silniejszych w wewnętrzne sprawy innego kraju. To było wszystko. Ale te słowa wystarczyły, by niektórzy zażądali marszu na Belweder, gdzie trwały przetargi polsko-sowieckie. Gomułka krótko uciął i zignorował te słowa. Ale niewątpliwie świadomość poparcia ludu Warszawy, dała mu siłę do przetrwania tej trudnej nocy, gdy Chruszczow nie cofał się przed groźbami. Młodzież, z której opadł cynizm, robotnicy, dziennikarze, inteligencja, cały naród gotów był iść wraz z nim — tak jak śpiewali w Międzynarodówce — na największy bój i trud.

I drugie wielkie zebranie, w którym uczestniczyło, o ile pamiętam, blisko 400 tysięcy ludzi, przed Pałacem Kultury, 24 października. Wiejący silnie wiatr przyniósł zapowiedź zimy. Ten

sam mówca, ale o wiele bardziej zmęczony, bo dźwigający na swych barkach ciężar władzy i wielkiej odpowiedzialności. Złożył suche, lecz wymowne sprawozdanie o wynikach rozegranej walki. Wszystkie decyzje, dotyczące naszego życia będą rozwiązywane zgodnie z postanowieniami partii i rządu polskiego. Sami będziemy decydować, czy potrzebna nam jest pomoc ekspertów sowieckich. Związek Sowiecki zaakceptował zasadę nieingerencji w nasze sprawy wewnętrzne.

A potem, po podkreśleniu wagi Układu Warszawskiego i przynależności doń Polski wobec zagrożenia niemieckiego, krótki apel tylko: dość już zebrań i manifestacji. Teraz, żeby pomóc krajowi i utrzymać, utrwalić wywalczone zwycięstwo, trzeba wrócić do codziennej pracy na polach, w fabrykach, na uczelniach. Trzeba zachować spokój.

Wierzący katolicy, a tych jest przecież przeważająca większość w naszym kraju, usłyszeli z ambon te same słowa: spokój i praca. Padły one z ust człowieka, którego wierni witali, jako męczennika. Wypuszczony z więzienia kardynał Stefan Wyszyński wtórował Władysławowi Gomułce: „Łatwiej jest umierać na polach chwały, niż żyć pośród trosk i poświęceń — powiedział. — Dla tego trzeba umieć się na nie zdobyć”.

W każdym razie fakt, że partia, to znaczy władza polityczna, i kościół, mający wielkie wpływy moralne, zajęły wtedy identyczne stanowisko, uratował Polskę przed tragedią węgierską...



Węgry... wiadomości, które niespodzianie nadeszły z Budapesztu, a które wstrząsnęły sumieniem świata, a w każdym razie całej lewicy na świecie — miały dla nas specjalną wymowę. Przede wszystkim poczuwaliśmy się do moralnej odpowiedzialności i pełnej solidarności. Wiadomo, że Budapeszt poszedł za przykładem Warszawy, że Węgry także chciały przeżyć swą wiosnę po latach srogiej, stalinowskiej zimy, o wiele cięższej, niż polska. Wydarzenia i demonstracje w stolicy Węgier rozpoczęły się w chwili, gdy dochodziliśmy do końca walki i gdy Gomułka i kardynał Wyszyński apelowali już o powrót do pracy.

To, co rozgrywało się na Węgrzech ukazało nam w zwierciadle historii olbrzymie niebezpieczeństwo, które nam groziło, którego udało nam się uniknąć, a które, niestety, nie oszczędziło Węgier.

Zemściły się na Węgrzech rządy Stalina i Rakosiego. Zabrakło człowieka, który, tak jak u nas Gomułka, stałby się symbolem walki zarówno o przemiany wewnętrzne jak i o niezależność na-

rodową i który potrafiłby skanalizować te dwa nurty w określonych rozsądkiem politycznym i obiektywnymi możliwościami — granicach. Gerö był równie zniechęcony, jak Rakosi. Większa akcja i ucisk stalinizmu wywołały większą reakcję ludzi, pragnących się z niego wyzwolić. Imre Nagy, dobry ekonomista, człowiek uczciwy, był za słaby by stać się przywódcą narodu w tak ciężkich chwilach. Wydarzenia wymykały się spod jego kontroli, czy nawet inicjatywy. To tłumy, to ulica Budapesztu dyktowała swe żądania. Na pewno zrodzone z bólu i gniewu, na pewno słuszne. Niestety, zrodzone w euforii odwetu, nie zawsze możliwe do wykonania. Imre Nagy nad nimi nie panował. Dopuścił do tego, że na Węgrzech jego własne decyzje przychodziły „pięć minut za późno”, nie były przez nikogo wykonywane.

Zabrakło na Węgrzech przywódcy kościoła, który łączyłby autorytet moralny z realizmem politycznym, który chciałby uspokoić antysowieckie nastroje społeczeństwa. Kardynał Mindszenty takie uczucia tylko podsycił.

Dlatego wydarzenia na Węgrzech przekształciły się w prawdziwe powstanie narodowe, a często przybierały cechy rewolucji. Polski październik był od pierwszej chwili kierowany. Wysuwając hasła wolności, niezależnienia się od obcych wpływów, pełnej swobody w wyborze naszej własnej drogi rozwojowej, odpowiadającej możliwościom gospodarczym, politycznym, kulturalnym i społecznym Polski, Gomułka widział twarde skały realiów politycznych. Nie tylko zresztą widział, ale tak czuł. Dla tego surowego dla siebie samego i dla innych człowieka, polski komunizm jest najwyższym prawem i motorem działania.

Zdarzało się, że na zebraniach, pełnych gorączki, padały żądania, by Polska wycofała się z Układu Warszawskiego. Odpowiedź była jasna: ci, którzy je wysuwają są szaleńcami. Nie będziemy na ten temat w ogóle dyskutowali.

Takie stanowisko było słuszne. Jeśli polski październik był wynikiem, konsekwencją procesu destalinizacji, który sam Chruszczow rozpoczął swoim referatem, to Związek Sowiecki nie mógł się teraz siłą przeciwstawić reakcji łańcuchowej, której sam był inicjatorem, bez wzięcia na siebie całego odium. Jeśliby natomiast polskie żądania domagały się wyjścia poza ramy ówczesnego układu sił politycznych w Europie, gdyby chciały zachwiać równowagę tych sił na niekorzyść Związku Sowieckiego, nie przypuszczalnie nie mogłoby nas uratować przed interwencją zbrojną naszego wschodniego sąsiada. Tocząc wewnątrz kraju zaciętą walkę ze stalinowcami, Chruszczow i zwolennicy kursu na liberalizację nie mogli sobie pozwolić na publiczne, międzynarodowe świadectwo, że ich nowa polityka pociąga za sobą krusze-

nie się politycznej i wojskowej sfery wpływów obozu socjalistycznego. Potwierdzeniem tej tezy jest fakt, że czołgi sowieckie ruszyły do decydującej akcji w Budapeszcie w chwili, gdy Węgry zażądały neutralności i wycofania się z Układu Warszawskiego.

Można to było zrozumieć, ale niesposób było nie wczuć się w walkę powstańców budapesztańskich. Wydarzenia na Węgrzech wywołały drugą falę rewolucyjną w Polsce. Znowu nie opuszczaliśmy gmachu radia, redagując raniące serce wiadomości o śmierci ludzi, którzy ginęli za wolność i niepodległość swej ojczyzny. Odżywało wtedy wspomnienie wszystkich naszych powstań narodowych.

Uczucie ścierało się z rozsądkiem, raz brało nad nim górę, by zostać przyćmione. Dawno nie przeżywałam tak wielkich konfliktów wewnętrznych, jak wtedy, gdy leżały przede mną na biurku redakcyjnym depesze i korespondencje z Budapesztu.

Ludność stolicy kierowała się na ogół wyłącznie uczuciem. We wszystkich fabrykach odbywały się spontaniczne zebrania na rzecz solidarności z narodem węgierskim. Żądano utworzenia polskiego legionu, który natychmiast zostałby wysłany na Węgry. Studenci zbierali pieniądze dla powstańców. O nastrojach polskiego społeczeństwa najlepiej świadczy fakt, że dało na ten cel więcej pieniędzy, niż na budowę pomnika bohaterów powstania warszawskiego. Jeśli ktoś widział w tym okresie w Warszawie długie kolejki ludzi stojących na deszczu listopadowym, mógł się szybko przekonać, że nie czekały one na żywność. Polacy gromadzili się przed ośrodkami pobierającymi krew, czekając godzinami, aż krew ich zostanie pobrana. Trzy wagony lekarstw i krwi wyruszyły z Warszawy do Budapesztu. Na murach Politechniki, na murach domu przy Noakowskiego, gdzie mieszkałam, naklejano ręcznie wykonane plakaty, które przedstawiały płaczącego gołębia pokoju Picassa.

Podawaliśmy w radio te wszystkie wiadomości, z którymi solidaryzowaliśmy się całym sercem. Ale trzeba było redagować je tak, by nie dały sygnału do powstania w Polsce.

W tym okresie Gomułka robił wszystko, co w jego mocy, by uspokoić wzburzone nastroje. Każdy dzień przynosił nowe rozporządzenia, mające przekonać ludzi o zwycięstwie Października. Rady robotnicze zostały powołane do życia w każdej fabryce. I wreszcie zdołał on wywalczyć rzecz paradoksalną w ówczesnych stosunkach. Gdy czołgi sowieckie rozpoczęły ostry szturm na ulicach Budapesztu, 36 sowieckich generałów, tak zwanych ekspertów wojskowych w polskiej armii, pakowało bagaże, by ostatecznie wyjechać z Polski.

Gdyby nie walki w Budapeszcie, ten fakt mógłby może prze-

konać Polaków o zmianie polityki Związku Sowieckiego. Węgry jednak przesłaniały wszystko. Kiedy wyszłam tego dnia z radia, na wielu wyższych uczelniach powiewały sztandary opuszczone do połowy masztu na znak żałoby. Miejsca, uświęcone krwią polskich patriotów, gdzie podczas okupacji traceni byli Polacy — a są ich setki w Warszawie — na każdej niemal ulicy — udekorowane były kwiatami. Zapłonęły tam świece żałobne. Ale w mieście panował spokój, ciężki i trudny, pełen powagi i smutku — spokój.

Cud, który zdarzył się wtedy nad Wisłą polegał na tym, że nie rozpoczęliśmy walki z wiatrakami, która mogłaby kosztować nie tylko wywalczone w październiku zmiany, ale istnienie samej Polski. Realizm, a może zresztą tylko umiejętność wyciągania wniosków z doświadczeń historii uchroniły nas przed podjęciem samotnej, nierównej walki. Tak, jak nikt nie pomógł Węgrom, tak żadne mocarstwo zachodnie nie rozpoczęłoby wojny światowej o sprawę polską w podzielonej układami jałtańskimi i poczdamskimi Europie. Taka walka musiałaby zakończyć się wielką klęską. Uniknęliśmy tego. Rozpoczęliśmy niełatwą i nie dla wszystkich zwycięską walkę o wcielanie w życie reform i programu Października.

Rozdział XVII

Od tego wielkiego październikowego zebrania przed Pałacem Kultury aż do dnia wyborów, do 20 stycznia 1957 roku, przez 4 miesiące sypały się szczodre rozporządzenia o reformach, od dawna oczekiwanych, które uzdrawiały nasze życie.

Polscy oficerowie objęli dowództwo nad polskim wojskiem. Konstanty Rokossowski — ku własnemu zadowoleniu zapewne — opuścił Warszawę, w której się wprawdzie urodził, ale której nigdy nie traktował jako swój dom rodzinny. W listopadzie wyjechali także do Moskwy na rozmowy Gomułka i Cyrankiewicz. Pamiętam nastrój pożegnania na dworcu. Tłumy, nieprzebrane tłumy ludzi, którzy nie mogli pomieścić się na peronie. Mizerna twarz, w wielkiej futrzanej czapie, poważna i bez uśmiechu. Gomułka stał w oknie pociągu, odpowiadając na „100 lat”, intonowane na jego cześć i na bardzo warszawski okrzyk, który jednak brzmiał jak polecenie: „Trzymaj się, Wiesław”.

No, i trzymał się dzielnie, skoro po powrocie zakwitł na jego twarzy, jakże rzadki uśmiech i gdy przywiózł ze sobą postanowienia wspólnej deklaracji z 18 listopada, pierwszej niepodobnej do starych, utrzymanej w innym duchu. Odtąd wzajemne stosunki między naszymi dwoma krajami mają być oparte na leninowskich zasadach równości i wzajemnego poszanowania swych praw. Długi polskie wobec Związku Sowieckiego, które w istocie były wynikiem jego eksploatorskiej gospodarki w naszym kraju, zostały umorzone, i ponadto otrzymaliśmy długoterminowe nowe kredyty na dostawę zboża. Zawarto wreszcie porozumienie w sprawie repatriacji Polaków, przebywających jeszcze w ZSSR.

To doprawdy było niemało. Pamiętam, że pisałam na temat deklaracji moskiewskiej komentarz w radio i po raz pierwszy

używałam w nim zrozumiałych, prostych słów. Po raz pierwszy napisałam, że olbrzymie błędy ciążyły na naszych wzajemnych stosunkach i — co ważniejsze — mogłam je wymienić.

Każdy dzień przynosił zresztą coś nowego, co dawało ludziom zadośćuczynienie i satysfakcję.

W wyniku rozwiniętej przez „Po prostu” wielkiej akcji — zniesiono wreszcie sklepy za „żółtymi firankami”. Wszyscy obywatele w równej mierze mogli odtąd narzekać na braki w zaopatrzeniu rynku. Po rehabilitacji więźniów politycznych — zrehabilitowano również działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej. Rady Robotnicze zyskiwały realne wpływy we wszystkich fabrykach. Na kongresie Związku Literatów Polskich — 29 listopada — potępiono bezwzględnie realizm socjalistyczny. Długie tam i trudne toczyły się dyskusje. W rezultacie nowym prezesem Związku został przedwojenny liberalny poeta Antoni Słonimski.

We wszystkich miastach otworzono nowe sklepy: prywatne warsztaty rzemieślnicze, szewskie, krawieckie i inne. Na ulicach pojawiły się eleganckie kobiety, ubrane według modeli „Elle”, która zaczęła przychodzić regularnie do Warszawy. Dziennikarze zachodni, a było ich wtedy bardzo wielu w Polsce, przecierali oczy ze zdziwienia. W szybkim tempie zaczęliśmy się upodabniać do społeczeństwa, jakie znali.

Najbardziej skompromitowanych stalinowców usuwano z zajmowanych stanowisk. Jeśli zahamowano — i zresztą słusznie — proces wywożenia na taczkach — to przecież ci najbardziej zniechęceni zniknęli z powierzchni życia politycznego. Wreszcie Gomułka, lękając się wrogich nastrojów w aparacie prowincjonalnym, przeciął dyskusję na temat jego odpowiedzialności, wydając decyzję: każdy będzie oceniany według dzisiejszej pracy.

To był bogaty okres życia. Wydawało mi się wtedy, a nie byłam wyjątkiem, że polityka może być etyczna, że zwyciężyło pojęcie moralności socjalistycznej. Ogarnęła mnie radość, więc mimo wszystko, moja praca nie poszła zupełnie na marne. Więc wybrałam słuszną drogę. W szeregach nowej partii, która stać będzie na straży liberalnego, polskiego socjalizmu. Jakże broniłam tego co nowe i dobre w dyskusjach z zagranicznymi kolegami! Niektórzy z nich zachowali pewne wątpliwości. Z całym zarem przekonywałam małżeństwo Gruson, że powinni ich się jak najszybciej wyzbycić, bo teraz wszystko już będzie inaczej, lepiej, szlachetniej.

Dyskutowaliśmy nad programem wyborczym. Wymienione w nim były wszystkie zdobycze października. Piękne komentarze pojawiły się wówczas na temat niezależności naszego Sejmu, który ma sprawować kontrolę nad rządem, na temat jawności życia poli-

tycznego, wolności krytyki i dyskusji. Demokratyzacja obejmowała wszystkie dziedziny naszego życia. W gospodarce, gdzie na szczęście przywrócono do głosu świetnych naprawdę specjalistów, jak Oskara Lange i Edwarda Lipińskiego, zaczęto opracowywać nie księżycowe, ale realne plany, uwzględniające nasze potrzeby i możliwości. To nie usuwało oczywiście zła i całego bałaganu, ale dawało ludziom nowe nadzieje i otwierało perspektywy na nieco lepszy dzień powszedni.

Brałam czynny udział w tej kampanii przedwyborczej nie tylko w radio, ale jako agitator. Właściwie nie jest to słuszne określenie, bo już nie agitowaliśmy ludzi, powtarzając jak papugi wyuczone prawdy, ale rozmawialiśmy z nimi. Okręgiem, w którym pracowałam była moja własna dzielnica mieszkaniowa, koło Politechniki. Dzielnica mieszczańsko-inteligencka z pewnymi domieszkami lumpen-proletariatu, jako, że w pobliżu znajdował się wielki bazar „na Koszykach”. Niełatwa klientela wyborcza, i doprawdy w każdym dialogu, trzeba było używać nie tylko innego języka, ale wynajdować inne argumenty. Po raz pierwszy, od czasu, gdy brałam udział w podobnej akcji, ludzie naprawdę nie okazali się wrody. Jeśli nie otwierali do końca serc, to w każdym razie nie zatrzaskiwali drzwi przed nosem. Przekonałam się, że w ich pojęciu partia — to była nie tylko „góra”, ale również „ci z 'Po prostu'”, którzy — choć komuniści — mieli rację w wielu sprawach. Można było dyskutować o nowym w naszym życiu i z profesorem Politechniki i z właścicielem sklepiku spożywczego, ponieważ obydwaj odczuli zmiany „na własnej skórze”. Profesor Politechniki czuł się nieskrępowany kontrolą różnych komitetów, a właściciel sklepiku lepiej zarabiał. Poza tym i jeden i drugi mógł — w ograniczonej wprawdzie formie — ale jednak, wybierać posłów. Słowo wybory zaczęło odzyskiwać jakiś sens. Na liście było więcej nazwisk kandydatów, niż posłów, którzy mieli zostać wybrani. Można więc było skreślać nazwiska, a nawet dopisywać nowe. W każdym razie głos każdego mógł zdecydować o składzie nowego Sejmu.

Niezwykle silne w każdym człowieku jest poczucie wolności. Moi rozmówcy mówili mi wtedy: Pójdę głosować, bo mogę wejść za kotarę i skreślić. — „Ale czy znacie tych kandydatów, czy wiecie kogo skreślić?” — pytałam. — Chciałam po prostu wiedzieć, czy mój rozmówca orientuje się w tym, kto reprezentuje bardziej sztywne pozycje, a kto — prawdziwie październikowe.

— To nie ma zbyt dużego znaczenia — odpowiadali na ogół — „Góra” zawsze będzie „górami”. Ale obywatel ma pewną wolność.

Jeszcze jedna ciekawa rzecz: moi rozmówcy, solidni miesz-

czanie, poprzez osobę Gomułki — bo on cierpiał za Stalina — po raz pierwszy po wojnie godzili się w jakimś sensie na kierownictwo partii. Zwłaszcza, że mogli pójść do urn wyborczych po wysłuchaniu mszy świętej i kazania nieskazitelnego człowieka, który cierpiał: kardynała Wyszyńskiego.

W jakiej mierze i w jakim sensie zrozumieli ostatni przedwyborczy apel Gomułki, by nie skreślać z list pierwszych kandydatów? Czy potrafili to powiązać właściwie z jego słowami, które popłynęły na falach eteru na cały świat, że „tylko Polska socjalistyczna może znajdować się na mapie Europy, jako państwo prawdziwie niepodległe?” Czy czuli, że nad wyborami unosi się ciągle cień Budapesztu? Trudno powiedzieć. Faktem jest, że 98 procent spośród tych 94 procentów wyborców, którzy po raz pierwszy głosowali bez przymusu fizycznego, czy moralnego, którym pokazywano zielone kotary, nie skorzystało z tej wolności, z której cieszyli się w rozmowach ze mną. Zagraniczni dziennikarze, którzy odwiedzali wszystkie lokale wyborcze w mieście i na wsi, byli trochę zawiedzeni — brak było sensacji. Chociaż może nie tak: bo było światową sensacją — że w tych naprawdę wolnych wyborach w Polsce wszyscy proponowani przez Gomułkę kandydaci Frontu Jedności Narodowej odnieśli zwycięstwo.

Tym samym Związek Sowiecki przekonał się, że polski październik, że proces liberalizacji, którego sam Chruszczow był zwolennikiem, spoczywał w rękach przywódcy, mającego pełne poparcie narodu oraz niezbędny autorytet, by rządzić — i jeśli zajdzie potrzeba — kierować nawet Polską silną ręką. Gomułka — z niepewnego buntownika — stał się ważnym i cennym sojusznikiem Chruszczowa. Dawało mu to wolniejszą rękę we wprowadzeniu w życie obiecanych reform i w rozgrywce ze swymi wrogami, którymi cały czas byli Natolińczycy, a za których uznał wkrótce także „rewizjonistów” — tych, którzy przygotowali Październik i pomogli w jego zwycięstwie...



Co zmienił Październik w Polsce? Czy jego zdobycze są trwałe? Czy też słuszne jest stanowisko tych, którzy wkrótce odczuli olbrzymi zawód i ostatecznie utracili nadzieje?

Odpowiedź na te pytania, które ciągle padają i w kraju i zagranicą, zależy przede wszystkim od oceny tych wydarzeń. Ci wszyscy, którzy chcieli w nich widzieć rewolucję w socjalizmie — a to był wówczas ogólny pogląd na Zachodzie — szybko odczuli olbrzymi i bolesny zawód. Bo to było właśnie to, czego nie chciał Władysław Gomułka. Ortodoksyjny komunista pragnął

wyłącznie rozwiązywać specyficzne polskie problemy w nieco odmienny od innych krajów socjalistycznych, specyficzny sposób. Dziś, po upływie 10 lat można ten sposób określić jako mało romantyczny, spartański — co odpowiada charakterowi jego przywódcy — a nade wszystko zdyscyplinowany. Ten brak romantyzmu ma zresztą obiektywne przyczyny: przywódcy Związku Socjalistycznego godzą się na gomułkowski socjalizm pod warunkiem, że potrafi on ukrócić rewolucyjność Polaków i że będzie zawsze „na linii” ich własnej polityki. Ale jest zarazem bezspornym faktem, że Gomułka sam jest zwolennikiem rządów partii zdyscyplinowanej i posłusznej idącym z góry zarządzeniom.

W październiku, gdy pełni entuzjazmu, nasze wszystkie nadzieje na pełną wolność myśli, rozumnej, uzdrawiającej krytyki i na wolność prasy wiąźaliśmy z osobą Gomułki, niektórzy starzy towarzysze, których oskarżaliśmy wtedy o stalinizm, mówili nam z ironicznym uśmiechem: „Poczekajcie trochę, a zobaczycie waszą wolność. Gomułka lubi mieć posłuszną i podporządkowaną sobie i partii myśl naukową i artystyczną, nie mówiąc już o dziennikarstwie”.

Tak też się stało. Potrzebna mu była współpraca intelektualistów i dziennikarzy w okresie walki przeciw terrorowi minionego okresu i kardynalnym, groteskowym błędom stalinowskiej gospodarki, która zrujnowała życie ekonomiczne Polski. Potrzebna mu była ta współpraca w okresie walki o władzę.

Później, gdy ujął ją mocno w swoje ręce, wypowiedział sam walkę wczorajszym sojusznikom. Inną oczywiście, niż za stalinowskich czasów. Odsunął po prostu tych intelektualistów i dziennikarzy, którzy mieli odwagę go krytykować i nie chcieli się zgodzić na wychwalanie wszelkich posunięć kierownictwa. Motywując to faktem, że intelektualiści przeszkadzają mu w zbudowaniu nie za bardzo liberalnego bynajmniej, ale normalnego komunizmu o polskim zabarwieniu, czyli w realizacji wielkiego celu jego życia.

Istnieje więc nie mało powodów, by wielu ludzi zwłaszcza intelektualistów, którzy kierowali się przecież jak najszlachetniejszymi pobudkami, odczuli po październiku olbrzymi zawód, by zniechęcili się raz na zawsze do dalszej walki.

Z perspektywy historycznej, można jednak śmiało zawęzić znaczenie Października. Widać dziś wyraźnie, że było to przejęcie władzy przez inną ekipę komunistów. Nie nową zresztą tę samą, która rządziła w stalinowskim okresie, ale która na swym czele postawiła nieskompromitowanego przywódcę.

Ci ludzie, pozostając na ogół na starych pozycjach ideologicznych, zrozumieli, że rozwój wydarzeń na świecie wymaga od nich

stosowania nowej taktyki, a zwłaszcza bardziej liberalnej polityki wewnętrznej. Po XX Zjeździe KPZS stało się to zresztą historyczną koniecznością. Chodziło im jednak o to, by liberalizacja była przez nich kierowana. Czyli poglądy centrowej grupy Puławskiej, która stała się w pierwszym przynajmniej okresie najważniejszym sojusznikiem Gomułki.

Jeśli w ten sposób spojrzy się na wydarzenia październikowe, to trzeba przyznać, że przyniosły one pewne trwałe zmiany, które zresztą wcześniej czy później objęły wszystkie kraje socjalistyczne, z wyjątkiem Albanii, ponieważ były przejawami pewnego procesu, uznanego za niezbędny w Związku Sowieckim. Październik uwolnił ludzi od codziennego, powszechnego strachu, w którym pogrążeni byli przez całe lata. Każdy obywatel może dziś spać spokojnie, wiedząc, że dzwonek o 5-tej rano do drzwi jego mieszkania, oznajmi mu tylko nadejście mleczarza.

Polska, podobnie zresztą jak i inne kraje, wywalczyła sobie pewną niezależność w dziedzinie ekonomicznej. Mamy większy wpływ na naszą gospodarkę. Fakt, że nie najlepiej z tej wolności umiemy korzystać, że często ją roztrwiamy, że cudzoziemcy są przerażeni niską wydajnością pracy, jest dziś albo naszym polskim błędem, albo jakimś niedomaganiem samego systemu.

Dzięki polskiemu październikowi zwyciężyła w międzynarodowym ruchu robotniczym idea wypracowywania narodowych dróg do socjalizmu.

Na krótki okres wreszcie, Październik wzmocnił międzynarodową pozycję Polski, która w 1956 roku odegrała rolę pośrednika między Wschodem, a Zachodem i wystąpiła z własnymi inicjatywami, że wymienię np. plan Rapackiego.

To są obiektywne przemiany, które przyniósł Październik. Dziesięć lat temu jednak, uniesieni zapałem, który nie od razu opadł, chcieliśmy widzieć w nim coś więcej. I tym większe było nasze rozczarowanie, gdy walka przeniosła się natychmiast na teren zmagania między natolińczykami, a „rewizjonistami”. A już głęboko zabołały nas słowa Gomułki, który postawił niemal znak równości między niebezpieczeństwem, ze strony stalinowców i rewizjonistów. Ci pierwsi, zmieniawszy tylko nazwę stanowili przecież zorganizowaną wrogą grupę polityczną i od pierwszej chwili zaczęli oficjalnymi i konspiracyjnymi metodami walczyć o władzę, szukając zagranicznego poparcia, początkowo dogmatyków sowieckich, a dziś Komunistycznej Partii Chin. Stanowią oni uznane obecnie niebezpieczeństwo wprowadzenia istotnego rozłamu w ruchu komunistycznym. Oczywiście, niewielu było w Polsce w 1956 roku dalekowzrocznych polityków, którzy liczyli się z takim rozwojem wydarzeń. Ale nawet wtedy byli

stalinowcy mącili wodę i zatrawali w każdej dziedzinie nowe polskie życie.

Tego zarzutu nie można było nigdy postawić „rewizjonistom”. Sam termin wydaje mi się zresztą niewłaściwy. Nikt spośród tych ludzi bowiem nie żądał odstąpienia od socjalizmu, ani zerwania sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Tak zwani rewizjoniści nie stanowili też nigdy zorganizowanej siły politycznej. Jedynym środkiem walki była ich myśl, wyrażana w rozprawach filozoficznych, czy w artykułach które zresztą z biegiem czasu nie oglądały światła dziennego, ponieważ były konfiskowane przez cenzurę.

Przywódcą politycznym rewizjonistów stał się Stefan Staszewski. Jeśli nim nie był istotnie, to pretendował do tej roli, która zapewniała mu jakąś moralną pozycję w społeczeństwie. Pisałam o kontakcie ze Staszewskim, gdy w maju 1956 roku całą siłą swego autorytetu pierwszego sekretarza Komitetu warszawskiego przeciwstawił się przyjęciu Gomułki do najwyższych władz partyjnych, by w cztery miesiące później rzucić tenże autorytet i zdolności organizacyjne na szalę zwycięstwa Października.

Wysoki, przystojny, przedstawia klasyczny typ sybaryty, lubiącego „cygański” tryb życia. W czasach stalinowskich można go było spotkać często w klubie artystów — Spatifie, popijającego wódkę z literatami, a zwłaszcza z malarzami i aktorami. Zawsze nienagannie ubrany i wyróżniający się swobodną elegancją, do której przywykł zapewne w czasach swej młodości, w zamożnym mieszczańskim domu. Niemniej uważał to chyba tylko za przyjemne zewnętrzne *decorum*, skoro już wtedy znalazł drogę do partii komunistycznej. Potem, w każdym okresie swego życia był wyróżniającym się komunistą. I wtedy, gdy w 1948 roku, na III Plenum atakował szczególnie ostro Gomułkę. I wtedy, gdy redagował w Katowicach „Trybunę Robotniczą”, ciesząc się szacunkiem w środowisku górniczym. I wtedy wreszcie, gdy stał się przywódcą proletariatu Warszawy. Bo jego rola w zmobilizowaniu robotników Żerania i w zwycięstwie Października była niezaprzeczalna.

Stefan Staszewski szybko popadł w niełaskę i został odsunięty ze wszelkich stanowisk. Nie rozumiem, dlaczego on właśnie stał się czarną owcą, inni nie byli lepsi, a na pewno nie mieli jego zdolności. Być może trzeba go było złożyć w ofierze właśnie dlatego, że ułatwił październik. Być może Gomułka nie miał w stosunku do niego zbyt wielkich skrupułów moralnych, bo zagrały dawne urazy. Wiesław nie kierował się w zasadzie prywatnymi uczuciami w stosunku do ludzi, którzy go niegdyś zdradzili, ale mogły istnieć nieznane fakty, które jednak na tę decyzję wpły-

nęły. W końcu każdy jest tylko człowiekiem i ulega pewnym słabościom...

Stefanowi Staszewskiemu, odsuniętemu od życia politycznego pozostała więc tylko przyjemność kontaktu z artystami, urzędowania u siebie, w bardzo eleganckim mieszkaniu, wytwornych kolacji przy świecach oraz... synekura w postaci stanowiska naczelnego redaktora Encyklopedii Powszechnej. Ten rasowy polityk ogromnie nad tym cierpiał.

W pewnym sensie Stefan Staszewski mógłby być przywódcą opozycji w każdym kraju. Zapewniono mu dobre warunki — mieszka w domu „ministerialnym” — prowadzi tryb życia jaki lubi, i w gronie przyjaciół może krytykować posunięcia rządu. Patrząc na niego, czy pijąc z nim wódkę, nie każdy wie, iż przeżywa on tragedię osobistą. Jego córka z drugiego małżeństwa jest niedorozwinięta umysłowo. Mając lat 16, pozostaje na poziomie intelektualnym 5-letniego dziecka. Przebywała w specjalnym zakładzie w Szwajcarii. Niełaska Staszewskiego spowodowała konieczność sprowadzenia dziecka do kraju.

To właśnie Stefan Staszewski, organizator października w Warszawie — został pasowany na politycznego przywódcę polskich rewizjonistów. Ale to nie może zapewnić mu pozycji, jakiej domaga się jego temperament polityczny. Ani tym bardziej — wzmocnić, czy poprawić sytuacji „rewizjonistów”.

Powiedzmy szczerze: ci „rewizjoniści”, odsądzeni od czci i ideologicznej wiary — to byli w przeważającej mierze członkowie partii, należący do mego pokolenia, lub jeszcze młodsi, czyli ci, którzy związali się z nią po wojnie, kierując się najpiękniejszymi motywami uczuciowymi. Następnie, po szkole stalinizmu, przez którą przeszli i która pozostawiła głębokie ślady w ich psychice, po brutalnym ujawnieniu prawdy która spowodowała ostry kryzys sumienia jeśli nie załamanie moralne, żądali rewizji kanonów, którymi ich karmiono i zmian we wszystkich dziedzinach życia. Ale ich żądania nie wybiegały nigdy poza te, które słyszeliśmy z trybun października. Jestem przekonana, że ich głównym celem było przywrócenie socjalizmowi pełnego blasku humanizmu. I dlatego, wydaje mi się, że miał rację Mieroszewski na łamach „Kultury”, widząc w tych rewizjonistach, w stosunkowo młodych ludziach, rozumujących nie dogmatycznymi kategoriami — naturalnych kandydatów na utworzenie jakiegoś pomostu między Wschodem, a Zachodem i jakąś szansę kulturalnego przeobrażenia komunizmu w przyszłości. To była jedyna „groźba”, jaką rewizjoniści mogli przedstawiać. Byli natomiast wśród nich tacy, którzy poszukując nowych dróg, jak Leszek Kołakowski, naprawdę rozstawili polską myśl filozoficzną na świecie. Byli tacy, którzy

nadali rumieńców życia polskiej literaturze, filmowi i sztuce. Byli wreszcie ci z „Po prostu”, którzy znaleźli wspólny język ze społeczeństwem. W żadnym więc wypadku rewizjoniści nie byli groźni, mogli, i naprawdę chcieli, pomóc kierownictwu w procesie liberalizacji, w utrzymaniu i rozszerzeniu osiągnięć października, w utrwaleniu prestiżu partii i Gomułki.

Dlaczego więc Gomułka zaczął traktować tych ludzi jako wroga numer jeden socjalizmu i ustroju? Dlaczego zaczął odsuwać tych którzy jedyni chyba wówczas, byli zdolni do mobilizowania opinii publicznej, by poparła posunięcia kierownictwa? Dlaczego, zamiast koncentrować się na pogłębianiu reform październikowych, przeniósł natychmiast punkt ciężkości na teren czysto osobistych zmagani między natolińczykami, a rewizjonistami?

Do dziś nie znajduję jasnej odpowiedzi na te pytania. Nie umiem zrozumieć posunięć polityka, który likwidując poważną siłę sojuszniczą, sam wydaje się w ręce wrogów.

Zbyt dużym uproszczeniem byłoby chyba przypisywanie rozpoczęcia tej kampanii antyinteligentkiemu kompleksowi Gomułki. Mógł on odegrać pewną rolę, ale nie był chyba czynnikiem decydującym.

Istotne przyczyny musiały tkwić w sytuacji międzynarodowego ruchu robotniczego. W Związku Sowieckim toczyła się wtedy walka między dogmatykami, a zwolennikami linii Chruszczowa. Z tego źródła płynęły powtarzane przez KPZS słowa o konieczności walki na dwóch frontach: z dogmatyzmem i rewizjonizmem. Stanowisko Gomułki mogło więc być odbiciem tej sytuacji. Ale nie mogę się oprzeć uczuciu, że w nieco odmiennych polskich warunkach, można było rozegrać inaczej ten problem. Zresztą, po XXII Kongresie KPZS, gdy zwyciężyła w zasadzie linia Chruszczowa, Gomułka zdobył większą swobodę posunięć. Ale i wtedy nie skorzystał z niej. Czyżby nie chciał budzić podejrzliwości i niechęci dla Polski drugiego wielkiego państwa socjalistycznego a mianowicie Chin? Oczywiście, mógł rzucić tych, których uważał za „inteligentkich krętaczy” na pożarcie smokowi, uważając to za mniejsze zło, aniżeli otwarty konflikt ideologiczny z potężnym państwem socjalistycznym Dalekiego Wschodu. W rezultacie jednak tego konfliktu nie udało się uniknąć. A usunięcie i rozbicie rewizjonistów wzmocniły wtedy w Polsce pozycję sił niezbyt szczyrych i serdecznych dla samego Gomułki.

W rezultacie bowiem to natolińczycy wyszli z tej walki wzmocnieni. Ci najsprytniejsi zadeklarowali współpracę Gomułce. Mam tu na myśli Zenona Nowaka, niewątpliwie zdolnego polityka o sprycie chłopka-roztropka i specjalistów miary Rudzińskiego. Pozostali Kłosiewiczze i Mijale wydali się być rozbici. Ale chyba nie

udało się istotnie osiągnąć tego celu, skoro mogą dziś liczyć na azyl polityczny w Albanii i skoro istnieje niebezpieczeństwo utworzenia w Polsce konkurencyjnych organizacji partyjnych, wyznających ideologię Pekinu.

Hasło walki z rewizjonistami mogła wtedy wysuwać również grupa Puławian lękając się że ci młodzi i zdolni ludzie, domagający się konkretnych zmian i mający poparcie społeczeństwa, mogą z biegiem czasu zająć ich własne stanowiska. Tylko, że wiążąc się z nimi Gomułka popełnił chyba duży błąd. Bo byli to nie tylko ci sami ludzie, którzy go kiedyś bez skrupułów zdradzili, ale którzy się przecież nie zmienili. Poza tym, z małymi wyjątkami, nie były to ani zbyt silne indywidualności, ani zbyt dobrzy politycy. W każdym razie nie potrafili dostrzec istotnego układu sił w samej partii. Nie przywiązywali np. właściwego znaczenia do powstania w łonie partii grupy działaczy, których określiłabym mianem „popaździernikowców”. Są to ludzie bardzo realistycznie patrzący na życie, którzy, dążąc do zdobycia sobie własnego i to nie najgorszego miejsca w nowej rzeczywistości — pragną dalszych reform gospodarczych i kulturalnych, wzorowanych często na krajach kapitalistycznych. Znam wielu przedstawicieli tego kierunku. Jeśli nie można zaobserwować wśród nich zbyt dużej wiary ideologicznej, która w wielu wypadkach ustąpiła miejsca wyraźnemu cynizmowi, to na pewno nie można zarzucić im braku trzeźwego spojrzenia na życie. Ci działacze nie wysuwali się na ogół na pierwszą linię frontu, wiedząc, że przegrają w walce z przedstawicielami sztywnych poglądów. Dobrze zakotwiczeni w instytucjach, fabrykach, czy redakcjach, jako tak zwany średni aktyw — czekali aż przyjdzie ich kolej. Szczerze o tym zresztą mówili. Nie wykluczone, że zmęczeni się tym czekaniem bez perspektyw i że, dążąc nadal do urzędzenia się, zasilili kadry bądź partyzantów generała Moczara, bądź też — co wydaje mi się bardziej prawdopodobne — zwolenników grupy Edwarda Gierka. W każdym razie i Puławianie i będący z nimi w sojuszu Gomułka roztrwonili ten dynamiczny kapitał ludzki.

Grupa puławska popełniła też inne błędy. Pozbyła się rewizjonistów — potencjalnych rywali w przyszłości, ale jedynych, którzy mogli zapewnić jej kontakt z masami, gdyby zaszła tego potrzeba. Nie doceniła siły drugiej, nacjonalistycznej grupy wśród działaczy aparatu partyjnego, która przeszła na ogół na stronę partyzantów Moczara i która dziś odbiera im władzę powoli lecz systematycznie. Przedstawiciele Puławian okopują się obecnie na własnych pozycjach, tracąc je jednak mimo rozpaczliwej obrony. Grupa Moczara, która opanowała najpierw aparat bezpieczeństwa, zażądała sprawdzenia *dossier* wszystkich pracowników znaj-

dujących się na placówkach zagranicznych. Śledztwo w tej sprawie toczy się konsekwentnie, pozbawiając grupę puławską oddanych im ludzi. Podobnie dzieje się w każdym resorcie: w Ministerstwie Sprawiedliwości, czy Ministerstwie Handlu Zagranicznego... Puławianie oddają jedną pozycję za drugą. Czyli, chcąc „przechytrzyć” sytuację — w zasadzie przegrali.

Nie zdawali sobie może sprawy z tego, że nie uda już im się odwołać do społeczeństwa i — gdyby to było im potrzebne — wyprowadzić masy na ulicę, tak jak w październiku, a to z tej prostej przyczyny, że społeczeństwo, mając pełne przeświadczenie, iż wszelkie zrywy patriotyczno-narodowe służą tylko wąskiej grupie polityków — zniechęciło się, stało się absolutnie apolityczne.

Przeciętni ludzie rzadko rozumują kategoriami wielkiej polityki. W październiku walczyli, bo mieli dość nędznej wegetacji. Wiele im obiecywano, a rezultaty okazały się mizerne. Więc przestali wierzyć.

Rozpoczął się proces „urządzania się” jak najlepiej w istniejących warunkach polskiej rzeczywistości. Zdobycie mieszkania, kupno skutera, lub samochodu, jeśli się uda to zagranicznej marki, dążenie do wyjazdów zagranicę na urlop — najlepiej oczywiście na Zachód — droga teraz nie jest hermetycznie zamknięta — a jeśli nie — to chociaż do krajów demokracji ludowej. Trochę pohandlować, trochę wymienić, poprosić o pomoc rodziny zagranicą, żeby móc kupić coś do ubrania, czy jakąś maszynę do gospodarstwa domowego...

I choć wydaje się to paradoksem, proces ten byłby niemożliwy bez października. Na pewno odbiega od tego, co wyobrażał sobie Gomułka. Niekoniecznie przyczynia się do podniesienia naszej gospodarki, bo ludzie więcej kombinują niż dają z siebie na oficjalnych posadach. Proces „urządzania się” zapewnia jednak względny dobrobyt sprytnym jednostkom i daje im osobisty cel życia. Społeczeństwo polskie, zniechęcone do rozgrywek partyjnych, które odbywają się na ogół w gabinetach KC i w których ono uczestniczyć nie może, wybrało drogę praktycznej samoobrony.

gorzej na pewno jest z młodzieżą. Duża jej część na wskroś zmaterializowana, goni za amerykańskim stylem życia, angielskimi Beatlesami, lub czeskim skuterem. Są jednak także studenci którzy myślą i zastanawiają się nad życiem. A ci czują się bezsilni, samotni, zagubieni...

Ta ogólna pasywność, ten indyferentyzm polityczny społeczeństwa, które w dalszym ciągu musi stać w kolejkach, by kupić nie tylko sprowadzane z zagranicy pomarańcze, ale naszą własną

szynkę — na pewno ułatwia rozgrywki o władzę, które dokonują się w gronie „górných 10-ciu tysięcy”...

A przecież mogło być inaczej. Władysław Gomułka mógł zdyskontować olbrzymi kapitał moralny, który posiadał w dniu pierwszych wyborów. Tymczasem przekazał go częściowo byłym „partyzantom” generała Moczara, którzy uważają widocznie, że Polska nie dojrzała jeszcze do dalszej liberalizacji i starają się zmrozić ten proces. I częściowo Edwardowi Gierkowi, sekretarzowi Komitetu Wojewódzkiego w Katowicach, „czerwonemu władcy” Śląska. Ten pełen dynamizmu górnik, walczył w swej młodości o sprawę swych towarzyszy w Belgii i Francji. Władza dobrze językiem francuskim. Jest to człowiek bardzo praktyczny, dbający o interesy górników, których zna na wylot i z którymi jest związany. Niektórzy uważają, że jest zbyt „przyziemny”. Nie jest to jednak złą cechą na tej zadymionej śląskiej ziemi, pod którą pracuje w kopalniach tysiące ludzi. Edward Gierek stara się więc ją upiększyć, uczynić znośniejszą do życia, ozdobić zielenią parków i stadionów sportowych dla młodzieży. Robi wszystko, by górnik i hutnik mogli znaleźć codziennie w sklepach coś pośredniego, między nieurozmaiconą żywnością dnia powszedniego, a bananami od święta...

A zatem po 10 latach socjalizmu Gomułki walka o władzę w Polsce toczy się nadal. Gomułka firmuje ją swą osobą.

Zastanawiam się dzisiaj, prawda że z terenu Indii, czy rzeczywiście byłoby groźbą dla jego autorytetu i dla wzmocnienia prestiżu tej partii której służy, gdyby przyśpieszyć, pchnąć naprzód proces demokratyzacji, ujawnić rozbieżności w łonie samej partii odwołać się do opinii, społeczeństwa i odkręcić ponownie śrubę cenzury prasowej? Gdyby znów odżyły idee października... Cóż, wiadomo, że tym słowem „gdyby” można na nowo zbudować historię...

Rozdział XVIII

Kocham zawód dziennikarza, ale muszę przyznać, iż nie jest on najłatwiejszy. Nie tylko zresztą w krajach socjalistycznych i w Polsce, ale na całym świecie. Wzrosłam i wychowałam się w tym zawodzie w Polsce stalinowskiej, a potem popaździernikowej. Z racji mego małżeństwa pozostaję nadal ściśle związana z dziennikarstwem. Zdobyłam więc pewną skalę porównawczą.

Dobry dziennikarz, tak jak żołnierz, powinien starać się walczyć na pierwszej linii frontu, obiektywnie informować o wydarzeniach i dawać ich własną ocenę. Dziennikarz musi mieć odwagę mówić prawdę, nawet wtedy, gdy nie jest ona popularna, nawet wtedy, gdy mogą mu za to grozić osobiste konsekwencje. Ale nie zwalnia go to od odpowiedzialności za słowo. Czyli chęć poznania i odkrywania nowych zjawisk i procesów politycznych, czy społecznych, musi iść w parze nie tylko z sumieniem ale i z rozsądkiem.

Znam dziś dziesiątki najlepszych dziennikarzy z całego świata. Obserwuję ich przy pracy: podczas wojny w Wietnamie, czy w czasie wojny hindusko-pakistańskiej. Nie unikają niebezpieczeństw, są tam, gdzie toczą się najcięższe walki. Niektórzy Amerykanie krytykują politykę Stanów Zjednoczonych w Wietnamie. Mogą oczywiście stracić pracę w redakcji po takim artykule. Ale co odważniejsi uważają, iż nie mają prawa zatajać prawdy przed społeczeństwem swego kraju, które, im szybciej ją zrozumie, tym bardziej będzie mogło wpłynąć na zmianę tej polityki.

Współpracując z moim mężem, który przez blisko 20 lat jest korespondentem zagranicznym „Monde'u”, który nie jest zdolny do napisania artykułu, jeśli nie pozna do głębi tematu i nie wyrobi sobie własnego zdania, ale któremu redakcja nie zmieniła

jednej linii w przesyłanych z całego świata korespondencjach, dochodzę do smutnego wniosku, że moja praca w okresie stalinizmu była okrutną karykaturą, nędznym wypaczeniem dziennikarstwa. Streszczałyśmy po prostu własnymi słowami podane nam teksty rezolucji partyjnych czy innych oficjalnych dokumentów. Niesposób było przemycić własną opinię o wydarzeniu. Nie tylko tego od nas nie wymagano ale, szczerze mówiąc, często nie byliśmy do tego zdolni, bo jej po prostu nie posiadaliśmy. Dorabialiśmy teorię do praktycznych posunięć kierownictwa. I — co było tego logiczną konsekwencją — nie mogliśmy mieć żadnego kontaktu z czytelnikami, którzy, mając oparty na doświadczeniu własny sąd o wydarzeniach, śmieli się wręcz z oficjalnej propagandy. Znany to był dowcip w Warszawie: „Jakto, stała pani w kolejce i nie dostała pani mięsa? Przecież jest go pełno w „Trybunie Ludu”. W naszym przetwarzaniu gotowych tekstów, doszliśmy do oczywistych i łatwo sprawdzalnych kłamstw. Nikt nam nie wierzył i nikt nas nie czytał.

Sytuacja ta uległa zmianie w latach 1955-1956. Przedwojenni dziennikarze, którzy zdawali sobie sprawę z bezskuteczności i szkodliwości swojej pracy, zaczęli się buntować. We wrześniu 1956 roku w teoretycznym organie partii, „Nowych Drogach”, ukazał się artykuł Leszka Kołakowskiego stwierdzający, iż obowiązkiem intelektualistów komunistycznych jest nie wychwalanie mądrości decyzji partyjnych, ale informowanie partii, działanie w tym kierunku, by partia mogła podejmować słuszne decyzje. Teoria, która fałszuje rzeczywistość, sama staje się kłamstwem.

Dokładnie w tydzień po opublikowaniu tego artykułu, jeden z najbliższych współpracowników Gomułki, Władysław Bieńkowski, poparł w całej rozciągłości na łamach „Przeglądu Kulturalnego” tezy Kołakowskiego, który — jego zdaniem — reprezentował zbuntowany, dynamiczny komunizm przeciw starej, sklerotycznej szkole myślenia.

W nasze serca wstąpiła wtedy nowa nadzieja. Można było bowiem przypuszczać, iż Bieńkowski jest wyrazicielem poglądów Gomułki. Dobrzy publicyści szybko zrzucili maskę stalinizmu. Edmund Osmańczyk, Stefan Arski, Stanisław Brodzki pozwolili dojść do głosu swoim myślom i talentowi. Nie oni jednak zrehabilitowali polskie dziennikarstwo w oczach społeczeństwa. Ta zaszczytna rola przypadła w udziale zespołowi studenckiego pisma „Po prostu”.

Jeszcze w latach 50-tych zaproponowano mi napisanie artykułu dla tego pisma, którego nazwy w ogóle nie znałam. W redakcji, znajdującej się przy ulicy Wiejskiej, przyjął mnie jeden z redaktorów, który z wielką powagą wygłosił mi krótki wykład

partyjny na temat zbrodniczości systemu kolonialnego. I jakkolwiek poglądy te podzielałam szczerze po dzień dzisiejszy, to przypominam sobie doskonale, że ówczesna dyskusja miała cały charakter stalinizmu. Nigdy bym nie przypuszczała, że w kilka lat później „Po prostu” stanie się centralnym organem walki rewolucyjnej, że jego młodzi współpracownicy obudzą z uspienia polskie dziennikarstwo, przywrócą mu utraconą rangę i zaufanie czytelników.

Redaktorzy „Po prostu”, studenci, członkowie partii, a często i młodzieżowej organizacji stalinowskiej ZMP, oddali partii młodzieńcze ideały. Wierzyli w to, co przedstawiano im, jako socjalizm. Wielu z nich wyjechało na studia do Związku Radzieckiego. Być może wtedy obudziły się w nich pierwsze wątpliwości. Później, kiedy zrozumieli, jak bardzo ich oszukiwano — z całym buntem młodości zaczęli szukać przyczyn. Różnica między nimi, a starymi partyjnymi dziennikarzami polegała na tym, że dla nich był to pierwszy zawód w życiu. Mieli dość sił moralnych, by szukać przyczyn, by dociec do źródeł klęski. I dlatego „Po prostu” — pierwsze w Polsce, a może i poza jej granicami — wystąpiło z poważniejszą i głębszą analizą stalinizmu.

Zaprawieni w walce poprzedniego okresu, w trudnych zadaniach, jakie im partia niegdyś powierzała, atakowali obecnie z olbrzymią odpowiedzialnością najtrudniejsze problemy. Wykazywali, że tak zwane błędy „kultu jednostki” — to nie są fakty odosobnione, ale, że zazębiając się w łańcuch korzenie zła tkwią w samym systemie, a także w jego polskiej odmianie.

W ciągu kilku miesięcy, poprzedzających Październik młodzi reporterzy spędzali całe tygodnie na terenie fabryk, czy na wsiach, dzieląc życie i codzienne troski robotników i chłopów, rozmawiając szczerze z ludźmi. Nie opuszczali terenu pracy tak długo, jak długo nie odkryli prawdy. Nie używali w swych artykułach sloganów, czy wielkich wyświechtanych słów. Pisali o tym, co widzieli, co czuli, co myślą i czują ludzie.

W tym tkwiła siła „Po prostu”. W umiejętności nawiązania dialogu z czytelnikiem. Prostego, jasnego, uczciwego, wolnego od zakłamanego żargonu, w jaki wpadła nasza prasa w poprzednim okresie. Czytelnicy zaczęli kupować „swoje” pismo. Nakład „Po prostu” wzrósł szybko do 150 tysięcy egzemplarzy, a gdyby nie było trudności w rozdziale papieru, mogłyby osiągnąć bez porównania więcej. W pewnym okresie, bezpośrednio przed Październikiem, za numer tego tygodnika płacono na czarnym rynku 50 złotych, co mniej więcej odpowiadało 1 dolarowi, ale co przedstawiało znacznie więcej w kraju, gdzie można było za te pieniądze kupić blisko 20 kilo cukru. Czytelnicy kraju, w którym się

nie przelewało, gotowi byli wydać tę sumę, byle tylko mieć „Po prostu”.

Przez długi czas symbolem pisma stał się w nie najbardziej zasłużony sposób jego naczelny redaktor, Eligiusz Lassota, który temu stanowisku zawdzięczał zresztą wybór na posła w styczniowych wyborach 1957. Młody, o nieśmiałym wyglądzie, w okularach. Naprawdę bardzo skromny. Nie zupełnie czuł się w „swojej skórze” na tych wszystkich *coctail*’ach w zachodnich ambasadach, na które obowiązkowo go zapraszano. Ilek był bardzo zażenowany. Sączył wolno swój kieliszek wina, wyjaśniając cierpliwie — „Po prostu” nie jest moją zasługą. To pismo jest zbiorowe, kolektywne”.

Istotnie, każdy teoretyczny artykuł pisany był przez dwóch, lub trzech autorów. Bo, poza demaskowaniem brudów, które wżarły się w nasze życie, „Po prostu” chciało pomóc w wypracowaniu nowych zasad ideologicznych. To przerastało możliwości jednego autora, a nawet całego zespołu. To nie było — i nadal nie jest, łatwe.

Było rzeczą naturalną, że młodzi redaktorzy rozpoczęli swą działalność od walki o wyzwolenie młodzieży z zakłamania. Ten problem znali dobrze z własnego doświadczenia. Dwa artykuły „Co robić?” i „Co robić dalej” atakowały stalinowską organizację Związek Młodzieży Polskiej i przyczyniły się do jego rozwiązania. „Po prostu” wyzwoliło z naszej młodzieży, odsądzonej od czci i wiary, oskarżanej o bezwzględny cynizm, najpiękniejszy zryw, który przejawiał się w dniach październikowych.

Dzięki akcji „Po prostu” zniesiono sklepy za żółtymi firankami. Pismo zaalarmowało opinię publiczną tym co się dzieje w województwie kieleckim, gdzie zwolennicy starego nie chcieli dopuścić do zmian, wykazało wielkie braki i brudy w pracy Ministerstwa Handlu Zagranicznego.

Redakcja otwierała w terenie kluby dyskusyjne. Nie chodziło im nawet o krytykę reżymu, w każdym razie nie to było ich głównym celem. Rozmawiałam kiedyś na ten temat z Lassotą i Turskim. Obydwaj byli przerażeni, jak wielki wpływ wywiera ciągle na prowincji kler na młodzież, nawet komunistyczną. Inicjując dyskusje na życiowe tematy, chcieli tę młodzież wyrwać spod jego wpływów. W pewnej mierze z inicjatywy i za przykładem „Po prostu” powstał w Warszawie Klub Krzywego Koła, w którym toczyły się pasjonujące, na wysokim poziomie, dyskusje i którego żywot był nieco dłuższy.

I wreszcie „Po prostu” dało pełną wewnętrznego żaru i wiary w słuszność sprawy — ocenę wydarzeń październikowych — które, w każdym razie mogą posłużyć badaniom historyków.

Skąd potem nastąpiły rozdzwięki? W którym momencie „Po prostu” zaczęło być uważane przez Gomułkę za pismo, które utrudnia jego poczynania?

Oczywiście, były w redakcji zapalone głowy, dla których opublikowanie jeszcze jednego sensacyjnego artykułu stanowiło cel sam w sobie. Ale nie takie było stanowisko całego zespołu.

Istotną przyczyną rozdzwięku był fakt, że ani „Po prostu” ani większość intelektualistów nie potrafiła wówczas dostrzec istotnego charakteru Października, który starałam się przedstawić w poprzednim rozdziale. Konflikty mnożyły się więc i pogłębiały z każdym dniem. Redaktorzy „Po prostu” postawili sobie zadanie kontrolowania postanowień październikowych w duchu, w jakim je sobie wyobrażali. I zaczęli mieć pretensje, gdy zorientowali się, że pozostały z nich tylko litery... Tak więc dziennik uważał, iż Gomułka zatrzymał się na przykład w konsekwentnej walce z elementami stalinowskimi w Polsce, że waha się w usunięciu ludzi odpowiedzialnych za przeszłość.

Jeśli jeszcze — z bólem serca — można było wytłumaczyć względami racji stanu — zmianę stanowiska Gomułki i partii w ocenie wydarzeń węgierskich — to redaktorzy „Po prostu” nie przestawali krytykować jego widocznej niekonsekwencji w nawiązywaniu współpracy z dawnymi stalinowcami. Wydawało im się, że Gomułka wyolbrzymia nacisk sowiecki w tej dziedzinie.

Trudno powiedzieć, jak było naprawdę gdyż jeśli nawet taki nacisk początkowo istniał, nikt o nim nie mówił publicznie. Być może zresztą, gdyby udało się wtedy nawiązać szczerzy dialog między kierownictwem partii a intelektualistami, udałoby się zachować prawdziwy, wzajemny sojusz. Gomułka mógł przecież wytłumaczyć swoje stanowisko, motywy swego postępowania i swe trudności. Pewna jestem, że znalazłby pełne zrozumienie. Nie leżało to jednak w jego charakterze. Prasa jest po to, by wykonywać polecenia kierownictwa; jeśli nie jest posłuszna, „trzeba z nią zrobić porządek”. Cenzura została przywrócona do swej roli. Zaczęła na nowo konfiskować artykuły, zwłaszcza „Po prostu”, pod pretekstem, że szkodzą stosunkom między krajami socjalistycznymi i oczerniają socjalizm w Polsce. Wreszcie w maju 1957 roku, na IX Plenum, Gomułka zaatakował ostro i imiennie trzech rewizjonistów: Leszka Kołakowskiego, którego krytykowała prasa sowiecka, Wiktora Woroszylskiego — autora najlepszych korespondencji z Budapesztu i członka redakcji „Po prostu” Romana Zimanda.

„Po prostu” nie poddało się i w zmienionych, coraz trudniejszych warunkach usiłowało utrzymać się przy życiu. Chciano je najpierw spacyfikować. W tym celu zaproponowano zastępcy na-

czelnego redaktora, Annie Bratkowskiej, stanowisko zastępcy kierownika Wydziału Prasowego K.C. W ten sposób musiałyby przynosić dyrektywy kierownictwa do redakcji i pilnować ich wykonania. Ani zespół ani wyznaczona kandydatka na to się nie zgodzili.

Zdając sobie sprawę z symbolicznego niemal znaczenia samego tytułu „Po prostu”, zaproponowano jego zmianę. Zespół odmówił. Nie chciał i we własnych oczach i w oczach czytelników być uważany za oportunistów.

Walka z „Po prostu” trwała blisko rok. Zaostrzyła się po styczniowych wyborach. Młodzi redaktorzy nie poddali się. 2 października 1957 roku Gomułka zakazał wydawania pisma.

Nie byłam wtedy w Warszawie i nie wiem, jakie rozmiary przybrała manifestacja protestacyjna, gdy w rok po zwycięstwie października, ludzie znów wyszli na ulicę. Ale nie mam żadnych wątpliwości, że Gomułka potrafił przekonać robotników Żerania co do słuszności swej decyzji. Z nimi bowiem, ze środowiskiem robotniczym bliskim psychicznie Wiesławowi, dialog nawiązany w październiku jeszcze istniał. Zespół „Po prostu”, który także usiłował nawiązać kontakt i szukać poparcia z wczorajszymi towarzyszami wspólnej walki — spotkał się tam z życzliwą obojętnością. No cóż, nastroje rewolucyjne opadły, a ludzie chcieli żyć spokojnie i zacząć się „urządzać”... Mieli ważniejsze kłopoty aniżeli sprawy inteligentów.

Wszyscy redaktorzy „Po prostu” przedefilowali wówczas w charakterze oskarżonych przed Komisją Kontroli Partyjnej. Wszyscy otrzymali nagany. Turski, Lassota i Zimand zostali z partii usunięci.

„Po prostu” zostało rozwiązane, bo chciało widzieć w Październiku rewolucję socjalistyczną, chciało wypracować jej podstawy teoretyczne i strzec praktycznego wykonania. Ponieważ tego właśnie nie chciał Gomułka, więc cały zespół zapisał tylko jeszcze jedną kartę historii tych gorących dni. Z tym tylko, że ta karta oraz pozostałe już dziś artykuły „Po prostu” nie zeszły się w pewnym sensie i ciągle są godne studiowania. Dają bowiem pojęcie, jakim mógłby być liberalny, polski komunizm, gdyby — jak pisał odsunięty także Bieńkowski — miał możliwości uwolnienia się od sklerotycznej szkoły myślenia.

Inna sprawa, że w tym okresie stworzenie dogodnych warunków pracy intelektualistom nie było największą troską kierownictwa. Gomułka koncentrował się wtedy bez reszty na podniesieniu poziomu życia robotników. I tu napotykał na ogromne trudności tkwiące, jak mi się wydaje, w samym systemie socjalistycznym. Pamiętam jedną z rozmów na ten temat z nieżyjącym

już, jednym z największych polskich ekonomistów. Powiedział wtedy, żartem oczywiście: „Jedynym sposobem wyjścia z trudności gospodarczych byłoby przywrócenie na krótki okres czasu kapitalizmu i dopuszczenie do głosu niektórych jego praw. Ale tego oczywiście zrobić nie możemy”. Niepozbawiony słuszności paradoks. Można ich było znaleźć więcej na łamach doskonałego tygodnika „Życie Gospodarcze”, które szukało dróg wyjścia z impasu gospodarczego. Zasięg tego tygodnika, pisanego ekonomicznym językiem, był jednak z natury swej ograniczony do wąskiego grona znawców. Poza tym artykuły te, choć wiele z nich z punktu widzenia marksizmu-leninizmu oznaczały czystą herezję — pisane były spokojnie, bez entuzjastycznej pasji. I dlatego kierownictwo, poszukujące samo dróg wyjścia z błędnego koła braku wydajności pracy i co za tym idzie — niemożności podniesienia warunków życia — tolerowało je nieco dłużej, chcąc zresztą zainicjować rodzaj wielkiej dyskusji na tematy najbliższe wszystkim warstwom społeczeństwa.

Istniał wtedy naczelny argument wobec buntujących się literatów i dziennikarzy: Kiedy krytykowaliśmy posunięcia Gomułki jako odwrót od października, kiedy tłumaczyliśmy naszym zwierzchnikom, iż oznacza to potencjalną groźbę zachwiania jego własnej pozycji i autorytetu — odpowiadano nam: „Pod żadnym pozorem nie wolno nam narażać się na izolację w łonie naszego obozu. W Związku Sowieckim także toczy się walka między stalinowcami, a Chruszczowem. Nasza dalsza demokratyzacja zależna jest od zwycięstwa linii Chruszczowa. Jeśli my, Polacy, dajemy naszym buntowniczym postępowaniem argument do ręki jego przeciwnikom, utrudniamy jego walkę i opóźniamy proces demokratyzacji na szerszą skalę.

Był to problem bardzo złożony. Niewątpliwie podobna argumentacja zawierała sporo elementów prawdy w pierwszym okresie. Ale nie mogę oprzeć się uczuciu, że z biegiem czasu to uważne patrzenie na reakcję „Prawdy”, „Komunista” czy „Literaturnej Gazety” w ocenie naszych pisarzy stało się swego rodzaju obsesją. Zresztą ustawała krytyka pod ich adresem.

Dziennikarze „Po prostu” byli do końca konsekwentni. Woleli zniknąć, aniżeli kontynuować pracę w formie, którą uważali za oportunistyczną. Inni dziennikarze szukali częściowych rozwiązań, które pozwoliłyby im kontynuować pracę, zachowując „twarz” wobec odbiorców, a często wobec siebie samych. Uczucie zawodu stało się jednak powszechne. Nawet ci trzeźwiejsi, którzy z niejednego pieca chleb już jedli, nawet ci obeznani z politycznymi manewrami, byli bowiem początkowo przekonani, że w popaździernikowej Polsce utrzyma się większa wolność prasy.

Szybko przekonali się, że stało się inaczej. Przykręcenie śruby cenzury następowało równie szybko, jak jej odkręcenie. Ogarnęło nas przykre uczucie, że się nami posłużono dla własnych celów, że zastosowano wobec nas zasadę „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść...”

Dało to się odczuć szczególnie wyraźnie na tle wydarzeń węgierskich. W pierwszym okresie, nie chcąc występować przeciw uczuciom całego narodu, partia uznawała wydarzenia w tym kraju, jako walkę Węgrów przeciw niesprawiedliwościom, krzywdom i zbrodniom stalinizmu. Mowy nie było o działalności imperialistów, czy kontrrewolucjonistów. Pamiętam doskonale sprawozdania kolegów-dziennikarzy którzy byli wysłani na Węgry i którzy po powrocie, oznajmili nam na lotnisku: „Cały naród bił się o słuszną sprawę, o swoją wolność. To jest nasze głębokie przeświadczenie, którego nic nie potrafi zmienić”. Widzę do dziś twarze tych kolegów, poważne, jakby stwardniałe z bólu.

Po drugiej interwencji sowieckiej, partia jednak zdanie zmieniła widząc na Węgrzech udział „elementów kontrrewolucyjnych” oraz „imperialistyczną ingerencję”. A w czerwcu 1958 roku, po egzekucji Imre Nagy, sam Gomułka, przemawiając w Gdańsku, musiał przeżywać chyba poważny konflikt wewnętrzny, określając ten mord, jako wewnętrzną sprawę narodu węgierskiego...

Dziennikarze, którzy byli na Węgrzech, zdania jednak nie zmienili. Po prostu zamilkli. Mam tu na myśli trzech kolegów. O jednym z nich już wspominałam. Pozostał od tamtego czasu na marginesie wielkiej polityki. Witold Woroszyński opublikował na łamach „Nowej Kultury” wstrząsający reportaż, piętnujący udział armii sowieckiej w Budapeszcie, przedrukowany zresztą w całości przez „France Observateur”. Oczywiście zapłacił za to straceniem stanowiska naczelnego redaktora „Nowej Kultury” i ostrym atakiem skierowanym przeciw niemu przez Gomułkę.

Krzysztof Wolicki, młody i utalentowany dziennikarz „Trybuny Ludu” — obciążony *nota-bene* masą okupacyjnych kompleksów — jego codziennym ubraniem były buty z cholewami, skórzana kurtka oraz czarne okulary — także pozostał wierny samemu sobie. Jak długo mógł, demaskował niedociągnięcia naszego życia wewnętrznego, a zwłaszcza gospodarki. Potem przeniósł się na teren, który określaliśmy wówczas mianem „wewnętrznej emigracji”, a który wszyscy prawie poznaliśmy: pisał na tematy apolityczne. Dziś pracuje w jednym z wydawnictw „Polonii”, która stała się azylem dla usuwanych z pracy dziennikarzy-rewizjonistów.

Przed polskimi dziennikarzami stanął nowy problem: nie mo-

gliśmy przecież uspić własnego sumienia i przeczyć samym sobie, jeśli chcieliśmy, by ludzie nam nadal wierzyli. Łatwiej było zgodzić się z popadnięciem w niełaskę niż z utratą tego kapitału moralnego, który z takim trudem zdobyliśmy: zaufania czytelników.

Konflikty tego rodzaju nie są „specjalnością” krajów socjalistycznych. Nie zamierzam bronić dużej części prasy, czy to francuskiej, czy amerykańskiej, która w pogoni za sensacją odbiega od prawdy i wyraźnie się prostytuuje. Ileż jest zresztą wypadków, gdy dziennikarz który przesłał swój artykuł, czyta potem w gazetach coś, co jest podpisane jego nazwiskiem, ale co nie wyraża absolutnie ani jego myśli, ani przekonań. Często zagraniczni uczeni korespondenci padają ofiarą polityki swej redakcji. Pamiętam wypadek korespondentki „France Soir” w Polsce, pełnej dziennikarskiego temperamentu Ewy Fournier. Któregoś wieczoru otrzymała telefon z Paryża, zwracający jej uwagę, iż źle wypełnia swe obowiązki, ponieważ nie napisała o strajku, który rozpoczął się tego dnia w jednej z fabryk. W piętnaście minut później, na podstawie informacji, przekazanych z Paryża, Ewa zrehabilitowała taką wiadomość. Okazała się ona czystym wymysłem. Ewa Fournier znalazła zresztą dobre wyjście z sytuacji. Pojechała na teren fabryki, spędziła dzień z robotnikami i w dowcipny, nieco satyryczny sposób przedstawiła jak rodzą się plotki. Rzecz tylko w tym, że ten drugi artykuł utknął gdzieś w teczce redakcyjnej i nigdy nie ujrzał światła dziennego. Ewa Fournier została z Polski wydalona.

Z olbrzymim niesmakiem przechodzę w miastach zachodnich koło tych kiosków, które wywieszają gazety z tytułami, mającymi zdradzać „tajemnice alkowy” aktorów czy polityków. Przypuszczam, że wielu zachodnich kolegów po fachu doznaje tych samych uczuć. Mało jest zresztą na świecie gazet, które drukują artykuł swego korespondenta, z którym nie zgadza się naczelny redaktor. Ostały się jako „wyspa uczciwości” „Monde” we Francji, londyński „Times”, w niektórych wypadkach „New York Times”, oraz tradycyjnie wierna zasadzie wolności część prasy szwajcarskiej. Ale poza nielicznymi wyjątkami dziennikarze całego świata stoją przed podobnymi problemami i konfliktami. Z jedną tylko różnicą.

Dziennikarz zachodni, który nie zgadza się z linią polityczną swej gazety, ma wybór. Przechodzi do innego dziennika. Oczywiście, nigdzie na świecie nie ma absolutnej wolności prasy. Każdy kraj ma swoje tematy „tabu”, których samo dotknięcie powoduje konfiskatę gazety. We Francji, w okresie wojny w Algierii było nim wzywianie do jej zakończenia i ujawnianie okrucieństw w tym

kraju. W Stanach Zjednoczonych śliskim tematem jest zbyt daleko posunięta krytyka polityki amerykańskiej w Wietnamie. W Polsce gomułkowskiej do tematów zakazanych należy analiza stosunków polsko-sowieckich. Sama zasada wydaje mi się słuszna, ale mam zastrzeżenia co do sposobu jej przestrzegania. Faktem jest, że wszyscy korespondenci zachodni, którzy zostali wydaleny z Polski, dotyczyli pośrednio, lub bezpośrednio tego tematu. Powstaje jednak wątpliwość, czy strzegąc jego czystości, nasze kierownictwo partyjne nie jest bardziej papieskie od samego papieża. Bo wszyscy korespondenci, którzy z tego powodu musieli opuścić Polskę, otrzymali i otrzymują wize sowieckie, a niektórzy z nich zostali bezpośrednio potem korespondentami w Moskwie. Nie można więc czasem oprzeć się uczuciu, że polskie kierownictwo podejmuje kroki prewencyjne, lękając się, co na to powie Związek Sowiecki, który, w wielu takich wypadkach, nie ma nic do powiedzenia.

Rozumiem też doskonale, że w pierwszym popaździernikowym okresie, gdy wszystkie kraje socjalistyczne śledziły uważnie to, co pisze polska prasa, tematem „tabu” były wszelkie akcenty nawoływania do przejścia do „drugiego etapu”, czyli do porzucenia socjalizmu. Takie artykuły w tym okresie były nie do uniknięcia, ale nie było ich wiele.

Nie mogę natomiast pogodzić się z dwoma zarzutami, wysuwanymi wtedy pod adresem polskich dziennikarzy. Jednym z nich było „czarnowidztwo”, oskarżanie nas, że nie dostrzegamy postępu, jaki wprowadził socjalizm w naszym kraju i że widzimy rzeczywistość wyłącznie w czarnych barwach. W istocie dziennikarze dostrzegali nawet po październiku wiele mankamentów w wykonywaniu jego postanowień. Mieli nie tylko prawo ale i obowiązek alarmowania o tym partii i opinii publicznej. Byłoby dziecinnadą dorabianie do tego wstępu osiągnięć socjalizmu, by przejść do krytyki działalności konkretnego ministra, czy dyrektora fabryki, który walczył na swym terenie z radami robotniczymi. Ci, którzy pisali na ten temat, nie mieli najmniejszych wątpliwości, że socjalizm jest lepszym ustrojem społecznym. Ujawniali te niedociągnięcia dla jego dobra. Rzecz w tym tylko, że partia nałożyła szybko hamulce krytyce. Wróciła do koncepcji grzecznej, posłusznej prasy, mającej prawo pisać wyłącznie na z góry podawane i inspirowane tematy. Prawda, że zasięg tej inspiracji był nieco szerszy, niż w czasach stalinowskich. Szybko jednak zaczęto puszczać dymną zasłonę na wiele dziedzin życia, zwłaszcza takich, których kierownicy byli działaczami dawnego typu.

Drugim zarzutem było „wychwalanie Zachodu”. Wielu dzien-

nikarzy wyjechało wtedy po raz pierwszy zagranicę i siłą rzeczy starali się naprawić kłamstwa propagandy poprzedniego okresu, kiedy to pisaliśmy, że ludzie w krajach kapitalistycznych umierają z głodu. Chodziło nie tylko o uczciwość dziennikarską, ale o zastanowienie się, w jaki sposób mamy rywalizować z tymi krajami, by wykazać kiedyś przewagę socjalizmu. Mogły się zdarzyć historyczne artykuły ludzi będących pod wrażeniem zachodniego dobrobytu. Ale nie było nic szkodliwego w artykułach, starających się okazać, że ten dobrobyt jest wynikiem dużej wydajności pracy, dyscypliny, oszczędności, tych cech które nie są największą cnotą polskich robotników w kraju.

Zresztą, jeśli nawet były to tematy dyskusyjne to można było z nimi polemizować, pobudzić czytelników do myślenia i wyrobienia sobie własnego sądu. Taka jest w końcu rola prasy. Ale bardzo szybko dano nam do zrozumienia, że nikt tego od dziennikarzy nie żąda. Znowu wprowadzono schematy bardziej elastyczne, niż w poprzednim okresie, ale wystarczająco sztywne, by zniechęcić wielu autorów do poszukiwania nowych dróg.

Jest zrozumiałe, że prasa i radio są organami partii rządzącej, która za ich pośrednictwem, przekazuje swe decyzje i wyjaśnia swą politykę. Ale są to sprawy, które często mogą i powinny podlegać dyskusji. W Polsce, gdzie nie ma partii opozycyjnych, prasa powinna inicjować takie dyskusje, żeby pomóc kierownictwu, nawiązać rozumny dialog z czytelnikami i poznać ich opinię.

Bardzo szybko dano nam do zrozumienia, że nie tak partia widzi rolę dziennikarzy. Mieliśmy stać się na nowo posłusznymi wykonawcami i popularyzatorami odgórnych decyzji. Coraz mniej liczonego się, co o tym myślą nasi odbiorcy, czyli opinia publiczna. Było to zresztą dość logiczne, gdy w wielu dziedzinach życia następował wyraźny odwrót od postanowień października.

W ten sposób doszło do paradoksów. W 1958 roku jeden z kolegów radiowych, zajmujący się problematyką gospodarczą, napisał artykuł na temat działalności samorządów robotniczych, w którym przytoczył *in extenso* słowa Gomułki na VIII Plenum. Komentarz nie poszedł w ogóle na antenę. Spotkało mnie to samo, gdy z okazji święta narodowego Jugosławii w 1959 roku przytoczyłam w moim felietonie, zresztą świadomie, słowa wspólnego komunikatu polsko-jugosłowiańskiego z czasu wizyty Gomułki. Tylko, że było to w okresie, gdy Jugosłowianie w ogłoszonym programie Ligi Komunistów zaatakowali ostro politykę bloków...

Tak więc, w niecały rok po październiku przed polskimi dziennikarzami zarysowały się nowe, poważne problemy. 2 marca

1957 roku Gomułka zdecydował się „zrobić porządek z prasą”. Rozpoczął go, mianując Leona Kassmana naczelnym redaktorem „Trybuny Ludu”. Nie mam nic przeciw osobie Kassmana w świetle dalszego rozwoju wydarzeń, podczas którego wykazał dużą uczciwość. Wtedy jednak był on symbolem sztywnego działacza. Na znak protestu przeciw tej nominacji, ośmiu czołowych publicystów „Trybuny Ludu” podało się do dymisji. Ponieważ wielu z nich było moimi przyjaciółmi, żyłam tą sprawą i ich przeżyciami. Zostali w końcu przyjęci przez Gomułkę, który starał się ich przekonać, że oficjalny organ partii nie może zamieszczać artykułów, które nie odzwierciedlają dokładnie dążeń i linii kierownictwa.

Z wyjątkiem Zosi Artymowskiej, nikt z tej ósemki do „Trybuny Ludu” już nie wrócił. Zosia czyniła to zresztą po dłuższym pobycie w „Sztandarze Młodych”, kiedy zorientowała się, że i to pismo młodzieżowe zostało pozbawione marginesu swobody, którą przez pewien jeszcze czas zdołało zachować. Tę decyzję, bardzo ostro potępianą przez jej towarzyszy, motywowała tym, że „jeśli wszystkie gazety poddane są znowu pod jeden strychulec, organ partii daje jednak największą swobodę”. W pewnym sensie nie pomyliła się. „Polityka”, którą Gomułka wtedy podporządkował sobie, mianując jej naczelnym redaktorem młodego i dynamicznego Mieczysława Rakowskiego przekształciła się w jakiś czas potem w stosunkowo najbardziej interesujące czasopismo. Bo koniec końców, prasa w Polsce popaździernikowej miała służyć grupie rządzącej. A ponieważ w samym jej łonie zarysował się nowy układ sił, więc i podporządkowane jej organy odzwierciedlały w pewnej mierze toczącą się walkę.

W każdym razie, nawet w tym okresie usztywniania się i przymrozku, nie był to powrót do czasów stalinowskich. Dziennikarzom przysługiwało prawo pisania na pewne tematy, które im odpowiadały i nikt nie stosował wobec nich represji, jeśli nie chcieli pisać. Publicyści krajowi na przykład, którzy przekonali się, że rady robotnicze są kontrolowane i że byli stalinowcy wracają znów na odpowiedzialne stanowiska i którym nie wolno było tego krytykować, przrzucili się na tematy zagraniczne. Byłam wtedy kierownikiem redakcji publicystyki międzynarodowej w Polskim Radio i wiem, ilu kolegów, ilu świetnych publicystów zwracało się do mnie z prośbą o współpracę. Pisząc o rozwoju wydarzeń na Bliskim, czy Środkowym Wschodzie, krytykując system kolonialny, czy analizując przebieg rewolucji w państwie południowo-amerykańskim — pozostawali w zgodzie z własnym sumieniem. A musieli zarabiać, żeby żyć i utrzymać rodziny.

Niektórzy podporządkowali się nowym wymogom. Ich samo-

obroną stał się cynizm. Powrotna fala systematycznie zmywała z ludzi resztki wiary i wszelkiej ideologii. Była więc pewna grupa dziennikarzy, która pisała jedno, a myślała drugie. Kiedyś wyjechałam do Lublina z jednym z takich towarzyszy, który miał tam wygłosić referat na temat sytuacji międzynarodowej. Godzina referatu została przesunięta, co pozwoliło nam na zjedzenie obiadu, zakrapianego alkoholem. W pewnej chwili mój towarzysz odstawił kieliszek:

— Jeszcze jedna kropla więcej — powiedział — a moi słuchacze dowiedzą się, co myślę naprawdę o straceniu Imre Nagy i Maletera.

Ten człowiek zajmuje nadal odpowiedzialne stanowisko w jednej z redakcji, a nawet „robi karierę”.

Ale było niemało i takich dziennikarzy, którzy pozostali wieni sami msobie. Należy do nich w pierwszym rzędzie Edda Werfel. Zdolna, dowcipna, znana z ciętego pióra i języka publicystka „Trybuny Ludu” i żona dość sztywnego aktywisty partyjnego, Romana Werfla, nie tylko nie zawahała się na chwilę, by opuścić raz na zawsze organ partii, z której polityką się nie zgadzała i nie tylko oddała legitymację partyjną, Edda rozeszła się z mężem, którego poglądów politycznych nie była w stanie już podzielać, a które zaczęły budzić jej wstręt. Poświęciła się całkowicie wychowaniu córeczki. Zarabia na życie tłumaczeniami i współpracuje z wydawnictwem „Polonii”.

Wypadek Eddy Werfel jest krańcowy. Ale niemało dziennikarzy schroniło się na „emigracji wewnętrznej”. Nie łatwy to teren życia dla ludzi naprawdę zdolnych którzy czują, iż mogą coś zdziałać i którym żadne wydarzenie w Polsce, ani w partii nie jest obojętne. Ale nie mają rady. Ci, którzy potrafiliby nawet dziś pomóc Gomułce w nowej trudnej sytuacji, w trudnych rozgrywkach wewnątrz-partyjnych — piszą do „Kobiety i Życia”, względnie do „Zwierciadła”, jakie powinny być obowiązki pani domu, gdy przyjmuje gości i jaka jest moda w Paryżu.

W 1956 roku na Węgrzech był jeszcze jeden dziennikarz, Artur Starewicz, kierownik Wydziału Prasy KC. Ten młody i ambitny polityk zmienił zdanie, realizując nową linię partii. Mało tego, pilnował „czystości” prasy i przekonywał innych, że nie mają racji. Rzecz charakterystyczna: czuł osobistą niechęć do pozostałych korespondentów, którzy byli sprawozdawcami wydarzeń węgierskich. Być może byli oni dla niego odbiciem własnego sumienia?

Nie chcę psychologizować. Ale Starewicz, mimo pozorów, które stwarza, na pewno nie jest postacią jednolitą. Związał się z Gomułką i broni konsekwentnie, ale i dość inteligentnie jego

linii. Bardzo ostry i nieprzyjemny w stosunku do polskich dziennikarzy, wykazuje dużą giętkość — i powiedziałabym uczciwość — w kontaktach z zagranicznymi korespondentami. Wiem, że nigdy im nie kłamał i że starał się okazywać im pomoc. Byłam nawet zdziwiona, gdy mąż powtarzał mi jak przebiegały jego rozmowy ze Starewiczem, widziałam wtedy obraz innego człowieka, niż tego, który po kaprałsku dyrygował zebraniem plenarnym Stowarzyszenia Dziennikarzy. Myślę, że Starewicz, podobnie jak wielu członków partii z jego pokolenia, przekształcił się w zawodowego polityka. Przypuszczam, że nie było mu przyjemnie, gdy usunięto z kierownictwa partyjnego i pogrążono w niełasce jego serdecznego przyjaciela Jerzego Morawskiego. Niektórzy byli oburzeni na jego „zdradę”. Ale w końcu, gdy ideologia ustępuje miejsca „brudnej” polityce, takie rzeczy zdarzają się na całym świecie...

Stowarzyszenie Dziennikarzy również zostało spacyfikowane. Ostatnim prezesem, który reprezentował prawdziwie polskie dziennikarstwo i wobec władz partyjnych i wobec kolegów zagranicznych był Stanisław Brodzki. Po jego usunięciu pozostał tylko lokal na ulicy Foksal, gdzie snobujący się mieszkańcy stolicy mają okazję do skonsumowania jeszcze jednej „ćwiartki”, patrząc na ludzi przy sąsiednich stolikach, których artykułów pewnie nawet nie czytają... Z biegiem czasu nie tylko bowiem zniknęły z łamów naszej prasy poważne komentarze, ale nawet informacja stała się mizerna i cedzona przez sito cenzury. Przypominam sobie doskonale słowa wielu ludzi, a nawet niektórych „dygnitarzy”, którzy mówili korespondentowi *Monde’u* w Warszawie: „Z pana artykułów dowiadujemy się o tym, co się u nas, w Polsce, dzieje ciekawego...”

Rozdział XIX

Październik otworzył mi okno na świat, dał możliwość poznania innych krajów, zwłaszcza zachodnich, i innych ludzi. Do 1956 radio wysłało mnie jeden raz zagranicę: na Węgry, na wymianę z tamtejszą radiofonią. Zostało mi potem wspomnienie uroczego Budapesztu, piękna Balatonu i gór w Gajatoete, smak wina i papryki. Moja wizyta przypadła na pełne panowanie Rakosi'ego. We wszystkich miejscach publicznych, nawet w łaźniach damskich znajdowały się czerwone, pięcioramienne gwiazdy. Podczas bankietów wychylaliśmy do dna toasty za zdrowie Bieruta, Rakosi'ego i — oczywiście — Stalina. Pamiętam, że zaprzyjaźniłam się wtedy z młodym inżynierem sowieckim, który budował metro w Budapeszcie. Na jednym z oficjalnych bankietów, kiedy wino nie tyle uderzyło mi do głowy, ile poszło w nogi, inżynier zaprosił mnie do tańca. Odmówiłam, nie chcąc się ośmieszyć. Słyszałam potem na ten temat wiele uwag od oficjalnych osobistości radiowych. Oskarżano mnie nieomal o antysowieckość...

Poza tym jedynym wyjazdem, pracowałam wyłącznie w rozgłośni. Należałam do tak zwanych „pewnych” pracowników, o dużym poczuciu obowiązku. Można było na mnie liczyć, że dobrze odbiorę taśmy, przysyłane przez naszych korespondentów zagranicznych, że je zmontuję i puszcze na antenę. Można było liczyć, że napiszę poprawny komentarz. Uznanie kierownictwa ograniczało się do „poklepywania mnie po ramieniu”.

Inna sprawa, że nie umiałam walczyć o własne interesy. Przez lata całe nie potrafiłam zdobyć mieszkania. W końcu przydzielono mi jeden pokój we wspólnym mieszkaniu. Inni koledzy, nawet ci którzy przyszli do radia wiele lat po mnie, zajmowali piękne nowoczesne mieszkania. O to jednak w równej mierze mogę wi-

nić samą siebie, jak i kierownictwo. Nie ma cudów na całym świecie. Bez walki i narzucania się nie można liczyć na automatyczne uznanie zasług. Zresztą i tak miałam na swym koncie niewątpliwe osiągnięcia. Bez żadnej protekcji, ani tak zwanych pleców, ale zawdzięczając wszystko wyłącznie pracy, zostałam kierownikiem redakcji publicystyki zagranicznej w programie krajowym. Jak na 30-letnią kobietę, było to niemało. Wybrano mnie do zarządu sekcji zagranicznej Stowarzyszenia dziennikarzy, której prezesem był Stefan Litauer. Moje komentarze cytował głos Ameryki, niekoniecznie nawet z nimi polemizując.

Po październiku, zaczęłam jednak walczyć o możliwość wyjazdu zagranicę. Chciałam wreszcie poznać ten świat zachodni, o którym pisałam, a o którym w istocie niczego nie wiedziałam. Czulałam głęboką potrzebę, aby ujrzeć na własne oczy, jak on wygląda, jak tam żyją ludzie. Wysłano mnie wtedy, również na wymianę radiową, do Finlandii. Czuję po dzień dzisiejszy wielki sentyment do tego uroczego kraju o surowej naturze i gorącym sercu. Lubię go najbardziej ze wszystkich krajów skandynawskich. Pewnie dlatego, że nie jest on tak bogaty jak pozostałe, że ma swoje własne problemy, że czuje się tam tętno życia, cierpień, radości. Podróżowałam aż za koło polarne, do Laponii. Moje reportaże, opublikowane także w prasie, cieszyły się dość dużym powodzeniem. Pokazałam moim szefom, że można pisać naprawdę dobrze tylko wtedy, gdy się widzi i poznaje życie.

Pisałam już o wysłaniu mnie do Jugosławii z delegacją rządową. Była to jednak nie tyle decyzja władz radiowych, ile swego rodzaju konieczność. Nie byłam skompromitowana antyjugosłowiańską propagandą.

Zaczęłam też nawiązywać kontakty z zagranicznymi dziennikarzami, którzy w tym okresie zaczęli instalować się w naszym kraju. Chciałam im pokazać Polskę z tej najlepszej, najpiękniejszej strony, nie tylko poprzez budowle MDM'u, nie tylko przez urok Starego Miasta, ale poprzez nasze codzienne życie, myśli i dążenia. Osmańczyk, który był wtedy korespondentem w Moskwie, przysłał mi swego francuskiego kolegę z „France Soir”, Jean Neuvecelle, prosząc bym się nim osobiście zajęła. Spacerowaliśmy ulicami Warszawy z tym niezwykle kulturalnym panem, wchodziliśmy do małych restauracyjek, byliśmy w teatrze awangardowym przy ulicy Tarczyńskiej, który mnie się osobiście nie podobał, ale który wywołał zachwyt naszego gościa. Jean Neuvecelle został po dziś dzień moim przyjacielem. W ubiegłym roku, podczas jego wizyty w Indiach z okazji pobytu papieża, wspominaliśmy te odległe warszawskie czasy...

W okresie października przyjechał Michel Gordey, również

z „France Soir”. Teatr Kazimierza Dejmka grał wtedy „Łażnię” Majakowskiego. Rewolucyjny nastrój sztuki był jakimś swoistym preludium do nastrojów stolicy. Bardzo trudno było zdobyć bilety. Ponieważ przyjaźniłam się z Dejmkami, bez trudu umożliwiłam Gordeyowi obejrzenie tego przedstawienia. Nie przypuszczałam wówczas ani przez chwilę, że te drobne przysługi, o których nie warto nawet wspominać, a które i mnie samej sprawiały przyjemność, otworzą mi drogę do Francji. Do Polski przyjechał wówczas Pierre Lazareff z żoną. Nie miałam pojęcia, jakie zajmuje stanowisko i jaką rolę odgrywa w prasie francuskiej. Na przyjęciu w Stowarzyszeniu Dziennikarzy, obok wysokiego i postawnego ambasadora Eryka de Carbonnel ujrzałam niskiego i małego reprezentacyjnego mężczyznę, nie wyjmującego z ust cygara. Spytał sekretarza, czy jestem obecna, bo chciałby mnie poznać. Przedstawiono nas. „Wyświadczyła Pani duże przysługi moim współpracownikom” — powiedział — „Co mógłbym dla Pani zrobić?”

— Proszę mnie zaprosić do Paryża — odpowiedziałam żartem, nie wierząc ani na chwilę w możliwość jego realizacji.

— Tylko tyle? to będzie bardzo łatwe.

Zapomniałam o tej rozmowie, która miała, zdaje się miejsce na wiosnę, gdy we wrześniu 1957 roku przyszło i do radia i do ministerstwa Spraw Zagranicznych oficjalne zaproszenie. Wahałam się, ale w końcu uznano, że powinnam pojechać. I tak wyładowałam na lotnisku w Le Bourget, gdzie oczekiwał mnie Michel Gordey. Zawdzięczam mu pierwszy spacer po Paryżu, i pierwszy, najpiękniejszy widok, jaki roztacza się od małego Łuku Caroussel do Łuku Triumfalnego.

Odkrywałam potem Paryż, chodząc wąskimi uliczkami *Rive Gauche*, wstępując do małych bistro, patrząc na ludzi, na ich codzienne życie, nie zawsze łatwe, ale jakieś kolorowe w porównaniu z dniem powszednim w Polsce.

Niemniej doznałam pewnego rozczarowania. Wiadomo, że Polacy kochają Francję, że tak było i będzie zawsze, że święto 14-lipca jest w pewnym sensie i naszym polskim świętem, któremu prasa, nawet w okresie stalinizmu, poświęcała ciepłe artykuły. Jest to miłość trochę nieodwzajemniona, trochę irracjonalna, ale jakież to uczucie kieruje się rozsądkiem?

W każdym razie Polacy przybywający po raz pierwszy nad Sekwanę — i nie byłam pod tym względem wyjątkiem — wyobrażają sobie wszystkich Francuzów, jako godnych potomków rewolucjonistów i komunardów, którzy marzą o walce na barykadach „za waszą wolność i naszą”.

Tymczasem przekonałam się szybko, że jedynym marzeniem Francuzów jest zajęcie wygodnego miejsca za kierownicą samo-

chodu od Deux Chevaux do Deesse, w zależności od warunków materialnych i że starają się przede wszystkim o to, aby w tej dziedzinie uzyskać jak najlepsze możliwości...

Tak więc francuski „ideał” wyglądał zupełnie inaczej niż go sobie nad Wisłą wyobrażałam. Jest to na pewno wynikiem pewnej „amerykanizacji” życia w całej Europie, która nie oszczędziła i Francji. Bistra, noszące romantyczne nazwy „pod rogalikiem księżycy” przekształcają się w snack-bary, zanika tradycja obfitego *déjeuner* na rzecz kufła piwa z sandwiczem... I choć jest to praktyczniejsze, odbiera jednak Paryżowi nieco uroku...

W czasie tej pierwszej wizyty nie przypuszczałam ani na chwilę, że Paryż stanie się dla mnie za 5 lat namiastką domu i ojczyzny. Od pierwszej chwili jednak pokochałam to miasto, o którym nie mogę nawet powiedzieć, żeby było piękne, o którego mieszkańcach nie mogę powiedzieć, by byli wyprani z egoizmu i by grzeszyli zbyt dużą uprzejmością. Może dlatego, że jest to jedna z nielicznych stolic na świecie, w której można być samotnym i nikt się temu nie dziwi...

Oczywiście znalazłam wielu francuskich przyjaciół i to we wszystkich środowiskach społecznych. Mam wiele uznania dla Pierre Lazareffa. Widziałam go w redakcji i w drukarni, gdzie pracował wraz z zecerami i istotnie tworzył gazetę, do czego już prawie żaden z naczelnych redaktorów w Polsce nie jest zdolny. Wielką przyjemność sprawiła mi jego wielka sympatia do Polski, którą Lazareff umie połączyć z dużym realizmem politycznym.

W październiku 1957, gdy pierwszy raz byłam we Francji, w Warszawie zlikwidowano „Po prostu” co dało okazję do nowych manifestacji. Byłam tymi wydarzeniami głęboko poruszona.

Pierre Lazareff uspakajał mnie i doskonale pamiętam jego słowa:

— Nie ma nigdzie na świecie pełnej wolności prasy. Musi ona zawsze mieć granice. Chodzi o to, żeby były one jak najszersze. My sobie możemy na to pozwolić, ponieważ mamy pisma opozycyjne. W waszym kraju te granice są wąskie, bo istnieją w ramach jednej organizacji partyjnej, która rządzi”.

Z tych czasów datuje się też moja przyjaźń z André Mossmanem który był kierownikiem polskiej redakcji Radia francuskiego. Człowiek ten robił wszystko, by pomóc przyjeżdżającym do Paryża Polakom, którzy niejednokrotnie — a może nawet z reguły — nie znajdowali się w najlepszej sytuacji finansowej. Znam wypadki, gdy pomagał im z własnej kieszeni. Zawdzięczam mu wiele, ponieważ to on pokazał mi prawdziwy Paryż. Ten ludowy z Belleville i Buttes Chaumont, Paryż robotniczy, a nie mieszczański. W ubiegłym roku, podczas wakacji, spytałam go, dla-

czego zaniechaliśmy naszych pieszych wędrówek, podczas których mieszały się ze sobą piękno i brzydota tego miasta, które kończyły się kieliszkiem calvadosu i jakąś melodią z przedmieść paryskich. „Nie mam Ci już nic do pokazania” — powiedział. — „Znasz to miasto równie dobrze, jak ja”. Myślę, że ta odpowiedź charakteryzuje dobrze André. Zjawia się wtedy, gdy ludzie go potrzebują, by oddać im usługę.

Wyjechałam z Paryża w początkach listopada 1957, by wrócić doń w historycznym maju 1958, gdy De Gaulle objął władzę. Byłam wysłana przez Radio na Międzynarodową Wystawę do Brukseli. Przez miesiąc pracy na tym zgiekliwym, barwnym kiermaszu, zaoszczędziłam sobie trochę pieniędzy, które przeznaczyłam na krótki pobyt w Paryżu „wiosną, gdy kwitną kasztany”. W międzyczasie nastąpiły ważne wydarzenia polityczne i radio postanowiło skorzystać z mojej obecności. W każdym razie, jako polska dziennikarka, otrzymałam jedno z pierwszych miejsc na konferencji generała de Gaulle'a. Była to też moja pierwsza, poważna i prawdziwa praca dziennikarza radiowego podczas ważnych wydarzeń międzynarodowych, które specjalnie interesowały Polaków. Generał de Gaulle jest bowiem w Polsce nie tylko szanowany jako wybitny europejski mąż stanu i jako jeden z tych polityków, którzy przyczynili się w czasie wojny do ostatecznego rozgromienia Hitlera. Postać de Gaulle'a owiana jest swoistą legendą przemawiającą do rycerskości i romantyzmu moich rodaków. Datuje się ta legenda z czasów gdy porucznik de Gaulle z misji Weyganda stacjonował w Warszawie. Trudno ustalić gdzie znajdowała się jego kwatera i w jakich bywał lokalach. Tym niemniej właściciel najlepszej chyba w Warszawie ciastkarni, posiadającej cukiernicze tradycje, p. Blikle, przysięga iż porucznik de Gaulle mieszkał w domu na Nowym Świecie, w którym mieści się jego zakład. Powiesił więc w ciastkarni — obok sztychów starej Warszawy — portret gen. de Gaulle'a. Sympatia starego cukiernika do prezydenta Francji przejawiała się zresztą i w inny sposób. Ofiarował on kiedyś odlatującemu do Paryża ambasadorowi Francji p. Burin de Roziers wielki tort z prośbą o doręczenie go de Gaulle'owi...

Zdarzyło mi się spotkać starych kelnerów pracujących przed wojną w dwóch największych warszawskich hotelach, w Bristolu i Europejskim, którzy z rozrzewnieniem wspominają chwile, gdy obsługiwali dziarskiego porucznika armii francuskiej. Jeden z nich przypomina sobie nawet dokładnie menu kolacji.

Wspomnienia tych ludzi wytwarzają oczywiście specjalny klimat, ale najwięcej sympatii przysparza prezydentowi Francji pogłoska jakoby pojedykował się niegdyś w obronie honoru pięk-

nej Polki. Wprawdzie owej damy, która musiałaby mieć już dzisiaj wnuczęta, nikt nigdy nie widział, wprawdzie może to być czystą fantazją czułych na wdzięki niewieście Polaków, ale zyskało to de Gaulle'owi ich serca.

Dołącza się do tego wielkie uznanie dla realistycznej polityki zagranicznej prezydenta Francji. Nie ulega wątpliwości, że ma on więcej szczerych zwolenników zagranicą niż we własnym kraju. Jest to zresztą o tyle zrozumiałe, że z takiej perspektywy widzi się tylko skutki, efekty polityki, podnoszące międzynarodowy prestiż Francji, a nie uczestniczy się w trudnych procesach wewnętrznych. Przypominam sobie nasze dyskusje z francuskimi kolegami w okresie wojny algierskiej. My widzieliśmy wielką rozagę w rozgromieniu sił ekstremistycznych, które de Gaulle'a w roku 1958 wyniosły do władzy i uważaliśmy, że jest to jedyny człowiek we Francji posiadający niezbędny autorytet by położyć kres tej tragicznej wojnie. Ponieważ byliśmy daleko czas przeprowadzania tej operacji nie był dla nas najważniejszy. Chodziło o rezultat. Francuska lewica była innego zdania. Co z kolei prowadziło do paradoksu, że prasa sowiecka czy polska chwaliła posunięcia de Gaulle'a, krytykowane ostro przez francuskich komunistów.

Jeden z dziennikarzy powiedział kiedyś: Szkoda, że de Gaulle nie kandyduje na prezydenta Polski, ponieważ odniósłby na pewno olbrzymie zwycięstwo i naprawdę uzyskałby 99,99% głosów wyborców.



Po powrocie do Warszawy odkrywałam zachodni sposób myślenia i stosunek Zachodu do Polski w dyskusjach z akredytowanymi u nas zagranicznymi dziennikarzami. Było ich wtedy niemało. — To, co się u nas działo interesowało cały świat — i niektórzy należą do czołówki dziennikarzy światowych. A więc Sydney Gruson i jego żona Flora Lewis. Sydney był korespondentem „New York Times'a”. Miał dla Polski dużą sympatię, może zresztą dlatego, że jego przodkowie pochodzili z Białegostoku. Umiał doskonale zdobywać informacje. Któregoś dnia spotkałam go o 7-ej rano z rakieta w ręku. Szedł właśnie na partię tenisa z ówczesnym ambasadorem sowieckim w Warszawie. Następnego dnia w „New York Times'ie” ukazał się interesujący artykuł na temat stosunków polsko-sowieckich. Gruson pracował w swego rodzaju spółce z Philipem Benem. Dla tego ostatniego zebranie informacji było wyjątkowo łatwe. Starczyło, by przeszedł się ulicą, wstąpił do kawiarni, wmieszał się w tłum ludzi, idących

na studenckie zebranie, lub spotkał się ze swymi przedwojennymi przyjaciółmi, z których wielu piastowało wysokie stanowiska w partii i rządzie. Ben jest Polakiem i urodził się w Łodzi. Na pewno zachował dla Polski duży sentyment. Ale był za dobrze poinformowany i być może, zdradzał czasem niechcący źródła swej informacji. Dlatego musiał z Polski wyjechać.

Po pewnym czasie wszyscy niemal korespondenci zagraniczni zaczęli mieć pewne trudności. Największe ci, którzy mieli jakiś stosunek emocjonalny do wydarzeń w naszym kraju i którzy potrafili zdobyć informacje. Prawdziwe, ale nie zawsze takie, które góra chciała podać czy to polskiej czy zachodniej opinii publicznej. Zdarzały się wypadki, że niektórzy korespondenci zachodni Niemieccy napisali artykuły naprawdę wrogie, występując przeciw naszej polityce wobec Niemieckiej Republice Federalnej. Bardzo często zamieszczano w naszej prasie polemikę z nimi i na tym sprawa się kończyła. Ale były dwa tematy „tabu”, których nie należało dotykać. Jednym z nich było wgłębianie się w istotę stosunków polsko-sowieckich. Mniej zrozumiałą była druga bardzo śliska dziedzina, a mianowicie sprawa rozgrywek z Natolińczykami. Często oczywiście naszym władzom bardzo zależało, by artykuł na ten temat ukazał się w prasie zagranicznej. Wolność w jego poruszaniu ograniczona była jednak idącą z góry „niedyskrecją”, która równała się inspiracji. Wszyscy zagraniczni korespondenci, którzy te granice przekroczyli, proszeni byli szybko o opuszczenie granic Polski.

Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że w pojęciu naszych władz — a w każdym razie organów bezpieczeństwa — nie mam prawa utrzymywać bliskich, osobistych stosunków z cudzoziemcami w Polsce. Oczywiście nie groziły mi z tego powodu osobiste represje, jak w przeszłości. Ale szybko miałam okazję przekonać się, iż nie jest to zbyt dobrze widziane i że moje *dossier* w Bezpieczeństwie zaczęło się obciążać niepocholebnyimi notatkami. Byłam pod tym względem niesłychanie naiwna. W istocie delegowano niektórych ludzi, w tym również dziennikarzy, do utrzymywania kontaktów z cudzoziemcami. Pewna bardzo skromnie żyjąca do tej pory pani zaczęła wydawać przyjęcia przy świecach, na których można było spotkać wielu dyplomatów. Być może zresztą że się mylę i że otrzymała ona po prostu duży spadek z zagranicy.

Można i trzeba było spotykać cudzoziemców na neutralnym gruncie. Sekcja zagraniczna Stowarzyszenia Dziennikarzy, a ściślej jej wiceprezes Marian Podkowiński, wystąpiła wówczas z inicjatywą organizowania spotkań dziennikarzy, zajmujących się tematyką międzynarodową z ambasadorami, akredytowanymi w Warszawie. Niektóre z nich zwłaszcza w pierwszym okresie były

naprawdę interesujące. W żadnym wypadku jednak nie należało przenosić kontaktów z cudzoziemcami na grunt prywatny „bez upoważnienia” i kultywować przyjaźń „na własną rękę”.

Na tym właśnie polegał mój „błąd”. Interesowali mnie po prostu ludzie. Nie widziałam nic złego w moich kontaktach z włoskim małżeństwem Lydwin i Ugo Toscano, ani z ich kuzynką Nicolettą Montalbetti. Ugo, który dziś jest radcą ekonomicznym włoskiej ambasady w Waszyngtonie, nie był wówczas nawet dyplomatą, tylko pracownikiem technicznym swej ambasady. Miał zawsze poglądy lewicowe i pozostał im wierny po dzień dzisiejszy. Jego kuzynka Nicoletta uzyskała polskie stypendium na kontynuowanie studiów malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych. Te przyjaźnie przetrwały zresztą po dzień dzisiejszy.

U nich w domu poznałam sekretarza ambasady francuskiej Georges Sidre'a. Być może, że budził on podejrzenia naszych władz. Sidre był wtedy dziwną postacią, trochę jakby z „księżycy”, niepozabawioną jednak specyficznego, choć może nieco chorobliwego wdzięku. Mówił dobrze po polsku, używając jednak bardzo archaicznego języka. Dziś w Paryżu tłumaczy z dużym sukcesem książki polskie na francuski i sam jest autorem kilku powieści.

Dyskutowaliśmy niejednokrotnie u Toscanów na polskie tematy i myślę, że w miarę mych skromnych możliwości pomogłam moim rozmówcom zrozumieć nieco lepiej skomplikowaną problematykę naszego kraju. Zdziwiłam się więc bardzo, gdy Ugo zapytał mnie kiedyś, czy nie boję się do nich przychodzić. Spojrzałam na niego ze zdumieniem. Opowiedział mi wtedy rozmowę, jaką miał z ich gosposią. Pani Janina — była prawdziwą mistrzynią sztuki kulinarnej. Jej barszcz, bigos, czy kołduny litewskie nie miały sobie równych. Otóż pewnego dnia przyszła zapłakana i oznajmiła, że chce odejść. Toscanowie zaczęli wypytywać ją o powody tak nagłej decyzji. Okazało się, że przyszedł do niej jakiś człowiek i polecił jej składać sprawozdania o tym, co się u nich w domu dzieje, kogo przyjmują, do kogo chodzą z wizytami. Ponieważ pani Janina nie miała najmniejszego doświadczenia w tym zawodzie, chciała porzucić swój prawdziwy. W rezultacie udało się ją przekonać, by została. Moi przyjaciele wyszli ze słusznego założenia, że każda następna osoba otrzymałaby podobną propozycję, a pani Janina przynajmniej świetnie gotowała. Zresztą nie mieli powodu ukrywać swego życia, ani swych przyjaciół. Pod warunkiem, że ci ostatni nie przelęką się.

Te moje kontakty musiały jednak obudzić podejrzenia, skoro odmówiono mi wyjazdu... do Czechosłowacji z delegacją Stowarzyszenia Dziennikarzy. Być może zresztą, że była w tym jakaś

osobista intryga. Prezes Uzdański chciał tam wysłać swego pracownika, a nie „rewizjonistkę” z programu krajowego. Ponieważ wszystkie sprawy wydania paszportu otoczone są tajemnicą, nie byłam w stanie dociec prawdy. Ale odczułam tę odmowę jako silny i niezasłużony policzek. Z kolei przyszła zdecydowana odmowa na mój wyjazd — tym razem prywatny — do Francji.

Nie poczuwałam się do żadnej winy. Nie zdradzałam nikomu żadnych informacji, ani tym bardziej tajemnic państwowych, których zresztą nie znałam. Moi wszyscy zagraniczni przyjaciele mogą na pewno potwierdzić, że broniłam zawsze i we wszystkich sprawach polskiego stanowiska, choć nie zawsze się z nim obecnie zgadzałam. Uważałam jednak, że są to sprawy, które trzeba i można rozstrzygać wyłącznie w rodzinie. Niemniej czułam zacieśniającą się wokół mnie atmosferę nieufności i podejrzeń. Nie wiedziałam jak się mam bronić i przeciw komu. Na pozór wszyscy byli dla mnie nienagannie uprzejmi. Wysłano mnie z radia w podróż z Chruszczowem po Polsce. Po powrocie postanowiłam odpocząć i wyjechałam z Mamusią na kurację do Ciechocinka. Był sierpień 1959 roku.



W tym osobiście trudnym dla mnie okresie, gdy wszyscy moi szefowie w radio radzili z uśmiechem, bym się nie przejmowała odmową wydania mi paszportu, że to nie ma wielkiego znaczenia, znalazł się jeden człowiek, który naprawdę chciał mi pomóc, a w każdym razie dowiedzieć się jakie są istotne przyczyny tej niełaski. Tym człowiekiem był Bolesław Piasecki.

Wyobrażam sobie, że to wyznanie nie zyska mi zbyt wielu przyjaciół. Bolesław Piasecki — przedwojenny Oenerowiec, po wojnie prezes takiej instytucji jak PAX — ma na pewno wielu wrogów i trudno się temu dziwić. Nie mam potrzeby tłumaczyć, że zarówno wyznawana przez niego ideologia faszystowska przed wojną, jak i rola, którą wziął na siebie PAX po 1945 roku, są i w moim najgłębszym zrozumieniu i odczuciu obce i wrogie. Co nie zmienia faktu, że uważam Bolesława Piaseckiego za nieprzeciętną indywidualność. Jego powojenna kariera nie ma sobie równej w Europie. Jest chyba największym paradoksem naszych czasów. Przywódca faszystowskiej „Falangi” i organizator pogromów antyżydowskich — stał się oficjalnym i uznanym „führerem” tak zwanych postępowych katolików, skupionych w organizacji PAX. W czasach stalinowskich PAX stał się prawdziwym państwem w państwie, miał własne przedsiębiorstwa, które przynosiły olbrzymie dochody materialne. Po październiku trochę

się to zmieniło. Niemniej — jak długo w Polsce istnieć będzie problem wzajemnych stosunków między Państwem, a Kościołem, jak długo te dwie siły będą ze sobą rywalizowały i ścierały się, a jest to sprawa długich jeszcze lat — tak długo nasze władze będą potrzebowały PAX'u, który miałby osłabić wpływy kościoła. Tak długo też rola jego przywódcy, Bolesława Piaseckiego, będzie zapewniona.

Poznałam go w okresie wizyty premiera Chruszczowa w Polsce. Odbywając z sowieckim przywódcą podróż po kraju, podziwiałam jednocześnie jego dar oratorski i zdolność zjednywania sobie słuchaczy, niezbyt przecież serdecznie nastrojonych do Związku Sowieckiego. W przeciwieństwie do polskich przywódców, Chruszczow z jowialną zręcznością i bezceremonialnością wychodził naprzeciw wątpliwościom. Mówił, że nasze dwa kraje nie zawsze się kochały i że natychmiastowa odmiana nie jest możliwa. W błyskawicznym tempie zmieniał zawód członków swej rodziny — zależnie od środowisk, z którymi nawiązywał kontakt. W Katowicach był synem górnika, w Poznańskim — wynalazł w swej rodzinie rolnicze powiązania i mówił z dużą znajomością o pracy na roli, by w Szczecinie, wśród inteligentów — wynaleźć członka rodziny-nauczyciela. Oczywiście nie wszystkie przemówienia były w całości drukowane w naszej prasie. Ale faktem jest, że Chruszczow nadał nowy styl dyplomacji sowieckiej, który polegał głównie na daleko posuniętej bezpośredniości, na z góry zamierzonym prymitywizmie. I jakkolwiek można dyskutować czy jest to najwłaściwszy styl, z całą pewnością „chwycił” niektórych słuchaczy.

Jednym z dziennikarzy, nieodłącznie towarzyszących sowieckiemu premierowi, był przedstawiciel PAX'u, Zygmunt Przetakiewicz. Już sam fakt pewnego uprzywilejowania powodował niechęć pozostałych kolegów. I niewiele pomagały do zdobycia sobie ich sympatii poważne zapasy francuskiego koniaku, które Przetakiewicz zawsze miał w zanadrzu.

Wracałam z Przetakiewiczem jednym samochodem do Warszawy. Całą drogę opowiadał mi o swym uwielbianym szefie. Był niewątpliwie szczery: Piasecki stał się dla niego półbogiem. Zwracał uwagę na jego lojalność wobec pracowników, na jego oddanie sprawie. Nie precyzował tylko, czy chodzi o sprawę socjalizmu, czy katolicyzmu.

Wizyta sowieckiego premiera zakończyła się wielkim przyjęciem, wydanym 22 lipca w Prezydium Rady Ministrów. Było oficjalnie, nudno i zbierało się na burzę. W pewnej chwili podszedł do mnie Przetakiewicz. „Chciałbym Panią zabrać do jednego z moich przyjaciół” — powiedział.

Zwróciłam uwagę, że Przetakiewicz paradował w otwartej koszuli, bez krawata i bez marynarki. Miał to być, dość dziecinny zresztą, znak protestu, że nikogo z przywódców PAX'u na to przyjęcie nie zaproszono.

Dość chłodno przyjąłem jego propozycję. Nalegał jednak. Chodzi o Bolesława — oznajmił wreszcie.

Obudziło to moją ciekawość. Ludzką i dziennikarską. Postać Piaseckiego, fatalnego człowieka, owiana była tak niesamowitą legendą, tak gęstą mgłą tajemnicy, że dlaczego by właściwie nie uchylić jej rąbka? Zgodziłam się pojechać. Czarna limuzyna zatrzymała się przed siedzibą PAX'u przy ulicy Mokotowskiej. Miałam wrażenie, że wchodzę do obwarowanej twierdzy. Na każdym kroku „goryle” — przyboczna i prywatna gwardia bezpieczeństwa wodza. Na trzecim piętrze, w dużym gabinecie siedział za stołem, w rozpiętej koszuli, wysoki blondyn z małym wąsikiem. Na pierwszy rzut oka ma niewiele z osobowości „wodza”. Prędzej pracownik zakładu fryzjerskiego... Typowa słowiańska uroda. Bolesław Piasecki obchodził tego dnia swoje imieniny w gronie najbliższej gwardii. Trochę wypił, choć trudno jest po nim poznać wpływ alkoholu. Ma na pewno bardzo mocną głowę. Kiedyś, już po moim ślubie, gdy podczas zakrapianego obficie alkoholem obiadu w swej wiejskiej rezydencji, opowiadał mężowi niektóre fakty ze swej przeszłości, przerwał nagle opowiadanie, i patrząc mężowi bardzo trzeźwo w oczy: powiedział: „Pan mi i tak nie wierz — widzę to po Panu!”

— To pani jest tą Alicją Zawadzką — powiedział, unosząc się z lekka z krzesła.

— A pan jest tym Bolesławem Piaseckim — zareplikowałam z miejsca.

I tak, od słowa do słowa powiedziałam mu szczerze, co myślę o jego przedwojennej działalności i o nim samym. Bo w istocie jest to postać ogromnie kontrowersyjna. Niewątpliwie przekonany i szczerzy nacjonalista. Te przekonania skłoniły go w młodości do organizowania żydowskich pogromów na uniwersytecie. Skrajny nacjonalizm nakazał mu walczyć z Niemcami w czasie okupacji, choć ich przywódca był mu bliski ideologicznie. I wreszcie, tenże sam szowinizm skłonił go do zawarcia sojuszu ze Związkiem Sowieckim. W nowej powojennej konstelacji politycznej w Europie, Piasecki był przekonany, że Związek Sowiecki stał się światową potęgą. Wybrał więc pozycję po stronie silniejszego, tego który w jego pojęciu miał odnieść ostateczne zwycięstwo. W każdym razie w tej części Europy, gdzie znajduje się Polska.

W 1945 roku Piasecki został aresztowany przez Rosjan. Wy-

dawać by się mogło, że przywódca polskiego faszyzmu nie ma żadnych szans na wydostanie się z sowieckiego więzienia. Stało się jednak inaczej. Było to wynikiem rozmów, jakie przeprowadził z więźniem szef NKWD, Sierow. Trudno powiedzieć, jak one przebiegły i jaka naprawdę była ich treść. Jedno jest moim zdaniem pewne: Piasecki, taki, jakiego go poznałam, nigdy nie zgodziłby się zostać agentem. Musiano go raczej przekonać, że może stać się mężem opatrnościowym Polski, że jego działalność jest dla dobra Polski niezbędna. W tej sytuacji Piasecki mógł zgodzić się na rolę równorzędnego sojusznika.

Tak czy inaczej układ został zawarty. Trzeba było teraz wypracować do niego nową ideologię. Odbywało się to w 1946 r., w jednym z niezniszczonych domów przy ulicy Marszałkowskiej. Siedząc w płaszczu w nieogrzanym pokoju, otoczony grupą swoich „wiernych” wypracowywał nową linię „postępowego katolicyzmu”. Głosił ją dziennik „Dziś i Jutro”. Pełny rozkwit PAX’u przypadł jednak na czasy stalinizmu, kiedy kościół był gnębiony a PAX miał reprezentować polskich katolików w oczach całego świata. Oczywiście sam charakter stalinizmu bliski był z pewnością ideologicznym, totalitarnym przekonaniom Piaseckiego. Uważał się za wodza, był głosiocielem „porządku publicznego”, utrzymania posłusznej hierarchii, zwolennikiem jezuickiej zasady „cel uświęca środki”. W przeciwieństwie do innych polityków, którzy ze strachu, czy oportunistycznie godzili się na te obce im zasady, Piasecki był co do ich słuszności głęboko przekonany.

Ale jakże to pogodzić z katolicyzmem? Na to pytanie, które zadałam Piaseckiemu podczas naszego spotkania, otrzymałam taką mniej więcej odpowiedź. „Akceptujemy całkowicie socjalizm w dziedzinie politycznej, społecznej i gospodarczej, zachowując prawo posiadania innej koncepcji świata. Kościół i jego nauka nie są związane — zdaniem Piaseckiego — z żadną formacją historyczną. Misją jego jest niesienie słowa bożego rzeszom wiernych. W tej dziedzinie kościół powinien mieć pełną swobodę. Katolicy z kolei powinni brać czynny udział w budowie socjalizmu, ponieważ jest to ustrój społeczny, który zwycięży w przyszłości. Poza tym — i tu znów wziął górę element nacjonalizmu — tylko Polska socjalistyczna może być silna i niepodległa.

Ten ostatni argument, przedstawiony z dużą szczerością, pokrywa się ze stanowiskiem Gomułki. Niemniej całe rozumowanie jak pogodzić katolicyzm z socjalizmem bynajmniej nie było dla mnie przekonujące i nosiło cechy pewnej ekwilibrystyki intelektualnej.

Pokłóciliśmy się w tej dyskusji jeszcze kilka razy, kiedy zajęłam inne stanowisko. Z jednej strony zdenerwowało to mego

rozmówcę, przyzwyczajonego do okazywania mu posłuszeństwa. Z drugiej strony ta niezwykła atmosfera szczerości umożliwiła dalszą wymianę poglądów.

Oburzało mnie zawsze, że PAX, tworząc sieć własnych sklepów i instytucji stworzył sobie własne państwo. Z dużą ironią mówiłam zwłaszcza o firmie „Veritas”, która sprzedawała dewocjonaalia, poświęcane medaliki i krzyże oraz książki do nabożeństwa. Piasecki zapalił się, uniósł. „A skąd mielibyśmy wziąć pieniądze na rozwinięcie naszej działalności?” — zapytał. „Przecież nie zgodziłbym się nigdy na żadne, przydzielane mi z łaski dotacje. Musimy być niezależni”.

Największą jednak kością niezgody był artykuł Piaseckiego, opublikowany zaraz po Październiku pod tytułem „Instynkt państwowy”. Tezy jego sprowadzały się mniej więcej do następujących stwierdzeń: Jedynie silny rząd może wprowadzić postępek w naszym kraju. Wychodząc z tego założenia można oceniać tocząca się w październiku dyskusję. Ma ona swe dobre strony, ponieważ przejawia się w niej obudzone sumienie narodu i powszechna wola ulepszenia przyszłości. Niemniej, zdaniem Piaseckiego, płacimy za tę dyskusję zbyt wysoką cenę, ponieważ jest ona reakcją na zbyt długi okres ciszy i milczenia. Żadna dyskusja nie może być prawdziwie pożyteczna, ani ozdrowieńcza, skoro w ciągu dwóch lat chce się powiedzieć wszystkie rzeczy, przemilczane w ciągu lat dziesięciu. Trzeba powiedzieć szczerze, dlaczego się milczało, lub też dlaczego mówiło się rzeczy, w które się nie wierzyło. A więc — zdaniem Piaseckiego — taka dyskusja ujawnia tylko anarchię moralną i intelektualną. Jako jedyny rezultat daje gorzką satysfakcję ujawniania błędów przeszłości i przedstawiania jej jako nieprzerwanego pasma zdrady i klęsk.

— Nie możemy sobie pozwolić na luksus takiej dyskusji — powiedział mi Piasecki. — Rewizjoniści potracili głowy i nie wiedzą sami, czego chcą. Owszem, dyskusja powinna się toczyć, ludzie powinni zacząć mówić szczerze. Musi mieć ona jednak ściśle określone granice: poczucie odpowiedzialności narodowej i państwowej. W przeciwnym razie władza państwa nie będzie mogła na nią pozwolić.

A zresztą, w trzy lata po Październiku, czy nie przekonaliście się że miałem rację, że partia, że Gomulka podzielają moje poglądy w tej sprawie? Atakowaliście mnie wtedy niewybrednie, ponieważ miałem odwagę powiedzieć niepopularną prawdę. Ale przed prawdą uciec nie można.

Cóż mogłam na to odpowiedzieć? Chyba to tylko, że ważny jest moment, kiedy się tę prawdę mówi i sposób jej podania. A wtedy, kiedy ukazał się „Instynkt państwowy”, artykuł poma-

gał obiektywnie Natolińcykom i tym, którzy nie chcieli postępu w naszym życiu.

Piasecki znowu się uniósł: Wam wszystkim się wydaje, że żyjąc w ustroju socjalistycznym, macie prawo ignorować wszelkie prawa socjalizmu. Oczywiście, macie pewny, urzekający wdzięk. Ale co ma cały naród z waszych słów i artykułów? Ta droga doprowadzi tylko do anarchii.

Przerwaliśmy dyskusję na ten temat. Za oknem rozpetęła się burza. Kiedy dziś myślę o tej rozmowie, to muszę przyznać, że Piasecki okazał się jednym z nielicznych realistów, którzy właściwie ocenili charakter października. Bo w końcu tego samego co i on zdania był Gomułka. Ale wtedy nie chciałam tego jeszcze przyznać.

Potem Piasecki powiedział mi, jak wielką cenę zapłacił za swą działalność. Porwanie jego syna, Bohdana, przez nieujętych sprawców, którzy uszli wymiarowi sprawiedliwości. Szantaże, które wobec niego stosowano, żądając olbrzymiego okupu, podczas gdy jego syn, z żony, którą tak bardzo kochał, która zginęła na barykadach powstania warszawskiego — dawno już nie żył. Piasecki zmienił się, słowa przychodziły mu z trudnością. Zrozumiałam wtedy, że ten silny człowiek bardzo cierpi, że już nigdy w życiu, nawet gdyby miały się spełnić jego polityczne ambicje, nie zazna ani szczęścia ani spokoju.

W tej atmosferze, sama nie wiem dlaczego, opowiedziałam mu o swych trudnościach paszportowych. Zdziwił się, ale obiecał dowiedzieć się o co chodzi. Nie ukrywał bynajmniej swych dobrych i bliskich stosunków z ministerstwem Bezpieczeństwa. Zresztą uratował podobno dzięki nim sporo ludzi przed więzieniem w stalinowskim okresie.

Następnym razem zobaczyłam Bolesława Piaseckiego już po moim ślubie. Trzeba przyznać, że PAX bardzo zręcznie zajmował się zagranicznymi korespondentami, starając się ich zainteresować swoją pozycją i działalnością. Ministrem „informacji” jest bardzo inteligentny Jerzy Haggmayer, lekarz, który nie porzucił swego zawodu i ordynuje w jednym z warszawskich szpitali. Co nie przeszkadza mu bynajmniej wyjeżdżać często do Rzymu, gdzie podobno bywa przyjmowany przez ludzi z otoczenia papieża. Piasecki natomiast nigdy nie wyjeżdża zagranicę. W każdym razie po śmierci syna.

Metody działania PAX'u, zwłaszcza na prowincji, są dość skuteczne. Potrafi on zaktywizować społecznie wierzących katolików, wrogich komunizmowi, a mających jakieś naturalne dążenie do brania udziału w życiu społecznym. Zwłaszcza, że z reguły

jest to jeszcze poparte extra korzyściami ekonomicznymi, pracą w jakiejś paxowskiej spółdzielni.

Kiedy w Zakopanem szukaliśmy kiedyś z mężem willi Piaseckiego, informacji udzielił nam miejscowy ksiądz proboszcz mówiąc o tym miejscu i jego właścicieli z wielką rewerencją.

Drugą dziedziną, w której PAX wykazuje dużą zręczność — to przyciąganie intelektualistów katolickich, wybitnych profesorów uniwersytetu, pisarzy takich jak Zofia Kossak-Szczucka i jej podobnych. Dlatego też poziom zebrań paxowskich, zawierających tę samą treść, co zebrania partyjne, tyle tylko, że nacechowany większą od nich dyscypliną, nie jest nudny, nie ma na nich ani drętwej mowy, ani sztampy.

Nie wiem oczywiście jakie są powiązania Piaseckiego z przywódcami Związku Sowieckiego czy też z Gomułką, z którym kilkakrotnie się widział. Wiem, że ambicją Bolesława Piaseckiego była, a może i pozostaje nadal, chęć objęcia teki wicepremiera w rządzie „jedności narodowej”. Myślę, że pozostanie to tylko jego marzeniem. Ale jestem przekonana, że partia nadal potrzebuje PAX'u, jako pewnej siły odśrodkowej wśród polskich katolików. I dlatego Bolesław Piasecki będzie mógł ze swej twierdzy kierować jeszcze przez całe lata zmontowanym przez siebie z dużym talentem dziwnym organizmem i utrzymywać go na powierzchni życia przez okres nowych wiatrów i burz.

W każdym razie ja nie zapomnę, że w momencie, gdy przeżywałam kryzys wewnętrzny, wywołany brakiem zaufania, gdy czułam się jak obywatel drugiej kategorii — jedyną realną pomoc zaofiarowali mi nie towarzysze partyjni, ale przeciwnik ideologiczny, który potrafił w tym wypadku być ludzki — Bolesław Piasecki.

Rozdział XX

Wróciłam z tych ciechocińskich wakacji bardzo przygnębiona. Mamusia prawie cały czas chorowała, dostała jakiejś przykrew alergii. Uświadomiło mi to po raz pierwszy jej podeszły wiek i wszystkie związane z tym problemy. Jej przywiązanie do mnie — zwłaszcza po okresie przejść okupacyjnych przekraczało zawsze normalne uczucie macierzyńskie. Był w nim jakiś arbitralny i bardzo egoistyczny element władzy nad ukochaną istotą. Obecnie, w obliczu zbliżającej się starości, stałam jej się rzeczywiście niezbędna. I choć z jednej strony, świadomość, iż jest się komuś potrzebnym, daje w życiu cel, to przecież przeleżałam się trochę tak wielkiej odpowiedzialności.

Jak jej zresztą sprostać? Okres tych smutnych i samotnych wakacji pozwolił mi dokonać jakiegoś obrachunku życiowego, którego bilans nie był dodatni. Młodość moja przeminęła. Sporo wycierpiałam i przeżyłam niemało zawodów. Za każdym razem, gdy wydawało mi się, że byłam bardzo blisko osiągnięcia celu, że moje ideały mogły przybrać realną formę, wszystko załamywało się jak domek z kart. Mimo to nie rezygnowałam i rozpoczynałam na nowo. Za każdym razem kontynuowałam pracę z pełnym zapałem. Nie umiałam po prostu inaczej. Tylko, że teraz zaczęłam już odczuwać zmęczenie psychiczne.

Osiągnęłam tak zwaną pozycję zawodową i nieźle zarabiałam. Uświadomiłam sobie jednak, że i to też było bardzo kruche. Bo przecież ciągle dawałam się wykorzystywać jako narzędzie w rękę tych, którzy tworzyli propagandę. A każde narzędzie, gdy zacznie się psuć, lub też gdy nie tak wykona robotę, jak się tego po nim spodziewano, można odłożyć do lamusa, lub po prostu wyrzucić na złom. Obecna atmosfera nieufności, raniła mnie

boleśnie. Poczułam się niepewnie nawet jeśli idzie o moją pracę w radio.

Mogłam być urządzić się na marginesie życia. Oznaczałoby to jednak pełną kapitulację, na którą, po 15 latach walki, nie chciałam się zgodzić i która nie zupełnie odpowiadała memu temperamentowi.

To pewne fiasko moralne i zawodowe spotęgowało również uczucie pustki w życiu osobistym. Odczułam nagle wielką samotność. Oczywiście, miłość Matki do mnie i moja do niej wypełniała w jakiejś mierze tę próżnię. Ale nie mogła zastąpić tego, co określa się mianem szczęścia osobistego.

W tych warunkach wypracowałam sobie teorię, że praca jest ważniejsza od uczuć osobistych. Łączy się z tym spostrzeżenie ogólniejszej natury. Kobiety, które osiągnęły poważniejszą pozycję w życiu zawodowym, mają prawie zawsze jakieś anomalie w życiu osobistym: są albo samotne, albo rozwiedzione. Sprawdziałam to spostrzeżenie w wielu krajach Europy i Azji i na ogół zawsze się zgadzało. Dom, mąż i dzieci wymagają podzielności uczuć i uwagi, do czego przedstawicielki płci pięknej są na ogół niezdolne.

I ja również starałam się wypełnić ambicjami zawodowymi pustkę życia osobistego. Ale, gdy uświadomiłam sobie jeszcze jedną kolejną przegraną, zastanowiłam się: czy to warto? Uważałam jednak, że jest za późno by cokolwiek zmienić. Muszę więc pogodzić się z przegraną i, unikając zgorzknienia, odejść w cień i zestarzeć się z godnością. Bo najbardziej lękałam się tego, by przejawy buntu nie ośmieszyły mnie w oczach mego otoczenia.

W takim nastroju pełnej rezygnacji wróciłam z wakacji. Zostałam wydelegowana na konferencję Unii Międzyparlamentarnej, która odbywała się w końcu sierpnia 1959 roku w Warszawie.

I tam właśnie spotkałam Jean Wetzę. Wiadomości o przystąpieniu do Polski nowego korespondenta „Monde'u” na miejsce Bena od dawna krążyły w kołach dziennikarskich. Starał się o to usilnie ambasador Francji Burin des Roziers, który nie mało zdziałał na rzecz zbliżenia obu krajów. Wiedziałam od niego, że Wetz był przez trzynaście lat korespondentem „Monde'u” w Londynie. Nie wiem dlaczego, wyobrażałam go sobie jako starego człowieka.

Spóźniłam się na pierwszą konferencję prasową Unii. Od razu zwróciłam uwagę na przystojnego mężczyznę, zbliżonego typem do Hemingway'a, noszącego brodę i trzymającego w ustach nieodłączną fajkę. Jego spojrzenie miało jakiś nieodparty urok, przenikało człowieka na wskroś i odniosłam wrażenie, że potrafi on czytać we mnie, jak w otwartej książce.

Coup de foudre? Myślę, że tak można by określić moje uczucie. Podobno Jean odniósł takie samo w chwili, gdy zadyszana wśliznęłam się na salę konferencyjną. Niemniej pracowaliśmy blisko siebie przez dwa tygodnie, wiedząc wzajemnie kim jesteśmy, ale nie zamieniwszy ze sobą ani jednego słowa. Jean Wetz należy do ludzi nieśmiałych i małowównych, czego o mnie na ogół nie można powiedzieć. Ale w tym wypadku byłam samą jego obecnością i osobowością bardzo onieśmielona.

Pierwsze lody zostały przełamane na przyjęciu w Prezydium Rady Ministrów, na cześć uczestników konferencji. Właściwie połączył nas, nie wiedząc zapewne o tym, premier Józef Cyrankiewicz... Przy wejściu bowiem, witając Wetz'a i wyrażając zadowolenie, iż reprezentuje on w Polsce tak poczytną gazetę, powiedział:

— Właściwie potrzeba Panu jakiegoś przewodnika po Warszawie.

A ponieważ stałam obok, czekając na moment powitania, Cyrankiewicz uśmiechnął się i dodał:

— Ot, takiego choćby, jak pani Zawadzka.

Były to zdawkowe słowa i nikt nie przywiązywał do nich żadnej wagi. Jean Wetz spędził ten wieczór z zięciem Chruszczowa, Adzubejem, a ja — w gronie polskich kolegów. Opuszczając jednak przyjęcie około północy, Jean znalazł się koło mnie i, pykając ze swej fajki, zapytał, jak to właściwie będzie z tą moją rolą przewodnika. O tej porze mogłam mu tylko pokazać Stare Miasto.

Był to bardzo piękny spacer. Jean rozumiał każde moje słowo o zniszczeniu i odbudowie Warszawy. Nienawidzi Niemców hitlerowskich tak, jak tylko Szwajcarzy, pochodzący z niemieckiej części tego kraju potrafia ich nienawidzić. Co najmniej tak głęboko, jak Polacy.

Zakończyliśmy ten wieczór w „Krokodylu”. Zapalono świece przy naszym stoliku, nastrój był na pewno bardzo warszawski, a przez to samo — romantyczny. I wtedy Jean Wetz opowiedział mi swoje życie.

Szwajcar z pochodzenia, miał, jak się wyraził, na tyle zdrowego rozsądku, by opuścić swą ojczyznę, gdy miał jeden rok... Jego ojciec, inżynier, konstruktor mostów, otrzymał pracę we Francji. Jean pokochał ten kraj, z którym związał się na całe życie. Skończył licee de Charlemagne i dwa fakultety Sorbony: psychologię i filozofię. Żył w gronie studentów dzielnicy łacińskiej w tym okresie, gdy młodzież francuska prowadziła głębokie dyskusje polityczne i literackie i uczestniczyła w każdym ważnym wydarzeniu na świecie.

Dzisiaj mój mąż niechętnie chodzi do małych bistro na bulwarze Saint-Michel. Twierdzi, że nie potrafi już odnaleźć tam atmosfery swej młodości. Jedynym wyjątkiem jest Coupole i café Flore. Pewnie dlatego, że kelnerzy rozpoznają w nim szczupłego studenta, który mógł sobie pozwolić tylko od czasu do czasu na *café crème*, którą popijał zagłębiając się w lekturze...

W okresie wojny domowej w Hiszpanii Jean walczył po stronie anarchistów. Twierdzi, że nigdy nie mógłby sobie darować, gdyby pozostał tylko widzem tej walki. Jak większość uczestników wojny w Hiszpanii, doznał wielkiego szoku. Przekonał się, że wszystkie ideały wolności i sprawiedliwości zostały złożone na ołtarzu brudnej polityki i czysto osobistych rozgrywek. Zaszła w nim wtedy głęboka przemiana: z zapalonego anarchisty stał się umiarkowanym; z kandydata na czynnego działacza politycznego stał się obiektywnym, o lewicowych tendencjach, obserwatorem zjawisk społecznych. W czasie okupacji Jean brał czynny udział we francuskim ruchu oporu. Wysłany po wojnie do Londynu z ramienia nowopowstałej agencji l'Europe, po jej likwidacji, został korespondentem „Monde'u”. Pozostał na tym stanowisku przez 13 lat. Aż do momentu, gdy załamało się jego życie osobiste. Umarła jego pierwsza żona, Rumunka, siostra obecnego wiceministra spraw zagranicznych, Mezincescu. Bardzo tęskniła za krajem i za rodziną, Jean nie wiele mógł jej pomóc zwłaszcza, że brat na wysokim stanowisku tej pomocy moralnej odmawiał. Po stracie żony, Jean ciężko zachorował: odłupienie rogówki. Przeszedł poważną operację. Leżąc w ciemnościach w londyńskim szpitalu, był bliski załamania. Redakcja „Monde'u” postanowiła przenieść go do innego kraju. Dając mu nowe zainteresowania, próbowała obudzić w nim instynkt samozachowawczy. Jean był w pełni zrezygnowany. Najlepszy swój artykuł napisał właśnie wtedy: na temat uczuć człowieka, który nagle przestaje widzieć. Nie opowiedział mi tego wówczas, dowiedziałam się o tym artykule dopiero w ubiegłym roku...

No i właśnie Jean Wetz zaproponował mi, bym została jego żoną. Na Starym Mieście, w piwnicy Krokodyla. Bez preludium. Po prostu powziął decyzję, którą uważał za słuszną.

Nie wierzyłam w te słowa. To wszystko było nierealne. A tymczasem dwoje ludzi, którzy zostali doświadczeni przez życie, spotkali się we właściwym momencie. Byli sobie potrzebni.

Dzisiaj mogę to zrozumieć. Wtedy, w Krokodylu i potem, wracając do domu samochodem, kiedy zatrzymywaliśmy się na każdej ulicy, by odnaleźć się wzajemnie w uścisku ręki, w pocałunku, nie chciałam po prostu zrezygnować z najkrótszych choćby chwil szczęścia. Chciałam przywrócić Janka życiu. I chyba mi się to

udało, skoro w jednym z listów, które otrzymałam od niego z Londynu, pisał: w chwili, gdy byłam pewna, że moje życie jest już skończone, przekonałem się, dzięki Tobie, że ono się dopiero zaczęło...”

Chodziliśmy po uliczkach Warszawy, trzymając się za ręce, odkrywaliśmy, jak wszyscy zakochani, piękno parku wilanowskiego i starych, pocziwych Łazienek. Zapominaliśmy o porach posiłków, nie chcąc roztrwonić momentu, gdy było nam dobrze ze sobą. Po całym dniu, spędzonym w ten sposób, rzucaliśmy się wieczorem z wilczym apetytem na jedzenie, wyznając sobie: nie chciałem na to tracić czasu, żeby nie przerywać nastroju, tego jedynego, który z tobą tylko jest możliwy.

Jean twierdzi, że wtedy zaczął się wczuwać w atmosferę Polski. Zdecydował się zostać korespondentem w naszym kraju. Wyjechał tylko do Londynu, w październiku, na okres wyborów i by „zatrzasnąć drzwi przeszłości”. Ciągle jeszcze nie wierzyłam w jego powrót. Dałam mu na drogę różę. Otrzymałam ją z powrotem, zasuszoną w pudełku, gdy zostaliśmy wydalenii z Polski. Mam ją po dzień dzisiejszy i przechowuję jak najcenniejszą relikwię. Ostała się nawet w hinduskim klimacie.

Po wyjeździe Janka, nieufność do mnie spotęgowała się jeszcze. Czulałam, że duszę się w tej atmosferze. Podtrzymywały mnie tylko jego codzienne listy, a potem telefony z Londynu, Paryża i Szwajcarii.

Jean wrócił na Wszystkich Świętych. Spotkaliśmy się w Poznaniu. Właściwie minęliśmy się na dworcu, jego rozkład jest zbyt skomplikowany dla cudzoziemca. Odnaleźliśmy się w deszczowy dzień w hotelu. Usiłowałam go przekonać, że nasze małżeństwo pociągnie za sobą zbyt wiele komplikacji, że lepiej zrezygnować. Deszcz bębnił o szyby. Jean uśmiechał się i palił fajkę.

Wracaliśmy samochodem, zatrzymując się we wsiach i małych miasteczkach. Ukazywały nam całe, niepowtarzalne piękno późnej, owianej melancholią, polskiej jesieni.

Potem, ośnieżonymi już i oblodzonymi drogami, pojechaliśmy do Gdańska po odbiór bagażu. Wtedy wyznałam Jankowi moją przeszłość i moje pochodzenie. Wydawało mi się, że jestem wypalona wewnątrz i że nawet on nie potrafi wskrzesić we mnie tego ognia, który powinien przeciw jego ogrzać. Jean nic nie powiedział, palił fajkę.

— Jestem głodny, czas coś zjeść — zdecydował. I dopiero późnym wieczorem, wzięł mnie mocno w objęcia i szepnął, że po tylu cierpieniach, postara się, bym zawsze już była szczęśliwa. Wtedy dopiero spadły ze mnie te wszystkie wojenne i okupacyj-

ne kompleksy, które przez te wszystkie lata nosiłam w sobie, jak ciężki bagaż...

Czekając na załatwienie formalności związanych z naszym ślubem — trzeba było wysłać papiery do Szwajcarii i czekać przez kilka tygodni na ich powrót — zdecydowałam się porzucić pracę w radio. Zwróciłam się w tej sprawie do prezesa Sokorskiego. Zdecydowanie odmówił. Stwierdził, że nie mogą oczywiście pozostać na stanowisku kierownika, ale, że nie widzi żadnych przeszkód, bym kontynuowała pracę publicysty. Dodał, że będzie bardzo zadowolony z poznania mego męża. Odwiedziliśmy go razem i dyskutowaliśmy bardzo szczerze na temat złożonych problemów polskiego życia kulturalnego.

Wiadomość o naszym zamierzonym małżeństwie wywołała wielkie poruszenie. Zagraniczni korespondenci żenili się z Polkami. Korespondent „Neue Zürcher Zeitung”, Halperin, poślubił moją koleżankę z radia, korespondent „Die Welt”, Ludwik Zimmerer, jest po dzień dzisiejszy w Polsce, ponieważ jego żona, z domu Mortkowiczówna, nie chce nawet dopuścić myśli, iż mogłaby żyć w innym kraju, a zwłaszcza w Niemczech. Różnica jednak polegała na tym, że inne żony nie zajmowały nigdy żadnych stanowisk politycznych i nie były członkami partii.

Nasza „sprawa” stanowiła więc jakąś nowość w dziedzinie mieszanych małżeństw. W pierwszej chwili wywołała dezorientację. Następnie władze polskie podeszły do tego, jako do jeszcze jednego przejawu „pokojowego współżycia i współistnienia między dwoma różnymi systemami społecznymi”. Bo Jean Wetz uważany był za przedstawiciela „burżuazyjnego” pisma. W istocie jest on o wiele mniej burżuazyjny, aniżeli ludzie, którzy mu tę etykietkę przyczepili. Opisując sylwetkę mego męża, zresztą wbrew jego woli — chcę wykazać, że zwiążanie się z tego rodzaju człowiekiem nie stawiało przede mną żadnych problemów moralnych. Jean nie był człowiekiem partii, a ja do niej należałam. Ale, jeśli chodzi o ideały postępu, o zrozumienie idei socjalizmu, to jestem przekonana, iż są one znacznie głębiej zakorzenione w umyśle i sercu mego męża, aniżeli wśród wielu komunistów. Pod tym względem nie popełniłam żadnej „zdrady” wobec samej siebie, ani wobec własnych ideałów, którym, jak mi się wydaje, pozostałam wierna po dzień dzisiejszy.

Papiery, które nadeszły ze Szwajcarii i uprawniały nas do zawarcia małżeństwa, zostały nam wręczone uroczyście przez szwajcarskiego ambasadora Gygaxa, podczas przyjęcia, wydanego na naszą cześć przez ambasadora Francji, Burin des Roziers. Notabene, następnego dnia przysłano nam rachunek z ambasady szwaj-

carskiej, żądający uiszczenia śmiesznej zresztą sumy 24 złotych za opłaty pocztowe. Trudno, co kraj, to obyczaj...

Podczas tych naszych oficjalnych zaręczyn w ambasadzie francuskiej, obecni byli również moi polscy przyjaciele, między innymi Oskar Lange, człowiek, do którego zachowam na zawsze wielką przyjaźń i szacunek. Wielki uczony ekonomista o naiwnej, niespotykanej uczciwości, który łączył w sobie odwagę z olbrzymią dobrocią.

Ślub nasz odbył się w Urzędzie Stanu Cywilnego w Warszawie 20 lutego 1960 roku. Odmówiliśmy wszelkich fotografii i wzmianek na temat naszego małżeństwa zarówno w prasie polskiej (byli fotoreporterzy „Przekroju”) jak i zagranicznej. Świeciliśmy po prostu ten dzień w gronie przyjaciół. Naszymi świadkami byli: moja najserdeczniejsza przyjaciółka Zofia Artymowska i naczelny redaktor „Expressu Wieczornego”, Marian Bielski. Otrzymałam bardzo wiele depeš, które przechowuję przez te wszystkie lata i przez wszystkie kraje. Bo, są one świadectwem ciepła ludzkich serc, i ich życzliwości.

Zamieszkaliśmy w małym mieszkanku przy ulicy Kaliskiej, które należało poprzednio do korespondenta „Reutera” Davida Sellsa. Urządiliśmy je śmiesznymi mebelkami z Cepelii, kupiliśmy tapczan-amerykankę w nieco solidniejszym wykonaniu i tak zaczął się pierwszy etap naszego wspólnego życia.

Było ono ciekawe, wypełnione coraz większym uczuciem i wspólnymi zainteresowaniami. Pracowałam początkowo w radio i z wielką radością pomagałam mężowi, w technicznym sensie zresztą, tłumacząc mu artykuły z gazet oraz wiadomości radiowe. Na całym świecie można czerpać z prasy najlepsze wiadomości, pod warunkiem, że umie się ją czytać i analizować. Odnosi się to również do polskich dzienników, mimo faktu, iż są nudno i sztafpowo redagowane. Trzeba przedrzeć się przez gęstwinę słów, by znaleźć jedno zdanie, jedno sformułowanie, które jest naprawdę inne i interesujące.

Jean zrezygnował ze swej pierwotnej chęci nauczania się polskiego. Przyjechał z jak najlepszą wolą i całym zapasem płyt, na których nagrane były lekcje naszego języka. Poczynił nawet olbrzymie postępy, skoro w miesiąc po przyjeździe do Polski, potrafił wypowiedzieć bez błędu skomplikowane zdanie: Dziadek siedzi w fotelu i pali fajkę. Bardzo mnie jego dobra wola i wytrwałość wzruszyły. W miarę jednak naszego małżeństwa, mój szanowny małżonek sadowił się coraz częściej w tym wygodnym meblu, ze swoją fajką i... mówił do mnie po francusku. Jean, w przeciwieństwie do mnie, nie odczuwa potrzeby mówienia, on przede wszystkim słucha i obserwuje. Dlatego z biegiem cza-

su, rozumiał wiele, a nawet dziś, w Indiach, chcąc mi zrobić przyjemność, gdy jestem smutna miesza nagle do rozmowy jakieś polskie słowo.

Nie sprawa języka była najważniejsza. Ciekawy Polski, szybko wgłębiał się w jej złożone problemy.

W podróż poślubną wyjechaliśmy do Zakopanego. Oddychaliśmy czystym, górskim powietrzem, odwiedzaliśmy chaty góralskie i chodziliśmy na marynowane grzybki do „Poraja”. Być może, udało mi się przekonać Janka, iż nasze Tatry mają większy urok od Alp jego ojczyzny.

Nadeszła wtedy wiadomość o mianowaniu Witaszewskiego kierownikiem wydziału organizacyjnego w KC. Nie mam pojęcia, skąd Jean zdobył tę wiadomość, którą od razu z Zakopanego przekazał do Paryża. Prawdopodobnie powiedział mu o tym ktoś z wyższych pracowników, przebywający na wakacjach, który oburzał się na szybki odwrót od października i chciał, dla zmobilizowania opinii światowej i wywarcia tym samym pewnego nacisku na Gomułkę — posłużyć się piórem zagranicznego korespondenta. Takie wypadki były dość częste. A mój mąż, swą powagą i taktem, zaskarbił sobie zaufanie i szacunek wielu ludzi.

Chcę tu wyjaśnić zasadniczą sprawę. Nigdy nie byłam informatorem mego męża. Nie mogłabym nim być, nawet, gdybym chciała, ponieważ w tym czasie byłam już zupełnie odsunięta od arkanów wielkiej polityki. Zresztą nigdy bym tego nie chciała. Mieliśmy do siebie zbyt wielki szacunek, by usiłować wpływać na nasze stanowisko i opinie. Urok pracy z ukochanym człowiekiem w tym samym zawodzie polega przede wszystkim na wzajemnym zrozumieniu, wspólnych zainteresowaniach i pełnej wolności zachowania odrębnych opinii. Wtedy tylko możliwa jest dyskusja, która pomaga obydwom osobom pogłębić zagadnienie.

Do dziś współpracujemy ze sobą w ten sposób. Ale starałam się stwarzać wokół męża taką atmosferę, by nie czuł się nigdy cudzoziemcem w mojej ojczyźnie. Moi przyjaciele stali się jego przyjaciółmi. Wprowadziłam Jean do wielu domów, chcąc by poznał zwykłe polskie życie i polskie tradycje. Nasi rodacy lubią mówić szczerze i mają sympatię dla cudzoziemców, zwłaszcza reprezentujących Francję. Nie wykluczone, że czasem, pod wpływem alkoholu, nie potrafili się w porę ugryźć w język. Przez fakt naszego małżeństwa, Jean miał po prostu łatwiejszy niż jego koledzy wstęp do polskich środowisk. To było wszystko. Myślę, że nasze władze bezpieczeństwa inaczej wyobrażały sobie moją rolę. Mogę je z tego błędu wyprowadzić.

R o z d z i a ł X X I

Po ukazaniu się w „Mondzie” artykułu na temat powrotu do władzy generała „gazrurki” z odpowiednim krytycznym komentarzem — straciłam natychmiast pracę w radio. Odbyło się to w sposób bardzo brutalny.

Był marzec 1960. Wróciliśmy z Zakopanego. Przyjechała wtedy do Warszawy francuska tłumaczka polskich książek, Anna Posner. Jedliśmy z nią obiad w Stowarzyszeniu Dziennikarzy, gdy woźny odwołał mnie do telefonu. Biuro Kadr, czyli inaczej mówiąc, wydział personalny odnalazł mnie tam i zawiadamił, że jutro mogę już nie przyjść do pracy i że wypłacą mi trzymiesięczne odszkodowanie. Żadnych motywów zwolnienia nie podano.

Zostałam ze słuchawką telefoniczną w ręku, nie mając po prostu sił, by ją odwiesić. Czułam się tak, jakbym dostała obuchem w głowę. Ze łzami w oczach wróciłam do stolika. Zdawałam sobie sprawę, że moje małżeństwo pociągnie za sobą konsekwencje w mej pracy zawodowej. To było logiczne. Decydując się na ten krok, przekreśliłam swe ambicje w polskim dziennikarstwie. Wybrałam świadomie szczęście osobiste i za to musiałam zapłacić. Ale, wiedząc o tym, sama zwróciłam się uczciwie do kierownictwa radia, proponując moją rezygnację, której nie przyjęto. Tym boleśniej odczuwałam teraz nie tyle moją decyzję, ile sposób jej wykonania. Na próżno bowiem zabiegałam o przyjęcie mnie przez moich szefów. Wszyscy odmawiali. To już było wręcz nieprzyzwoite. W końcu pracowałam w radio 17 lat i nie mało dla niego poświęciłam. Należałoby więc wytłumaczyć mi: to nie nasza decyzja, otrzymaliśmy polecenie, któremu musimy się podporządkować, ale dziękujemy Ci za twą pracę... Lub nawet

nie tłumaczyć motywów, tylko powiedzieć po ludzku: do widzenia i powodzenia w życiu.

Nie byłam jedyną osobą, którą spotkała podobna niesprawiedliwość. W tym okresie zwalniano wielu rewizjonistów i procedura odbywała się w podobny sposób. Nie podawano powodów, pozbawiając tym ludzi wszelkiej możliwości obrony.

Ja jednak dla samej zasady nie zrezygnowałam z walki. Wiedziałam, że opinia tak zwanej góry w sprawie mego zwolnienia nie jest jednolita, przede wszystkim dlatego, iż zarysowały się w jej łonie rozbieżności na temat faktu powrotu stalinowców do władzy. Bardziej liberalni uważali zapewne, że podobne metody kompromitują popaździernikową Polskę w oczach Zachodu. Do tej kategorii należał Artur Starewicz. Gdy poszłam do niego, bronić swej sprawy, okazał się ogromnie ludzki. Jakby zażenowany niezręcznością kierowników radia, wyjaśnił mi, iż jako żona zagranicznego korespondenta nie mogę pracować w centralnych organach propagandy i że powinnam to zrozumieć, ale, że on osobiście, nie widzi przeszkód, bym kontynuowała zawód dziennikarski na bocznym torze. Bardzo szybko znalazł mi takie zajęcie w wydawnictwie „Polonii”, a ściślej mówiąc w redakcji czasopisma dla emigrantów „7 dni w Polsce”.

Wydawnictwo „Polonia” stało się azylem dla wszystkich dziennikarzy, których z rozmaitych względów, chce się przesunąć na boczny tor. Prezes tego wydawnictwa, Herbst, należy do pokolenia starych, zasłużonych komunistów. Niektórzy oskarżali go o sztywność i dogmatyzm. Jeśli nawet posiada te cechy, to idą one w parze z poczuciem sprawiedliwości. Mając duży autorytet, może sobie pozwolić na okazanie pomocy komunistom, usuwanych z rozmaitych powodów ideologicznych. W różnych wydawnictwach „Polonii” znalazła pracę Edda Werfel, czołowa rewizjonistka i Edward Moszyński, który był duszą stalinowskiego spisku redakcyjnego w „Expresie Wieczornym” już po październiku. Przy biurku redakcyjnym zasiada były Akowiec i były dziennikarz „Trybuny Ludu”. Może dzięki temu „Polonia” jest chyba jednym z najlepszych polskich czasopism i cieszy się dużym uznaniem we wszystkich krajach świata, z Indiami i Malezją włącznie.

Tygodnik „7 dni w Polsce” redagowany był głównie z myślą o Polakach w Stanach Zjednoczonych. Nie miał tam poczytności, najlepszy dowód, że go zlikwidowano. Ale atmosfera pracy w redakcji była przyjemna i będę zawsze z rozrzewnieniem wspominała ten okres.

Jest rzeczą charakterystyczną, że moje perypetie w pracy nie miały żadnego wpływu na przynależność do partii. Byłoby

bardziej logiczne, żeby w pierwszym rządzie usunięto mnie z jej szeregów. Liczyłam się zresztą z tą możliwością i podświadomie czekałam na nią. Po wszystkich zawodach, jakie miałam, fakt, iż byłam członkiem partii przestał mieć dla mnie znaczenie moralne. Umiałam już rozróżnić dwie rzeczy: własne przekonania ideologiczne, własną filozofię i koncepcje życiowe, a przynależność do organizmu, który szermował tymi ideałami, wcielając je w życie w granicach, które na danym etapie wydawały się najkorzystniejsze jego kierownikom. Po odwołaniu od października, wszyscy przeżywalimy kryzys ideologiczny, wszystkich ogarnęło zniechęcenie. Mogłam poprosić o skreślenie mnie z listy członków. Nie zrobiłam tego jednak z prostej ciekawości. Chciałam się przekonać, jakie sfabrykuje się przeciwko mnie zarzuty.

W rezultacie od tej strony panował spokój. Chodziłam na rzadko odbywające się zebrania partyjne, które w redakcji „Polonii” były ciekawsze, niż w radio, ponieważ dyskusja toczyła się na wyższym poziomie. Same zebrania były już w tym okresie wyprane z wszelkiej treści. I myślę, że to prawdopodobnie było jedną z przyczyn, jeśli nie liczyć możliwości bałaganu organizacyjnego, że nikt się nie zainteresował, iż żona „burżuazyjnego” dziennikarza jest nadal członkiem PZPR.

O mały włos wyjechałabym z kraju z legitymacją partyjną w kieszeni. Ostatniego dnia, wezwano mnie do jednego z komitetów dzielnicowych Śródmieścia, gdzie jakiś półinteligent usiłował mi mówić bzdury na temat braku czujności. Przerwałam mu:

— Chodzi o oddanie legitymacji. Oto ona. Wysłałam, zostawiając mego rozmówcę z otwartymi ze zdumienia ustami.

Po przeniesieniu mnie do nowej redakcji, mogłam jeszcze bliżej współpracować z mężem, bo i ja miałam teraz pokazywać Polskę tym, którzy żyją zagranicą. Odbyliśmy długą podróż samochodem po Ziemiach Zachodnich, podczas której poznałam głębiej problemy naszego życia. Ciekawe, dlaczego władze partyjne w terenie ułatwiają bardziej pracę cudzoziemcom, niż własnym dziennikarzom. Gdyby nie to, że byłam tam z mężem, nie miałabym tak dokładnego obrazu olbrzymiej pracy, jakiej tam dokonano w prawdziwie pionierskich warunkach. Ani też nie zastanawiałabym się nad życiem naszego Dalekiego Zachodu — Turoszowa, gdzie socjalizm nie jest w stanie rozwiązać skomplikowanych problemów ludzkiej natury.

Pojechaliśmy do Czechosłowacji. Miałam możność porównania naszych „dróg do socjalizmu”. Nie ulega wątpliwości, iż Czesi są większymi od nas realistami. Nawet w okresie stalinizmu, w cieniu potwornie brzydkiego pomnika ówczesnego wodza, któ-

ry szpecił przez lata Pragę, robili doskonałe interesy. I tak na przykład eksportowali do Włoch krzyże i medaliki, oraz religijne amulety do krajów afrykańskich. Takie rzeczy w Polsce byłyby niemożliwe. Czesi palą panującemu bogu ideologiczną świeczkę, w której blasku można rozdmuchać ogarek dobrego *business'u*. Nie mam jednak o to do nich pretensji. Byli tyle razy zdradzeni i oszukani w przedwojennej historii, że ich naturalną reakcją stała się chęć urzędzenia się, by przetrwać. My, Polacy, jesteśmy bardziej romantyczni i skłonni do oddania życia w ofierze. Za bardzo jednak tym naszym bohaterstwem szafowaliśmy. Zjednało nam to wprawdzie platoniczny podziw i sympatię na świecie, ale zostawiało za każdym razem zniszczony kraj z koniecznością rozpoczęcia na nowo jego odbudowy. A ponieważ nie mamy zbyt wielu talentów organizacyjnych, ani zamiłowania do pracy na własnym podwórku...

Mój mąż twierdzi, że w stosunku do wkładanej codziennie pracy, Polska jest jednym z najbogatszych krajów świata. Przyzwyczaił się bowiem oceniać Polaka oczami cudzoziemca, który w Anglii, czy we Francji znajduje w naszych rodakach najbardziej wydajnych robotników. Jean był zaskoczony, obserwując brak wydajności i efektywności pracy w Polsce.

Uczyłam się wtedy na nowo mego kraju, widząc go oczami rozsądnego i życzliwego nam cudzoziemca, który żywił dla nas dużą przyjaźń i miał zarazem pewną skalę porównawczą. Każdy dzień przynosił nowe odkrycia. Mój punkt widzenia pomagał Jankowi do lepszego zrozumienia naszych polskich zjawisk. Ale równocześnie i on mnie wiele rzeczy nauczył. Między innym spojrzenia na socjalistyczną Polskę od strony współistnienia Kościoła i państwa. Jean ma rację, twierdząc, iż nie można pogodzić katolicyzmu, czyli idealistycznego światopoglądu — z materializmem, będącym filozofią socjalizmu i komunizmu. Wiadomo, że Polska jest najbardziej katolickim krajem w Europie, bardziej może nawet, niż Hiszpania, co sprawia, iż trzeba przeorać świadomość pokoleń, by mogła stać się komunistyczna. Jean nie mógł zrozumieć atmosfery Świąt Bożego Narodzenia, gdy życie kompletnie zamiera, miasto pozbawione jest niemal środków komunikacji, a w domach znanych aktywistów partyjnych rodziny gromadzą się przy choince. W każdą niedzielę Janek przyglądał się z okien naszego mieszkania tłumom pracowników bezpieczeństwa, którzy zajmowali sąsiednie bloki, a którzy defilowali do kościoła na mszę. Przeciął kiedyś z humorem skargi żony takiego aktywisty, która poddawała w wątpliwość cywilny ślub córki bez kościelnego.

Wydaje mi się, że Jean bardzo uczciwie wyjaśniał tę podsta-

wową sprawę w swych artykułach. Najlepszym tego dowodem są setki listów z całego świata, które wtedy otrzymywał i na które wspólnie odpowiadaliśmy.

Wciągnięta w tę pracę, popełniłam wtedy błąd. Zlekceważyłam mianowicie moją prawną sytuację. Jean jest Szwajcarem i kraj mego męża — poprzez fakt naszego małżeństwa uznaje mnie za swą obywatelkę. Powinnam była zatem wystąpić z prośbą o zmianę obywatelstwa. Fakt, iż tego nie uczyniłam skomplikował życie nie tylko mnie, ale... również naszym władzom bezpieczeństwa, które lubią wyraźne sytuacje. Moje życie z „wrogiem” przy równoczesnym zachowaniu więzów z krajem, z tym wszystkim, co kochałam, i co stanowiło moje powszednie szczęście — musiało im się wydawać ogromnie podejrzane. Nie mieściłam się po prostu w żadnej rubryce. Nie było podstaw, by oskarżyć mnie o „zdradę”, ale rzecz jasna, nie można było również mieć zaufania.

Identyczne, choć odwrotnie sformułowane uczucia żywiły do mnie wtedy grupy emigracyjne. Nie mogły darować poważnemu dziennikarzowi zachodniemu, że ożenił się z Polką, która była zaangażowana uczuciowo i związana politycznie z komunistycznym reżymem. Wielkiej nieufności do mnie w kraju towarzyszyły niewybredne ataki prasy londyńskiej. Nie mogę tu nie przytoczyć jednej z takich perełek dziennikarskich, która ukazała się w „Dzienniku Polskim”. Anonimowy autor pisał 4 lipca 1961 r.:

„Wet z przybył do Polski po długim pobycie w Londynie, gdzie warunki pracy, rzecz jasna, są biegunowo różne od warunków w Polsce. Od pierwszych dni pobytu w stolicy Polski Wetz wpadł pod wpływ czynników reżymowych i w swych korespondencjach do „Monde’u” odzwierciedla często oficjalny punkt widzenia. Trzeba przyznać, że Wetz miał parę „skoopów” dziennikarskich. Zapowiedział prawdziwy powrót do łask stalinisty Witaszewskiego. Był jednym z pierwszych dziennikarzy zachodnich, który doniósł o rozruchach w Nowej Hucie na tle obalenia przez władze krzyża. Ale obok tych niewątpliwych sukcesów, było wiele niefortunnych potknięć. Naświetla on w sposób fałszywy sprawę stosunków między kościołem, a reżymem. Mimo woli powstaje pytanie, w jaki sposób ten skądinąd inteligentny człowiek i dobry dziennikarz wykazuje taki brak orientacji. Zdaje się, że odpowiedzi na to pytanie należy szukać w stosunkach domowych: Jean Wet z ożenił się bowiem z Polką, Alicją Zawadzka. Alicja Zawadzka-Wetzowa jest dobrze wprowadzona w kołach rządowych. (Artykuł został napisany w lipcu 1961 roku, czyli w momencie, gdy od półtora roku nie pracowałam już w Radio!) Należy do zespołu redakcyjnego publicystyki zagranicznej radia warszawskiego. Dzięki swym stosunkom, dużo podróżowała. Zna dobrze angielski. Wulgarna, pełna tupetu, raczej nieładna, koło czterdziestki, pani Zawadzka-Wetzowa jest nazywana Alicją z krainy koszmarów... Pani Alicja ma wielki wpływ na męża. A wiadomo, że gdzie diabeł nie może...”

Przytaczam tę notatkę, nie dlatego, aby ukazać jej ordynarny

charakter, czy zdemaskować zawarte w niej kłamstwa. Śmieliśmy się potem z mężem, że jedyną prawdziwą rzeczą, była ocena mego fizycznego wyglądu. Ale artykuł ten jest dowodem, że i grupy emigracyjne nie mogły mnie pomieścić w żadnej znanej rubryce z gotową etykietą. Okazuje się, że malując obraz i dając ocenę człowieka, potrafiły one, podobnie zresztą jak nasze władze bezpieczeństwa, posługiwać się tylko białym, lub czarnym kolorem, nie uznając subtelniejszych odcieni. A przecież natura ludzka — to rzecz bardzo złożona...

W listopadzie 1965 roku skomunikował się z nami w Delhi czołowy publicysta „Dziennika Londyńskiego” pan Bregman, który zatrzymał się na kilka dni w Indiach, kończąc swą podróż po Dalekim Wschodzie. Odwiedził Taiwan na zaproszenie rządu Czang Kai-szeka.

W każdym razie czołowy publicysta „Dziennika Londyńskiego” wyraził głęboki żal, iż mąż mój musiał wyjechać z Polski. Twierdzi, że od tej chwili opinia zachodnia pozbawiona jest niemal całkowicie obiektywnych wiadomości o naszej ojczyźnie.

W tej nie najłatwiejszej atmosferze moralnej minęły pierwsze dwa lata naszego małżeństwa. Niewybredne ataki i na mnie i na mego męża, nie miały jednak żadnego wpływu na nas, ani na nasze szczęście. Najważniejsze, by w podobnej sytuacji pozostawać zawsze w zgodzie z własnym sumieniem. Jak dotąd, udaje nam się to osiągnąć. Dzięki, oczywiście, wielkiemu wzajemnemu zrozumieniu, które potęguje się z upływem lat.

Jean, nawet i dziś, zachował do mego kraju duży sentyment. Rozumie moją tęsknotę, sprowadza często do domu Polaków, których spotyka w pracy. Każdy z nich, w tym również pan Bregman, może być przekonany, iż spotka się z serdecznym przyjęciem w naszym domu.

Rozdział XXII

Bardzo trudno jest zdobyć prawdziwych przyjaciół. Jest to jeszcze trudniejsze w życiu dyplomatów, czy dziennikarzy, którzy, z racji ich zawodu, często zmieniają kraje. Nie chcą się głęboko do kogoś przywiązać, żeby oszczędzić sobie potem bólu rozstania. Myślę, że prawdziwym przyjacielem jest taki człowiek, z którym po latach rozłąki, znajduje się bez trudu wspólny język i ten sam kontakt wewnętrzny, będący niegdyś podstawą przyjaźni. Grono takich ludzi pozostawiliśmy w Polsce. Oni wzbogacili pierwsze lata naszego małżeństwa. I im właśnie pragnę poświęcić kilka słów.

Więc przede wszystkim Zofia Artymowska. Byłyśmy zaprzyjaźnione jeszcze przed moim ślubem. Widziano nas często w Stowarzyszeniu Dziennikarzy, śmiejąc się, iż uzupełniamy się od A do Z i od Z do A. (Inicjały naszych imion i nazwisk są bowiem jednakowe, tyle tylko, iż w odwrotnej kolejności). Ta pełna wdzięku dziewczyna i niezwykle uzdolniona dziennikarka jest i pozostanie nam bliska na zawsze. Za swą uczciwość i wierność dla naszej przyjaźni zapłaciła przekreśleniem własnej kariery.

Zwiedziłam dziś prawie cały świat, w wielu krajach pozostałam bliskich mi ludzi, ale nigdzie nie spotkałam kobiety o uroku nieprzeciętnej osobowości Zosi. Urodzona w Krakowie, miała bardzo skomplikowane dzieciństwo, jako córka wiejskiej, skromnej nauczycielki i bardzo „cygańskiego” ojca, który pojawiał się, jak meteor w życiu żony i dziecka. Rodzice rozeszli się zresztą, a Zosia kończyła szkołę w klasztorze. Czasem pojawiał się ojciec i zabierał ją do kraju marzeń. Mogła wtedy zjeść niezliczoną ilość ciastek, jeździć na kolorowej karuzeli, pójść do kina, by szybko powrócić do klasztornej szarżyzny... Zosia uwielbiała

tę „huśtawkę”. Myślę, że odziedziczyła więcej cech charakteru ojca.

Po szkole Zosia zadebiutowała w Krakowie, jako młoda poetka. Pięknie malowała. Wszystko, co robiła i czym się zainteresowała, starała się doprowadzić do perfekcji. Kompleks prymusa, jak to określa jej pierwszy mąż, Roman Artymowski? Być może. Zosia lubiła rzucać się na nowe rzeczy i posiąść ich znajomość. Wygrała konkurs do ONZ i otrzymała stypendium do Nowego Yorku. Była pierwszą kobietą w Warszawie, która kupiła sobie i prowadziła własny samochód. Zadłużyła się zresztą wtedy na okres dobrych kilkunastu lat! W Nowym Yorku miała dość poważny wypadek samochodowy, a ponieważ nastąpił nie z jej winy, więc dano jej duże odszkodowanie. Nie wzięła z niego ani centa. Zosia nie zna absolutnie wartości pieniądza, dobrze nie wie ile zarabia, a ułożenie jakiegokolwiek budżetu przekracza jej możliwości. W każdym razie zawsze była w długach, co nigdy nie przeszkodziło jej żyć w sposób, z którego w danej chwili miała największą przyjemność. Po prostu Zosia kocha życie we wszelkich jego przejawach. I dlatego pewnie emanuje z niej zawsze ciepło i serdeczność do ludzi. Słabością Zosi jest wielka miłość do zwierząt. Nie potrafiłabym obliczyć ile bezpańskich psów i kotów znajdowało schronienie w jej domu. Opiekowała się nimi w zupełnie wruszający sposób, odsuwając na plan dalszy zobowiązania zawodowe i towarzyskie. I jeszcze jedna piękna cecha Zosi: jej miłość do matki. Nigdy w swym bogatym uczuciowo życiu nie zaakceptowała ani jednego przyjaciela, który by nie okazywał jej matce należnego szacunku. Odważna i dzielna Zosia bała się swojej mamy, która przecież jest od niej taka inna, i zachowywała się w jej obecności, jak mała dziewczynka. Myślę, że z powodu tego głębokiego i skomplikowanego zresztą uczucia tylko jeden raz wyszła zamaż. Zosia zresztą nie nadawała się na żonę. Była zbyt ciekawa życia. I przedkładała karierę zawodową nad szczęście osobiste. Zosia ma niewątpliwie talent dziennikarski. Mogłaby być zostać swego rodzaju Geneviève Tabouis w polskim wymiarze. Przez pewien czas było to jej podświadomą ambicją. Nawet w najtrudniejszych czasach zawsze potrafiła przemycić w swym artykule oryginalną i śmiałą myśl. Była ona zrozumiała dla tych, którzy umieli czytać między wierszami, a tę sztukę opanowaliśmy w Polsce doskonale. Zosia była czołową publicystką w „Trybunie Ludu”. Straciła tę pracę — i jak się zdaje została usunięta z partii — w związku z naszym wyjazdem. Bo Zosia się nie bała. Wtedy, gdy zapadła decyzja o naszym wysiedleniu i gdy członkowie partii mieli zakaz kontaktów z nami, przyszła do domu pożegnać się. Byłyśmy bardzo wruszone

i po raz pierwszy widziałam łzy w oczach Zosi. Pamiętam, że powiedziała wtedy: „Głupia, nie przejmuj się, spotkamy się jeszcze nie raz i pójdziemy na kawę, albo na wódkę”. W każdym razie, po naszym wyjeździe, usunięto Zosię z „Trybuny”. Pod pretekstem, że za dużo pije, jakby ten fakt mógł być jakimś objawieniem dla kogokolwiek, kto ją znał. Istotnie, Zosia lubiła wypić i miała po wódce niesłychaną fantazję. Ale nigdy nie widziałam jej pijanej. Co więcej, ważyła wtedy każde słowo i pewna jestem, iż godnie reprezentowała własny kraj wobec zagranicznych dziennikarzy. W przeciwieństwie do wielu kolegów którzy rozpoczęli przeciw niej ostrą kampanię.

Ani razu do Zosi nie napisałam. Z jednej strony nie chcę jej narażać na niepotrzebne przykrości. Poza tym nie należy ona do kategorii ludzi, którzy potrafią utrzymywać regularną korespondencję, na pewno by mi nie odpisała. Ale jestem pewna, że odnajdziemy się od razu, gdy tak się złoży, że istotnie pójdziemy kiedyś na kawę, czy wódkę...

Przyjaźń innych przejawiała się w wykazaniu odwagi cywilnej. Znaleźli się ludzie, którzy przyszli, jako jedyni zresztą Polacy — na nasze pożegnalne przyjęcie w ambasadzie francuskiej. Byli i tacy, którzy zorganizowali dla nas kolację u siebie w domu, gdy kremowa „Warszawa” bezpieczeństwa stała przez cały wieczór pod ich bramą. Denerwowałam się ogromnie, lękając się ich narażać. Śmieli się, mówili, że przyjaźń, tak jak szlachectwo — obowiązuje.

Było całe grono sąsiadów z domu przy ulicy Noakowskiego, życzliwi, uczynni ludzie...

To od nich, od tych, z którymi stykaliśmy się codziennie, otrzymaliśmy prawdopodobnie w dniu przyjazdu do Paryża nie podpisaną depeszę: „Polscy przyjaciele życzą Wam szczęścia i dalszych sukcesów na nowej drodze życia”. Przechowuję tę depeszę, jak najcenniejszą relikwię.

Byli jeszcze inni ludzie, ci, którzy cenili pracę mego męża. Moi dawni zwierzchnicy i koledzy, którzy zachowywali życzliwą neutralność. Oni właśnie radzili mi, w jak najlepszej wierze, żebyśmy wyjechali z Polski. Twierdzili, że nasz „eksperyment” nie może trwać, że rozsądniej będzie usunąć się w porę, że inaczej ryzykujemy duże przykrości. Mówiąc to, rozglądali się nerwowo po naszym mieszkaniu, jakby w obawie, że ich słowa mogą być zarejestrowane przez ukryte mikrofony.

Dzisiaj żałuję, że nie posłuchaliśmy ich rady. Byli obiektywni i mieli więcej doświadczenia. Zdołałabym wtedy uniknąć komplikacji z Mamą i nie stałabym się przymusowym emigrantem... Ale, jak wspominałam, byliśmy z Jankiem tak szczęśliwi właśnie w

Polsce, właśnie w atmosferze mojej ojczyzny, do której i on, po wakacjach spędzonych zagranicą, w Paryżu, w Szwajcarii, we Włoszech czy w Austrii, wracał jak do swego domu.

Zmieniliśmy w międzyczasie mieszkanie. Przenieśliśmy się do domu dla cudzoziemców przy ulicy Szpitalnej. Było ono bardziej eleganckie, ale nie miało dawnego uroku. Nie mogliśmy się oprzeć wrażeniu, że nigdy nie jesteśmy sami, że ktoś niewidzialny uczestniczy w naszym życiu...

Nadeszła jesień 1961 roku. Do Polski przyjechał naczelny dyrektor „Monde'u”, Hubert Beuve-Méry, jeden z najlepszych dziennikarzy światowych i zarazem niezwykle szlachetny człowiek. Gomułka zgodził się udzielić mu wywiadu. Było to w dużej mierze osiągnięciem codziennej pracy mego męża, jego artykułów z Polski, które ukazywały się w „Mondzie”. Odczuwałam z tego powodu żywą satysfakcję. Z całym zapalem zabraliśmy się do dalszej pracy. Niestety, została ona wkrótce przerwana w wyniku tragicznych, i dla dalszego rozwoju sytuacji w Polsce i dla nas osobiście, wydarzeń.

Rozdział XXIII

Wydarzenia te miały miejsce późną jesienią 1961 roku.

XXII Zjazd Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego zapalił wówczas zielone światło dla dalszej liberalizacji krajów obozu socjalistycznego. Można było się spodziewać, że polskie kierownictwo skorzysta z nowej, nadarzającej się okazji, by posunąć naprzód proces demokratyzacji. Ku ogólnemu zdziwieniu stało się jednak inaczej. Nasi przywódcy starali się nie nadawać rozgłosu sowieckim uchwałam. W rozmowach prywatnych motywowali to faktem, że Polska jest bardziej zaawansowana na drodze liberalizacji, że już 5 lat temu, w październiku, wprowadziliśmy w życie reformy, o których dziś dyskutuje się dopiero w Związku Sowieckim. I choć było tak istotnie, to jednak taka postawa budziła pewne wątpliwości. Wielokrotnie przecież dawano nam do zrozumienia, że popaździernikowy przymrozek mógł być wynikiem zimnych wiatrów, wiejących ze wschodu. Tłumaczono nam, że dalsza odwilż we wszystkich dziedzinach polskiego życia zależna jest od zwycięstwa linii Chruszczowa. No więc, skoro teraz Chruszczow zwyciężył, a grupa Mołotowa została rozbita, powinny być zniknąć wszelkie przeszkody na naszej polskiej drodze. Takie rozumowanie wydawało się logiczne.

Zastanawialiśmy się, co mogło być teraz przeszkodą. Czyżby Związek Sowiecki chciał zapewnić sobie kierownictwo, pierwszeństwo na drodze do liberalizacji socjalizmu, i kazał nam poczekać, aż Polskę w tej dziedzinie dogoni? A może była to po prostu rodzima inicjatywa? Niewykluczone, że Gomułka i nasi przywódcy nie chcieli na nowo rozpalać nastrojów krytyki w polskim społeczeństwie, lękając się, iż one zaprowadzą za daleko. Najbardziej przekonujące wydaje mi się jednak przypuszczenie, że

w łonie samej partii na nowo zarysował się ostry podział. Grupa „partyzantów” generała Moczara i niektórzy natolińczycy zdecydowanie przeciwni demokratyzacji, coraz mocniej osadzali się w siodle i zyskiwali wpływy zarówno w najwyższych władzach partyjnych — Witaszewski miał podporządkowany sobie Wydział Organizacyjny KC — jak i w aparacie bezpieczeństwa. I jeśli ta grupa nie nadawała jeszcze ostatecznego tonu to w zaostrzającej się walce w łonie partii zajmowała coraz ważniejszą pozycję i trzeba było się z nią liczyć.

W każdym razie okres po XXII Zjeździe przyniósł w Polsce kilka reform sprzecznych z jego duchem. Sejm zaczął obradować nad projektem ustawy o Sądzie Najwyższym, wymierzonej przeciw niezawisłości sędziów. Opracowano ustawę przeciw wolności zebrań. I — rzecz niemniej zastanawiająca — w chwili, gdy Czechosłowacja i Rumunia zrywają z Albanią stosunki dyplomatyczne, Polska zawiera z nią — na własną rękę układ handlowy.

Sytuacja w Polsce stała się wówczas przedmiotem ożywionych dyskusji między zagranicznymi kolegami mego męża, którzy nie najlepiej orientowali się w rozwoju tych skomplikowanych wydarzeń, ponieważ wielu z nich przyjeżdżało do Polski tylko na kilka dni. Nie mieliśmy w tym okresie ani jednego spokojnego wieczoru. Przychodzili do nas codziennie ci zagraniczni dziennikarze, którym tłumaczyliśmy, iż Polska jest istotnie najbardziej liberalnym spośród krajów socjalistycznych. Dawaliśmy im, jako przykład, stosunek władz do naszego małżeństwa, nie do pomyslenia w Związku Sowieckim. Moskiewski korespondent „Monde'u”, Michel Tatu, który ożenił się z Rosjanką, mającą syna z pierwszego małżeństwa, przez długie lata nie mógł uzyskać zgody na wyjazd swej rodziny z ZSSR, o czym, po usilnych staraniach, zdecydował sam Chruszczow. W międzyczasie Tatu był brutalnie atakowany przez prasę, co utrudniało mu nieraz pracę zawodową.

Ale, w tych dyskusjach, wyrażaliśmy również nasze szczerze przekonanie, iż można by teraz posunąć naprzód proces umacniania już zdobytych i uzyskiwania nowych swobód wewnętrznych. Mówiliśmy szczerze, że, naszym zdaniem, w tym nałożeniu hamulców, elementy stalinowskie odgrywają pewną rolę. W rezultacie zahamowania wówczas liberalizacji, Polska dała się zdystansować w tej dziedzinie innym krajom socjalistycznym, że wymienię Węgry, a nawet Rumunię.

Pamiętam doskonale te burzliwe dyskusje. Czyżby rzeczywiście miały zostać nagrane za pośrednictwem ukrytych gdzieś mikrofonów? Czyżby rejestrował je któryś z sąsiadów z naszego nowego domu, który w nich uczestniczył, by przekazać je dalej?

Czyżby jakieś sformułowanie, które nie spodobało się władzom bezpieczeństwa miało posłużyć za argument przeciw nam i przyczynić się do naszego wydalenia z kraju? Jest to oczywiście możliwe. Nawet dziś jednak, nie chcę dopuścić do siebie myśli, że ktoś podpatrywał i podsłuchiwał nasze życie prywatne. Nie mieliśmy przecież nic do ukrycia. Mogliśmy nasze wszystkie sądy i opinie powtórzyć w rozmowach z najwyższymi aktywistami partyjnymi i — co więcej — wielu z nich podzielało nasz punkt widzenia.

Przebywający wówczas w Warszawie berliński korespondent „Daily Express”, brytyjskiej gazety do której pisywał czasami mój mąż — opowiedział nam ujawnione na XXII Zjeździe niedyskrecje Chruszczowa na temat okoliczności śmierci Stalina i Berii. Mąż nie wykazał zbyt dużego zainteresowania. Wiadomości te były na Zachodzie „tajemnicą poliszynela”. Specjalista od spraw sowieckich w „Mondzie”, Bernard Ferron, pisał o tym kilka lat wcześniej. Obecnie Chruszczow opowiedział te rewelacje w wywiadzie dla włoskiej „Unity”. Nie widząc więc w tym żadnego „skoopu” dziennikarskiego, Jean się nie śpieszył. W każdym razie nie chciał z tym wystąpić pierwszy, uważając, iż w obecnym klimacie „przymrozku”, władze polskie mogą być niezadowolone, iż wiadomości z Moskwy przeciekają przez Warszawę.

Skoro jednak brytyjski kolega opublikował te wiadomości w swej gazecie, a za nim poszli inni, Jean również przekazał je do redakcji. Było to w ostatnich dniach listopada. Leżałam wtedy w łóżku po małym wypadku samochodowym.

I wtedy nadeszło to najgorsze. W początkach grudnia rozeszła się po Warszawie wiadomość o aresztowaniu Henryka Hollanda. Za co, dlaczego? — pytaliśmy zaskoczeni. Prokuratura powszechna odmówiła zajęcia się tą sprawą, uważając zapewne, iż nie ma podstaw do aresztowania. Wówczas wkroczył na scenę prokurator wojskowy, montując, jak za dawnych czasów, które przecież miały się już nigdy nie powtórzyć, oskarżenie o szpiegostwo. Zarzucano Hollandowi, jakoby miał być szpiegiem angielskim od 1944 roku...

Nikt oczywiście w takie wierutne kłamstwo nie wierzył. Samo aresztowanie stało się dzwonem alarmowym dla wszystkich, którzy zastanawiali się nad rozwojem sytuacji w Polsce. Zadało dotkliwy, osobisty cios tym, którzy znali Henryka Hollanda.

Wspominałam, że jednym z młodych oficerów wojska polskiego, z którym, pod kulami, jechałam jeepem do Lublina był Henryk Holland. Łączyły nas wtedy więzy szczerzej sympatii, które rozluźniały się z upływem czasu, w miarę, gdy każdego z nas pochłonięła własna praca i własne życie. Henryk, czy Heniutek, jak

nazywali go pobłaźliwie starzy towarzysze, był specyficzną postacią zarówno w szeregach partii, jak i w środowisku intelektualistów. Duża inteligencja i bystrość umysłu szła w parze z pewną lekkomyślnością. Na pewno za bardzo lubił kobiety, co skomplikowało mu zresztą życie osobiste, ponieważ w końcu odeszła od niego żona, którą, na swój sposób, bardzo kochał.

Nikt jednak nie mógł poddawać w wątpliwość bezwzględnej uczciwości Henryka. Dlatego największym oburzeniem przejęło mnie określenie Hollanda w książce Jedlickiego jako „starego, i doświadczonego agenta Puławian, cynicznego i koniunkturalnego do ostatnich granic”. Bardzo łatwo jest przypinać komuś tego rodzaju obelżywe etykiety bez pokrycia. Bo dzieje życia Henryka Hollanda świadczą, iż nie był on ani cynikiem, ani oportunistą.

Przedwojenny student medycyny, wstąpił na uniwersytecie do partii komunistycznej. Studia przerwała mu wojna, Henryk przeżył ją w ZSSR i zaciągnął się tam do wojska. W szybkim czasie dorobił się szlifów kapitańskich. Henryka cechowała zawsze duża odwaga osobista, czy to na polu walki, czy później już w życiu politycznym, gdy mówił bez ogródek najwyższym zwierzchnikom, co myśli o ich posunięciach. Henryk Holland, tak jak większość członków partii, był stalinowcem i wierzył w podawane mu dogmaty. Nawet w tym okresie jednak nie tracił z oczu człowieka, jego uczuć i cierpień. XX Zjazd był dla Hollanda dużym wstrząsem. Stał się „rewizjonistą”, ale uczciwie i konsekwentnie pozostał na tych pozycjach. Uczciwiej zresztą, niż wielu innych. Kiedy przekonał się, że nawet po październiku nie ma w dziennikarstwie pełnej swobody wypowiedzenia myśli — Henryk pracował wtedy w dziale ideologicznym „Trybuny Ludu” — porzucił raz na zawsze dziennikarstwo i przeniósł się na teren ściśle naukowy. Wiem na pewno, że profesor Oskar Lange miał duże uznanie dla jego osiągnięć w dziedzinie socjologii i ekonomii.

Holland podróżował po świecie: był w Anglii, w Niemczech Zachodnich i na krótko przed swym aresztowaniem, w Związku Sowieckim. Spotkałam go potem w Stowarzyszeniu Dziennikarzy. Opowiadał każdemu z wielkim zapałem o przemianach, jakie zaobserwował w ZSSR. Holland zwiedził Syberię. Mówił o rosnącym dobrobycie, o społecznym procesie tworzenia się nowej grupy inteligencji technicznej, będącej odpowiednikiem amerykańskich *white collars*.

Była to nasza ostatnia rozmowa. Nigdy już potem nie zobaczyłam Henryka...

Wszelkie insynuacje, jakie znajdują się w książce Jedlickiego, jakoby Holland powtarzał Wetzowi wynurzenia Chruszczowa na

temat śmierci Stalina i Berii i został potem przez kogoś „z otoczenia Wetza zadenuncjowany” są beznadziejną i nieuczciwą bzdurą. Wydaje mi się zresztą, że ktoś był zainteresowany w rozpuszczaniu takich właśnie plotek, które miały na celu zdyskryminowanie Henryka. Cechuje jednak te plotki absolutny brak logiki. W jaki bowiem sposób znajdujący się w niełasce i odsunięty od źródeł informacji Henryk Holland, mógłby zdobyć wiadomości, o których wiedziało tylko trzech przywódców partyjnych obecnych na kierowanym przez Chruszczowa zebraniu, a mianowicie: Gomułka, Kliszko i Cyrankiewicz? Były to na pewno za wysokie progi dla nóg Henryka Hollanda. Nie wierzę, by ktokolwiek miał uczynić z niego powiernika. Oczywiście po opublikowaniu tej wiadomości przez prasę zachodnią, Henryk mógł o tym mówić. Wątpię jednak, czy i dla niego samego były te wiadomości jakąś sensacją.

Dlaczego więc Henryk Holland padł ofiarą afery policyjnej, którą dziś można porównać do sprawy Ben Barki we Francji? Czym naraził się władzom bezpieczeństwa? A może były to narzmiące przeciw niemu urazy, które zaogniły się pod wpływem nieznanego nam wydarzenia? Czyżby nieco lekkomyślny Henryk miał wpaść w sieć zmontowanej przeciw niemu prowokacji? Nie wiele da snucie przypuszczeń na ten temat, bo i tak nikt nigdy nie dowie się prawdy.

Wiem tylko tyle, że staliśmy się świadkami wielkiej ludzkiej tragedii.

Henryk Holland zginął bowiem w bardzo tajemniczych okolicznościach. Wyskoczył, czy też dokonał z czyjąś pomocą *salto mortale* z piątego piętra, ze swego mieszkania, podczas przeprowadzanej u niego rewizji. Było tego dnia 20 stopni mrozu, a więc trzeba było wybić zamrożone szyby, by zdecydować się na ten rodzaj samobójstwa. Wiadomo, że podczas rewizji pilnuje się każdego ruchu oskarżonego. Henryk Holland zabrał ze sobą do grobu tajemnicę swej śmierci.

Być może, że życie straciło dla niego wszelki sens, gdy przekonał się, że padł ofiarą bezprawia i że nikt z jego przyjaciół nie potrafi, czy nie chce mu pomóc. Wyobrażam sobie, że jak podczas katastrofy samochodowej, w ciągu ułamka sekundy ma się świadomość niebezpieczeństwa, tak Henryk musiał doznać uczucia olbrzymiej klęski: osobistej, bo chciano go poniżyć i zmieszać z błotem; politycznej, bo zobaczył niemoc partii, której służył całe życie, a która nie wyrwała go z rąk policji. Dla człowieka odważnego, jak Henryk, śmierć mogła być jedynym wyjściem.

Wiem tylko tyle, że w rezultacie zostało tragicznie przecięte

życie ojca dwóch córeczek, które bardzo kochał i które całe życie cierpieć będą pewnie z tego powodu. Wiem, że zginął zdolny naukowiec, bo wbrew temu co pisze Jedlicki, przed Hollandem otwierała się kariera, ponieważ miał otrzymać katedrę docenta na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wiem rzecz najważniejszą: zginął niewinny człowiek.

Pogrzeb jego przekształcił się w swego rodzaju manifestację. Na Cmentarzu komunalnym na Powązkach spotkali się w ten smutny dzień grudniowy ci wszyscy członkowie partii, nie wyłączając członków Komitetu Centralnego i członka Rady Państwa, którzy, już tylko w ten sposób niestety mogli złożyć hołd uczciwości Henryka Hollanda, którzy w ten tylko sposób mogli zmanifestować przeciw bezprawiu. Starano się zresztą utrzymać w tajemnicy godzinę pogrzebu. Trzeba było stać przed bramą cmentarną kilka godzin, by móc w nim uczestniczyć. Najbardziej wstrząsającym momentem była melodia i słowa Międzynarodówki, zaintonowanej przez towarzyszy walki i pracy Henryka Hollanda.

Tych członków Komitetu Centralnego, którzy zdobyli się na ludzką uczciwość i odwagę, przesłuchiwał potem osobiście Gomułka.

Mój mąż napisał dokładne sprawozdanie z tego pogrzebu. Nakazał mu to obowiązek człowieka i dziennikarza. Nie wolno było dopuścić do tolerowania podobnych aktów gwałtu i bezprawia. Należało uczynić wszystko, by zmobilizować przeciw temu opinię. Zdawaliśmy sobie oczywiście sprawę, że było to ryzykiem, że władze bezpieczeństwa tego nie wybaczą. Gdybyśmy jednak drugi raz stanęli wobec takiej sytuacji, teżbyśmy się nie zawahali. Jean dowiedział się przy tym, ale naprawdę nie wiem od kogo, bo nie chciał i do dziś nie chce mi tego powiedzieć, iż grupa partyjna Stowarzyszenia Dziennikarzy wystosowała petycję do Gomułki, żądając wyjaśnienia przyczyn tej ponurej sprawy.

Nie tyle sprawozdanie z pogrzebu Hollanda, ile ta właśnie wiadomość stała się chyba tą przysłowiową kroplą, która przepełniła dzban i zadecydowała o wydaleniu mego męża. W kołach zagranicznych dziennikarzy krążyły wieści, że w związku ze sprawą przekazania wiadomości o warunkach śmierci Berii, szuka się kozła ofiarnego do wydalenia z Polski. Wtedy jednak ani razu nie padło nasze nazwisko. Decyzję powzięto wówczas, gdy Jean wykazał, iż jest zbyt dobrze poinformowany i to nawet w takich sprawach, które partia chciała ukryć już nie tylko przed opinią Zachodu, nie tylko przed polską opinią, ale nawet przed własnymi członkami i aktywistami. Dziennikarz, który był w stanie zdobyć takie wiadomości, mimo swego zrozumienia

i sympatii dla Polski, stawał się „niebezpieczny”, a w każdym razie niepożądany dla tych, którzy wysuwali się obecnie na pierwsze miejsce w partii.

Wyobrażam sobie, że i dla samego Gomułki, który tyle lat cierpiał z powodu bezprawia, sprawa Hollanda nie była moralnie łatwa. Najlepszy dowód, że polecił aresztowanie prokuratora wojskowego, który prowadził śledztwo. Cała afera, nosząca klasyczne cechy prowokacji policyjnej, była zapewne zmontowana wtedy przez opanowane przez Moczara bezpieczeństwo. I jakkolwiek Gomułka, jako człowiek, mógł potępiać ich metody, nie umiał i nie mógł zdobyć się — jako kierownik państwa — na publiczne napiętnowanie bezpieczeństwa. Dlatego jak najprędzej opuszczono kurtynę na sprawę Henryka Hollanda, która nigdy już nie zostanie uchylona. Policja zaczęła zdobywać władzę nad partią. A ponieważ wskutek artykułu Jean zostaliśmy wkręceni w tryb tych rozgrywek, musieliśmy zostać usunięci.

Mój mąż to zrozumiał. Wydaje mi się, że dał doskonałą — i mimo urazów osobistych — bardzo obiektywną analizę sytuacji w cyklu artykułów o Polsce, napisanych po przyjeździe do Paryża, w lutym 1962 roku.

Henryk Holland zawiózł mnie do Lublina, gdzie związałam się sercem i duszą z nową socjalistyczną Polską. Jego tragiczna śmierć sprawiła, że zostałam z tej Polski usunięta. Jest w tym jakaś logika wydarzeń, na którą nie mamy wpływu, ale z którą trzeba się pogodzić.



Nie od razu zakomunikowano nam decyzję o wydaleniu z Polski. Narastała po prostu wokół nas dziwna atmosfera. Nie zaproszono nas na przykład na noworoczne przyjęcie w Stowarzyszeniu Dziennikarzy. Gdy mąż spytał o przyczynę, odwołano całe przyjęcie.

W tej atmosferze minęły nasze ostatnie święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok w kraju. Byłam bardzo zdenerwowana. Wolałam znać najgorszą prawdę, niż żyć w niepewności. Ale ani Artur Starewicz, ani jego odpowiednik w MSZ nie odpowiadali na nasze telefony. Jean wybierał się wtedy w kilkudniową podróż po Polsce, zorganizowaną dla zagranicznych korespondentów. Ubłagałam go, by dowiedział się prawdy przed swym wyjazdem. Czułam, iż nie wytrzymam tej policyjnej atmosfery u nas w domu, tych wizyt woźnego, panienek z recepcji i niektórych sąsiadów, którzy mieli zapewne polecenie przesyłania raportów o naszym zachowaniu się. Taka atmosfera podejrzliwości może chyba z najuczciwszego człowieka zrobić złodzieja...

Jean usłuchał mej prośby. Pojechaliśmy do MSZ. Czekałam na niego w samochodzie, patrząc na ośnieżone drzewa. Przekonywałam samą siebie, że to wszystko jest jakimś wielkim nieporozumieniem, jakimś koszmarem, z którego obudzimy się szczęśliwie.

Jean wrócił w rozpiętym palcie. Na jego twarzy malowało się pomieszane z bólem zdziwienie.

— Nie przedłużają mi wizy, która kończy się za 10 dni. Trzeba teraz zrobić wszystko, byś mogła wyjechać razem ze mną...

Wtedy właśnie zemdlałam, a ta utrata przytomności była jedyną ucieczką przed przenikającym na wskroś bólem, który już mnie nie opuścił. Musiałam jeszcze przekazać tę decyzję Mamusi, wiedząc, że skracam jej tym życie. A zawsze marzyłam, by móc jej zapewnić spokojną starość.

W ciągu kilku dni zlikwidowaliśmy, a właściwie zrujnowaliśmy dorobek naszego trzyletniego życia. Patrzałam obojętnie, jak ludzie wrzucali nasze rzeczy do wielkich drewnianych skrzyń, które miały wyruszyć w nieznany świat. Przyjmowałam prawdziwą defiladę obcych mi ludzi z naszego domu, którzy, jak szakale, żerowali na naszym nieszczęściu, chcąc odkupić to wszystko, co miało pieczętę „zachodu”. Musiałam raz jeszcze spojrzeć na ruiny tego, co tak pieczołowicie, z taką wiarą budowałam.

Żyłam w otępieniu, brałam środki nasenne, które w ogóle nie działały. Cierpiałam, patrząc na cierpienia Janka. Zadano mu wówczas ranę, która może zabiłiżniła się, ale która się ciągle otwiera. Jean przywiązał się do Polski i tym mocniej odczuł tę niesprawiedliwość. Nie mówi ze mną nigdy na ten temat. Ale zdecydowanie odrzucił wszystkie propozycje napisania książki o Polsce.

Miałam ogromne wyrzuty sumienia, że nie potrafię zapewnić szczęścia tym, których kocham. Patrząc na łzy w oczach matki, pograżyłam się w kompleksie winy. Jest to najcięższe ze wszystkich uczuć, jakich człowiek może doznać.

Poza tym nie miałam żadnej pewności, że wyjadę razem z mężem. Następnego dnia po oznajmieniu mu tej decyzji, złożyłam podanie o wydanie mi paszportu. Interweniował w tej sprawie u ministra spraw zagranicznych Rapackiego ambasador Francji Burin des Roziers. Ale ta sprawa nie była ani w ich rękach, ani w ich gestii. A godziny mijały bezlitośnie.

Mówiłam mężowi: Nie przejmuj się, nie marnuj sobie życia. Przeżyliśmy okres pełnego szczęścia, nic w życiu nie ma za darmo, trzeba teraz za to zapłacić.

Nie chciał nawet słuchać podobnej argumentacji. Zamykał się

w sobie, a na twarzy jego pojawiał się wyraz nieznaney mi dotąd zaciętości.

Trzy dni przed terminem wyjazdu męża, byłam w wydziale paszportowym w ministerstwie bezpieczeństwa. Wyśmiano mnie: decyzyja w sprawie wydania paszportu musi trwać trzy miesiące, nie można obejść tych przepisów. Nie zdążyłam jednak dojść stamtąd do mieszkania Mamusi, gdy specjalny goniec zawiadomił, iż mam się natychmiast zgłosić po odbiór paszportu...

Pomógł nam prawdopodobnie naczelny dyrektor „Monde'u”, Beuve-Méry, który wysłał w tej sprawie depeszę do Władysława Gomułki, wyrażając nadzieję, że żona będzie mogła opuścić kraj wraz z mężem. I to, moim zdaniem, wpłynęło na ostateczną decyzję, która została podjęta na najwyższym szczeblu. Gdybym została, gdyby rozdzielono mnie z mężem, prasa światowa zrobiłaby ze mnie niezastężoną bohaterkę, a tego rodzaju artykuły wprawiłyby tylko w stan ostatecznego rozdrażnienia władze bezpieczeństwa. Nie jest wykluczone, że zmontowano by wtedy przeciw mnie jakieś oskarżenie, żeby umotywować odmowę wyjazdu. To wszystko mogłoby postawić pod znakiem zapytania humanizm Polski gomułkowskiej. Lepiej więc było pozbyć się mnie raz na zawsze, wyrzucając mnie po prostu z kraju. Wyjechałam wprawdzie z polskim paszportem, ale jako przemusowa emigrantka i doskonale zdawałam sobie z tego sprawę. Mam ten paszport po dzień dzisiejszy w szufladzie. Zagranicą otrzymałam automatycznie paszport szwajcarski. Szwajcaria uznaje podwójne obywatelstwo. Nigdy też nie prosiłam o zmianę obywatelstwa polskiego, uważam to za zbędne i tak nie otrzymam zapewne odpowiedzi. Polscy dyplomaci zagranicą, do których zwracałam się w tej sprawie, czuli się wyraźnie zażenowani, bo nie wiele mogą zdziałać. Traktują mnie uprzejmie, ale chłodno.

Na szczęście moja Matka również otrzymała paszport i mogła przyjechać do Paryża, gdzie usiłuje zaaklimatyzować się, mając 80 lat. Uważam decyzję jej wypuszczenia za duży przejaw humanizmu gomułkowskiej Polski, choć przy okazji chciano przerwać ostatecznie moje więzy z krajem. Niemniej zrobiłam z niej tułacza, pozbawiając ją na starość tego polskiego domu, który kocha i za którym bardzo tęskni. Ale nie mogłam postąpić inaczej, gdyż wiem, iż chwilowo nie ma dla mnie powrotu do ojczyzny.

Rozdział XXIV

LISTY DO MATKI

Paryż, 26 stycznia, 1962.

Jesteśmy już w Paryżu i nigdy nie wyobrażałam sobie powrotu w takiej sytuacji do miasta które kocham i w którym pobyt wydawał mi się zawsze szczytem marzeń.

Mieszkamy w hotelu „Adelphi” na rue Taitbout, w samym sercu Paryża, prawie na wielkich bulwarach. Ma to tę dobrą stronę, że łatwo mogę wmieszać się w tłum ludzi i starać się przestać myśleć o własnych problemach. Ale wierz mi, że nie jest to łatwe. Czuję się zagubiona i niczyja, tęsknię za Tobą, za Warszawą, nie umiem sobie znaleźć miejsca. Dziś, na moje urodziny Janek kupił mi śliczny bukiet kwiatów, przypominają trochę pachnący groszek, ale tylko z koloru... Kwiaty nadały jakąś osobowość temu pokojowi hotelowemu, z którego uciekam od rana. Spaceruję po prostu ulicami, chodzę do kina nawet na poranki nie masz pojęcia, jaki może być dobroczynny wpływ kina dla ludzi bezdomnych i bez ojczyzny... Unikam spotkań z ludźmi, nawet z moimi przyjaciółmi, za trudno mi opowiadać im o wszystkim... Z okien hotelu widzę oświetlone biuro redakcji „Monde'u” zdaje się, iż jest to gabinet Beuve-Méry, światło pali się tam do późnych godzin wieczornych.

Powinnam opisać Ci moją drogę, ale właściwie zapamiętałam z niej jakieś fragmenty, jakieś obrazy tylko, byłam zbyt przygnębiona. Berlin, podzielony murem wywarł na mnie upiorne wrażenie i to zarówno ten wschodni, jak i zachodni. Ironia losu: że w samym sercu Niemiec przypomniało mi się getto, wokół murów panuje ten sam nastrój: martwota, lęk, spotyka się rodzaj „szmalcowników”, do których nie można mieć zaufania. Berlin Wschodni jest smutny i brudny, tynk sypie się z domów.

Berlin Zachodni sprawia wrażenie eleganckiej szyby wystawowej, ale mało jest klientów w tym sklepie. Atmosfera przypomina trochę prowincjonalne miasto. Podróż przez NRD była również przygnębiająca. W małym miasteczku przed granicą zepsuł nam się samochód. Dojechaliśmy do garażu i utkwiał mi w pamięci widok Janka, stojącego w błocie i reperującego maszynę... Serce krajało mi się z bólu. Zastanawiam się, czy jego obecna sytuacja nie jest rezultatem jego małżeństwa ze mną... Pomyśl, czy nie jest to okrutne, gdy chce się dać szczęście ludziom, których się kocha, a przynosi się im trudności i cierpienia...

Weszłam w tej miejscinie do małej restauracji, dzwoniłam zębami z zimna. Zamówiłam gorącą herbatę, ale przypomniałam sobie, że nie mam wschodnio-niemieckich marek. Było jednak za późno, bo stał już przede mną napój. W rezultacie zapłacił za niego jakiś Niemiec. W toku rozmowy powiedział mi, że jest nauczycielem, że ma dwoje dzieci. Dał mi swój adres, prosił, żebym kiedyś napisała do niego.

Ten drobny, ludzki epizod miał swój dalszy ciąg na granicy. Zatrzymano długo nasz samochód, odstawiono go na boczny tor i dokonano dosłownej rewizji, otwierając wszystkie kufrы. Padał deszcz ze śniegiem, było przeraźliwie zimno. Uświadomiłam sobie, iż szukano mego rozmówcy z restauracji... No i powiedz, jak można żyć w nastroju takiej podejrzliwości i niewiary w człowieka?

Niemcy Zachodnie natomiast rozwijają się w błyskawicznym tempie i nie mogą oprzeć się refleksji, iż właściwie wygrały one wojnę. Te wszystkie miasta, przez które przejeżdżaliśmy, są bardzo zamerykanizowane i wykazują duży rozmach. Autostrady są fantastyczne. Janek nastawił radio: Edith Piaf śpiewała, *Non, rien de rien, non, je ne regrette rien...* Rozpłakałam się wtedy. Bo ja nigdy chyba nie będę zdolna do stwierdzenia, że wymiotłam całą przeszłość z mego życia i że jej nie żałuję. A faktem jest, że muszę rozpocząć znowu od zera, od niczego... Kochanie, który to już raz z rzędu? Wydaje mi się, iż zabrakło mi sił. Tym razem mam przy sobie Janka, który jest idealnie dobry, to prawda, ale jestem taka zmęczona...

Francja, cały kraj żyje w czadzie wydarzeń algijskich. Przed Paryżem zatrzymaliśmy się w małej oberży, nie ulega wątpliwości, iż jego właściciele należą do OAS. W Paryżu codziennie mamy kilka zamachów plastikowych. Trochę się denerwuję, gdy Janek jest w redakcji, wiesz dobrze, jakie jest stanowisko „Monde’u” w sprawie algijskiej, musi budzić nienawiść ekstremistów. Ale wiesz dobrze, tak jak i ja, iż nie da się uciec przed realiami życia politycznego.

Paryż, 3 marca 1962 roku.

Jutro są Twoje urodziny, kończysz 76 lat, a ja jestem tak daleko i nie mogę Ci nawet przesłać kwiatów. W zeszłym roku kupiłam Ci liliowe hiacenty, które tak lubisz.

Wanda przywiozła mi z Warszawy żółty kwiatek od Ciebie, nie rozstaje się z nim. Zwiądnął już trochę, ale ciągle zajmuje centralne miejsce na moim biurku. Odżyłam, po przeprowadzce do naszego studia. Rue de Mezieres znajduje się w uroczej, spokojnej dzielnicy. W niedzielę rano budzą mnie dzwony kościoła Saint-Sulpice, co przypomina Warszawę... Poza tym lubię atmosferę bulwaru Saint-Germain i Saint-Michel, lubię usiąść na tarasach kawiarni i patrzeć na ludzi. W Deux Magots, w Café Flore i Old Navy spotykam zawsze trochę Polaków. Ale mówiąc szczerze, unikam kontaktów z nimi. Ci z Polski mogą się narazić, rozmawiając ze mną, nie warto. Z emigrantami, zwłaszcza niektórymi, ja nie znajduję wspólnego języka. Telefonowali do mnie z „Wolnej Europy”. Nie mogę się zdobyć na rozmowę z ludźmi, którzy jeszcze niedawno mnie atakowali, bo znajdowałam się po drugiej stronie granicy i miałam inne przekonania.

Jedyną oazą polskości jest dla mnie w tej sytuacji dom pani Zofii Cybulskiej-Weissberg. Mąż jej napisał książkę pt. *Oskarżony*. Zupełnie mną wstrząsnęła, nie tyle z powodu opisu więzień sowieckich, bo znamy to już z referatu Chruszczowa po XX Zjeździe, ile z powodu głębokiego humanizmu tego człowieka, który tyle wycierpiał, a mimo to stara się wszystko i wszystkich zrozumieć.

Poza tym przyjaciele Janka i jego koledzy z „Monde'u” są dla nas bardzo serdeczni, opiekują się mną i starają mi się umilić każdą chwilę. Zmienili moją opinię o dużym egoizmie Francuzów. Jesteśmy zapraszani niemal co wieczór, do tego stopnia, że nie wytrzymuję tego rytmu i zemdlałam podczas kolacji u Geneviève Tabouis. Myślę, iż gospodyni była dumna, że w jej wieku trzyma się lepiej ode mnie!

Zmiana hotelu na studio dała mi też cel w życiu: zajmuję się gospodarstwem. Wiesz, że nigdy tego nie robiłam i że bardzo tego nie lubię, ale w Paryżu ma to jakiś swoisty urok. Przede wszystkim zakupy na rue de Buci, jakie to wszystko jest bajecznie kolorowe! Mam już „swego” rzeźnika, z którym ucinamy sobie dłuższe pogawędki o polityce i „swoją” zieleniarkę. Nie wysiłam się zbytnio i biedny Janek po powrocie z redakcji jest skazany codziennie na befsztyk, sałatę i sery. Chciałabym już

Tobie przygotować pierwszy obiad i wierzę głęboko, że to wkrótce nastąpi.

Papiery są już wysłane i teraz czekam tylko na wiadomość od Ciebie, kiedy mam Cię oczekiwać na Gare du Nord...

Paryż, 10 maja 1962.

Matus moja, Wiem, że przyjeżdżasz z końcem maja i nie umiem Ci wprost opisać mej radości. Nareszcie będę mogła ucałować Twe ręce! Przeogromnie się cieszę, iż nie miałś trudności w uzyskaniu paszportu. Ciekawe jest to co piszesz, że decyzja w sprawie wydania Ci paszportu zapadła w dniu naszego wyjazdu... Znaczy to, iż robi się wszystko, by przerwać moje więzy z krajem...

„Monde” zdecydował wysłać Janka do Indii. Były jakieś wie-deńskie projekty, żeby pokrywał ze stolicy Austrii wszystkie kraje demokracji ludowej, ale doszliśmy do wniosku, iż tej chwili byłoby to dość trudne. Janek wybrał Indie. Niestety, będziemy musiały się znowu rozstać, ale zachowamy świadomość, że w do-bie sputników i Boeingów, dzielącą nas odległość zdołam po-konać w ciągu jednej nocy... Myślę, że nas zrozumiesz. Życie pa-ryskie ma oczywiście swój jedyny i niepowtarzalny urok, ale Janek chce „odkryć” Indie, które są innym odmiennym światem...

Rozdział XXV

Wyjechaliśmy z Europy w ostatnim tygodniu listopada 1962 roku. Dzień był bardzo smutny, kiedy to jesień zмага się z zimą. Pierwszy śnieg, który spadł na ulice Paryża przekształcił się nad ranem w grząskie, lepkie błoto. Z dużym trudem udało nam się znaleźć taksówkę, która jechała przez ciemne ulice. W ostatniej chwili zajęliśmy miejsca w pociągu do Bazylei.

Nie był to wesoły wyjazd. Żał mi było opuścić Paryż, który przygarnął mnie gościnnie w trudnym okresie i pozwolił się poznać z najlepszej strony. Przeżyłam w tym mieście, w naszym małym studio, 9 gorzkich, lecz wzbogacających wewnętrznie miesięcy. Nasza miłość z Jean wyszła z tego okresu piękniejsza i wzmocniona. Odzyskałam Matkę, którą znów musiałam porzucić.

Ale, w istocie — to nie chodziło wcale o Paryż. W ten listopadowy poranek — drugi raz opuszczałam Warszawę i Polskę. Tym razem przenosiłam się przecież nie tylko na inny kontynent, ale do zupełnie innego świata, o którym miałam mętne wyobrażenie z książek. Jechałam w nieznaną. Oczywiście, pomagała mi obecność męża, który z tak charakterystycznym dla niego spokojem — za maską którego zawsze potrafi ukryć uczucia — zagłębił się od razu w lekturze. Od czasu do czasu obserwował mnie spod oka. W tym momencie zrozumiałam, że będzie musiał zastąpić mi ojczyznę.

Chłonełam znane mi i tak bliskie sercu widoki „starej”, pocziwej Europy, które migwały przez okno pędzącego pociągu. Zwłaszcza widok śniegu, który białym, czystym całunem pokrył wsie francuskie na granicy Szwajcarii. Przywiodło to znowu wspomnienie „polskiego” śniegu, który potrafi przekształcić lasy

i pola w prawdziwe cuda. Przeszła mi przez głowę myśl, że trudno będzie żyć w kraju, w którym nie ma zimy.

W takim nastroju przyjechałam do Zurichu. Wmieszaliśmy się w tłum ludzi na Bahnhofstrasse. Znowu prószył śnieg i odczułam nagle nastrój Bożego Narodzenia. Prosiłam męża, żebyśmy weszli do kilku sklepów. Kupiłam jakieś drobiazgi, zupełnie zresztą niepotrzebne. Tylko po to, by uczestniczyć w tym nastroju przedświątecznych zakupów, jedynym i niepowtarzalnym, który przypominał mi Polskę. Wiedziałam, że odtąd będę go pozbawiona.

Wieczorem dotarliśmy do domu teścia w Winterthur. Lubię to prowincjonalne miasto, które rytmem swego życia odbiega od „pocztówkowego” piękna Szwajcarii. Jest to — jak śmieją się jego dumni ze swej demokracji mieszkańcy — królestwo wielkiego przemysłowca Sulzera. Pełno jest na ulicach włoskich i hiszpańskich robotników, którzy spotykają się po pracy ze swymi dziewczynami w małych kawiarenkach. Ich obecność stwarza nowe i trudne problemy społeczne przyzwyczajonym do tradycji Szwajcarom. Ale zarazem dodaje miastu rumieńców i temperamentu, nieznanego niemieckiej części Szwajcarii.

Tym razem jednak nie myślałam o tych sprawach. Odpowiadając mechanicznie na pytania teścia, związane z naszym wyjazdem, czekałam na moment, gdy uzyskam telefoniczne połączenie z Paryżem, by raz jeszcze pożegnać się z Mamą.

Wydała mi się spokojna, może nieświadoma naszej rozłąki, a może trochę zrezygnowana... Ale mnie nie łatwo było zdobyć się na tę rozmowę. Zdawałam sobie doskonale sprawę, że zostawiam ją w trudnych warunkach, w obcym mieście, do którego nie przywykła, wśród ludzi, z którymi, w praktycznym nawet sensie, nie mogła znaleźć wspólnego języka, ponieważ nie mówi dobrze po francusku.

Pozostawiliśmy w Europie ojca mego męża, który także nie jest młody i także jest samotny. Istnieje jednak zasadnicza różnica: jest u siebie w kraju, w swoim własnym domu. Wydawało mi się jednak, że i jemu nie było wesoło w chwili naszego wyjazdu, gdy, jakoś bardzo sztywno, wyprostowany przy kierownicy, prowadził samochód na lotnisko w Zurichu.

Dopiero tam, w atmosferze wielkiego dworca lotniczego, poczułam przedsmak wielkiego świata. Ogarnął mnie jakiś fizyczny niepokój, wzruszenie, gdy usłyszałam, że samolot do Rzymu, Teheranu, Karachi odlatuje za kwadrans i że pasażerowie proszeni są do odprawy celnej... Wiedziałam, że w ten sposób zakończył się długi etap mego życia i że trzeba będzie wszystko zacząć od początku.

A równocześnie odczułam pewien zawód. Jakże to możliwe, aby zmiana kontynentów, która w moim wypadku oznaczała zmianę całego życia — miała być tak prostym faktem, który zapowiada się jednym tchem, zupełnie beznamiętnym głosem. Żal, że ci ludzie mnie nie rozumieją, zarazem żal, że w dobie Boeingów zmniejszono świat, ograniczając tym samym nasze możliwości poznawania i przeżywania nowych wrażeń. Podczas tej pierwszej podróży wszystko już potem działo się błyskawicznie, prawie karykaturalnie. Odległości między miastami zamykały się w skromniejszym, lub bardziej wystawnym posiłku i hop, byłam już na innym kontynencie.

W dwa lata później, wracałam z Francji okrętem dawną, tradycyjną drogą do Indii. Wszystko wydawało się wtedy bardziej logiczne, miałam czas przyzwyczać się do zmian. Najpierw nastrój Marsylii, jedyny w swoim rodzaju, dający piękny, kolorowy, niezapomniany obraz tego wielkiego portu. Potem Barcelona. Na próżno szukałam w niej znanych z warszawskich piosenek mej młodości — uliczek, pachnących kwiatem jabłoni. Znalazłam jednak wiele obrazów, przypominających mi opuszczoną ojczyznę: kościoły wypełnione czarno odzianymi kobietami, unoszący się wszędzie nastrój religijności, jeśli nie fanatyzmu; trudności materialne, które dawały znać o sobie nawet w przepelnionych bistrach i kawiarenkach, otwartych do późna w nocy; wywołane zapewne tymi trudnościami życia i upałem pewne rozleniwienie, wyrażające się w odkładaniu wszystkiego do jutra, *magnana, magnana...*

Ale to była jeszcze Europa. Potem morze Śródziemne, w którym odbijała się ultramaryna nieba. Afryka powitała nas tłumem handlarzy, którzy oblegli statek, usiłując sprzedać tandetę, popisując się nurkowaniem, pozostawianiem pod wodą przez kilka minut i żądając za te wyczyny zagranicznej monety. To była zapowiedź nędzy mieszkańców innych kontynentów, z tym jednak, że w Afryce bardziej potrafią dawać sobie radę niż w Azji, że mają w sobie pewne „cwaniactwo”, a nie tę irytującą i przerażającą zarazem hinduską bierność.

Zmiana klimatu w Egipcie. Potem droga przez morze Czerwone, które okazało się bardzo błękitne, ale za to gorące i słońce. Czarne skały Adenu, tej ostatniej wysepki kolonializmu brytyjskiego, z trudem już utrzymywanej w dzisiejszym świecie przez urzędników Jej Królewskiej Mości — w szortach, popijający whisky — takich, jakich się widzi na schematycznych filmach. Aden kipi nienawiścią, którą wyczuwało się z błyszczących poprzez gęste zasłony oczu kobiet arabskich, idących do pracy w kamieniołomach. Znowu droga przez ocean, podczas której zmie-

nia się i klimat i czas i wreszcie Bombay — zachodnie okno Indii, najbardziej kosmopolityczne miasto tego podkontynentu, które pięknym położeniem i makijażem kilku głównych ulic stara się ukryć wstrząsającą nędzę slumsów na przedmieściach, do których żaden cudzoziemiec nie ma wstępu.

Przez blisko trzy tygodnie podróży człowiek uświadamia sobie te zmiany, przywyka do nich stopniowo, podróż przestaje być szokiem, stając się wzbogacającym odkryciem.

Teheran. Dworzec lotniczy, który mieścił się wtedy w drewnianym, nieprzyjemnym baraku, nie miał nic wspólnego z zaślizszanymi w dzieciństwie bajkami z tysiąca i jednej nocy. Trudno było w nędznym oświetleniu dostrzec czar lampy Alladyna, a w wystawionych na sprzedaż dywanach wyobrazić sobie te latające perskie cuda...

Dzisiaj lotnisko w Teheranie jest przebudowane i ma pretensję do komfortu. Handlarze, tworzący ceny proporcjonalnie do wyglądu podróżnego i do własnej oceny jego majątku — proponują kupno kawioru, czy tychże dywanów. Ale nadal pozostaje uczucie rozczarowania. To nie ma nic wspólnego z Persją, z Iranem szachów, a nawet porzuconej Sorayi...

Na następnym etapie rozczarowanie ustępuje miejsca przerażeniu. Człowiek dostaje obuchem w głowę. Karachi — pierwsze spotkanie z Azją. Długa droga z lotniska w oparach gorącej, dusznej wilgoci. Przyjazd do hotelu „Metropol”. Trzeba było czekać prawie godzinę, by załatwić formalności. W tym świecie nikt się nie śpieszy. Do czego zresztą? Idąc do pokoju, potykaliśmy się o ciała ludzi, otulonych w jakieś szmaty i śpiących na korytarzach. Rano blask słońca, innego niż nasze, które przesącza się przez zamknięte okiennice, przed którym nie ma ucieczki i które już rano wyciska z człowieka siódme poty. Cała armia służby, istna defilada *sweeper'ów*, *bearer'ów*, którzy na chwilę nie pozwalają zostać samemu — a marzy się przecież o samotności — z których nikt naprawdę nie pracuje, ale każdy manifestuje natrętnie swą obecność. Chce zostać zapamiętany, by uzyskać napiwek, nie dla siebie nawet, ale dla wynędzniałej rodziny.

Pełne jazgotu ulice... Ciekawe do jakiego stopnia dźwięki, odgłosy życia są inne w Azji, niż w Europie. Mogę dziś zamknąć oczy i wsłuchując się w nie, rozpoznać, gdzie się znajduję. Wtedy jednak była to nie tyle symfonia innego życia, ile grająca na nerwach kakofonia.

No i kontrasty, które zapierały dech. Środkiem ulic w Karachi spacerowały wielbłądy, eleganckie i majestatyczne, obok przejeżdżały wózki, zaprzężone w bawoły, riksze mechaniczne i te ręczne, ciągnięte przez ociekających potem ludzi, których skóra

lśniła w blasku słońca, by nagle, po zachodzie, stać się suchą, napiętą i wyszarzałą od tego wysiłku... Zręcznie, jak żonglerzy, ustępowali miejsca wielkim amerykańskim limuzynom, które w tumanach kurzu, wśród nieprzerwanego odgłosu klaksonów przejeżdżały drogą, pretendującą do miana głównej ulicy Karachi. Obok domów, mających pewne pretensje do ersatzów amerykańskich „drapaczy” chmur — mizerne kramy, gorsze od tych, które widziałam na wiejskich jarmarkach w Polsce. Ich właściciele nie zarabiają z pewnością na utrzymanie zbyt licznych rodzin. Jest ich stanowczo za wiele: i tych sklepików, oferujących mechaniczne ołówki i najgorszą tandetę zachodniego świata oraz tych ludzi, niemożliwie natrętnych, lepiących się do ewentualnego klienta, towarzyszących mu potem przez kilometry.

Kobiety, osłaniające wstydliwie twarze. Te biedne mogą przynajmniej ukryć odwieczne cierpienie. Te zamożniejsze, za kierownicami samochodów, ryzykują chyba liczne wypadki drogowe. Ale tego wymaga muzułmańska tradycja. Gdzieś z daleka słychać monotonne wezwanie wiernych do meczetów...

Armia dzieci. Wychudzonych, z nieproporcjonalnie wielkimi brzuchami. Dzieci, mających krzywicę. Dzieci, których wielkie czarne oczy są często, jakby martwe, bo przesłonięte jaglicą, kładącą bielmo na wyraz ich cierpienia. Po raz pierwszy usłyszałam słowo „bakszysz” — jałmużna. A jeśli idąc za odruchem litości, chwyciłam portmonetkę, nie mogłam już potem opędzić się całym chmarom tych dzieciaków, które zjawiały się niemal w magiczny sposób, nie wiadomo skąd i jak — ale było ich coraz więcej i więcej... Więc w końcu pozostawała tylko droga ucieczki i przed tymi nieszczęśliwymi dzieciakami, pozbawionymi dzieciństwa, i przed samą sobą — przed uczuciem litości, bólu i wstrętu — do hotelu, gdzie chciało się na próżno znaleźć resztki atmosfery innego świata.

Kiedy zadyszana, starałam się schronić w cieniu arkad hotelu — ale też na próżno, bo upał nie ustawał, ogłupiał i odbierał zdolność myślenia — czułam się lepka od potu, od brudu, od własnych uczuć. Wstydziłam się po prostu, że żyję lepiej, że żyję inaczej, że w ogóle żyję...

Nie, praktycznie biorąc, nie było już możliwości ucieczki. Trzeba było wyjść naprzeciw Azji, naprzeciw tej nowej, trudnej, innej rzeczywistości.

Więc bardzo już zrezygnowana leciałam dalej do New Delhi. Przyszło mi teraz płacić za nową drogę życia, którą wybrałam. Lepiej zatem starać się dostosować i zrozumieć otaczający mnie świat.

Na dole rozpościerało się wielkie miasto, którego światła

układały się jakby w fantastycznie piękny perski dywan. Niezapomniany widok, do którego zawsze chętnie wracam i który mnie zawsze zachwyca. Światło każdego domku, — bo niewiele tu jest neonów — tworzy ten olśniewający haft. Lądowaliśmy w stolicy Indii — New Delhi. Położonej o dziesiątki tysięcy kilometrów od Polski.

Rozdział XXVI

Nie ta geograficzna odległość jest jednak największą przeszkodą. Chodzi o to, że zatrzęsnięto przede mną i przed moim mężem granice, że nie mamy wstępu nawet na wysepki Polski, rozsiane po całym świecie. Mimo wszystko, nie bardzo dobrze rozumiem, dlaczego tak się stało.

Śmiem twierdzić, że bardzo wielu moich rodaków, od zwykłych ludzi począwszy, a na wybitnych dyplomatach skończywszy także nie ma pełnej jasności jakie są powody naszej niełaski. Nigdy zapewne się o tym nie dowiem. I na tę sprawę zapuszczono bowiem grubą kurtynę, która ma pokryć się kurzem zapomnienia. W miarę upływu czasu staram się o tym nie myśleć.

Z początku bardzo mnie bolało, że w tak obcym kraju jak Indie nie mam prawa przekroczenia progów polskiej ambasady. Ale, z prawniczego punktu widzenia — jest ona przedłużeniem terytorium Polski, z którego nas wydalono. Więc i to musiałam zrozumieć. Polscy dyplomaci muszą wykonywać polecenia władz. Muszę więc z konieczności zadowolić się spotkaniami na neutralnym gruncie, gdzie mogę przynajmniej wymienić z nimi kilka słów w języku, którego boję się zapomnieć.

Oczywiście zakaz przyjmowania mnie nie odnosi się do domów wszystkich pracowników ambasady. Ale ci ludzie muszą przede wszystkim myśleć o sobie, o możliwościach własnej kariery. Dlaczego by zatem mieli się zupełnie niepotrzebnie narażać? Nie żywię do nich urazy, nauczyłam się rozumieć motywy ludzkiego postępowania. Wielu z nich ma prawo uważać, że zdradziłam socjalizm i wspólną „sprawę”. Inni nie chcą sobie komplikować życia.

O wiele więcej boli mnie, gdy członkowie polskich oficjal-

nych delegacji, które przyjeżdżają do Indii, i wśród których znajdują się ludzie, z którymi niegdyś blisko współpracowałam, lękają się do mnie zbliżyć i pytają ambasadora o pozwolenie. Z reguły je otrzymują. Ale ja sama tracę wtedy chęć jakiegokolwiek rozmowy i nie odważam się prosić, by zabrali do kraju upominki dla moich przyjaciół. Czasem zdarza się, że niektórzy z tych ludzi, po pijanemu, spotkani przypadkowo w hotelach delhijskich, stają się nieprzyjemnie agresywni. Wyrzucają mi, iż prowadzę bardziej uczciwe życie od nich, bo mogę mówić to, co myślę, a oni są tego pozbawieni. Przyznam jednak, że te, pełne słowiańskiego tragizmu wyznania, budzą we mnie niekłamaną niechęć. Czekam podświadomie na inne słowa z ojczyzny.

Ale bez Polski żyć przecież trudno. Szukam więc jej na własną rękę.

Przyjaciele śmieją się ze mnie, że mam talent w wynajdowaniu Polaków. Agra na przykład. Wielki mongolski grobowiec Taj Mahal, uznany za jeden z siedmiu cudów świata. Oglądamy tę harmonijną budowlę przy pełni księżyca, który nadaje pokrytym mozaikami murom, wydobywając z nich przeróżne cienie, bardziej tajemniczy nastrój. Wokoło pełno amerykańskich turystów i Hindusów, którzy pragną obejrzeć pamiątki ich dawnej kultury. Wchodzimy do środka. Atmosfera Dalekiego Wschodu, na marmurowy grobowiec sypią się płatki róż. Przewodnik wyjaśnia, że spoczywa tu nieszcześnie cesarzowa, która zmarła przy porodzie swego siódmego dziecka. I nagle, wśród absolutnej ciszy, słowa: „Stasiu, jak pragnę zdrowia, bez ćwiartki wódki nie rozbierzesz tej rodzinnej tragedii”.

Nastrój prysł. Te typowo nadwiślańskie słowa, ten warszawski humor wdarły się w samą porę w mury Taj Mahal. Rozmawiam z ich autorami. To delegacja handlowa, których coraz więcej pojawia się w Azji, zwiedza Indie. Ci ludzie stoją z dala od wielkiej polityki. Moje nazwisko nic im nie mówi, w Polsce czytają tylko tytuły „Expressu Wieczornego” a w niedzielę „Przekrój”. Więc mogę ich przynajmniej zapytać co nowego zbudowano w Warszawie? Czy nadal są kolejki w Delikatesach?

Czasem jednak można mówić po polsku z przyjeżdżającymi na międzynarodowe konferencje osobami, noszącymi cudzoziemskie nazwiska. Pani Helena Panteleoni, wysoka dystyngowana, starsza pani, która jest duszą UNICEF-u, zewnętrznie jest typową Amerykanką. Urodziła się w Stanach Zjednoczonych, wyszła za mąż za Amerykanina. Kiedy jednak usłyszałam, że wszyscy nazywają ją — Helenką — zbliżyłam się do niej. Instykt mnie nie zawiódł. Jest córką znanego muzyka Adamowskiego. Tak, mówi po polsku, nie zapomniała, cieszy się, że bę-

dzie teraz miała okazję, bo, pani rozumie, tak łatwo jest zapomnieć ojczystą mowę. Więc chodziłyśmy potem po gwarych ulicach, oglądałyśmy hinduskie jedwabie i obie marzyłyśmy o polskim lnieniu, takim chłodnym i przyjemnym, gdy na dworze, a według jej określenia „na polu” — jest upał.

Legendę Polski i głęboką sympatię do niej zaszczeplił w sercach hinduskich przez długie lata... ambasador Francji w Indiach, hrabia Stanisław Ostroróg. Sam Francuz pozostał wierny tradycjom, jakie wyniósł z domu. Brat jego Jan imponował wszystkim prawdziwie ułańską jazdą konno. Hindusi nie widzieli dawno takiego jeźdźcy. Zachwyceni też byli tymi polskimi potrawami: barszczem, bigosem, który podawano na przyjęciach. Dziś jeszcze doskonale wymawiają te trudne dla nich nazwy. A w wielu hinduskich domach wyjmuje się, przechowywaną przez kilkanaście lat, butelkę „starki, jarzębiaku, gdańskiego „golden-wasser”, które podarował im hrabia Ostroróg. Mówią o nim z rozrzewnieniem, jak o swym przyjacielu, niemal jak o bohaterze. Był taki ludzki i taki inny.

Zaczęłam też szukać Polaków w życiu hinduskim, w tej tajemniczej, odwiecznej Indii. Odkryłam kobiety w powiewnych, kolorowych saari, które doskonale mówią hindi, czy, jeśli są z południa, bengali. Różnią się od Hindusek kolorem włosów — skórę mają równie ciemną, bo spaloną przez słońce — i kolorem oczu. A z wiekiem, gdy człowiek siwieje — to pozostają już tylko te błękitne oczy, w których odbija się jakaś swoista dla nas melancholia.

Uma Devi jest ogromnie popularna w Indiach. Dziś jest pełną życia i niespożytej energii staruszką, skończyła 78 lat. Opublikowała i przetłumaczyła na polski 36 książek na temat hinduskiej kultury, literatury, i sztuki. Ma zamiar wydać dalsze 14-cie, tym razem wgłębiając się w zawile problemy filozoficzne. Wie, że będzie to ogromna praca, ponieważ trzeba będzie tłumaczyć znaczenie każdego hinduskiego pojęcia. „Może uda mi się to w 500 stronicowym wydaniu” — mówi. Zabierze mi to wiele czasu. Poza tym mam trudności finansowe, żeby te książki wydać”. Uma Devi, która wie, że surowe życie sanyasini (rodzaj ascetycznej mniszki hinduskiej) i przez to samo jest niezwykle popularna, zdołała zebrać na ten cel wśród zamożniejszych Hindusów 25 tysięcy rupii. Dlaczego nie zwróciła się do polskiej ambasady? Dlatego, że powojenna Polska nie daje na ten cel pieniędzy. Kupuje tylko niektóre książki. Zresztą Uma Devi, czuje się Hinduską, wybrała przecież dobrowolnie hinduizm.

Mało kto wie, że nazywa się Wanda Dybowska. Pochodzi z Wilna. W roku 1916 przeczytała przypadkowo książkę o Ve-

danta. „Przyjęłam ją od razu jako moją filozofię. Zrozumiałam, że hinduizm jest moją religią i szukałam tylko możliwości by przyjechać do Indii”. Ponieważ w tych czasach nie było to łatwe, więc pani Wanda założyła pierwsze w Polsce hinduskie towarzystwo teozoficzne i została jego sekretarzem. Przez 15 lat wygłaszała w naszych miastach i poza granicami Polski odczyty na temat hinduizmu. Chcąc lepiej poznać to zagadnienie, spędziła trzy lata w Anglii, studiując wszelkie białe kruki, jakie udało jej się zdobyć. Wreszcie, w 1935 roku nadarzyła się okazja, by przyjechać do kraju jej marzeń i nowowwybranej wiary. Przyjechała do miejscowości Adyar w stanie Madras, by wziąć udział w uroczystościach z okazji 50-tej rocznicy utworzenia Towarzystwa Teozoficznego. Miała powrotny bilet do Polski. Nigdy z niego nie skorzystała.

Nawrócenie się na hinduizm nie jest w tym kraju rzeczą łatwą. Cudzoziemcy są uważani za ludzi obcych, nie należących do żadnej kasty, ani społeczności hinduskiej. Wanda Dybowska nie cofnęła się jednak przed żadnymi przeszkodami. Zamknęła się w asramie — rodzaj hinduskich klasztorów — w Kaszmirze. Studiowała święte księgi, odbyła długą i ciężką pielgrzymkę do położonego w niedostępnych szczytach himalajskich Amarnathu. Następnie przez 14 dni pościła. Otoczona była wówczas hinduskimi filozofami — sadu — którzy egzaminowali ją zarówno z jej wiedzy jak i z umiejętności wyrzekania się doczesnych dóbr tego świata. I wreszcie, po tej trudnej próbie, przy świętym ogniu, „umarła Wanda Dybowska a narodziła się Uma Devi”. Od tej chwili, przemierzała pieszo Indie, wędrując do świątyń zapadłych wsi, głosząc swoją nową wiarę. Dziś mieszka w Madrasie i poza pisaniem książek, pracuje w polsko-hinduskiej księgarni.

Uma Devi mówi nadal dobrze po polsku. I w pewnym sensie pozostała wierna swojej pierwszej ojczyźnie. Tym choćby, że swym życiem i pracą budzi dla niej szacunek uczonych filozofów i mędrców hinduskich.

Szukajmy dalej. Stare Delhi, w którym czuje się serce Indii. Tutaj, nad świętą rzeką Jamuną znajdują się groby Mahatmy Ghandiego i Jawaharlala Nehru. Na przepelnionych ulicach „święte”, wychudzone krowy tarasują drogę przechodniom, rikszom i samochodom. W powietrzu unosi się zapach ostрых przypraw korzennych. Tutaj mieszkają prawdziwi Hindusi, którzy wolą zachować kontakt z życiem własnego kraju i nie schronili się przed nim w chłodnym bungalow miasta-ogrodu, jakim jest Nowe Delhi.

Na takiej wąskiej uliczce znajduje się skromny dom. Lokatorem jest hinduski architekt, ale wszyscy znają jego żonę, Memsab

— panią — Prawer Jabuala. Niewysoka, ma około lat 40. Nieśmiała, niechętnie wychodzi z domu, nie bierze udziału w życiu „światowym” i zdecydowanie unika cudzoziemskich domów. Czuje się Hinduską i pisze powieści o życiu tego kraju. Nie są to pozycje wielkiej literatury, ale doskonałe, często satyryczne obrazy hinduskiego społeczeństwa, omotanego więzami przesądów społecznych i religijnych. Pani Jabuala zna je dobrze i umie obserwować. Dlatego jej książki, jak *The House-holder* — gospodarz domu, czy *Amrita* — imię hinduskie dziewczyny — mają ogromne powodzenie. *The House-holder* posłużył nawet za temat do filmu, zrealizowanego w Stanach Zjednoczonych. Czytałam te książki. *Amrita* przypominała mi „Trędowatą” Mniskówniej, która w swoim czasie pobiła rekord poczytności w Polsce. Te same problemy. Miłość dwojga młodych ludzi, należących do różnych klas społecznych. Przesady są silniejsze od uczucia, które kończy się tragedią, koniecznością podporządkowania się moźnej rodzinie.

Trochę mnie to śmieszyło. Bo oznacza to, że nie ma nic nowego pod słońcem, czy to polskim, czy hinduskim... Pani Prawer Jabuala jest Polką z pochodzenia. Przyjechała do Indii po wojnie, tu wyszła za mąż i znalazła swój dom, więc teraz jest Hinduską i czuje się nią. Dwie narodowości komplikują sprawę. Więc o przeszłości trzeba zapomnieć.

Są jeszcze inne Polki, które myślą i czują inaczej. Urodzone w Wilnie, we Lwowie, czy na Polesiu, wywiezione w czasie wojny do Związku Sowieckiego, wyszły stamtąd z armią gen. Andersa. Droga tułacza zawiodła je na Daleki Wschód, do Indii i tam już pozostały. Niektóre pracowały w Bombaju. Emigrantami opiekował się tam pan Masani — jeden z dzisiejszych przywódców partii Swatantra, grupującej młody kapitalizm hinduski. Niektórzy chcieliby nawet wrócić, ale lękają się. Nikt do nich nie dotarł, nikt im tego nie zaproponował. Pracowali dla partii „reakcyjnej” — więc co na to powiedzą władze Polski? Nie są szczęśliwi w tym obcym świecie, cierpią z powodu jego odmienności i klimatu. Kobiety, które wyszły za mąż za Hindusów nigdy nie zostały prawdziwie przyjęte przez ich rodziny. Niektóre zapomniały, co to uśmiech, źle się czują w swych saari, nie potrafią uczyć swoich dzieci hinduskiego języka, marzą o choince na Boże Narodzenie i o babkach wielkanocnych. Są wierzącymi katoliczkami, ale z uwagi na rodzinę męża nie chodzą do kościoła. Więc pozostał tylko pacierz, Ojciec Nasz, który odmawiają w domu, modląc się, by jakiś cud sprawił, by mogły wrócić do swego świata, do swej ojczyzny. Trudno, już nie do Lwowa, czy Wilna, ale choćby do Polski.

Są to najsmutniejsze spotkania. Nie wiadomo zresztą, czy ci

ludzie potrafiliby już znaleźć własne miejsce w Polsce. Rozdarci między dwoma światami, skazani są na tęsknotę.

Są też panie bardzo angielskie, czy bardzo szkockie, w których także wyczułam Polki. Rodzaj nieomylnego instynktu. Wyszły zamąż w Anglii, przyzwyczyły się nieco do nowego środowiska mężów. Ale, ale „to nie to samo”. W Polsce inaczej deszcz pada i inny jest jego zapach, inaczej się śpiewa i tańczy, inaczej się je i pije. Wódka to nie to samo co whisky, można mieć po niej fantazję, radość życia, która szybko przechodzi w melancholię. Jest się sobą. A tu trzeba ciągle grać, zgrywać się. I tęsknić.

Polaków można spotkać wszędzie. Mimo że państwowe granice kraju są zamknięte. Tworzymy odrębny, złożony problem sam w sobie. I jakiś odrębny świat, który ma jednakowe ludzkie oraz narodowe cechy i w kraju i poza jego granicami, który może u innych wywoływać różne uczucia, ale który pozostanie naszym własnym, polskim światem, łączącym, jednoczącym ludzi o różnych przekonaniach politycznych. Tych, którzy rządzą socjalistyczną Polską i utrzymują nowy porządek w Warszawie i tych, których losy życia rzuciły zagranicę. Tych, którym wydaje się, iż znaleźli swe miejsce na obczyźnie i tych, którzy jak ja, tych złudzeń nie mają.

SPIS ROZDZIAŁÓW

- R o z d z i a ł I: — Dzieciństwo. — Rodzice. — Gimnazjum. — 1 wrzesień 1939 9
- R o z d z i a ł II: — Pierwsza zima okupacyjna. — Rozporządzenie o utworzeniu getta. — Przejście za mury. — Życie w getcie. — Jego bohaterowie: doktor Korczak. — Kursy medyczne do walki z epidemiami. — Pierwsza miłość. — Eksterminacja 17
- R o z d z i a ł III: — „Szopy” niemieckie w getcie. — Selekcje. — Decyzja ucieczki. — Droga przez kanały 27
- R o z d z i a ł IV: — Strona „aryjska”. — Rozstanie z mężem. — Spotkanie z Krystyną. — Pomoc polskich przyjaciół. — Praca w „Dzwonkowej”. — Śmierć ojca i męża. — Groźny policjant. — Aresztowanie przez Gestapo. — Cudowne uwolnienie. — Wyzwolenie Rembertowa we wrześniu 1944 30
- R o z d z i a ł V: — Wyjazd z Rembertowa do Lublina. — Wilhelm Billig. — „Pierwotny komunizm” Lublina. — Wstąpienie do PPR. — Pierwsze walki polityczne. — Bolesław Bierut. — Życie intelektualne Lublina i historia „Stańczyka”. — Praca w nasłuchu radiowym. — Proces zbrodniarzy z Majdanka. — Stefan Litauer. — Sylwester lubelski. — Rząd Tymczasowy 38

R o z d z i a ł VI: — Wyjazd z Lublina do Krakowa. — Atmosfera Krakowa. — Praca w rozgłośni. — Jej uczestnicy. — Incydent w hotelu francuskim. — Wyjazd do Katowic	53
R o z d z i a ł VII: — Powrót do Warszawy. — Zniszczenia stolicy. — Odbudowa Warszawy, jej błędy i osiągnięcia. — Radio na Pradze. — 9 maja 1945. — Koniec wojny.	58
R o z d z i a ł VIII: — Atmosfera pierwszych trzech lat powojennych	63
R o z d z i a ł IX: — Utworzenie Kominformu w Szklarskiej Porębie. — Jego drugie zebranie jako początek ery stalinizmu. — 4 zasady stalinizmu i ich praktyczne konsekwencje. — Aresztowania i reżyserowane procesy. — Odpowiedzialność zbiorowa i indywidualna. — Inkwizytorski charakter zebrań partyjnych, samokrytyka. — Gospodarcze skutki napiętej industrializacji. — Upadek literatury i sztuki: socrealizm. — Twórcy polskiego stalinizmu: Jakub Berman, Hilary Minc, Konstanty Rokossowski	76
R o z d z i a ł X: — Władysław Gomułka	86
R o z d z i a ł XI: — Prześladowania ludzi w okresie stalinizmu. — Rafał Praga i Andrzej Munk. — Antysemityzm w Polsce przedwojennej i jego źródła. — Odrodzenie antysemityzmu w okresie stalinowskim ..	94
R o z d z i a ł XII: — Praca w Radio. — Prezesi i wiceprezesi. — Sprawa Odolskiej. — Ideologiczni nauczyciele stalinizmu i motywy ich działania. — Atmosfera wiary w stalinizm. — Uczucia członków partii. — Pierwsze wątpliwości	102
R o z d z i a ł XIII: — Śmierć Stalina. — Polskie źródła destalinizacji. — Rewelacje Chruszczowa na XX-tym Zjeździe. — Szok moralny wśród członków partii. — Sprawa Oleckiego. — Walka o odnowę we wszystkich dziedzinach życia. — Rezolucja organizacji partyjnej Polskiego Radia, domagająca się wprowadzenia Gomułki do KC i jej historia	115

- R o z d z i a ł XIV: — Wpływ sprawy jugosłowiańskiej na zrozumienie problemów stalinizmu. — Pierwsze wrażenia z Jugosławii w roku 1956. — Drugi pobyt w Jugosławii z Gomułką w roku 1957. — Trzeci pobyt na konferencji krajów „niezaangażowanych” w 1962 roku 124
- R o z d z i a ł XV: — Wiadomość o Poznaniu. — Zebranie robotników Piotrkowa. — Strajk robotników Poznania. — Walki zbrojne na ulicach. — Tragizm wydarzeń. — Dwie teorie na tle wydarzeń poznańskich. — Rozłam w łonie Partii. — „Aparatczycy”. — VII Plenum KC. — Rehabilitacja Gomułki. — Wzrost nastrojów rewolucyjnych w kraju 132
- R o z d z i a ł XVI: — Emocjonalny charakter Października. — Październik jako konsekwencja ogólnonarodowych żądań odnowy. — Trzy grupy w łonie kierownictwa partyjnego. — Natolińczycy. — Grupa Puławska. — „Rewizjoniści”. — Program reform rewizjonistów — programem Gomułki. — Odrzucenie teorii rewolucji w socjalizmie. — Istotny charakter października: zmiana ekipy w łonie kierownictwa partyjnego. — Przebieg dni październikowych. — Różnica między przebiegiem wydarzeń w Warszawie i w Budapeszcie 139
- R o z d z i a ł XVII: — Deklaracja moskiewska z 18 listopada 1956 roku. — Październikowe reformy. — Kampania przedwyborcza. — Wybory w styczniu 1957. — Rozpoczęcie walki z rewizjonistami. — Przyczyny tego konfliktu. — Rosnący indyferentyzm polskiego społeczeństwa, jako droga samoobrony. — Dalsze walki w kierownictwie partyjnym 151
- R o z d z i a ł XVIII: — Prasa w okresie stalinizmu. — Rozkwit „Po prostu”. — Rozpoczęcie walki. — Zakaz wydawania czasopisma. — „Życie Gospodarcze”. — Postawa dziennikarzy w okresie usztywniania się polityki po październiku. — Podporządkowanie prasy kierownictwu partyjnemu 163

R o z d z i a ł XIX: — Październik otworzył okno na świat. — Wyjazdy do Finlandii i Francji. — Pierwsze wrażenia z Francji. — Francuscy przyjaciele. — Zagraniczni korespondenci w Polsce. — Utrata zaufania w wyniku kontaktów i przyjaźni z cudzoziemcami. — Odmowa wydania paszportu. — Spotkanie z Bolesławem Piaseckim	177
R o z d z i a ł XX: — Ciechocińskie wakacje. — Ujemny bilans zawodowy i osobisty. — Rezygnacja. — Spotkanie z Jean Wetzem. — Miłość i małżeństwo. — Wspólne życie w Polsce. — Pierwsze komplikacje ..	192
R o z d z i a ł XXI: — Usunięcie z radia. — Walka o pracę. — „Polonia” — jako azyl dziennikarzy w „niełasce”. — Marazm organizacji partyjnych po październiku. — Nowy charakter pracy. — Spojrzenie na Polskę oczami Zachodu. — Współpraca i podróże z mężem. — Brak zaufania ze strony władz bezpieczeństwa. — Nienawiść emigracji	200
R o z d z i a ł XXII: — Polscy przyjaciele	206
R o z d z i a ł XXIII: — XXII Zjazd Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. — Polskie kierownictwo przeciwne dalszej liberalizacji i przyczyny tego stanu rzeczy. — Sprawa Henryka Hollanda. — Sprawozdanie męża z pogrzebu. — Narastająca atmosfera nieufności. — Decyzja wydalenia z Polski. — Zrujnowanie naszego dotychczasowego życia. — Walka o paszport. — Wyjazd z kraju	210
R o z d z i a ł XXIV: — Paryskie listy do Matki	219
R o z d z i a ł XXV: — Wyjazd z Paryża. — Podróż. — Szok zetknięcia się z azjatycką rzeczywistością	223
R o z d z i a ł XXVI: — Życie przymusowego emigranta w Azji. — Poszukiwanie Polski i polskości w życiu hinduskim. — Uma Devi. — Prawer Jabuala	229



A C H E V E D ' I M P R I M E R
L E 3 M A R S 1 9 6 7
S U R L E S P R E S S E S D E
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1967



18. VII. 67
194

SERIA „DOKUMENTY”

- Nr 1 O kulcie jednostki i jego następstwach (1 F)
Nr 2 Przemówienie 1 Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki na VIII Plenum 21. X. 1956. (1 F)
Nr 3 Przyczyny rewolucji węgierskiej. Testament Haricha (wyczerpane).
Nr 4 Warszawa-Kijów (1 F)

W „BIBLIOTECE KULTURY”

- Nr 5 Program Związku Komunistów Jugosławii. Krytyka „Komunista” (8 F)
Nr 6 Kultura Masowa — Praca zbiorowa w opracowaniu Czesława Miłosza (6 F)
Nr 7 Wiktor Sukiennicki: Kolumbowy Błąd — Szkice z historii, teorii i praktyki sowieckiego „komunizmu” (9 F)
Nr 8 Węgrv. — Praca zbiorowa w opr. i tłum. Czesława Miłosza (9 F)
Nr 9 Adam Ciolkosz: Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska (15 F)
Nr 10 Andrzej Stawar: Pisma ostatnie (wyczerpane).
Nr 11 Sześć lat temu... (Kulisy polskiego Października) (10 F)
Nr 12 Witold Jedlicki: Klub Krzywego Koła (10 F)
Nr 13 Wiktor Sukiennicki: Biała księga (12,75 F)
Nr 14 January Grzędziński: Maj 1926 (9 F)
Nr 15 Dialog polsko-niemiecki (6 F)
Nr 16 Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela (7,50 F)
Nr 17 J. Kuroń i K. Modzelewski: List Otwarty do Partii (7 F)
Nr 18 Schizmy (7 F)

